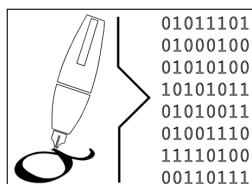


A.J. QUINNELL

# BŁĘKITNY KARTEL

Tłumaczył: Jerzy Żebrowski



Tytuł oryginału:

*BLUE RING*

Data wydania polskiego: 1996 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1993 r.

*Dla Agnes Kwok Sheung Wah,  
która skłoniła mnie do myślenia*

# PROLOG

Otworzywszy oczy Hanne Andersen nie wiedziała, gdzie jest. Bardzo szybko odzyskiwała jednak przytomność. Czuła w głowie tępy ból, a w ustach cierpki smak. Nie mogła poruszyć ręką ani nogą. Nad sobą miała popękany, brudny sufit. Obróciła obolałą głowę, najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Znajdowała się w niewielkim, prostokątnym pomieszczeniu, w którym nie było okien, tylko ciężkie szare metalowe drzwi. Skrępowano jej przeguby i kostki, przywiązując je do czterech rogów łóżka. Miała na sobie tę samą jaskrawoczerwoną sukienkę, którą włożyła poprzedniego wieczoru. Czuła paraliżujący strach, próbując przypomnieć sobie, co się stało.

Pamiętała, że Philippe zabrał ją z hotelu do jakiejś hałaśliwej restauracji i że sporo tam wypła, najpierw wina, a potem tequili. Dalsze wspomnienia były już mgliste: zaliczyli dwa kolejne bary i jakiś nędzny nocny klub przy Rue Saint Sans. Pamiętała, jak oboje bez przerwy się śmiali, oglądając sex-show, który przyprawił ją o mdłości, ale i podniecał. Co działo się później, nie miała pojęcia.

\* \* \*

Dopiero po godzinie usłyszała trzask zamka w metalowych drzwiach. Do pokoju wszedł Philippe. Stał obok łóżka, patrząc na nią z góry. Miał na sobie ten sam, co poprzedniego wieczoru, ciemnoniebieski garnitur, białą jedwabną koszulę i brązowy krawat, ale marynarka była wygnieciona, a krawat niedbale poluzowany. Jego niezwykle atrakcyjną twarz pokrywał czarny zarost.

— Gdzie ja jestem, Philippe? — zapytała Hanne chrapliwym głosem. — Co się stało?

W jego oczach nie było już wesołości, a na twarzy pojawił się szyderczy uśmiech. Zmierzywszy dziewczynę wzrokiem podciągnął do góry jej czerwoną sukienkę. Miała pod spodem bardzo wąskie białe koronkowe majteczki. Spojrzał na nie i mruknął coś po francusku. Zrozumiała jego słowa, choć uczyła się tego języka dopiero od dwóch miesięcy.

— Szkada... Wielka szkoda... No cóż, trzeba słuchać poleceń — powiedział, znów uśmiechając się drwiąco. — Ale na małe co nieco można sobie pozwolić.

Wsunął rękę pod gumkę majtek, dotykając jej krocza. Próbowła zacisnąć nogi, ale były zbyt mocno skrępowane. Zaczęła krzyczeć.

— Możesz wrzeszczeć, ile chcesz — stwierdził. — Nikt cię nie usłyszy.

Gdy próbował wepchnąć głębiej palec, dziewczyna w mimowolnym odruchu opróżniła pęcherz. Mężczyzna z obrzydzeniem cofnął rękę, wyprostował się i wyszedł z pokoju. Po pięciu minutach wrócił z metalową tacką, na której leżała strzykawka, trochę waty i butelka z bezbarwnym płynem. Położył tackę obok głowy dziewczyny i usiadł przy niej. Podciągnawszy szybko rękaw jej sukienki otworzył butelkę, zmoczył watkę płynem, potarł nią energicznie ramię dziewczyny i uniósł strzykawkę.

— Spójrz — wyszeptał nieprzyjemnym głosem. — To twoja przyjaciółka. Dzięki niej dobrze się poczujesz... Nawet bardzo dobrze. Pozbawi cię strachu i bólu głowy. W najbliższych dniach będzie cię często odwiedzała.

Dziewczyna wzdrygnęła się, gdy igła wniknęła w jej żyłę. Zaczęła znowu krzyczeć, a mężczyzna ponownie szyderczo się uśmiechnął. W ciągu kilku minut jej ciało i umysł ogarnęło uczucie przyjemnego ciepła. Zniknął ból głowy i strach. Głos mężczyzny docierał do niej jakby spod sufitu.

— Przyjdzie tu zaraz kobieta, żeby cię umyć. Przyniesie ci gorącą zupę. Później do ciebie wrócę... z twoją przyjaciółką.

\* \* \*

Biuro Jensa Jensena było również bardzo małe, pozbawione okien i wymagało odmalowania. Jako młody detektyw z wydziału osób zaginionych w kopenhaskiej policji nie zasługiwał na nic lepszego. Będąc niskim i dość pulchnym człowiekiem o rumianej twarzy, przypominał bardziej bankiera niż policjanta. Nosił tradycyjny szary garnitur, kremową koszulę z niebieskim krawatem i czarne buty ze skóry aligatora. Westchnął z irytacją, skończywszy czytać otrzymany rano raport policji z Marsylii. Potem ogarnęła go wściekłość. Zamknął skoroszyt, wstał i wyszedł na korytarz.

Gabinet nadinspektora Larsa Pedersena był przestronny, wyłożony dywanem, a z jego okien roztaczał się wspaniały widok na ogrody Tivoli. Nadinspektor — szczupły, szpakowaty mężczyzna o wyrazistych rysach — wyglądał jak najbardziej na policjanta. Gdy Jens Jensen wszedł nagle do jego pokoju, Pedersen podniósł wzrok i natychmiast zauważył wyraz twarzy swego podwładnego.

— O co chodzi tym razem? — zapytał.

Jensen położył przed nim bez słowa skoroszyt, po czym podszedł do okna i zaczął wpatrywać się w ogród.

Pedersen odbył niedawno kurs szybkiego czytania, dzięki czemu w ciągu zaledwie czterech minut zdołał zapoznać się z grubsza z treścią szczegółowego raportu.

— No i co? — zapytał, kiedy skończył.

Jensen odwrócił się do niego.

— To już czwarta dziewczyna w tym roku — stwierdził oschłym tonem. — Dwie zniknęły w Hiszpanii, jedna na francuskiej Riwierze i jedna w Rzymie. A mamy dopiero połowę maja. Zagięły też trzy Szwedki i dwie Norweżki... Wszystkie w krajach śródziemnomorskich. Żadnej nie odnaleziono. — W jego głosie brzmiał gniew. — Zawsze to samo: młode, samotne Skandynawki, które spędzały wakacje albo studiowały w tych krajach. — Wskazał na teczkę. — Hanne Andersen. Dziewiętnaście lat, bardzo atrakcyjna. Uczyła się francuskiego w prywatnej szkole w Marsylii. Ostatni raz widziano ją czwartego września o dziesiątej wieczorem, gdy wychodziła ze swego hoteliku i wsiadała do czarnego Renault. Za kierownicą siedział młody mężczyzna, wyglądający na Francuza — cokolwiek to znaczy. Tyle tylko wiemy.

Pedersen zamyślił się.

— I wszystkie były atrakcyjne albo piękne, także te Szwedki i Norweżki? — zapytał.

— Tak — potwierdził Jensen. — Widziałeś raport i zdjęcia. I czytałeś moje zalecenia.

Pedersen westchnął i odsunął od siebie teczkę, jakby pragnąc się jej pozbyć.

— Tak, tak. Chcesz utworzyć specjalną jednostkę. Twoim zdaniem istnieje zorganizowany gang, handlujący żywym towarem.

Jens Jensen miał trzydzieści pięć lat. Wskutek porywczego temperamentu i nieumiejętności okazywania bezgranicznego szacunku przełożonym nie zrobił kariery w policji, rekompensował to więc sobie zamiłowaniem do egzotycznych gatunków piwa i fascynacją dalekomorskimi promami.

— Moim zdaniem! — wybuchnął, nie mogąc opanować wściekłości. — Od czterech lat pracuję w wydziale osób zaginionych. Jestem w kontakcie z policją w Sztokholmie i Oslo. Wydaję pieniądze na pieprzone podróże do Paryża, Rzymu i Madrytu. — Coraz bardziej zdenerwowany stanął naprzeciw biurka nadinspektora. — To ja nieszczęsny muszę mówić rodzicom tych dziewczyn, jacy jesteśmy cholernie bezradni. — Uderzył dłonią w teczkę z raportem. — Dziś po południu przyjdą do mojego parszywego biura państwo Andersen, usiądą przy moim nędznym pięćdziesięcioletnim biurku i dowiedzą się, że ich córka zniknęła i jest już zapewne faszerowana narkotykami, a jakiś plugawy alfons handluje jej ciałem.

Pedersen znowu westchnął i rzekł spokojnie:

— Wiesz, Jens, na czym polega problem. Chodzi o pieniądze. W samej Kopenhadze zgłaszają nam co roku ponad czterysta zaginionych osób. Mamy ograniczone fundusze — i z roku na rok coraz mniejsze. Specjalna jednostka, którą chcesz utworzyć, kosztowałaby nas ponad dziesięć milionów koron rocznie. Komisja budżetowa się nie zgodzi. To nadmierny wydatek. Sprawa dotyczy tylko kilkunastu dziewcząt. . . Nie ma mowy.

Jens Jensen skierował się do drzwi, mówiąc przez ramię:

— A więc odeślę państwa Andersenów do komisji budżetowej. — W progu odwrócił się ponownie i spojrzał na szefa. — Może wyjaśnił tym facetom, co myślą o ich funduszach. . . i o Błękitnym Kartelu.

# 1

Był upalny wrześnieowy wieczór, gdy ojciec Manuel Zerafa podjechał swym starym, sfatygowanym Fordem pod stojący na wzgórzu dom na małej śródziemnomorskiej wyspie Gozo. Wiekowy budynek stanowił dawniej część farmy. Z góry roztaczał się wspaniały widok na okolicę, a także na maleńką wysepkę Comino i majestatyczną Malte. Pocąc się nieco ojciec Zerafa pociągnął za starą metalową rączkę dzwonka, umieszczoną w solidnym kamiennym murze. Po chwili otworzyły się drzwi i stanął w nich barczysty mężczyzna o krótko przystrzyżonych szpakowatych włosach i kwadratowej twarzy. Sprawiał wrażenie człowieka, który sporo przeżył. Na policzku, podbródku i z prawej strony czoła miał podłużne blizny. Był tylko w kąpielówkach. Jego potężne, muskularne i mocno opalone ciało również poznaczone było bliznami: jedna biegła od prawego kolana niemal do pachwiny, druga od prawego ramienia do pasa. Ojciec Zerafa dobrze znał tego człowieka. Wiedział, że ma szramy również na plecach i że brakuje mu kawałka małego palca u lewej ręki. Wiedział, skąd wzięły się niektóre z tych blizn. Przeżegnał się w myślach.

— Cześć, Creasy — powiedział. — Cholerny upał. Muszę się napić zimnego piwa.

Mężczyzna cofnął się i gestem zaprosił go do środka.

Usiedli pod bambusowym daszkiem, oplecionym winoroślami i mimozą. Przed sobą mieli basen z wyglądającą kusząco chłodną, błękitną wodą. Za nim rozciągała się przepiękna panorama. Ojciec Zerafa uznał, że choćby siedział tam i sto lat, nie zmęczyłby go nigdy ten widok.

Barczysty mężczyzna przyniósł dwie szklanki zimnego piwa i spojrzał pytająco na księdza. Byli starymi przyjaciółmi i ojciec Zerafa często wpadał do niego w upalne dni na piwo, tym razem jednak wizyta najwyraźniej nie miała kurtuazyjnego charakteru.

— Chodzi o Michaela — zaczął ksiądz.

— A co się stało?

Ojciec Zerafa wypił łyk piwa i rzekł:

— Wiem, że dziś jest czwartek i popłynął z Georgem Zammitem na Malte. O której wróci?



Creasy spojrział na zegarek.  
— Powinien był zdążyć na prom o siódmej, więc będzie tu za pół godziny.  
Dlaczego pytasz?  
— Chodzi o jego matkę.  
Creasy był wyraźnie zaskoczony.  
— Jego matkę?  
Ksiądz westchnął, po czym oznajmił stanowczo:  
— Tak, właśnie o nią. Jest w szpitalu św. Łukasza i umiera na raka. Zostało jej tylko kilka dni życia.  
— I co z tego?  
— Chce przed śmiercią zobaczyć Michaela — odparł ksiądz jeszcze bardziej zdecydowanym tonem.  
— Dlaczego?  
Ksiądz wzruszył ramionami.  
— Dzwonił do mnie ojciec Galea, który opiekuje się chorymi i umierającymi u św. Łukasza. Pytała go o syna. Chciała wiedzieć, czy jest nadal w sierocińcu. Powiedziała, że chce przed śmiercią zobaczyć jego twarz.  
— Nie przyjrzała mu się nawet, gdy wydała go na świat — stwierdził Creasy lodowatym tonem. — Porzuciła go... Wiesz, jak było. Sam mi opowiadałeś.  
— Owszem.  
— Więc powtórz to jeszcze raz.  
Ksiądz westchnął ciężko.  
— Powtórz mi to, ojcze!  
Ksiądz spojrział na niego i powiedział:  
— Pewnej nocy ktoś zadzwonił do sierocińca sióstr augustianek na Malcie. Jedna z sióstr otworzyła drzwi i znalazła na progu przykryty płótnem koszyk. Zauważyła odjeżdżający samochód, a w nim mężczyznę i kobietę... Była to zapewne matka Michaela i jej alfons.  
Milczeli obaj przez chwilę, patrząc w przestrzeń, po czym ksiądz dodał cicho:  
— Zrozum, Creasy. Muszę powiedzieć Michaelowi, że ona chce go widzieć. To mój obowiązek.  
— Masz zobowiązania tylko wobec Michaela — odparł szorstko Creasy. — Wychowywałeś chłopaka w sierocińcu, dopóki go nie zaadoptowałem. Nie znał matki, ale obaj wiemy, że myślał o niej z nienawiścią. Była dziwką, którą bardziej interesowały pieniądze niż własne potomstwo. Wiesz, że Michael przeszedł piekło. Po co rozdrapywać rany?  
Znów zapadła cisza. Ksiądz miał już pustą szklankę. Spojrzawszy na swego towarzysza rzekł:  
— Przynieś mi jeszcze piwa. Jak wrócisz, wszystko ci wyjaśnię.  
Mało kto ośmieliłby się odezwać do Creasy'ego takim tonem.

Przez dłuższą chwilę barczysty mężczyzna spoglądał na księdza, mrużąc ciemnoszare oczy, po czym wzruszył ramionami, wstał i poszedł do kuchni.

Mając przed sobą pełną szklanę piwa, ojciec Zerafa zaczął spokojnie mówić. Przypomniał Creasy'emu, jak przed dwoma laty siedzieli razem na schodach kościoła, oglądając mecz piłki nożnej między chłopcami z sierocińca i z miasteczka Sannat. Michael miał wtedy siedemnaście lat i był najzdolniejszym i najskuteczniejszym graczem na boisku. Ojciec Zerafa prowadził sierociniec i szkolił młodych piłkarzy. Creasy obserwował uważnie mecz i pytał o Michaela. Bardzo się nim interesował. Ksiądz wyjaśnił, że jego matka była prostytutką w Gzirze, maltańskiej dzielnicy rozpusty. Ojcem Michaela był jeden z jej klientów, zapewne Arab, po którym chłopak odziedziczył ciemną karnację. Dziecko zostało porzucone zaraz po urodzeniu i trafiło do sierocińca w Gozo. Dwie próby adopcji nie powiodły się. I nagle Creasy, zobaczywszy chłopca podczas meczu, zdecydował się go usynowić. Ojciec Zerafa był zdumiony, gdyż zaledwie kilka miesięcy wcześniej żona i czteroletnia córka Creasy'ego zginęły wskutek wybuchu bomby w samolocie PanAm nad Lockerbie.

\* \* \*

Creasy był niegdyś najemnikiem, podobno najlepszym w branży. Ksiądz wiedział, że adoptując Michaela chciał w cyniczny sposób przywiązać go do siebie i wyszkolić po swojemu. Aby to osiągnąć, musiał zawrzeć fikcyjne małżeństwo z podrzędną angielską aktorką, którą potem zabili terroryści. Creasy i Michael osobiście ją pomścili. Wtedy właśnie powstała między nimi najsilniejsza więź, jaka tylko może łączyć dwie ludzkie istoty.

Ksiądz przypomniał Creasy'emu to wszystko, nie pomijając własnego udziału w załatwieniu adopcji, choć wiedział, co się za nią kryło. Obserwował, jak Creasy zmienia Michaela w sprawną maszynę do zabijania. Czekał na nich, gdy udali się na Bliski Wschód, aby dokonać zemsty. Dostrzegął łączącą ich po powrocie na Gozo niezwykłą zażyłość.

— Michael jest już mężczyzną — stwierdził spokojnie ojciec Zerafa. — To twoja zasługa. Musi teraz podjąć decyzję. W dzieciństwie decydowałem za niego ja, a w młodości ty. Tym razem niech sam coś postanowi.

## 2

— Poznaję panią — powiedział Michael. — Siedziała pani zawsze na murze.

Kobieta uśmiechnęła się. Był to uśmiech mumii. Michael wiedział, że ma dopiero trzydzieści osiem lat, ale wyglądała na staruszkę. Po wielu tygodniach chemioterapii straciła wszystkie włosy. Pod zapadniętymi żółtymi policzkami widać było rozpiętą na kościach skórę. Rozpoznał jednak tę twarz, którą w dzieciństwie widywał niemal co tydzień. Była wtedy piękna, okolona długimi i lśniącymi czarnymi włosami. Z najmłodszych lat pamiętał twarz młodej kobiety, niemal dziewczyny. W miarę, jak dorastał, starzała się, ale wciąż pozostawała piękna. Teraz przypominała śmiertelną maskę.

— Siedziała pani na murze — powtórzył w zadumie. — W każdą niedzielę. Kiedy o jedenastej szliśmy do kościoła, widzieliśmy panią zawsze po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko sierocińca. Gdy po godzinie wracaliśmy, jeszcze pani tam była. Wyglądaliśmy często przez okno, zastanawiając się, kim pani jest. Dokładnie o wpół do pierwszej odchodziła pani zawsze w kierunku portu.

Kobieta znowu się uśmiechnęła.

— Tak, o pierwszej odpływał prom.

— Po co pani przychodziła?

— Żeby zobaczyć mojego syna. . . Patrzeć, jak rośnie.

— Czemu pani ze mną nie rozmawiała?

— Nie mogłam. Oddałam cię pod opiekę księżom i nie mogłam już odebrać.

— Dlaczego pani to zrobiła?

— Nie miałam wyboru. Żadnego.

Michael przysunął krzesło, aby być bliżej umierającej kobiety, i rzekł ostrym tonem:

— Proszę mi powiedzieć, dlaczego pani nie miała wyboru!

### 3

Przy grobie stały dwie prostytutki, stary przygarbiony ksiądz i Michael. Dwóch grabarzy w drelichowych spodenkach i brudnych białych podkoszulkach opuściło trumnę w głąb mogiły. prostytutki przeżegnały się, ksiądz odprawił modły, a Michael rzucił na trumnę grudkę ziemi. Potem wszyscy się rozeszli. prostytutki wróciły do Gziry, ksiądz do swojego kościoła, a Michael na Gozo.

\* \* \*

— Na mnie nie licz — oznajmił Creasy.

Siedzieli pod daszkiem z winorośli i mimozy, jedząc pikantną baraninę z curry. Creasy przyrządził ją przed dwoma dniami, zdążyła więc nabrać ostrego smaku właściwego tej specjalności hinduskiej kuchni. Na stole było także wiele innych potraw i, oczywiście, *papadamy*, smażone na oleju kruche krążki z chudego ciasta. Creasy był dumny ze swoich kulinarnych zdolności, a Michael z entuzjazmem z nich korzystał.

Schrupawszy *papadama* Michael włożył do ust kawałek banana, aby zneutralizować ostry smak curry, po czym rzekł:

— Myślałem, że działamy wspólnie.

— Twoja matka była dziwką — powiedział Creasy. — Przyjmij to do wiadomości. Porzuciła cię w dzień po urodzeniu. Kobieta, która tak postępuje, jest dla mnie nikim.

— Nie miała wyboru.

— Wszystkie tak mówią.

Michael wypił łyk zimnego piwa. Creasy nie budził w nim lęku, choć był najtwardszym facetem jakiego kiedykolwiek znał.

— Sam mnie uczyłeś, co znaczy zemsta — rzekł. — I co znaczy sprawiedliwość.

Creasy westchnął.

— No, dobrze, więc powiedziała ci, że zmuszano ją do prostytucji, zrobiono

z niej narkomankę i kazano oddać cię do sierocińca. To było dwadzieścia lat temu i nawet jeśli to prawda — w co wątpię — cóż możesz zrobić? prostytutki z reguły kłamią.

— Czy Blondie także? — zapytał cicho Michael, wpatrując się w talerz.

Creasy znowu westchnął i pokręcił głową.

— Nie, Blondie zawsze mówi prawdę. Jeśli ją zapytasz, powie ci, żebyś wybił sobie z głowy ten idiotyczny pomysł.

Michael skończył jeść curry i stwierdził jakby od niechcenia:

— Nawiasem mówiąc, mój ojciec był Arabem. To on zrobił z mojej matki narkomankę i prostytutkę.

— Ona ci to powiedziała?

— Tak, i dużo więcej. — Chłopak podniósł wzrok i spojrzał wyzywająco. — Przychodziła do mnie co tydzień. W każdą niedzielę. Siadała na murze naprzeciwko sierocińca i patrzyła, jak idę do kościoła, a potem wracam. — Michael nie potrafił ukryć wzruszenia. — Musiała bardzo cierpieć, nie mogąc ze mną porozmawiać.

— Była dziwką.

Głos Michaela stał się nagle ostry jak brzytwa.

— Blondie też była dziwką, a teraz prowadzi burdel. Ale jest twoją przyjaciółką i podziwiasz ją.

— Blondie to co innego.

Michael wstał, rozprostował się i zaczął zbierać talerze.

— Możliwe — stwierdził. — Ale jutro lecę do Brukseli, żeby z nią porozmawiać. Ma duże doświadczenie. Może coś wie i udzieli mi jakichś wskazówek.

— A może ci powie, żebyś nie był idiotą. Może zdoła ci wytłumaczyć, że są różne dziwki, a taka, która porzuca dziecko dzień po urodzeniu, nie zasługuje po dziewiętnastu latach na jego pamięć ani współczucie.

Michael rzucił mu wojownicze spojrzenie. Creasy zdał sobie nagle sprawę, że nie mówi do małego chłopca, lecz do dojrzałego nad wiek dziewiętnastolatka. Uświadomił sobie, że nie może mu pozwolić wyruszać samotnie na szaleńczą eskapadę. Przyszło mu także do głowy, że wykorzystywał przecież Michaela jako narzędzie zemsty, a w pewnym sensie sam go do tej roli przysposobił. W tym momencie powziął decyzję.

— W porządku, Michael — powiedział. — Skoro chcesz być idiotą i wypełnić ten rzekomy obowiązek, będę ci towarzyszył i trzymał cię za rękę.

Michael zareagował ze spokojem.

— Nie jesteś mi potrzebny — oznajmił. — Dobrze mnie wyszkoliłeś. Sam sobie poradzę.

Creasy wpatrywał się w chropowaty drewniany blat stołu. Przemówił tonem, który odzwierciedlał posępny wyraz jego twarzy.

— Posłuchaj, Michael. W pewnym sensie czuję się wobec ciebie winny. Byłeś pozbawiony dzieciństwa. Wyrwałem cię z sierocińca i wyszkoliłem na żołnierza. Miałeś wtedy siedemnaście lat. Powinieneś żyć jak każdy nastolatek, ale nie dało ci tej szansy. Teraz można by pomyśleć, że nie masz dziewiętnastu lat, tylko czterdzieści. Trudno, stało się... Nic na to nie poradzimy. Ale może chociaż pozwolisz, żebym pomógł ci zrealizować ten twój kretyński plan? Zresztą chętnie znowu zobaczę Blondie, Maxie i Nicole... No a tobie i Christine będę pewnie potrzebny jako przyzwoitka.

Michael uśmiechnął się do niego z sympatią.

— Jakoś nie wyobrażam sobie ciebie w roli przyzwoitki. Dobrze, Creasy, jedź ze mną... Ale pamiętaj, że to moja rozgrywka.

Creasy westchnął i skinął głową.

\* \* \*

Wylądowali na lotnisku w Brukseli o ósmej wieczorem. Mieli tylko podręczny bagaż i w ciągu piętnastu minut przeszli przez kontrolę celną. Michael wyglądał na zdecydowanie więcej niż dziewiętnaście lat. Miał sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, krótko przystrzyżone kruczoczarne włosy, pociągłą twarz i szczupłą sylwetkę. Ubrany był w czarne dżinsy, rozpiętą pod szyją kremową koszulę i czarną skórzaną kurtkę pilota. Creasy szedł obok niego. Stawiał dziwnie nogi, zawsze dotykając ziemi najpierw zewnętrzną częścią stopy. Wyglądał jak niedźwiedź. Miał krótko ścięte szpakowate włosy i pociętą bliznami twarz koloru jasnego mahoni. Był w ciemnoniebieskich spodniach, jasnej bawełnianej koszuli, czarnym swetrze z kaszmiru i tweedowej marynarce. Patrząc tylko na ubiór tego człowieka można by wnioskować, że jest dobrze urodzonym ziemianinem z Anglii lub Szkocji. Ale rzut oka na jego twarz rozwiałby podobne przypuszczenia. Wyrażała ona bezwzględność i wojownicze usposobienie.

Gdy dotarli do postoju taksówek, Creasy przystanął nagle i głośno jęknął. Odwróciwszy się, Michael zobaczył na jego twarzy grymas cierpienia. Zdarzyło się to nie po raz pierwszy. W ciągu ostatnich miesięcy Creasy miał już kilkakrotnie takie ataki ostrego, krótkotrwałego bólu. Zawsze je lekceważył, mruczając, że to tylko niestrawność.

— Dobrze się czujesz? — zapytał Michael.

— Jasne, jedziemy.

Wsiadli do taksówki i Michael powiedział do kierowcy:

— „Pappagal”, przy Rue d’Argens.

Taksówkarz odwrócił głowę ze zdziwieniem.

— Wie pan, co to za miejsce?

— Tak, luksusowy burdel.

Kierowca wrzucił pierwszy bieg i ruszył z miejsca, mówiąc przez ramię:

— Nie traci pan czasu.

Michael uśmiechnął się do Creasy'ego, a potem zaczął wyglądać przez okno, podziwiając widoki i wspominając swój poprzedni pobyt w Brukseli przed prawie dwoma laty, gdy pokonywał taksówką tę samą trasę. Był wtedy z Creasym i Leonie. Na myśl o niej poczuł bolesny skurcz w żołądku. Kochał ją jak matkę. Pamiętał, że płakał rzewnymi łzami, gdy została zamordowana. Pamiętał, jak w pensjonacie Guida w Neapolu Creasy rzucił mu chusteczkę i powiedział beznamyślnym głosem: „Otrzyj łzy. Jesteś już mężczyzną. Czas na zemstę”.

\* \* \*

Pół godziny później znaleźli się przed niepozornym budynkiem, usytuowanym w bocznej uliczce zaledwie kilka przecznic od siedziby Unii Europejskiej. Michael nacisnął guzik dzwonka. Usłyszawszy, jak ktoś odmyka wmontowany w drzwi wizjer, wiedzieli, że są obserwowani. Po kilku sekundach drzwi się otworzyły. Na progu stał Raoul. Był wysoki, kościsty, a jego ciemna twarz mogła przstraszyć nawet nie lada siłacza. Minął obu mężczyzn, wyjrzał ostrożnie na ulicę, po czym skinął głową. Creasy i Michael weszli szybko do wyściełanego pluszem i dywanami holu, postawili torby i przywitali się z nim.

— Jak długo zostaniecie? — zapytał Raoul.

— Parę dni — odparł Michael.

Raoul wziął ich torby.

— Blondie jest w barze — oznajmił. — Zabiorę wasze rzeczy na górę.

Przeszli korytarzem i znaleźli się w pomieszczeniu o luksusowym wystroju. Był tam puszysty brązowy dywan, kryształowe żyrandole, wyłożone aksamitem ściany, niewielki mahoniowy bar oraz głębokie skórzane sofy i fotele, które zajmowały cztery bardzo piękne i elegancko ubrane młode kobiety. Przy barze siedziała natomiast zupełnie inna osoba: starsza dama w sięgającej do kostek złotej sukni z brokatu. Miała czarne jak heban włosy, na twarzy grubą warstwę makijażu, a w miejscu ust czerwoną kreskę. Jej uszy, szyję, nadgarstki i wszystkie palce zdobiły biało-niebieskie diamenty. Była w trudnym do określenia wieku, ale Michael i Creasy wiedzieli, że skończyła siedemdziesiąt lat.

Na ich widok rozchyliła w uśmiechu czerwone usta, ześlizgując się z barowego stołka, jakby była osiemnastoletnią dziewczynką. Objęła czule najpierw Creasy'ego, a potem Michaela, który poczuł jej sztywny gorset. Trzymając chłopaka

na odległość ramion przyjrzała się jego twarzy, przesunęła mu dłoń po policzku i powiedziała po angielsku z wyraźnie włoskim akcentem:

— Wyładniałeś... Przedtem byłeś... po prostu przystojny.

Creasy chrząknął znacząco. Michael uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem, widząc zaciekawione spojrzenia czterech pięknych dziewcząt.

— Mały ruch w interesie — zauważył Creasy.

— Niewielki — odparła Blondie, przestając się uśmiechać. — Ale jest jeszcze wcześniej. Czego się napijecie?

Kiedy usiedli na barowych stołkach, Creasy znowu jęknął, przykładając lewą rękę do piersi. Blondie i Michael spojrzeli na siebie.

— Co się dzieje? — zapytała ostrym tonem staruszka.

Creasy pokręcił lekceważąco głową. Blondie popatrzyła na Michaela, który stwierdził, wzruszając ramionami:

— Ma te ataki od kilku tygodni... Twierdzi, że to nic takiego, ale zdarzają się coraz częściej.

Beztronski nastrój natychmiast prysł. Blondie spoważniała i zaczęła mówić coś szybko do Creasy'ego po francusku. Ten niechętnie skinął głową. Michael nie rozumiał, o co chodzi, ale widział na twarzy Blondie gniew i niepokój. Zwróciła się nagle do niego, mówiąc po angielsku:

— Temu głupcowi, który udaje twojego ojca, zdarzało się to już przedtem. Ma w sobie tyle odłamków metalu, że starczyłoby go na zaopatrzenie całej fabryki konserw. Czasem te odłamki się przesuwają.

Była w tym momencie równocześnie matką, kochanką, szefową i huraganem. Strzeliła palcami, by Raoul podał jej telefon. Wykręciwszy numer, zaczęła mówić pośpiesznie do słuchawki. Creasy próbował protestować, zmierzyła go jednak spojrzeniem, które mogłoby zabić dinozaura. Michael przyglądał się temu ze zdumieniem. Blondie odłożyła słuchawkę i powiedziała do niego:

— Za kilka minut będzie tu karetka. Masz dopilnować, żeby Creasy do niej wsiadł, zaopatrzyć go trzeba w piżamę i wszystko, czego może potrzebować w szpitalu. Zajmie się nim znakomity chirurg z prywatnej kliniki. Są tam dobre warunki... i ładne pielęgniarki. Chirurg wydobędzie kawałek szrapnela, który toruje sobie drogę do serca tego krety. — Ponownie obrzuciła Creasy'ego piorunującym spojrzeniem. — Nie pojmuję, jak człowiek o twojej inteligencji i wiedzy medycznej może postępować tak głupio i nie dbać o swoje zdrowie.

Creasy chrząknął nerwowo.

— Wiesz, że nie cierpię szpitali.

Blondie uśmiechnęła się.

— Już ci powiedziałam, że ten jest wyjątkowy i są tam urocze pielęgniarki. — Zwracając się znów do Michaela, dodała nie znoszącym sprzeciwu głosem: — Pojedź z nim i powiedz lekarzowi, żeby prześwietlił go od stóp do głów. Jeżeli znajdzie jakikolwiek odłamek, który należałoby wyjąć, niech zrobi to od razu.



Creasy znowu chrząknął i spojrzawszy na Blondie zapytał:  
— Jesteś pewna, że ten facet zna się na swojej robocie?  
— Podobno to jeden z najlepszych specjalistów w Europie — odparła Blondie, obdarzając go słodkim uśmiechem.  
— Musi cholernie się cenić — mruknął Creasy.  
Uśmiechnęła się znowu i pokręciła głową.  
— Pięć lat temu zmarła mu żona. Żeby ukoić żal dużo pracuje. Nie ma zamiaru ponownie się żenić, ale to mężczyzna z temperamentem. Przychodzi tu zwykle raz w tygodniu. Moje dziewczyny go ubóstwiają. — Wzruszyła ramionami jak typowa Włoszka. — On je także, na swój sposób... Ma na imię Bernard.

\* \* \*

Bernard Roche był dobrym chirurgiem. Służył dziesięć lat we francuskiej armii i odbył praktykę w Algierii podczas wojny o niepodległość. Od razu poznał Creasy'ego.

Spojrzawszy na niego usiadł prosto i rzekł: — Był pan w 1. pułku spadochroniarzy Legii. Nastawiałem panu złamaną rękę. Jakies dwa tygodnie później wysadziliście w powietrze koszary i odmaszerowaliście z Zeraldy, śpiewając piosenkę Edith Piaf „*Je ne regrette rien*”.

Creasy popatrzył na niego podejrzliwie i stwierdził:

— Musiał pan wtedy nosić jeszcze pieluchy.

Chirurg uśmiechnął się.

— Dopiero co z nich wyrosłem. Miałem dwadzieścia trzy lata. Pan był już sławny. Kiedy zakładałem panu gips, trzęsły mi się ręce. Pański przyjaciel — Włoch o imieniu Guido — powiedział wtedy, że jeżeli nie poskładam pana jak należy, zakopie mnie po szyję w piasku i wytresuje wielbłąda, żeby przez następnych tysiąc lat sikał mi codziennie na głowę.

— Ręka dobrze się zrosła — powiedział z uśmiechem Creasy. — Dokucza mi tylko dawna rana.

Chirurg wstał i rzekł do Michaela:

— Proszę pójść się czegoś napić i wrócić tu za godzinę.

\* \* \*

Michael wypił pół butelki czerwonego wina w niewielkim bistro naprzeciwko szpitala, który wyglądał jak duży prywatny dom. Kiedy tam wrócił, zobaczył zatroskaną twarz doktora.

— Niewiele brakowało — powiedział chirurg. — Nasz bohater mógł umrzeć w ciągu tygodnia. Dlaczego tacy twardziele jak on tak bardzo boją się szpitali i lekarzy?

Michael wzruszył ramionami.

— Zoperował go pan?

Bernard pokręcił głową.

— Nie, zrobię to za jakieś dwie godziny. Proszę tu spojrzeć.

Podeszli do ściany, na której wisały podświetlone zdjęcia rentgenowskie. Bernard wskazał pierwsze z nich. Była tam mała ciemna plamka.

— To odłamek granatu — wyjaśnił. — Pamiątka z bitwy pod Dien Bien Phu w Wietnamie, z początku lat pięćdziesiątych. Od trzydziestu lat toruje sobie drogę przez mięśnie w kierunku serca. Zauważyliśmy go w samą porę. — Wskazał plamę na kolejnym zdjęciu. — Tu jest odłamek pocisku... Zapewne z Kongo. Bardzo blisko śledziony... Też go wyciągnę. — Pokazał ciemne miejsce na następnej kliszy. — To stalowa szpilka, którą w Laosie jakiś włoski lekarz połączył jedną z kości ramienia z obojczykiem... Należało ją wyjąć po pół roku, ale najwyraźniej o tym zapomniano... Zrobię to teraz... Może trzeba będzie czymś ją zastąpić, ale okaże się to dopiero wtedy, gdy zobaczę, jak zrosły się kości.

Michael słuchał go uważnie.

— Może nie warto jej ruszać? — zapytał.

Bernard pokręcił głową.

— Będzie z tego powodu cierpiał później na artretyzm. Lepiej od razu ją usunąć.

Michael uśmiechnął się jakby do siebie, po czym rzekł:

— Słusznie. Proszę załatwić wszystko od razu. Jak długo będzie musiał zostać w szpitalu?

— Co najmniej dziesięć dni — odparł Bernard po chwili namysłu.

Michael skinął głową z zadowoleniem.

— To doskonale.

\* \* \*

— Nie rób nic, dopóki stąd nie wyjdę — powiedział Creasy stanowczym tonem.

Michael wzruszył ramionami.

— W porządku. Zdobędę tylko trochę informacji i nieco się rozejrzę. Skoro co najmniej przez dziesięć dni będziesz ze wszystkiego wyłączony, nie ma sensu, żebym siedział na tyłku i nic nie robił.

Creasy popatrzył na niego podejrzliwie.

— Odłóż na razie tę swoją sprawę. . . póki nie wyjdę ze szpitala. Zorientuj się lepiej, co gryzie Blondie.

— Blondie? — zapytał Michael ze zdziwieniem.

Creasy przytaknął.

— Tak. Coś ją gnębi. Znamy się od wielu lat i wyraźnie to wyczuwam. Przypuszczam, że nic mi nie powie. Lubi być niezależna. . . Ale coś jest nie w porządku. Powęsz trochę i spróbuj się czegoś dowiedzieć.

\* \* \*

Blondie uśmiechnęła się do Michaela znad kuchennego stołu i powiedziała:

— A więc Creasy przez kilka dni zostanie w szpitalu. . . Najwyższy czas. — Pochyliła się do przodu i zapytała konspiracyjnym szeptem: — Więc powiedz teraz, czego ode mnie potrzebujesz?

Michael wypił łyk wina i odparł:

— Chcę prosić panią o radę, a może i pomoc.

— Słucham.

Michael opowiedział jej całą historię. Znała ją z grubsza, bo sama brała udział w niektórych wydarzeniach, ale chłopak relacjonował szczegółowo wszystko od początku. Opowiadał, jak zaadoptował go Creasy i nieżyjąca już angielska aktorka Leonie, którą Blondie znała i lubiła. Mówił o zemście na terrorystach, którzy podłożyli bombę w samolocie PanAm i o nienawiści do matki, która porzuciła go zaledwie dzień po urodzeniu, a teraz, umierając na raka, przekazywała przez ojca Manuela Zerafę wiadomość, że chce przed śmiercią zobaczyć twarz syna. Przyszła, że postanowił ją odwiedzić i zrelacjonował swą wizytę u leżącej na szpitalnym łóżku wyłysiałej, wyniszczonej chorobą kobiety. Tej samej, którą w dzieciństwie widywał co niedzielę na murze naprzeciwko sierocińca. Wyjaśnił na koniec, dlaczego owa kobieta musiała porzucić go tuż po urodzeniu, powiedział, co za-

mierza zrobić i ponownie poprosił przyjaciółkę Creasy'ego o radę i ewentualną pomoc.

Blondie siedziała przez chwilę zamyślona ze spuszczoną głową, a potem podniosła wzrok i powiedziała cicho:

— Ludzie, których szukasz, którzy zmusili twoją matkę, żeby cię porzuciła, to największe szumowiny na świecie. Działają już od dawna. Dziesiątki lat. Są potężni i dobrze ustosunkowani. Mają polityczne i finansowe wpływy w wielu krajach.

— Zna pani tych ludzi?

— Słyszałam o nich. Próbowali kiedyś robić ze mną interesy, ale ja nie zadaje się z takimi mętami. Nie muszę. Dziewczyny pracują dla mnie, bo tego chcą. Opiekuję się nimi, pilnuję ich pieniędzy, a gdy przychodzi pora dbam o to, żeby kończąc karierę były w lepszej sytuacji niż na początku.

— Jak Nicole? — zapytał.

— Właśnie — przytaknęła z powagą Blondie. — Odwiedzisz, oczywiście, ją i Maxiego... A także jej młodszą siostrę — dodała z uśmiechem.

Michael również się uśmiechnął.

— Oczywiście. Pójdę do nich jutro wieczorem na kolację. Może zechce mi pani towarzyszyć?

Blondie pokręciła głową ze smutkiem.

— Nie mogę teraz opuszczać „Pappagal”.

— Ma pani jakieś kłopoty?

— Nic poważnego, ale muszę być na miejscu.

— Mogę w czymś pomóc?

Pokręciła głową i dotknęła dłonią policzka Michaela.

— Masz własne problemy. Ludzie, których szukasz, są niebezpieczni. Zabijają bez namysłu i zaciekle bronią swoich interesów.

— Kim oni są, Blondie?

— Ciągłe się zmieniają, ale pochodzą z tego samego obszaru. Działają w południowej Europie, na Bliskim Wschodzie i w północnej Afryce. Słyszałam o ich organizacji, ale nie jestem pewna, czy naprawdę istnieje.

— Co to za organizacja?

— Tak zwany Błękitny Kartel.

— Coś w rodzaju mafii?

Blondie pokręciła głową.

— Są jeszcze gorsi.

Michael zakręcił winem w kieliszku.

— Gdzie mam ich szukać?

Blondie zastanawiała się przez chwilę, po czym wstała i powiedziała:

— Zaczekaj.

Wróciła po pięciu minutach z białą wizytówką. Położyła ją na stole, mówiąc:

— Jakieś pół roku temu przyszedł tu pewien mężczyzna i zamówił jedną z moich dziewczyn. Wcale nie chciał z nią spać, tylko porozmawiać. Takie rzeczy się zdarzają, nawet gdy opłata wynosi trzysta dolarów. Niektórzy klienci chcą tylko opowiedzieć o swoich fantazjach albo o sobie. Ten człowiek — powiedziała, wskazując wizytówkę — zadawał pytania. Interesował go współczesny handel żywym towarem. Dziewczyna twierdziła, że był miły i sympatyczny. Podobno zbierał materiały do książki. Gdy skończyli, skierowała go do mnie. Gawędziliśmy w barze przez kilka godzin i zdążyliśmy się zaprzyjaźnić. Wspomniał w rozmowie o Błękitnym Kartelu. W końcu przyznał, że nie jest pisarzem. — Znow postukała palcem w wizytówkę. — Może ty i Creasy powinniście skontaktować się najpierw z tym człowiekiem.

Michael wziął do ręki wizytówkę i przeczytał:

Jens Jensen

Policja Kryminalna

(Wydział osób zaginionych)

Kopenhaga, Dania.

## 4

Tuż po północy obudziło Michaela delikatne pukanie do drzwi. Wygramolił się z łóżka i poszedł otworzyć. W progu stał Raoul, trzymając w ręku srebrną tacę z butelką brandy Hennessy Extra i dwoma kieliszkami.

— Pomyślałem, że moglibyśmy się napić — oznajmił. — Mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

Michael ziewnął i odparł z uśmiechem:

— Obudziłeś, ale napić się możemy.

Był zaskoczony, gdyż Raoul należał do ludzi małowównych, nie angażujących się w rozmowy, ani życie towarzyskie. Usiedli przy stoliku. Raoul napełnił kieliszki. Michael uważnie mu się przyglądał. Był mężczyzną po czterdziestce, obdarzonym przez naturę twarzą, która mogła budzić przerażenie u dzieci, staruszek i niesfornych klientów. Pracował dla Blondie od ponad dziesięciu lat. Pełnił funkcję barmana, wykidajły, złotej rączki i dyskretnej osoby do towarzystwa. Blondie była jedyną osobą, która coś dla niego w życiu znaczyła.

— Jak się miewa Creasy? — zapytał, zagajając rozmowę.

— Całkiem niezłe — odparł Michael. — Ten chirurg jest naprawdę dobry. Wydobył z niego kupę odłamków. — Michael uśmiechnął się, dodając: — Nafaszerował go też morfiną. . . Creasy leży teraz w łóżku szczęśliwy jak niemowlę i waży pewnie o kilo mniej.

— Jak długo zostanie w szpitalu? — zapytał Raoul.

Michael wzruszył ramionami.

— Zdaniem lekarza dziesięć dni. . . Ale jak znam Creasy'ego, ucieknie stamtąd, gdy tylko będzie mógł chodzić. . . Myślę, że to potrwa cztery do sześciu dni, Raoul skinął poważnie głową i powiedział:

— Więc pewnie trzeba będzie z tym zaczekać kilka tygodni, dopóki nie odzyska sił.

— Z czym?

— Nie wiesz?

— Czego?

Raoul wydawał się zaskoczony.

— Wezwała was tu Blondie, prawda?

Michael pokręcił głową.

— Wcale nie... Co się dzieje?

Raoul był zakłopotany. Potarł dłońmi policzki, westchnął ciężko i powiedział:

— Blondie ma kłopoty. Myślałem, że napisała list do Creasy'ego. Właściwie sam jej to proponowałem, ale najwyraźniej mnie nie posłuchała.

— Nic na ten temat nie wiem. Opowiedz mi o jej problemach.

Raoul zastanawiał się chwilę, po czym rzekł:

— Nie mamy w Belgii mafii, ale istnieje coś podobnego! Nazywamy tych ludzi *les hommes de la nuit*. Ostatnio jedna z przestępczych grup zdobyła dominującą pozycję. Nazywają ją, od nazwiska przywódcy, gangiem Lamonte'a. Zajmują się narkotykami, prostytutką, hazardem, ochroną lokali i wymuszaniem. Blondie nie ma nic wspólnego z żadnymi kryminalistami ani sutenerami. Wiesz, że dobrze traktuje swoje dziewczyny.

— Mów dalej — powiedział Michael, wyraźnie zainteresowany.

Raoul sposepniał.

— Ostatnio gang Lamonte'a próbował wymuszać haracz za ochronę od luksusowych burdeli. W Brukseli jest ich sporo. Świadczą usługi wielu urzędnikom Wspólnoty Europejskiej i biznesmenom, którzy potrzebują przychylności tych urzędników, więc często zapraszają ich do takich miejsc jak „Pappagal”. Prawie wszyscy właściciele burdeli przestraszyli się gróźb i płacą teraz haracz. Ale Blondie odmówiła.

— I co się stało?

— Ci faceci są bardzo sprytni — odparł Raoul, wzruszając ramionami. — Nie podkładają bomb ani nie podpalają lokali. Nic z tych rzeczy. Ludzie Lamonte'a czekają co noc na ulicy, grożą wychodzącym klientom, szantażują ich i — jak zwykli naganiacze — dają im wizytówki burdeli, nad którymi sprawują kontrolę.

— I co osiągnęli?

Raoul rozłożył ręce.

— Dochody spadły o połowę. Blondie brakuje pieniędzy nawet na bieżące rachunki. Płaci dziewczynom minimalne pensje z własnej kieszeni.

Michael zamyślił się i przez ponad minutę panowało milczenie. Wreszcie rzekł:

— Powinna była cię posłuchać i zawiadomić Creasy'ego.

Raoul skinął głową.

— Ale tego nie robi. Jest dumna. — Jego ciemna twarz nagle spokorniała i dodał innym już tonem: — Musisz zrozumieć, Michael, że nie chcę siedzieć bezczynnie. Blondie jest dla mnie jak matka, ale daleko mi do ciebie czy Creasy'ego. Pewnie, że wyglądam groźnie i mogę wzbudzać respekt. Noszę nawet broń — powiedział, dotykając marynarki pod pachą — ale bez amunicji. Taką mamy umowę z policją. Chodzi tylko o odstraszenie niesfornych klientów. — Znów wzruszył ramionami. — Nie pokonam Lamonte'a ani jego żołnierzy. Musimy więc poczekać,

aż Creasy wyjdzie ze szpitala. . . Mam nadzieję, że nie będzie za późno.

Michael pokręcił głową.

— Nie będziemy na nic czekać. Sam porozmawiam z Lamonte'em.

— Może nie powinieneś — mruknął Raoul, nieco zaskoczony.

Michael znów pokręcił głową.

— Zrobię to. . . Nie martw się, Raoul. Dam sobie radę.

Raoul spojrział w twarz i w lodowato zimne oczy chłopaka.

— Jeśli chcesz, będę cię ubezpieczał. . . Wezmę naładowaną broń. Pieprzę policję.

Michael uśmiechnął się, kręcąc głową.

— Byłbym zaszczycony, gdybyś mnie ubezpieczał, ale twoje miejsce jest tutaj, przy Blondie. Masz rację, załaduj magazynek i pieprz policję.

— Więc kto cię będzie osłaniał?

— Maxie MacDonald — odparł Michael, uśmiechając się jeszcze szerzej. — Jutro jem kolację w jego bistro. Zna miasto i na pewno wie wszystko o Lamencie.

Raoul również wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Tak, Maxiemu się to spodoba. Zbyt długo już próżnował. A Blondie o niczym się nie dowie?

— Właśnie. Może później, kiedy interes znowu się rozkręci, zaczniesz coś podejrzewać.

— Niech podejrzewa — powiedział wesoło Raoul.



## 5

Michael zjadł *moules marinières*, a potem *coq au vin* i wypił pół butelki domowego wina. Maxie — były najemnik o barczystej sylwetce — zadzwonił w tym czasie do kilku osób. Kiedy wyszli już prawie wszyscy goście, przyniósł starą, nie oznakowaną butelkę koniaku i dwa kieliszki. Wyjaśnił, że Jacques Lamonte to facet po czterdziestce, który siłą utorował sobie drogę na szczyty hierarchii belgijskiego półświatka. Postępuje w sposób zuchwały i bezwzględny. Jest homoseksualistą i właścicielem kilku nocnych klubów, które obsługują brukselskich gejów. Mieszka w luksusowej dzielnicy na przedmieściach. Jego wielki dom jest pilnie strzeżony, a on sam nie rusza się nigdzie bez uzbrojonej po zęby obstawy. Maxie radził Michaelowi zaczekać, aż Creasy wyjdzie ze szpitala i będzie w pełni sił.

Michael pokręcił głową i oznajmił:

— Wiesz, Maxie, ile Blondie dla niego znaczy. Kiedy się dowie, że ten alfons jej groził, wpadnie w szał i zabije go. To skomplikowałoby sytuację. Spróbuje więc tylko faceta postraszyć, a Creasy nie musi o niczym wiedzieć.

Maxie spojrział chłopakowi w oczy i powiedział:

— Moja szwagierka cię ubóstwia, Michael, ale czasem potrafisz człowieka wkurwić. Chcesz przysłużyć się Blondie, kiedy Creasy jest niedysponowany. Niezły z ciebie kowboj.

Michael chciał mu coś odparować, ale Maxie powstrzymał go ruchem ręki i dodał z uśmiechem:

— W porządku. Nie ma sprawy. Wszystko rozumiem. Chcesz działać samodzielnie i wyjść spod skrzydeł Creasy'ego. Jestem pewien, że sobie poradzisz.

— Oczywiście. Gdzie Lamonte bywa wieczorami?

— Niemal zawsze w którymś ze swoich klubów, zwykle w „Czarnym Kocie”, przy Rue Lafitte. Połuje tam na młodych mężczyzn.

Podeszła do nich Lucette i przysiadłszy się do stolika zapytała Michaela z uśmiechem:

— Pójdziemy gdzieś wieczorem?

— Tak, jeśli tylko twoja siostra pozwoli. Chcę się dzisiaj dobrze bawić, bo od jutra będę gejem.

Kilku klientów jak zwykle siedziało do późna. O jedenastej, widząc zniecierpliwienie w oczach siostry, Nicole powiedziała:

— Idź już. I nie zbudź nas, kiedy będziesz wracała.

Lucette uśmiechnęła się, mówiąc z przesadną układnością:

— Na pewno was nie obudzę.

\* \* \*

Weszli najpierw do małego baru za rogiem i usiedli w ciemnym kącie. Michael zamówił szampana. Pili go, trzymając się za ręce.

— Chcesz iść do dyskoteki? — zapytał.

Ścisnęła jego dłoń, kręcąc głową.

— Chciałabyś wrócić do domu?

— Nie.

— Więc dokąd pójdziemy?

— Do dużego, ciepłego łóżka. Chcę zostać tam przez całą noc, a rano zobaczyć, jak otwierasz oczy. Chcę widzieć w nich zadowolenie, bo w tym momencie będę ci sprawiała wielką przyjemność.

\* \* \*

Ogromne łóżko znajdowało się w luksusowym hoteliku na sąsiedniej ulicy, który zaspokajał potrzeby takich klientów jak oni. Kochali się przedtem tylko raz, mniej więcej przed rokiem, ale Michael pamiętał, jak bardzo była zmysłowa.

Gdy stanęła przy łóżku, zaczął powoli zdejmować z niej ubranie: najpierw jasnozielony moherowy sweter, potem białą bawełnianą bluzkę. Była bez stanika. Miała nieduże jędrne piersi, tworzące trójkąt z delikatnie zarysowanym podbródkiem. Rozpiął pasek czarnej wełnianej spódnicy, która opadła na dywan. Dziewczyna została tylko w obcisłych, białych majteczkach. Wziął ją na ręce i położył na łóżku.

Uśmiechnęła się do niego i zapytała cicho:

— Pamiętasz?

Skinął głową rozbierając się. Pamiętał wszystko. Pamiętał niemal każde słowo, które wypowiedziała tej nocy, gdy po raz pierwszy się kochali.

Początek był fatalny. Sądził, jak wielu młodych mężczyzn, że kobiecie sprawia

przyjemność samo spółkowanie, że im brutalniej i głębiej w nią wejdzie, tym lepiej. Po pięciu minutach odsunęła się od niego i szepnęła mu wesoło do ucha:

— Może nie jestem taka jak inne. Miałaś kiedyś dziewczynę z Belgii?

— Nie.

— Może z nami trzeba inaczej. Płynie w nas błękitna krew. Jesteśmy pobudliwe jak konie wyścigowe. Ale dajemy się okiełznać. — I zaczęła wyjaśniać mu szczegółowo, jak powinien to robić.

Zapamiętał tę lekcję. Teraz nie śpieszył się już, był bardzo delikatny i czuły. Kiedy skończyli, głowa dziewczyny spoczywała na jego łokciu, a ręka na torsie. Mruczając jak kotka powiedziała:

— Kocham cię za to, że pamiętałeś. Kocham cię, bo myślisz, że jesteś taki twardy, bezwzględny i brutalny... a w rzeczywistości nie przestałeś być małym chłopcem.

Michael wlepił wzrok w rozpostarty nad łóżkiem baldachim i zapytał:

— Naprawdę tak uważasz?

Dziewczyna położyła głowę na jego ramieniu i szepnęła mu wprost do ucha:

— Aha. Sądzisz, że ominęła cię młodość. Wszyscy tak uważają. Moja matka i Maxie mówią, że masz umysł czterdziestolatka... To nieprawda.

— Nie?

— Nie. Masz dziewiętnaście lat, ale dla mnie jesteś nawet młodszy. Nie ze względu na twój umysł ani ciało. Kiedy trzymam cię w ramionach... jesteś jak dziecko. — Objęła go mocno i przytuliła. Czekwała na jego reakcję, ale Michael milczał. Podniósłszy głowę, spojrzała mu w oczy. Mimo półmroku dostrzegła w nich bezbrzeżny smutek.

— Jesteś chyba jedyną osobą, która widzi we mnie chłopca. Czasami czuję się tak, jakbym miał tysiąc lat — mruknął, trochę z goryczą, trochę żartobliwie. Pocałowawszy ją, dodał: — Mądra z ciebie dziewczyna. Jestem chłopcem, ale muszę koniecznie stać się mężczyzną. Muszę się usamodzielić.

Zobaczył niepokój w jej oczach.

— I dlatego chcesz sam rozprawić się z Lamonte'em? — zapytała.

Skinął powoli głową.

— To nie wszystko. Wspominałem ci o Błękitnym Kartelu. Dobiore im się do skóry, zanim Creasy odzyska siły. A przynajmniej rozpocznę pościg.

Chciała mu powiedzieć, że powinien być ostrożny, roztropny i cierpliwy, pocałowała go jednak tylko, postanawiając milczeć. Przesunawszy ręką po jego ciele wyczuła bliznę, której wcześniej nie zauważyła.

— Co to? — zapytała.

— Ktoś mnie postrzelił.

— Zabiłeś go?

— Nie pamiętam.

— Maxie też tak zawsze mówi — powiedziała z uśmiechem i pochyliwszy się musnęła wargami bliznę. Potem pocałowała Michaela w usta i zapytała: — Naprawdę zostajesz od jutra gejem?

— Tak, ale tylko na jakiś czas.

Patrzyła na niego z góry. Jej blond włosy opadały mu na twarz.

— Wróć do mnie potem — mruknęła. — Zrobię porządek z twoimi genami.

## 6

„Czarny Kot” był lokalem mrocznym i niebezpiecznym. W wystroju oświetlonego dyskretnie wnętrza dominował chrom i czarna skóra. Na bramce stali dwaj wyglądający groźnie homoseksualiści. Michael zapłacił pięćdziesiąt franków za wstęp i podszedł do baru. Był ubrany w wytarte džinsy z nabijanym ćwiekami paskiem i oliwkową jedwabną koszulę, a w lewym uchu miał złoty kolczyk.

Zamówiwszy *creme de menthe frappe* rozejrzał się wokół. W lokalu znajdowało się około sześćdziesięciu mężczyzn w różnym wieku, od siedemnastu do pięćdziesięciu lat. Nie zauważył ani jednej kobiety. Stojący za kontuarem barman miał długie do ramion szkarłatne włosy.

Lamonte siedział z dwoma mężczyznami przy stoliku w rogu. Michael rozpoznał go na podstawie opisu Maxie’ego. Miał czterdzieści kilka lat, był przystojny i opalony. Nosił typowy garnitur biznesmena. Michael spojrzał mu w oczy, a potem odwrócił głowę i zaczął rozmawiać z barmanem o pogodzie. Kiedy zamówił po raz trzeci *creme de menthe frappe* i chciał zapłacić, barman nie przyjął od niego pieniędzy. Mrugnawszy okiem powiedział:

— To na rachunek szefa — i wskazał na stolik Lamonte’a.

Pięć minut później Lamonte usiadł na stołku obok Michaela i rzekł z rozbrajającym uśmiechem:

— Nie widziałem cię tu jeszcze.

— Pewnie dziś jest święto — odparł Michael.

Po godzinie wyszli z lokalu. Lamonte miał Mercedesa 600, zaopatrzonego w barek, telefon i miniaturowy telewizor. Zajęli miejsca z tyłu. Samochód prowadził jeden z ochroniarzy, drugi siedział w milczeniu obok niego. Lamonte otworzył niewielką lodówkę w barku, wyjął butelkę Veuve Cliquot, wyciągnął korek i napełnił dwa kieliszki. Wzniesli toast. Lamonte próbował wolną ręką dotknąć penisa Michaela.

— To trochę potrwa — stwierdził chłopak z uśmiechem. — Ale kiedy już stanie, to na dobre.

Lamonte wyszczerzył zęby w uśmiechu, pochylił się i pocałował go, wsuwając mu język głęboko w usta. Michael grał konsekwentnie swoją rolę.

W domu było jeszcze dwóch ochroniarzy: jeden przy głównej bramie i je-

den przy frontowych drzwiach. Ten ostatni wpuścił ich do środka. Poszli na górę wprost do sypialni, z kieliszkami szampana w rękach. Lamonte niósł poza tym opróżnioną do połowy butelkę.

Znalazłszy się w luksusowym pokoju z ogromnym łóżkiem pod jedwabnym baldachimem.

Michael powiedział:

— Najpierw pieniądze!

Lamonte wyjął portfel i odliczył pięćset franków. Michael wetknął banknoty do tylnej kieszeni dżinsów. Lamonte rozebrał się i podszedł do niego, chcąc otrzymać to, za co zapłacił. Przyciągnął głowę Michaela do swojej. Chłopak pocałował go, a potem wyprostowanymi palcami prawej ręki dźgnął pod zębra. Gdy Lamonte padał na puszysty dywan, Michael rąbnął go prawym kolaniem w twarz, łamiąc mu nos i wybijając cztery przednie zęby.

Lamonte ocknął się po pięciu minutach. Leżał nago na wielkim łóżku i czuł obezwładniający ból. Miał związane kciuki. Spojrzawszy Michaelowi w oczy dostrzegł jego lodowaty wzrok. Odniósł dziwne wrażenie, że chłopak patrzy na niego bez zainteresowania, jak na jakiś nieciekawy przedmiot. Gdy się odezwał, ton jego głosu brzmiał swobodnie, jakby prowadził rozmowę z wujem. Nie było w nim groźby, a jednak, zważywszy na okoliczności, budził przerażenie.

— Jesteś wierzący? — zapytał.

Lamonte jakby stracił mowę. Na jego twarzy malował się ból. Był oniemiały ze strachu.

— Jeżeli wierzysz w Boga — kontynuował Michael — powinieneś się teraz modlić. Pora okazać skruchę i zastanowić się nad swoim życiem.

Lamonte zaczerpnął głęboko powietrza, chcąc wezwać pomoc. Nie zdążył jednak krzyknąć. Chłopak uderzył go prawą ręką w twarz, wybijając mu trzy kolejne zęby. Kiedy ustąpił dotkliwy ból, Lamonte zobaczył znów zimne czarne oczy Michaela i usłyszał swobodny ton jego głosu.

— Możesz nie liczyć na swoich ochroniarzy. Byłbyś martwy, zanim zdążyliby tu wejść. Uważasz się za twardziela, ale nie masz pojęcia, co to naprawdę znaczy. Dopadłem cię z dziecinną łatwością. Daruję ci życie pod warunkiem, że nie zapomnisz o pewnej kobiecie. Nazywa się Blondie. Groziłeś jej. Napędziłem ci strachu, ale uwierz mi, że masz też dużo szczęścia. Pewien przyjaciel Blondie posłałby cię do piekła w koszu z lodem, który nigdy nie topnieje. Ja będę bardziej wspaniałomyślny. Kiedy wyjdiesz ze szpitala, masz pójść na Rue d'Argens i przeprosić Blondie. W przeciwnym razie znów cię odwiedzę i nie będę już taki wielkoduszny.

Powiedziawszy to, przyłożył Belgowi jedną rękę do ust, a drugą uderzył go z całej siły w lewe przedramię, łamiąc mu kość.

## 7

Dziesięć dni później w „Pappagal” rozległ się delikatny dzwonek u drzwi. Raoul wyszedł z baru i dotarłszy do końca korytarza, wyjrzał przez wizjer na zewnątrz. Rozpoznał stojącego za progiem człowieka w zawieszanej na ramionach marynarce i z ręką w gipsie. Gdy otworzył drzwi, mężczyzna powiedział cichym, zduszonym głosem:

— Chciałbym mówić z *madame* Blondie.

— Proszę zaczekać.

Na dworze lekko mżyło. Mężczyzna stał za drzwiami, coraz bardziej moknąc.

Raoul wrócił do baru i powiedział do Blondie:

— Przyszedł Lamonte. Chce z panią mówić.

Jej twarz stężała z gniewu.

— Nie chcę z nim rozmawiać! Ani teraz, ani kiedykolwiek!

Raoul oznajmił z uśmiechem:

— Nie musi pani się wcale odzywać. Myślę, że to on ma coś do powiedzenia.

## 8

Jens Jensen był dobrym policjantem. Miał nieomylny instynkt. Umiął zawsze wywęszyć, co się święci. Wiedział, kiedy jest śledzony. Czuł wtedy mrowienie w karku. Przeszedłszy przez park, usiadł na ławce w promieniach słońca i wyjął z torby drugie śniadanie. Zaledwie ugryzł pierwszy kęs kanapki z salami, przysiadł się do niego śniady i ciemnowłosy młody mężczyzna.

— Czego pan chce? — zapytał Jens.

— Chcę porozmawiać o Błękitnym Kartelu.



## 9

Wprowadzając Michaela do swego mieszkania w kopenhaskiej dzielnicy Vesterbro, Jens Jensen powiedział przeproszającym tonem:

— Trochę tu ciasno. W duńskiej policji nie zarabia się zbyt dużo.

Mieszkanie było niewielkie, bardzo ciepłe i przytulne. Panowała w nim domowa atmosfera. Michael przywitał się z Birgitte, żoną Jensena — młodą, szczupłą i atrakcyjną kobietą. Potem z powagą uściśnił rękę Lisie, ich sześciolatniej córce.

Mieszkanie było ciasne, ale za to kolacja bardzo obfita. Zaczęli od wędzonego łososia na grzankach z sadzonym jajkiem, szparagami i rzeżuchą. Potem przeszli do głównego dania: szynki w galarecie z jarzynami i pieczonymi ziemniakami. Na deser Birgitte przyrządziła smakowity mus z sherry, orzechami i czekoladą. Michael prawie nic nie jadł od wyjazdu z Brukseli, teraz więc pochłaniał dosłownie kolację, prawie się nie odzywając i słuchając tylko typowej rodzinnej rozmowy przy stole. Jens skarżył się na swojego szefa, Birgitte, która pracowała w szkole, na swoich uczniów, a Lisa na nauczycieli. Wszyscy byli jednak w pogodnych nastrojach i Michael uznał, że są zgraną, szczęśliwą rodziną.

Po kolacji, gdy Lisa poszła do łóżka, a Birgitte sprzątnęła ze stołu i zniknęła w kuchni, Michael i Jens powrócili do rozmowy o Błękitnym Kartelu. Jens był przekonany, że działalność organizacji koncentruje się w trzech głównych ośrodkach: w Marsylii, Mediolanie i Neapolu. Słyszał, że mają w niej duże wpływy Arabowie i dlatego uważał, że centrala może znajdować się w Marsylii.

— A więc zacznę od tego miejsca — stwierdził Michael. — Wyjeżdżam jutro. Masz tam jakieś kontakty?

Jens skinął głową.

— Tak, znam odpowiedniego człowieka. To policjant. Nazywa się Serge Correlli... Jest półkrwi Arabem.

— Tak jak ja — powiedział Michael z lekkim uśmiechem. Widząc zdziwienie Jensa, opowiedział mu szczegółowo o swojej przeszłości i pobycie w sierocińcu. Birgitte wróciła tymczasem z kuchni i usiadła przy stole. Dla obojga małżonków była to fascynująca opowieść. Michael czuł się w ich towarzystwie dziwnie odprężony. Opowiedział im, jak Creasy go adoptował i jak razem zemścili się na terrorystach. Na koniec wspomniał o spotkaniu z matką tuż przed jej śmiercią.

Kiedy skończył, zapanowało milczenie. Po chwili Birgitte położyła rękę na jego dłoni i powiedziała cicho:

— Wiem, co czujesz.

Jens pokiwał głową.

— Rozumiem, dlaczego ich szukasz. Ale minęło dużo czasu i mogą to być już inni ludzie.

— To bez znaczenia — odparł chłodno Michael. — Są ulepieni z tej samej gliny. Postępują równie haniebnie.

Gdy Birgitte poszła do kuchni zrobić kawę, Jens powiedział spokojnie:

— To bezwzględni i niebezpieczni ludzie. Nie mają żadnych skrupułów. — Rozłożył ręce, jakby się usprawiedliwiał, po czym mówił dalej: — Jesteś młody i niedoświadczony. Czy ten Creasy, o którym wspominałeś, nie mógłby ci pomóc?

— Oczywiście, ale teraz leży w szpitalu. Ma szwy w trzech miejscach i wyjdzie najwcześniej za tydzień. Zrobię na razie rekonesans, a on potem do mnie dołączy.

— Mam nadzieję — stwierdził Jens. — Sam nie poradzisz sobie z całym gangiem.

Michael nagle spochmurniał. Siedząc przy stole naprzeciwko Jensa, spojrzał na niego chłodnym wzrokiem i zapytał:

— Szkolili cię w policji w używaniu krótkiej broni, w walce wręcz, i tak dalej?

— Oczywiście. Byłem w tym całkiem dobry, i nadal jestem. — Dotknąwszy dość wydatnego brzucha dodał z uśmiechem: — Choć nie mam takiej kondycji jak powinienem.

Birgitte niosła właśnie tacę z kuchni i stanęła jak wryta, omal nie wylewając kawy, gdy usłyszała słowa Michaela:

— Nie martw się, Jens, o moje umiejętności. Gdybym chciał, zabiłbym cię w ciągu trzech sekund. Choćby nawet przy tym stole siedziało trzech dobrze wyszkolonych ludzi, w dziesięć sekund bym się z nimi rozprawił.

— Masz pistolet? — zapytał cicho Jens.

— Nie.

— A nóż?

— Też nie.

— Żadnej broni?

Michael bez słowa podniósł ręce. Zapadło milczenie. Po chwili Jens zapytał:

— Zabiłeś już kogoś?

— Nie pamiętam — odparł Michael, po czym uśmiechnął się, rozładowując napięcie.

Birgitte postawiła tacę na stole i nalawszy kawę poszła ze swoją filiżanką z powrotem do kuchni, mówiąc przez ramię:

— Zostawię was samych. Mam do poprawienia klasówki.

Gdy zamknęła za sobą drzwi, Jens powiedział do Michaela:

— Chciałbym pojechać z tobą. Mam już dość beczynnego siedzenia w biurze i czytania raportów. Oglądam sterty zdjęć. . . Czasem te twarze śnią mi się potem po nocach. Aż nazbyt często muszę rozmawiać z rodzicami zaginionych dziewcząt. To najgorszy obowiązek. Pytają mnie, co mają robić, a ja nie potrafię im odpowiedzieć. Wolałbym już raczej zawiadamiać ich o śmierci córki. Z tym by się w końcu pogodzili. Cholernie żałuję, że nie mogę z tobą jechać.

— Dlaczego nie? — zapytał Michael.

W uśmiechu Jensa nie było wesołości.

— Wolne żarty. To wcale nie jest zabawne. Mamy absurdalnie mały budżet. Ciągłe brakuje pieniędzy.

— Mogę za wszystko zapłacić — stwierdził Michael. — Dostałbyś bezpłatny urlop na miesiąc albo dwa?

Jens usiadł prosto. Był wyraźnie zaskoczony. Po chwili namysłu powiedział:

— Może by mi się udało. To nie takie proste, ale kto wie. . .

— Nie zaszkodzi spróbować — rzekł Michael, po czym wskazał ręką w kierunku kuchni. — A co na to Birgitte?

Jens z uśmiechem pokręcił głową.

— Nie ma problemu. Ona uważa tak samo jak ja. Podziela moje rozgoryczenie. Poza tym — dodał, wskazując drzwi dziecinnej sypialni — za dziesięć, jedenaście lat nasza córka będzie chciała pojechać na wakacje nad Morze Śródziemne. Myślimy z przerażeniem, że pewnego dnia ktoś z mojego wydziału zapuka do drzwi i powie nam, że zaginęła. Coś takiego zawsze może się zdarzyć, ale spałbym spokojniej, wiedząc, że próbowałem temu zaradzić.

Michael wypił łyk kawy i powiedział z namysłem:

— Twoje kontakty i wiedza bardzo się przydadzą. A ja spróbuję zapewnić ci bezpieczeństwo.

Jens roześmiał się.

— Mam dwa razy więcej lat od ciebie, a i tak uważam, że jestem jeszcze młody. I ty chcesz zapewnić mi bezpieczeństwo? Jeżeli dostanę urlop, będę musiał najpierw zdecydować, czy zabrać ze sobą broń, czy całą torbę pieluch.

Michael także się roześmiał, ale zaraz potem oznajmił obojętnym tonem:

— Mówię serio, Jens. Masz żonę i dziecko. Chcę, żebyś nawiązał tylko kontakty i służył mi swoim doświadczeniem. Gdy przyjdzie czas na brudną robotę, Creasy i ja się tym zajmiemy.

— Zobaczmy — stwierdził wymijająco Jens. — To na razie teoretyczne rozważania. Kiedy rano pójde do szefa, prawdopodobnie wykopie mnie z gabinetu.

— Pozwolisz, żeby to zrobił? Wyglądasz na twardziela.

Jens znów się uśmiechnął.

— Masz rację. Ale ten sukinsyn jest moim chlebodawcą.

## 10

Blondie krzątała się po komfortowym pokoju, poprawiając zastony i wiszącą na ścianie reprodukcję obrazu Maneta, przestawiając po raz trzeci w wazonie przyniesione róże i zachowując się ogólnie jak kura, która właśnie zniosła jajko. Creasy obserwował ją wyraźnie rozbawiony.

— Więc co kombinuje Michael? — zapytał.

Spowaźniała nagle i odparła po namyśle: — Nie pozwolił mi nic mówić. Chce wyrwać się wreszcie spod twoich skrzydeł i robić swoje.

— Co on wymyślił? — mruknął gniewnie Creasy.

Blondie usiadła w nogach łóżka, ścisnęła jego lewą kostkę i oświadczyła:

— Powiem ci, chociaż Michael będzie na mnie wściekły.

Zrelacjonowała mu najpierw sprawę Lamonte'a. Creasy z namysłem pokiwał głową.

— Może i dobrze się stało — stwierdził. — Ja pewnie zabiłbym drania. Z biegiem lat mam coraz mniej cierpliwości. A co Michael robi teraz?

— To właśnie mnie niepokoi — przyznała Blondie. — Tak łatwo poradził sobie z Lamonte'em, że mógł się za bardzo rozzuchwalić. Ciągłe zapominamy, że ma dopiero dziewiętnaście lat. Przez to wszystko, czego doświadczył w dzieciństwie i przebywając z tobą, wydaje się o wiele starszy. Jest zbyt pewny siebie. Chce się przed tobą popisać.

— Gdzie teraz jest?

— Wyjechał wczoraj. Nie powiedział, dokąd się wybiera. Obiecał, że zadzwoni za parę dni, żeby cię zawiadomić, jak sobie radzi.

Creasy westchnął.

— Tak, oczywiście. Myśli, że utknąłem na dziesięć dni w szpitalu. — Wskazał na metalową szafkę w kącie. — Tam są moje rzeczy. Daj mi je.

Blondie zaczęła protestować, ale spojrzawszy mu w oczy zrezygnowała z dyskusji. Creasy uśmiechnął się do niej, mówiąc: — Chcą zatrzymać mnie tutaj tylko po to, żeby za kilka dni zdjąć mi szwy. Twój chirurg dobrze się spisał, ale szwy mogę wyjąć sobie sam. Jak myślisz, dokąd Michael pojechał?

— Do Kopenhagi — rzuciła przez ramię, idąc do szafki po rzeczy.

# 11

Lars Pedersen był na swój sposób dobrym policjantem. Brakowało mu jednak wyobraźni. Zawsze trzymał się sztywno zasad. W policji wiadano, że jest kompetentny, doświadczony i pracowity, ale podejmując decyzje musiał znać wszystkie fakty.

Przyjrzał się uważnie siedzącemu po drugiej stronie biurka roslemu mężczyźnie o krótko przystrzyżonych szpakowatych włosach, sowich powiekach i mocno opalonej twarzy z bliznami na policzku, czole i podbródku.

Pokręcił powoli głową i oznajmił:

— Przykro mi, panie Creasy. Nie mogę udzielać żadnych informacji na temat moich pracowników. Musiałbym otrzymać oficjalny nakaz z Interpolu, a wątpię, by go pan uzyskał.

Jego rozmówca miał lekko amerykański akcent.

— Z pańskim człowiekiem jest najprawdopodobniej mój syn — stwierdził. — To chyba wystarczający powód?

Pedersen znów pokręcił głową.

— Jens Jensen dostał wczoraj dwumiesięczny urlop. Szczerze mówiąc nie wiem, gdzie może być. Zgodziłem się go urlopować, ponieważ żył ostatnio w ciągłym napięciu. Nie była to łatwa decyzja. Musiałem prosić o zgodę komisarza. A Jensen to jeden z moich najlepszych ludzi. Potrzebował już odpoczynku.

— Jest żonaty?

— Tak.

— Może mi pan dać jego adres i telefon?

Pedersen znowu pokręcił głową.

— Niestety, to wbrew przepisom.

Na ustach Amerykanina pojawił się przelotny uśmiech.

— Zakładam, że udzieli mi pan wszelkiej pomocy, jeżeli poleci to panu komisarz?

— Naturalnie — odparł chłodno Duńczyk. — Ale nie sądzę, żeby wydał takie polecenie.

Amerykanin wstał i, zerknąwszy na zegarek, powiedział:

— Wrócę za pół godziny.

\* \* \*

Senator James S. Grainger z Waszyngtonu zbudził się nagle, gdy zadzwonił telefon. Spojrzał na zegarek, zaklął pod nosem i podniósł słuchawkę warknął: — Grainger! — Po chwili usiadł wyprostowany na łóżku, słuchając uważnie. Człowiek dzwoniący zza Atlantyku wyrażał się zwięźle, a odpowiedź senatora była równie lakoniczna. Zanotowawszy pośpiesznie na kartce kilka nazwisk i numerów powiedział:

— W porządku, Creasy, nie ma problemu. Zadzwoń zaraz do Bennetta z FBI. Skontaktuje się z kim trzeba i załatwi sprawę. Potrzebujesz czegoś jeszcze?... Dobra. Uściskaj ode mnie Michaela i daj mi znać, jak będzie po wszystkim.

Grainger odłożył słuchawkę, usiadł wygodniej na łóżku i podsunął sobie pod plecy poduszki. Ten telefon sprawił mu radość. Dzwonił mieszkający daleko przyjaciel, który kiedyś pojawił się niespodziewanie w jego życiu i pozwolił mu zaspokoić żądzę odwetu, człowiek, którego darzył głębokim szacunkiem. Rozmawiali krótko, właściwie tylko monosylabami, ale jego głos sprawił, że Grainger przestał czuć się samotny. Przypomniał sobie chwile spędzone z Creasym, którego spotkał pewnego wieczoru przy barze w swoim klubie i który powiedział mu, że mogliby razem zemścić się na zabójcach bliskich im osób. Dotrzymał obietnicy. Grainger wiedział wszystko o Michaelu i jego wyczynach. Postanowił spełnić natychmiast prośbę Creasy'ego. Znalazł w notesie odpowiedni numer i zadzwonił do dyrektora FBI.

\* \* \*

Gdy Creasy wszedł ponownie do gabinetu Larsa Pedersena, ten powitał go z szacunkiem i poczęstował nawet kawą. Czterdzieści minut później Amerykanin pił już drugą filiżankę kawy, rozmawiając z Birgitte Jensen w jej mieszkaniu.

— Są w Marsylii — oznajmiła. — Polecili tam wczoraj rano przez Paryż.

— Wie pani, gdzie mieli się zatrzymać?

— Nie — odparła, z z troskaniem kręcąc głową. — Jens obiecał, że zadzwoni za cztery albo pięć dni. Mówił, że nie będzie go przez miesiąc. — Po chwili dodała z wahaniem: — Michael wspominał coś o panu, panie Creasy. Wiem, po co tam polecili. Czy bardzo ryzykują?

— Nie sądzę — stwierdził wymijająco, wruszając ramionami. — Ale wolałbym być z nimi. Czy pani mąż ma jakieś kontakty w Marsylii?

— Tak.. Na pewno zna kogoś z wydziału osób zaginionych.

- Wie pani, kto to jest?
- Nie, ale muszą to wiedzieć w centrali tutejszej policji.
- Może mnie pani połączyć z Larsem Pedersenem?

Birgitte Jensen uśmiechnęła się na myśl, że ma telefonować do szefa swojego męża. Minutę później Creasy rozmawiał z Pedersenem, a po upływie dwóch minut miał już informację, której potrzebował. Zwracając się do Birgitte oznajmił:

- Znajomym pani męża jest inspektor Serge Corelli.
- Zadzwoń pan do niego?

Creasy zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie. Lepiej zaczekam, aż będę na miejscu. Dotrę do Marsylii jutro rano. Natychmiast do pani zatelefonuję i powiem, w którym jestem hotelu. Kiedy Jens zadzwoni, proszę mu powiedzieć, żeby Michael jak najszybciej się ze mną skontaktował i nic nie robił, dopóki z nim nie porozmawiam. Gdyby Jens odezwał się dziś wieczorem, proszę zapisać jego adres i numer telefonu.

Creasy podszedł do drzwi. Gdy je otworzył, Birgitte stwierdziła:

- Cieszę się, że pan tam leci. Będę spokojniejsza.

Creasy odwrócił głowę. Po raz pierwszy na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Proszę się nie martwić — powiedział. — Pani mężowi nic się nie stanie.

Zamknął za sobą drzwi i zaczął schodzić do windy. Nagle przystanął i oparł się o ścianę. Poczul przenikliwy ból. Od operacji minęły dopiero trzy dni. Wyjęto mu z ciała odłamki, ale ból pozostał. Wciągnął głęboko powietrze i postanowił zwalczyć swoją słabość. Organizm musi się podporządkować jego woli. Zawsze tak było. Nawet wtedy, gdy krwawił. Pomyślał znów o kobiecie, z którą przed chwilą rozmawiał. Wychodząc starał się ją pocieszyć, ale w głębi duszy podejrzewał, że jej mężowi może grozić poważne niebezpieczeństwo. Dobrze znał Marsylię. Przed wielu laty wstąpił tam do francuskiej Legii Cudzoziemskiej i na jego korzyść przemawiało teraz jedynie to, że miał w mieście dobre kontakty. Gdy wcisnął guzik, aby ściągnąć windę, zaświtała mu nagle pewna myśl. Przecież Michael będzie potrzebował broni! Lecieli do Marsylii przez Paryż, a właśnie tam mógł ją zdobyć.

Creasy zawrócił i ponownie zapukał do mieszkania Birgitte. Gdy otworzyła drzwi, powiedział:

- Przepraszam za kłopot, ale czy mógłbym zadzwonić jeszcze do Paryża?
- Oczywiście — odparła.

Znała dobrze francuski, ale słowa Creasy'ego brzmiały dziwnie. Uzyskawszy połączenie powiedział tylko:

— Poznajesz mój głos?... W porządku. Widziałeś ostatnio mojego syna? Sprzedałeś mu coś?

Birgitte nie słyszała już odpowiedzi jego rozmówcy, który oznajmił:

- Tak, dwie ciche zabawki. Źle zrobiłem?
- Nie. Czy mój syn zostawił adres?

— Nie. Zadzwoił wcześniej i spotkaliśmy się na lotnisku. Był z nim jakiś facet. Chyba poleciełi dalej.

— Dzięki. Co słyhać u twojego ojca?

— Starzeje się i jest coraz bardziej marudny.

— Pozdrów go ode mnie — powiedział Creasy z uśmiechem i, odłożywszy słuchawkę, zwrócił się do Birgitte: — Jak tylko odnajdę pani męża, powiem mu, żeby do pani zadzwonił. Proszę się nie martwić.



## 12

Po sześciu dniach Hanne Andersen była już całkowicie uzależniona od heroiny. Philippe nie pojawił się więcej. Następnym razem „przyjaciółkę” przyniósł jej na tacy inny mężczyzna: wysoki, bardzo przystojny blondyn po czterdziestce. Przez sześć dni był czarujący, uprzejmy i troskliwy. Powiedział, że ma na imię Carlo. Od razu uwolnił ją z więzów, dzięki czemu mogła poruszać się swobodnie po swoim pokoju bez okien. Dostała też od niego nowy czerwony dres, pantofle i trzy pary białych majtek. Mówił po angielsku z włoskim akcentem. Poza nim dziewczyna widywała tylko starszą kobietę, która przynosiła jej jedzenie i zabierała ją na korytarz do łazienki. Wolno jej tam było chodzić tylko tuż po zastrzyku, gdy była zupełnie spokojna.

Szóstego dnia zastrzyki przerwano. Wiedziała, że Carlo przynosi jej heroinę co sześć godzin, właśnie wtedy, gdy zaczynała potrzebować kolejnej dawki. Początkowo głód narkotyku nie był zbyt silny, ale z czasem odczuwała go coraz bardziej.

Dziewczyna miała srebrny zegarek marki Georg Jensen, który dostała w prezencie od rodziców na osiemnaste urodziny. Szóstego dnia co chwilę spoglądała na niego. Minuty wlokły się w nieskończoność. Po dziewięciu godzinach leżała roztrzęsiona na łóżku. Zerwała się raptownie, kiedy usłyszała, że ktoś przekręca klucz w zamku. Weszła starsza kobieta, niosąc na tacy miskę zupy i spaghetti.

— Gdzie jest Carlo? — zapytała Hanne drżącym głosem.

Kobieta przeszła w milczeniu przez pokój, położyła tacę na stoliku obok łóżka i skierowała się z powrotem do drzwi.

— Gdzie jest Carlo? — powiedziała ponownie Hanne, a potem powtórzyła pytanie jeszcze głośniejszym głosem.

Kobieta wyszła bez słowa i zatrzasnęła za sobą metalowe drzwi. Hanne usłyszała zgrzyt klucza w zamku i odgłos zamykanej zasuwki. Usiadła na łóżku i sięgnęła po łyżkę. Drżała jej ręka i próbując jeść rozlewała zupę. Nie czuła w ogóle smaku. Wrzuciła łyżkę z powrotem do miski. Przez kilka minut siedziała roztrzęsiona na łóżku, wlepiając wzrok w ścianę, a potem położyła się naznak i przykryta kocem spędziła bezsenność.

\* \* \*

Carlo zjawił się następnego dnia o siódmej rano, niosąc metalową tacę ze strzykawką. Dziewczyna siedziała skulona w kącie, obejmując rękami podkurczone nogi. Oczy miała na wpół przymknięte. Carlo uśmiechnął się do niej.

— Gdzie byłeś? — zapytała tonem skargi, z wysiłkiem wstając z podłogi. Nie patrzyła na niego, tylko na to, co trzymał w rękach. Carlo z uśmiechem pokazał jej tacę, jakby był to prezent dla małego dziecka.

— Oto twoja przyjaciółka — oznajmił.

Hanne przeszła przez pokój, podciągając rękaw bluzy od dresu. Carlo położył tacę na stoliku obok łóżka. Gdy jednak dziewczyna podeszła bliżej, powstrzymał ją ruchem ręki.

— Zaczekaj. Najpierw musisz coś zrobić.

— Co?

— Pocałuj mnie — powiedział z rozbrajającym uśmiechem.

— Słucham? — odparła zaskoczona.

Carlo uśmiechnął się ponownie, rozkładając ręce.

— Pocałuj mnie. Czy to takie trudne? Czy jestem aż tak odrażający?

Dziewczyna cofnęła się przerażona. Kręciła głową, jakby ktoś uderzył ją w twarz i mamrotała:

— Nie, nie. . .

Carlo wzruszył ramionami, wziął tacę i ruszył w kierunku drzwi.

— Nie! — krzyknęła Hanne. — Nie odchódź! Daj mi ją, błagam!

Carlo odwrócił się, trzymając rękę na klamce i rzekł:

— Dostaniesz, czego chcesz, jeśli mnie pocałujesz.

Dziewczyna znów pokręciła głową jakby zupełnie oszołomiona i powiedziała:

— Nie. . . Ale muszę ją mieć. . . Natychmiast. . . Fatalnie się czuję.

Carlo otworzył raptownie drzwi i wyszedł, rzucając przez ramię:

— Wróć za godzinę. Zastanów się.

Godzinę później pocałowała go. Przycisnął ją mocno do siebie i wsunął jej język głęboko w usta. Nic nie czuła. Myślała tylko o tacy ze strzykawką, stojącej na stoliku obok łóżka.

Kiedy wyszedł, położyła się. Czuła, jak ogarnia ją ciepło, jak znika ucisk w żołądku i napięcie kończyn. Carlo wrócił z tacą po ośmiu godzinach. Spoglądała już wtedy na swój srebrny zegarek co kilka minut. Dwie ostatnie godziny wydawały jej się wiecznością. Teraz, aby dostać zastrzyk, musiała Carla pocałować i pozwolić mu głaskać przez dres swoje piersi i pośladki. Za trzecim razem pieścił już pod ubraniem całe jej ciało. Za czwartym razem zjawił się w samym szlafroku i oznajmił, że dostanie zastrzyk, jeżeli mu się odda. Kiedy odmówiła, zabrał tacę

i wyszedł. Dziewczyna waliła pięściami w metalowe drzwi, obrzucając go przekleństwami w swym ojczystym języku. Gdy wrócił po dwóch godzinach, oddała mu się. Leżąc nago na plecach zupełnie nic nie czuła. Nie mogła oderwać wzroku od tacy stojącej metr od jej głowy.

\* \* \*

I tak to trwało. W ciągu tygodnia dziewczyna godziła się na upodlenie, jakiego dotąd nie byłaby sobie w stanie nawet wyobrazić. Po kilku dniach Carlo przyszedł w towarzystwie wysokiego, szczupłego mężczyzny o śniadej cerze i czarnych wąsach. Wykorzystywali ją, najpierw pojedynczo, a potem razem. Chwilami czuła ból. Po dwóch godzinach śniady mężczyzna ubrał się i wyszedł. Carlo zrobił dziewczynie zastrzyk i leżąc nago na łóżku z papierosem w ustach przyglądał się, jak narkotyk uśmierza jej ból i upokorzenie.

— Jutro stąd wyjeżdżasz — oznajmił swobodnym tonem.

— Dokąd? — zapytała obojętnie.

— To bez znaczenia — odparł. — Do innego miasta. W pięknym kraju — dodał z uśmiechem..

Gdy informacja ta dotarła do jej otępiatego umysłu, zapytała z niepokojem:

— Pojedziesz ze mną?

Carlo zaprzeczył ruchem głowy.

— Wykonałem już swoje zadanie.

Dziewczynę ogarnął lęk.

— A co będzie z tym? — zapytała, wskazując na strzykawkę.

— Nie martw się — odparł z uśmiechem. — Ktoś o ciebie zadba.

Próbowała zebrać myśli.

— Czy najpierw będę musiała robić to, co mi każą?

— Tak — odparł z nonszalancją. — Ale z czasem się przyzwyczaisz.

Odwróciła głowę, wiedząc, że uczyniono z niej niewolnicę.

## 13

Nad portem rybackim zachodziło słońce. Jens Jensen siedział na balkonie, obserwując z przyjemnością przepływające łodzie. Uwielbiał morze i statki. Marzył o posiadaniu własnego domu albo mieszkania z widokiem na port w którymś z miasteczek w pobliżu Kopenhagi.

Minęło czterdzieści osiem godzin, odkąd poznał Michaela. Podziwiał jego opanowanie i pewność siebie. Jens przez całe życie był policjantem. Miał duże doświadczenie. Pracował w wydziale kryminalnym, w obyczajówce i w narkotykach. Michael był od niego dwa razy młodszy, a jednak, odkąd wsiedli w Kopenhadze do samolotu, przejął dowodzenie. Zaskoczył go po raz pierwszy na lotnisku de Gaulle'a w Paryżu, gdzie czekali dwie godziny na lot do Marsylii. Oznajmił, że nie będą siedzieli w poczekalni, tylko wyjdą do głównego holu. Weszli do kawiarni, zajęli miejsca przy stoliku w kącie i zamówili cappuccino.

Po pięciu minutach obok Michaela usiadł szczupły brunet w średnim wieku. Nie przywitali się. Mężczyzna przekazał Michaelowi mały neser i zapytał:

— Jak ojciec?

— W porządku — odparł Michael. — A pański?

— Starzeje się i jest coraz bardziej marudny.

— Proszę go ode mnie pozdrowić — powiedział Michael z uśmiechem.

Mężczyzna skinął głową, mówiąc cicho: — Dziewięć, zero, dziewięć. — Po czym się oddalił.

— Co to za facet? — zapytał Jens.

— Ma przydomek Korkociąg Dwa — odparł poważnie Michael i roześmiał się, widząc zdumione spojrzenie Jensa. — Kilka lat temu przejął rodzinny interes od ojca, którego nazywano Korkociągiem.

— Czym się zajmuje?

Po chwili namysłu Michael wyjaśnił półgłosem: — Działa w Brukseli, która była kiedyś ośrodkiem rekrutacji najemników. Nasi ojcowie znają się od lat. Korkociąg zawdzięcza swój przydomek temu, że potrafił dotrzeć do dowolnego miejsca na świecie, a potem się stamtąd wydostać. Umiał zdobyć niemal wszystko, od broni po informacje. Przekazał swą wiedzę i umiejętności synowi, który w ten oczywisty sposób został Korkociągiem Dwa. To właśnie on załatwił nam

schronienie i sprzęt, którego potrzebowaliśmy przed paru laty podczas operacji w Syrii.

Jens był wyraźnie zaintrygowany.

— Co jest w środku? — zapytał, stukając palcami w leżący na stole neseser.

— Klucze do pewnego mieszkania w starej rybackiej dzielnicy Marsylii — wyjaśnił Michael. — I dokładny plan miasta.

— To wszystko?

Michael pokręcił głową.

— Nie. Jest tam jeszcze pistolet, który strzela ampułkami z bardzo skutecznym środkiem usypiającym, dwa noże sprężynowe, dwa pistolety z tłumikami i mnóstwo zapasowych magazynków z amunicją.

Jens wpatrywał się cały czas w mały czarny neseser, ale w tym momencie przeniósł wzrok na Michaela i syknął:

— Zwariowałeś? Masz zamiar przejść z tym przez punkt kontroli bagażu? Nie wiesz, że wszystko tam sprawdzają?

Michael skinął głową. — Włożę neseser do torby — oświadczył. — Kiedy ją prześwietlą, nie zobaczą na ekranie żadnego z przedmiotów. Noże sprężynowe będą przypominały dwa flamastry. Tak samo wyglądają zresztą nawet wtedy, gdy weźmie się je do ręki. Pistolety i amunicja są w specjalnych wyłożonych ołowiem pojemnikach, ładując podobnych do kaset wideo. Gdyby nawet sprawdzano cały bagaż, celnik musiałby być wyjątkowo sprytny, żeby odgadnąć, co się w nim naprawdę znajduje. Możemy zaryzykować. W neseserze są też zresztą różne niewinnie wyglądające papiery.

Jens słuchał tego z podziwem, ale nadal był zdenerwowany.

— Załatwiłeś to wszystko telefonicznie z hotelu w Kopenhadze? — zapytał.

— Oczywiście — przytaknął Michael. — Zadzwoiłem do starego przyjaciela. Nie musiałem się przedstawiać. Odbyliśmy krótką rozmowę, porozumiewając się szyfrem. Nie wiem, jakiej marki broń nam dostarczył, ale jest na pewno najlepszej jakości: kalibru 9 mm i nie do wykrycia. Zauważyłeś na pewno, że był w rękawiczkach. Nie zostawił odcisków palców na neseserze ani na tym, co jest w środku.

Duńczyka uspokoiły te słowa. Gdy dotarli na lotnisko Marignane w Marsylii, utwierdził się jeszcze w przekonaniu, że Michael ma rację. Odebrawszy bagażę przeszli przez kontrolę celną i wypili w kafejce kolejną kawę. Michael wyjął z torby neseser i otworzył go, nastawiając szyfr zamka na dziewięć-zero-dziewięć. Jens zajrzał do środka i zobaczył przedmioty, o których wcześniej była mowa: trzy kasety wideo, dwa duże flamastry, gruby plan Marsylii, breloczek z dwoma kluczami i kilka stron dokumentów.

Michael wyjął plan miasta, rozłożył go i, wskazawszy na zakreślone atramentem kółko w pobliżu starego portu rybackiego, powiedział:

— To nasza baza. Ruszamy.

Dotarli taksówką do nowoczesnego centrum, potem przeszli z bagażami ponad pół kilometra i znów podjechali kawałek, wysiadając kilkaset metrów od celu podróży. Resztę drogi pokonali pieszo, przystając kilkakrotnie, jak turyści, przed wystawami sklepów.

Jens, jako doświadczony policjant, podziwiał profesjonalizm Michaela, zwłaszcza gdy doszli w końcu do mieszkania, znajdującego się na najwyższym piętrze starego, ale dobrze utrzymanego trzykondygnacyjnego budynku. Michael zatrzymał się przed drzwiami i wyjąwszy z bocznej kieszeni torby dwie pary cienkich bawełnianych rękawiczek podał jedną Jensowi mówiąc:

— W środku musimy je cały czas nosić.

W mieszkaniu były dwie sypialnie, łazienka, niewielka kuchnia i salon połączony z jadalnią. Skromne umeblowanie zaspokajało podstawowe potrzeby. Jens rozsunął zasłony i zobaczywszy balkon, a w dole rybacki port, natychmiast poczuł się jak w domu. Za kilka lat miał nadzieję zamieszkać w Danii w podobnym miejscu. Michael podszedł od razu do telefonu, odkręcił podstawę aparatu i zajrzał do środka. Złożywszy go z powrotem, zaczął myszkujeć po mieszkaniu, sprawdzając przełączniki i gniazdko.

— Jesteś bardzo ostrożny — zauważył Jens.

— Wpajano mi to przez wiele miesięcy — stwierdził Michael. — Nie spodziewam się tu niczego znaleźć, ale nigdy nie wiadomo. Co chcesz na śniadanie?

— Na śniadanie?

— Tak. Za rogiem jest niewielki supermarket. Zrobię zapasy na kilka dni, a twoje stare kości niech trochę odpoczną.

Jens wyszczerzył zęby w uśmiechu i klepiąc się po brzuchu oznajmił: — Idę z tobą. Nakupię wszystkich tych tuczących rzeczy, których Birgitte nie pozwala mi jeść w domu.

— Dobrze, ale najpierw zadzwoń do swojego znajomego i umów się z nim na jutro rano — powiedział Michael, wskazując ręką telefon. — Myślisz, że będziemy mogli przejrzeć jego kartotekę?

— Chyba tak. Spotykaliśmy się kilka razy na seminariach i jesteśmy zaprzyjaźnieni.

— Chcesz go we wszystko wtajemniczyć?

— Nie. Nie będzie miał o to pretensji. Powiem mu, że dorabiam sobie na bezpłatnym urlopie, prowadząc prywatne śledztwo na zlecenie rodziny osoby zaginionej. Obiecuję, że wkrótce dowie się, o co chodzi. A my tymczasem stąd znikniemy.

Michael pokiwał głową z aprobatą.

\* \* \*

Jens zjadł na śniadanie wędzonego łososia, grzanekę, pół camamberta, wędzoną szynkę, salami i dużą puszkę sałatki owocowej. Michael wypił filiżankę herbaty i zjadł kawałek tosta.

O dziewiątej przyjął ich w gabinecie inspektor Corelli — wysoki, szpakowaty mężczyzna z haczykowatym nosem. Miał na sobie elegancki szary garnitur, jasnoniebieską koszulę i brązowy krawat. Potraktował ich nader życzliwie. Jens przedstawił Michaela jako swego nowego współpracownika i wyjaśnił krótko, że prowadzą śledztwo na zlecenie pewnej bogatej rodziny. Corelli ze zrozumieniem pokiwał głową, nie widząc w tym nic niezwykłego. Znalazł dla nich wolne pomieszczenie, wezwał asystenta i polecił dostarczyć im wszelką potrzebną dokumentację i kawę, gdy tylko o nią poproszą.

Jens przywiózł ze sobą swą najnowszą zabawkę: mały przenośny komputer firmy Sanyo. W ciągu następnych czterech godzin przejrzeni wspólnie stertę akt, zapisując na dyskietce wszystkie istotne informacje. Na koniec podziękowali inspektorowi za pomoc, a Jens obiecał, że zadzwoni za kilka dni i zaprosi go na obiad lub kolację. „Do przyzwoitego lokalu”, dodał z uśmiechem. Potem znaleźli o kilka przecznic dalej dobrą restaurację ze stolikami ustawionymi w takiej odległości od siebie, że mogli swobodnie porozmawiać. Michael chciał zamówić *bouillabaisse*, ale Jens, który był już kiedyś w Marsylii, poradził mu spróbować owego słynnego dania w równie słynnej restauracji na przedmieściach. Jedli więc obaj steki, dyskutując na temat zdobytych tego ranka informacji.

W trakcie rozmowy Jens poznał jeszcze lepiej swego młodego kolegę. Okazał się on nie tylko inteligentnym profesjonalistą, obeznanym ze sztuką walki i taktyką, ale również człowiekiem całkowicie pozbawionym skrupułów. Jego plan był prosty. Jak wynikało z akt inspektora, prostytutką i narkotykami zajmował się w Marsylii na największą skalę niejaki Yves Boutin. Działał w „dzielnicy rozpusty” między operą a starym portem. Był powiązany z włoską mafią i hiszpańskim podziemiem, a podobno także ze światem przestępczym w północnej Afryce. Kilka razy trafiał do aresztu, ale nigdy go nie skazano. Miał duże wpływy wśród miejscowych polityków, policjantów, a nawet w Paryżu.

Jens zapisał w komputerze listę barów i burdeli, które ten człowiek kontrolował, a także adres jego willi nad morzem i luksusowego mieszkania w mieście. Boutin był żonaty i miał dwoje dzieci: czternastoletniego syna i jedenastoletnią córkę. Współpracowali z nim dwaj młodszy bracia. Georges zajmował się narkotykami, a Claude prostytutką. Yves był oficjalnie szefem firmy budowlanej, która otrzymywała zaskakująco dużo zamówień od władz miasta. Jens wyjaśnił, że Marsylia to jedno z najbardziej skorumpowanych miast we Francji, a może

i w całej Europie. W komisariacie obejrzeni wiele zdjęć Boutina, zarówno tych z kartoteki, jak i robionych z ukrycia. Widniał na nich krępy, blisko sześćdziesięcioletni mężczyzna, zupełnie łysy, ale z brązowymi wąsami. Oglądali też podobne fotografie jego braci, najbliższych współpracowników i wielu mniej znaczących członków gangu. Znaleźli w aktach pewien interesujący szczegół. Boutin był szczególnie przywiązany do swej młodej kochanki, atrakcyjnej blondynki o nazwisku Denise Defors. Od pięciu lat wynajmował dla niej mieszkanie w Marsylii i w ciągu tygodnia spędzali tam razem większość nocy. Zarządzała oficjalnie jego największym nocnym klubem, „Różową Panterą”. Pracowało w nim około czterdziestu luksusowych hostess i striptiserek, a na górze mieścił się ekskluzywny burdel.

Jens i Michael podyskutowali przy obiedzie o Boutinie i jego ludziach, a potem, gdy Duńczyk pałaszował z apetytem ogromną porcję bezowego deseru, przekonał się, jak bezwzględny potrafi być jego młodszy kolega.

— Uprowadzę jedno z jego dzieci albo kochankę — oznajmił Michael.

Jens podniósł wzrok znad talerza i wymamrotał z pełnymi ustami:

— Co takiego?

— To oczywiste. *Monsieur* Boutin musi z nami poważnie porozmawiać. Ma na pewno silną obstawę, bo od wielu miesięcy toczy się wojna między gangami. Nie będę mógł tak po prostu do niego podejść i pogadać o interesach. Ale jeśli dostanę w swoje ręce kogoś, na kim mu zależy, z pewnością zgodzi się na rozmowę. Pytanie tylko: dziecko czy kochankę?

— Mówisz o porwaniu?

— Oczywiście.

— Ależ to przestępstwo!

— Żartujesz! — odparł z uśmiechem Michael. — Nie wiedziałem.

Jens odłożył łyżkę i spojrzawszy na niego powiedział: — Posłuchaj, Michael. Jestem policjantem, na litość boską! Nie mogę porywać ludzi, nawet jeśli chodzi o dziecko czy kochankę gangstera.

— Nie musisz tego robić — odparł Michael. — Zostaniesz w mieszkaniu, będziesz siedział na balkonie, popijał dobre wino i podziwiał panoramę.

Zapanowało milczenie. Słowa Michaela najwyraźniej wyprowadziły Duńczyka z równowagi. Odsunął nawet od siebie nie dokończoną porcję deseru.

— Masz jakiś lepszy pomysł? — zapytał Michael.

— Nie. Ale myślałem, że najpierw trochę powęszymy i rozpoznamy teren.

Michael skinął głową. — Oczywiście. Zaczniemy już dziś wieczorem. Na początek odwiedzimy „Różową Panterę”. Tymczasem dobrze byłoby ustalić, do której szkoły Boutin posyła dzieci i zdobyć jak najwięcej innych informacji. Może twój przyjaciel Corelli będzie coś wiedział. Dziś wieczorem sprawdzimy też, o której Denise Defors wychodzi z klubu i jak wraca do domu. Jens, nie widzę innego rozwiązania. Gdybym uprowadził któregoś z braci albo współpracowników



Boutina, mógłby się tym nie przejąć. To człowiek pozbawiony skrupułów.

— Nie on jeden — mruknął Jens.

Michael puścił te słowa mimo uszu. Był myślami w niewielkim szpitalu w Brukseli. Miał w głowie zamęt. Czuł się jak nieopierzone pisklę, które wypadło z gniazda i chociaż macha skrzydłami, spada szybko na ziemię. A przecież był twardy jak skała. Wyszkolony do perfekcji. Spojrzał na Duńczyka i dostrzegł w jego oczach szacunek. Jutro, pomyślał, zadzwonię do Blondie i przekażę jej informacje dla Creasy'ego. Kiedy wyjdzie ze szpitala, przyjedzie tutaj i pozwoli mi działać, ale będzie w pobliżu, tak na wszelki wypadek. . . Tak, jutro zadzwonię.

\* \* \*

Tuż po trzeciej inspektor Corelli odebrał telefon. Wysłuchawszy Jensa powiedział: chwilczkę, wystukał coś na klawiaturze komputera, spojrzął na ekran i oznajmił:

— Jego dzieci chodzą do prywatnej szkoły z internatem w Szwajcarii, pod Genewą. Nazywa się Ecole St Jean. Jest, oczywiście, bardzo ekskluzywna i droga. Potrzebujesz czegoś jeszcze?

— Nie, bardzo dziękuję — odparł Jens. — Zadzwonię za kilka dni. — Odłożywszy słuchawkę, zwrócił się do Michaela: — Dzieci chodzą do ekskluzywnej szkoły w Szwajcarii. Przymuszczałnie wracają do domu na weekendy. Jeśli chcesz, mogę to sprawdzić.

Michael pokręcił głową.

— Nie, jest dopiero wtorek. Nie możemy czekać tak długo. Musimy porwać jego kochankę. Sprawdzimy ją dziś wieczorem. . . A może byłoby lepiej, gdybym sam to załatwił?

— Nie — stwierdził stanowczo Jens. — Wszystko przemyślałem. Idę z tobą. Dziś jeszcze nic się nie zdarzy. Zabieramy broń? — zapytał, wskazując stół w jadalni, na którym leżały obok siebie dwie oksydowane *Beretty* kalibru 9 mm.

— Nie — odparł Michael. — W klubie są bramkarze. Na pewno często rewidują przy wejściu klientów.

— W Kopenhadze tego nie robią.

— Nie jesteśmy w Kopenhadze — stwierdził z uśmiechem Michael.

Tymczasem inspektor Corelli, przekazawszy Jensowi informacje, przez dłuższą chwilę siedział zamyślony przy telefonie. Potem podniósł znowu słuchawkę, wystukał numer i odbył z kimś trzyminutową rozmowę, podając na koniec szczegółowe rysopisy Jensa i Michaela.

## 14

Biuro, w którym znalazł się Creasy po przyjeździe do Marsylii, było typowe dla małej, prężnie działającej firmy. W sekretariacie siedziała przy komputerze atrakcyjna kobieta w średnim wieku. Naprzeciwko niej stał stolik do kawy i trzy wygodne skórzane fotele. Na ścianach wisiały olejne obrazy z widokami morza. Minęło sześć lat, odkąd Creasy był po raz ostatni w tym biurze. Kiedy wszedł, sekretarka rzuciła tylko na niego okiem, nie przerywając pracy, ale zaraz potem zerwała się z miejsca i wyjąkała bezgranicznie zdumiona:

— Myślałam, że pan nie żyje. . .

— W pewnym sensie zmartwychwstałem — stwierdził Creasy. — Czy szef jest u siebie? — dodał, wskazując drzwi gabinetu.

— Tak — odparła sekretarka, zdążywszy już ochłonać. — Ale ma klienta. Zawiadomię go, że pan przyszedł — powiedziała, sięgając po słuchawkę telefonu.

— Nie trzeba, zaczekam. Mógłbym dostać kawę?

Sekretarka wstała i podeszła szybkim krokiem do stojącej w kącie maszynki. Spróbowałszy kawy Creasy podniósł wzrok i powiedział z uznaniem:

— Cóż za pamięć! Nie było mnie tu przez sześć lat, a pani nie zapomniała, że piję kawę bez mleka i cukru.

Podziękowała mu uśmiechem za komplement, myśląc równocześnie, że takiego człowieka trudno nie zapamiętać. Zastanawiała się, jak zareaguje szef, kiedy go zobaczy.

Nastąpiło to dwie minuty później. Z gabinetu wyszedł czarny jak noc Murzyn w dobrze skrojonym garniturze, a za nim Leclerc, który powiedział:

— W czwartek dostanie pan faks, ale proszę mi wierzyć, że ceny nie ulegną już zmianie i konieczna jest akredytywa.

W tym momencie Leclerc zauważył Creasy'ego. Przystanął na chwilę, ale wyraz jego twarzy nie zmienił się. Zawsze był dobrym pokerzystą.

Odprowadziwszy Murzyna do drzwi, Leclerc odwrócił się. Creasy wstał z fotela i obaj mężczyźni patrzyli na siebie w milczeniu.

Byli mniej więcej w tym samym wieku. Leclerc — wysoki, rumiany, nieco otyły mężczyzna — miał na sobie ciemnoniebieski garnitur w delikatne prążki i wyglądał jak bankier. W istocie był kiedyś najemnikiem, który pewnego dnia

uznał, że o wiele korzystniej jest sprzedawać broń niż samemu jej używać. I dużo bezpieczniej. Stał się wkrótce jednym z najlepiej prosperujących handlarzy bronią w Europie. Przed sześciu laty, gdy Creasy chciał rozprawić się z mafią sycylijską, dokonywał u niego zakupów. Nie byli i nie mogli być przyjaciółmi, ale szanowali się nawzajem.

Leclerc wskazał na otwarte drzwi swego gabinetu i Creasy wszedł do środka, niosąc filiżankę kawy. W luksusowym pokoju wisiały na ścianach duże fotografie różnego rodzaju uzbrojenia, od czołgów i wozów pancernych po pistolety maszynowe. Leclerc zajął miejsce za szerokim mahoniowym biurkiem, a Creasy usiadł naprzeciw niego.

— Słyszałem pogłoski, że żyjesz, że nie umarłeś w tym szpitalu w Neapolu — oznajmił Francuz. — Podobno twoja śmierć została upozorowana. Nie wierzyłem w to, ale kilka lat temu znowu doszły mnie słuchy, że widziano cię w Ameryce i na Bliskim Wschodzie. Ponoć też pracowali z tobą Maxie MacDonalds i Frank Miller. Twoi starzy przyjaciele — zauważył z uśmiechem. — Zacząłem więc dawać wiarę plotkom.

— Tak, upozorowałem swoją śmierć — przyznał Creasy. — Było to wtedy najlepsze rozwiązanie. Ścigała mnie połowa włoskiej mafii.

— Nic dziwnego — stwierdził Leclerc, uśmiechając się jeszcze szerzej. — Załatwiłeś jedną z ich najznakomitszych rodzin. Arsenał, którego ci dostarczyłem, najwyraźniej się przydał.

— Owszem — potwierdził Creasy. — Jestem ci bardzo wdzięczny.

Leclerc skłonił uprzejmie głowę i zapytał:

— Czym mogę ci teraz służyć?

Creasy wskazał na okno.

— Znasz to miasto lepiej niż ktokolwiek inny. Potrzebuję pewnych informacji na temat tutejszego półświatka. Kiedy je zdobędę, będę musiał kupić broń. Problem polega na tym, że może okazać się niezbędna już dzisiaj.

— Nie ma sprawy. Czego chcesz się dowiedzieć?

— Tutejsze gangi mają swoje strefy wpływów. Szukam ludzi, którzy kontrolują rynek prostytucji i narkotyków. Jeżeli w mieście handluje się żywym towarem, na pewno biorą w tym udział albo przynajmniej mają we wszystkim rozeznanie. Chcę wiedzieć, gdzie ich znaleźć i jakimi siłami dysponują.

Leclerc odpowiedział bez namysłu:

— Człowiek, którego szukasz, nazywa się Yves Boutin. Kontroluje burdele w mieście i na prawie całej Riwierze. W handlu narkotykami ma kilku konkurentów, ale na rynku prostytucji jest królem. — Leclerc opisał następnie Boutina, opowiedział o jego rodzinie, braciach, współpracownikach, kochance, o jego domach i klubach, a na koniec stwierdził: — Ma bardzo dobre układy z miejscowymi politykami i policją.

Creasy pochylił się naprzód i zapytał z naciskiem:

— A ty masz tam jakieś znajomości?  
Leclerc uśmiechnął się i rozłożył ręce w wymownym geście.  
— W mojej branży to konieczne. W tym mieście policja jest całkowicie skorumpowana. Zawsze tak było i będzie.  
Creasy pochylił się jeszcze bardziej w jego kierunku i zapytał:  
— Znasz inspektora, który nazywa się Serge Corelli?  
— Tak. Bardzo dobrze.  
— Czy jest skorumpowany?  
Leclerc wybuchnął śmiechem.  
— To za mało powiedziane! Jest najgorszy z nich wszystkich. Ma ogromny majątek i z dnia na dzień coraz bardziej się bogaci. W dużej części dzięki ogromnym łapówkom, które płaci mu Yves Boutin... Są praktycznie współnikami. Ale do czego zmierzasz? — spytał, zauważając niepokój na twarzy Creasy'ego.  
Nie otrzymał jednak odpowiedzi. Creasy odezwał się po głębokim namyśle:  
— Czy Corelli doniósłby Boutinowi, że ktoś o niego wypytywał?  
— Natychmiast! — odparł z uśmiechem Leclerc.  
— Nawet gdyby informacje na jego temat zbierał policjant z innego kraju?  
Leclerc znów się uśmiechnął.  
— Wtedy Boutin dowiedziałby się o tym jeszcze szybciej.  
Creasy milczał przez chwilę, po czym oznajmił:  
— Będę potrzebował broni.  
— Jakiej?  
Głos Creasy'ego zabrzmiał znów zdecydowanie i rzeczowo.  
— Masz *Colta 1911*?  
— Oczywiście — przytaknął Leclerc.  
— Dodaj do niego trzy zapasowe magazynki.  
Leclerc ponownie skinął głową.  
— Potrzebny mi jest też pistolet maszynowy, mały i łatwy do ukrycia. Coś takiego jak *Ingram 10* ze składaną kolbą.  
— Możesz go dostać — stwierdził Leclerc. — Ale mam coś lepszego. Całkowita nowość. Może jeszcze tego nie widziałeś. — Wstał, podszedł do ściany wyłożonej dębową boazerią, przycisnął ręką drewnianą płytę i przesunął ją w prawo, odsłaniając potężny sejf. Pokręciwszy szyfrowym zamkiem, otworzył ciężkie drzwi i wyjął ze środka kilka metalowych skrzynek. Creasy przyglądał się, jak je otwiera. W jednej był *Colt M1911*. Creasy wziął do ręki dobrze mu znaną broń, potrzymał ją przez chwilę i odłożył z powrotem. Potem zajrzał do drugiej skrzynki i zapytał:  
— A co to jest, do cholery?  
— Zupełna nowość — odparł Leclerc z nieukrywaną satysfakcją. — Miniaturowy pistolet maszynowy z Fabrique Nationale. Nazywa się *FN P90*. Różni się całkowicie od innych. Komora zamkowa i magazynek są wykonane z plastiku

i można je odłączyć od pozostałych metalowych elementów. — Szybko rozłożył broń. Zajął mu to kilka sekund. Zmontował ją zaraz z powrotem i podał Creasy'emu, mówiąc:

— Przebije kamizelkę kuloodporną z odległości stu pięćdziesięciu metrów. Jest lepszy niż standardowy karabin NATO.

Nowa broń zrobiła na Creasym wrażenie. Łatwo było ją ukryć pod płaszczem albo marynarką. Leclerc jakby czytał w jego myślach.

— Dam ci do niego kaburę. I tłumik. Jest trochę nieporęczny, ale mieści się akurat pod pachą.

Creasy skinął głową, dodając:

— Potrzebuję też tłumika do *Colta*.

— Żaden problem. Coś jeszcze?

— Cztery granaty rozpryskowe, cztery fosforowe i kamizelkę z wieloma kieszeniami. Poza tym ochronne gogle i trzy pary kajdanków.

— W porządku — powiedział Leclerc, notując wszystko na kartce.

— Mogę ci też urządzić próbne strzelanie w moim magazynie. To lekka broń, ale bardzo szybkostrzelna.

Creasy pokręcił głową.

— Nie mam czasu. Dziś po południu muszę zrobić rekoniesans, a wieczorem zacznę działać. Przydałaby mi się jeszcze jedna rzecz. Pamiętasz, jak ostatnim razem dostarczyłeś mi części do skonstruowania małej, ale skutecznej bomby z plastiku? Miała niewielki detonator, sterowany z odległości do dwustu metrów.

— Pamiętam — odparł Leclerc. — Czytałem potem w gazecie, jaki zrobiłeś z niej użytek we Włoszech. Nieładnie wysyłać człowieka do piekła w taki sposób.

— Zasłużył na to — stwierdził Creasy, wzruszając ramionami. — Możesz mi załatwić taką bombę?

Leclerc podniósł słuchawkę jednego z trzech stojących na biurku telefonów, wystukał numer i odczekawszy chwilę powiedział coś szybko po francusku, po czym zapytał Creasy'ego:

— Ma być zmontowana czy w częściach?

— W częściach — odparł Creasy. — Sam ją złożę.

Leclerc kontynuował rozmowę przez telefon. Jego głos brzmiał energicznie i stanowczo. Odłożywszy słuchawkę oznajmił:

— Wszystko zostanie dostarczone o szóstej wieczorem. Czego jeszcze potrzebujesz?

Creasy zastanawiał się przez moment.

— Bezpiecznej kryjówki i dobrego, szybkiego samochodu z zieloną kartą i innymi dokumentami, niezbędnymi do poruszania się po Europie. Powinien być zatankowany do pełna i mieć kilkaset dodatkowych litrów paliwa w kanistrach. Nie wiem, czy zdołam go zwrócić, więc dolicz do rachunku jego cenę. Kryjówka i sa-

mochód muszą być zaopatrzone w trzydniowe racje żywnościowe dla trzech osób. Znasz się na tym.

Leclerc zanotował wszystko i powiedział:

— W porządku. Będiesz dysponował mieszkaniem w bloku, w którym mam mansardę. Należy do mnie cały budynek, ale nikt o tym nie wie. Mój znajomy jest właścicielem tutejszego salonu BMW. Kupię od niego używany samochód i dopilnuję, żeby był gotowy do drogi dziś po południu.

Usiadłszy wygodniej przyjrzał się Creasy'emu uważnie, po czym rzekł spokojnym tonem:

— Powtórzę to, co ci powiedziałem, kiedy poprzednio tu byłeś. Nigdy nie łączyła nas przyjaźń. Wątpię, czy oprócz Guida z Neapolu miałeś kiedykolwiek prawdziwego przyjaciela. Nie jesteś tego typu człowiekiem. Ale nadal mam wobec ciebie dług. W Katandze uratowałeś mi życie. To już wystarczający powód do wdzięczności, a jest coś jeszcze. Pomogłeś mi zrealizować bardzo korzystne zamówienie w Rodezji. — Rozłożył ręce, dodając: — Teraz znalazłeś się w moim mieście i najwyraźniej zamierzasz załatwić Boutina, który ma wielu ludzi. Nie potrzebujesz wsparcia? Są tu faceci godni zaufania.

— Dzięki, ale nie skorzystam z ich pomocy... Znasz mnie przecież.

Leclerc pokiwał powoli głową. Gdy obaj wstali z miejsc, powiedział:

— Dostarczą mi wszystko o szóstej. Łącznie z informacjami na temat Correlliego. Potem możemy obejrzeć twoją kryjówkę i samochód. Gdybyś jeszcze czegoś potrzebował, zadzwoń. Masz mój domowy numer telefonu.

— Dziękuję. Ile jestem winien za towar?

Leclerc skrzywił się, jakby poczuł ból.

— Proszę cię, Creasy... Nie obrażaj mnie.

Uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie i Creasy wyszedł. Leclerc stanął przy oknie i z wysokości czwartego piętra wyjrzał na ulicę. Widział, jak Amerykanin przechodzi przez jezdnię i oddala się szybkim krokiem. W pobliżu było pełno taksówek, ale Creasy nie wsiadł do żadnej z nich. Najpierw musiał się upewnić, czy nikt go nie śledzi.

Leclerc odszedł od okna i otworzywszy drzwi gabinetu, zapytał sekretarkę:

— Ile mam akcji w firmie budowlanej Boutina?

Sekretarka wystukała coś na klawiaturze komputera i spojrzawszy na ekran powiedziała:

— Siedemnaście tysięcy. W zeszłym tygodniu skoczyły o cztery punkty i wyglądają obiecująco. Za miesiąc firma ma otrzymać kolejne zamówienie. Chodzi o budowę nowego mostu i wiaduktu. To duża inwestycja.

— Sprzedaj je jeszcze dzisiaj — polecił jej lakonicznie Leclerc.

## 15

Denise stała oparta o biurko, wpatrując się w panoramyczną szybę, która z drugiej strony była lustrem. Dziewczyna o takiej urodzie powodowałaby korki na ulicach, pojawiając się w którejkolwiek metropolii świata. Miała długie nogi, wydatne piersi, szczupłą talię i szerokie biodra. Płatynowe włosy opadały jej na ramiona, kontrastując z długą wieczorową suknią z niebieskiej satyny.

Podłużna lustrzana szyba umieszczona była za barem. Denise mogła przez nią obserwować, co dzieje się w klubie. Z prawej strony widziała niewielką estradę, a tuż obok, nieco wyżej, podium dla czteroosobowej orkiestry. Pod ścianami, wokół lśniącego drewnianego parkietu, znajdowały się dyskretne, obite aksamitem łóżka dla gości. Klientami byli głównie biznesmeni w średnim wieku. Wszystkie dziewczyny, jednakowo piękne, miały na sobie długie suknie. Kelnerki nosiły z kolei mocno wycięte kremowe bluzki z jedwabiu, bardzo krótkie lycrowe spódniczki, ciemne siatkowe pończochy i sięgające do kolan czarne skórzane buty.

Odwróciwszy głowę Denise zobaczyła dwóch wchodzących do klubu mężczyzn. Jeden był dość tęgim blondynem o jasnej cerze. Oceniała jego wiek na czterdzieści lat. Drugi, o wiele młodszy, miał kruczoczarne włosy, śniadą karnację i wyraziste rysy. Uznała, że jest bardzo przystojny. Usiedli przy barze niemal naprzeciwko niej. Na moment zasłoniła ich przyjmująca zamówienia barmanka. Denise pstryknęła jednym ze znajdujących się za jej plecami przełączników i usłyszała natychmiast głosy obu mężczyzn. Mówili po angielsku. Blondyn zamówił Chivas Regal z wodą sodową, a jego młodszy towarzysz Campari z sokiem pomarańczowym. Barmance kazano zabawiać klientów rozmową, mieszając drinki zapytała ich więc, skąd pochodzą. Blondyn powiedział, że jest ze Sztokholmu. Przystojniak był podobno z Cypru, Barmanka wyjaśniła im, że spektakl zacznie się o północy i spytała, czy potrzebują stolik. Młody mężczyzna odparł, że zostaną przy barze.

Po chwili barmanka odeszła na bok, aby obsłużyć innego klienta, a ukryta za lustrem piękność, przyjrzawszy się ponownie obu nieznanym, sięgnęła po słuchawkę telefonu, wykręciła numer i powiedziała:

— Yves, są tutaj... Wyglądają dokładnie tak, jak mówiłeś. — Zamilkła na chwilę, po czym dodała, spoglądając na zegarek: — Dobrze, mniej więcej w po-

łowie przedstawienia. — Odłożyła słuchawkę, wyszła zza biurka i skierowała się do drzwi.

Kiedy pojawiła się na sali, Michael i Jens równocześnie odwrócili głowy w lewo. Podeszła do nich uśmiechnięta, świadoma tego, jakie robi wrażenie na wszystkich mężczyznach, którzy nie są impotentami ani homoseksualistami.

Wyciągnęła rękę do blondyna, mówiąc:

— Witam w „Różowej Panterze”. Jestem Denise. Zarządzam tym klubem. — Uścisnęli sobie dłonie. Blondyn wydawał się nieco zakłopotany. Dziewczyna cofnęła rękę i podała ją młodszemu mężczyźnie. Nie odwzajemnił jej uścisku, nie okazał zmieszania, ani nie koncentrował wzroku na wydatnym biuście Denise. Wpatrywał się w jej twarz, z pewnym zainteresowaniem, ale bez fascynacji. Uznała, że jest wyjątkowo przystojny. Przez kilka minut gawędziła z obu mężczyznami, zadając im zdawkowe pytania i wyjaśniając, że w każdej chwili może im zapewnić miłe towarzystwo i dając niedwuznacznie do zrozumienia, iż w pokojach na piętrze mogą liczyć na dużo bardziej intymną atmosferę.

— O północy mamy tu znakomity spektakl — oznajmiła. — Ale pokaz, który odbędzie się o pierwszej na górze, ma w sobie, że tak powiem, więcej erotyzmu. . . Nawet bardzo dużo. Zapraszamy zwykle tylko tych klientów, którzy płacą za towarzystwo hostessy, ale ponieważ to panów pierwsza wizyta, bądźcie moimi osobistymi gośćmi.

Jens zaczął coś tłumaczyć, ale Michael przerwał mu w pół słowa.

— To bardzo miło z pani strony. Jesteśmy zaszczyceni.

Uśmiechnęła się i spojrzała na niego prowokująco, dodając:

— Przyjdę po panów tuż przed pierwszą.

Gdy odwróciła się i szła z powrotem do swego biura, obaj mężczyźni patrzyli z podziwem, jak kołysze biodrami.

— Chcesz zobaczyć sex show? — mruknął Jens. — Przez trzy lata pracowałem w obyczajówce w Kopenhadze i mogę cię zapewnić, że nie ma w tym nic podniecającego.

Michael odparł równie cicho:

— To konieczne. Muszę poznać jak najdokładniej ten budynek, żeby zaplanować porwanie.

Duńczyk skinął głową i powiedział:

— Nie dziwię się, że wolisz porwać ją niż któreś z dzieci.



## 16

Serge Corelli nie miał tak nieomylnego instynktu jak Jens Jensen. Nie zdawał sobie sprawy, że ktoś go śledzi. Wyszedłszy z biura późno, tuż po siódmej, wsiadł do zaparkowanego w garażu pod budynkiem czerwonego Renault 19. Nigdy nie przyjeżdżał do pracy swoim Mercedesem 600.

Nie zauważył stojącego po drugiej stronie ulicy Citroena, który włączył się za nim do ruchu. Pojechał do baru „O’Berry” przy Rue de l’Eveche i zostawił samochód poza strefą zakazu parkowania. Nie musiał go nawet zamykać. Każdy złodziejasek w Marsylii wiedział, do kogo należy. Minutę później pił już jak zwykle wódkę z tonikiem, zabawiając rozmową seksowną barmankę, z którą przed laty łączył go przelotny romans. Był w barze do dziewiątej. Dopiero wtedy zadzwonił do żony, żeby powiedzieć jej, że nie wróci do domu na kolację. Potem pojechał cztery przecznice dalej, na Rue de Lorette, i zaparkował samochód obok restauracji „Chez Etienne”, znów go nie zamykając. Zamówił na kolację zupę jarzynową, polędwicę z truflami i *pomme soufflé*, *crepes suzettes flambees* i butelkę Chateau Margaux. Potem wypił kawę i lampkę dobrego koniaku. Była to droga restauracja, ale gdy tuż przed północą wstał od stolika, kelner nie podał mu rachunku, natomiast właściciel z szacunkiem podał mu rękę na pożegnanie.

Ulica tonęła w mroku. Inspektor Corelli miał mocną głowę, ale szedł trochę niepewnie. Otworzywszy drzwi swojego Renault, wsunął się za kierownicę. Kiedy sięgnął do stacyjki, poczuł na karku zimny przedmiot i usłyszał, jak ktoś mówi cicho płynną, pozbawioną akcentu francuszczyzną:

— To jest *Colt 1911* z pociskiem kalibru czterdzieści pięć z wydrążonym czubkiem. Rób, co każę, bo inaczej przestrzelę ci łeb.

Corelli zmartwiało. Czuł, jak wzrasta mu we krwi poziom adrenaliny, ale starał się nie wpadać w panikę.

— Kim jesteś? — rzucił bez namysłu. — Wiesz, do kogo mówisz, idioto?

— Nazywasz się Serge Corelli — odparł chłodny głos za jego plecami. — Milcz albo rozwalę ci głowę. Włączysz teraz silnik i pojedziesz w kierunku starego targu rybnego. Ostrożnie i nie za szybko. Twoje życie nie ma dla mnie znaczenia, więc gdybyś próbował jakichś sztuczek, zginiesz.

Corelli jechał powoli, myśląc intensywnie, kim jest siedzący za nim człowiek.

W schowku na rękawiczki miał pistolet, ale był on zamknięty na klucz, który wisiał na kółku obok stacyjki. Liczył jedynie na to, że gdy dojadą na miejsce, mężczyzna będzie musiał wysiąść z samochodu i wtedy błyskawicznie otworzy schowek.

Zbliżali się do starego targu rybnego. Nieznajomy wydawał mu krótkie polecenia. W końcu dotarli do słabo oświetlonej ulicy za hałami zakładów odzieżowych. Stały tam rzędem zrujnowane garaże, niektóre z napisem „do wynajęcia”. Dochodziła dwunasta trzydzieści. Ulica była pusta. Wykonując kolejne polecenia, Corelli zjechał na bok, zatrzymał samochód, wrzucił luz i zaciągnął ręczny hamulec. Zrobiwszy to poczuł, że nic nie uciska mu już karku, zamierzał więc sięgnąć do schowka, ale w tym momencie stracił przytomność, uderzony kolbą pistoletu.

Ocknął się z rękami zakutymi w kajdanki. Leżał w kącie garażu. Podniósł się z wysiłkiem i usiadł pod ścianą, wyteżając wzrok. Wnętrze oświetlała wisząca pod sufitem pojedyncza żarówka. Corelli zobaczył stary drewniany stół i dwa krzesła. Jedno z nich zajmował ubrany na czarno barczysty mężczyzna, który uważnie mu się przyglądał. Po chwili wziął do ręki ciężki pistolet z tłumikiem i nie celując pociągnął za spust. Kula utkwiała w ścianie kilkanaście centymetrów nad głową inspektora, obsypując go tynkiem. Corelli zaskamlał i próbował odpełznąć na kolanach na bok. Gdy druga kula trafiła w ścianę tuż przed nim, zamarł z przerażenia.

— Siadaj tutaj — powiedział spokojnie mężczyzna, wskazując mu krzesło.

Corelli jeszcze przez kilka sekund nie ruszał się z miejsca. Patrzył skulony na zaplamioną olejem betonową posadzkę.

— Rób, co ci każe i nie zadawaj żadnych pytań — rozkazał mężczyzna. — Nie odzywaj się, dopóki nie powiem.

Corelli podniósł się z wysiłkiem. Czuł w głowie potworny ból. Przeszedł powoli przez garaż i, usiadłszy na krawędzi krzesła, skoncentrował wzrok na nieznanym mężczyźnie. Zauważył jego krótko przycięte szpakowate włosy, blizny na twarzy i zimne ciemnoszare oczy. Spojrzawszy na stół dostrzegł kilka przedmiotów, których nie potrafił rozpoznać: dwa wklęsłe metalowe krążki ze ściętymi krawędziami, bryłkę masy przypominającej plastelinę, metalową rurkę zaopatrzoną w dwa przewody i małe blaszane pudełko z dwoma przyciskami.

— Wiesz, co to jest? — zapytał nieznajomy.

— Nie — mruknął Corelli.

— Części potrzebne do skonstruowania małej, ale bardzo skutecznej bomby. — Mężczyzna pochylił się i wskazał na większy metalowy krążek, który miał około piętnastu centymetrów średnicy. — To jest dolna pokrywa — wyjaśnił. — A to górna — dodał, pokazując mniejszy krążek o średnicy dziesięciu centymetrów. — Tu mamy plastyczny materiał wybuchowy — kontynuował, dotknąwszy szarej bryłki. — A tu urządzenie do zdalnego sterowania — zakończył, wskazując palcem czarne blaszane pudełko. — No cóż, ta bomba jest za mała do wysadzenia

domu — stwierdził swobodnym tonem — ale kiedy się ją zmontuje i przywiąże do twojego tyłka, wybuchając na pewno rozerwie cię na pół.

Corelli wpatrywał się jak zahipnotyzowany w leżące na stole przedmioty.

— Spędzimy razem parę najbliższych godzin — ciągnął nieznajomy. — Odpowiesz mi na kilka pytań, a potem pojedziemy na małą wycieczkę. Przymocuję ci bombę do pleców i będę trzymał rękę w kieszeni, na przycisku detonatora. Módl się, żebyś nie podskakiwał na wybojach. Albo żeby ktoś na nas nie wpadł.

Francuz podniósł głowę i spojrzawszy znowu w zimne oczy nieznajomego zapytał ochrypłym głosem:

— Kim pan jest?

— Dla ciebie życiem albo śmiercią. Sam wybieraj.

— Czego pan chce?

Mężczyzna pochylił się nad stołem i zaczął montować bombę. Inspektor przyglądał się temu z przerażeniem i fascynacją zarazem. Nagle nieznajomy powiedział:

— Dziś rano odwiedził cię duński policjant, niejaki Jens Jensen. Pytał zapewne o działających w mieście przestępców i przeglądał kartoteki.

Nieznajomy podniósł wzrok znad stołu, a Corelli znowu zapytał:

— Kim pan jest?

Creasy przerwał pracę, wstał z krzesła i obszedłszy stół chwycił inspektora za włosy, podniósł go do góry i dźgnął trzykrotnie wyprostowanymi palcami, trafiając za każdym razem w inne czułe miejsce i narażając na dodatkowe cierpienia i tak już zmaltretowany system nerwowy Francuza. Potem cisnął go z powrotem na krzesło i wróciwszy na swoje miejsce zaczął dalej składać bombę.

— Jeżeli nie będziesz odpowiadał na pytania — oznajmił spokojnie — zrobię to znowu. Za każdym razem coraz mocniej. Gdybyś dalej milczał, zacznę ci odstrzeliwać palce u rąk. A potem u nóg.

Corelli opierał twarz o blat stołu, wijąc się z bólu. Powoli podniósł głowę i spojrzawszy nieznajomemu w oczy zrozumiał, że tamten nie blefuje.

— Tak, przyszedł do mnie dziś rano z drugim mężczyzną. . . bardzo młodym — rzekł wreszcie ledwo dosłyszalnym głosem. — Powiedział, że to jego asystent, ale mu nie uwierzyłem. Miał za mało lat i nie był Duńczykiem.

Creasy umieścił plastik w zagłębieniu większego krążka i rozkręciwszy niewielką metalową rurkę sprawdził kadmową baterię. Potem połączył dwa przewody i ostrożnie wetknął detonator do plastikowego ładunku.

— Przeglądali jakieś akta? — zapytał inspektora, nie podnosząc wzroku.

— Tak.

— Czego dotyczyły?

— Nierządu i narkotyków.

— Który gang ich interesował?

Corelli czuł, że ogarniają go mdłości. Kilka razy przełknął głośno ślinę, po czym pokręcił głową.

— Nie wiem, nie było mnie przy tym. Naprawdę nie wiem. Udostępniłem im wolny pokój.

Creasy przykręcał przednią pokrywę bomby. Spojrzawszy na inspektora zapytał:

— Kto kontroluje rynek prostytucji i narkotyków?

— Półkrwi Arab, niejaki Jahmed. . . Raoul Jahmed — odparł Corelli po chwili milczenia.

Creasy ostrożnie położył bombę na stół, znowu wstał, chwycił Francuza za włosy i kilkakrotnie go uderzył. Dopiero po dwóch minutach Corelli zdołał się wyprostować.

— Dlaczego? Za co mnie pan uderzył? — zapytał błagalnie z wyrazem bólu na twarzy. — Przecież odpowiadam na pytania.

— Łzesz — odparł krótko Creasy. — Próbujesz osłaniać swojego kumpla. To Yves Boutin jest najważniejszy w mieście. Płaci ci duże sumy. Jeżeli znowu skłamiesz, pożałujesz tego. Pamiętaj, że znam odpowiedzi na większość pytań i wykryję kłamstwo. Kiedy po raz ostatni rozmawiałeś z Boutinem?

Corelli znów patrzył w stół, nie mając pojęcia, kim jest jego oprawca i jak dużo wie. Czuł przeszywający ból, którego dłużej nie potrafiłby już znieść.

— Dzwoniłem do niego dziś po południu — przyznał. — Około trzeciej.

— W jakiej sprawie?

Corelli podniósł głowę i rzekł:

— Powiedziałem mu, że dopytywał się o niego duński policjant z wydziału osób zaginionych. Interesowało go, do której szkoły Boutin posyła dzieci.

— I czego się dowiedział?

— Uczą się w Szwajcarii, w prywatnej szkole z internatem.

— Są tam teraz?

— Tak.

— Czy Boutin jest związany uczuciowo z żoną?

— Nie, bardziej z kochanką — odparł Corelli, udzielając coraz pełniejszych informacji. — Nazywa się Denise Defors. Boutin wynajmuje dla niej mieszkanie w mieście. Zarządza jego największym klubem, „Różową Panterą”.

Creasy zastanawiał się przez chwilę. Próbował przewidzieć posunięcia Michaela. Nie było to trudne. Sam ukształtował częściowo jego sposób myślenia. Michael spróbuje zapewne porwać kogoś, na kim zależy Boutinowi. Skoro dzieci chodziły do szkoły za granicą, oczywistą ofiarą będzie jego kochanka. Michael zrobi więc najpierw rekonesans w klubie. Creasy zerknął na zegarek. Było tuż po pierwszej.

— Przypuszczam, że dałeś Boutinowi rysopis Jensena i jego asystenta?

— Tak, bardzo szczegółowy.

Creasy znów się zamyślił, po czym rzekł, wskazując inspektorowi miejsce na posadzce:

— Ukłęknij tam.

— Po co? — zapytał Corelli, śmiertelnie przerażony. Creasy wstał i pochyliwszy się nad stołem rozkazał:

— Rób, co ci każę, bo znów oberwiesz.

Corelli podniósł się powoli, przeszedł na środek garażu i ukłęknał. Creasy wziął do ręki bombę i rolkę taśmy klejącej. Stanąwszy w rozkroku za Francuzem podciągnął mu do góry marynarkę i łokciem zmusił go do pochylenia głowy tak, że dotykała niemal podłogi. Następnie oderwał ponad metrowy kawałek taśmy i położywszy go obok Francuza lepką stroną do góry umieścił na nim mającą kształt spodka bombę, przytknął ją bardzo ostrożnie do pleców inspektora i przykleił taśmą. Corelli skamlał ze strachu, ale Creasy nie zwracał na to uwagi. Umocował dokładnie ładunek, opasując inspektora jeszcze kilkoma zwojami taśmy. Potem chwycił Francuza za kołnierz, podniósł do góry, poprawił mu marynarkę i obejrzawszy go ze wszystkich stron stwierdził:

— Nikt by nie zauważył, że jesteś żywą bombą. Usiądź ostrożnie na skraju krzesła.

Corelli wykonał polecenie, poruszając się tak, jakby stąpał po kruchym lodzie. Usiadł najostrożniej jak potrafił. Creasy podszedł tymczasem do stojącej w kącie skórzanej torby, rozpiął ją i wyjął bezprzewodowy telefon. Położywszy go na stole przed Corellim, przesunął krzesło i usiadł koło inspektora. Potem sięgnął po detonator, położył wskazujący palec tuż obok czerwonego przycisku i powiedział:

— Nacisnę go, jeśli uznam, że nie pomagasz mi jak należy.

Rzuciwszy okiem na krzepką dłoń swojego oprawcy Corelli zauważył na niej ślady oparzeń. Domyślał się, czym zostały spowodowane. Musiano go kiedyś torturować.

— Pomogę panu — powiedział ochryple. — Tylko niech pan cholernie ostrożnie się z tym obchodzi.

Spojrzawszy Creasy'emu w oczy usłyszał jego słowa:

— Zaczynam być nieostrożny, kiedy się rozgniewam. Mogę spokojnie tu sobie siedzieć. To nie jest bomba rozpryskowa. Gdy przycisnę guzik, jej zewnętrzna pokrywa wyląduje na ścianie za tobą, a wewnętrzna na tej naprzeciwko. Razem z twoją krwią i wnętrznościami. Zapewne pocierpisz parę minut, zanim umrzesz.

— Wziął do ręki telefon i kontynuował: — Zadzwonisz teraz do swojego przyjaciela Boutina i zapytasz, co się stało z Jensem Jensenem i jego kolegą. Jeśli wpadli w jego ręce, ustal, gdzie są. Powiedz, że muszą zostać przesłuchani, zanim się ich pozbędzie. Będę kontrolował waszą rozmowę i jeśli uznam, że twój głos brzmi fałszywie albo mało przekonująco, nacisnę guzik.

Creasy położył bezprzewodowy aparat na stole i zapytał:

— Jaki ma numer?

— 6854321... To jego osobisty telefon, który zawsze trzyma przy sobie. Nawet w łóżku.

Creasy wcisnął odpowiednie klawisze i usiadł pochylony nad stołem, trzymając jedną rękę nad przyciskiem z napisem KONIEC, a drugą na czerwonym guziku detonatora. Corelli wziął głęboki oddech.

Po kilku sekundach usłyszeli zimny, chrapliwy głos Boutina.

Corelli rzucił okiem na głośnik.

— Serge — powiedział tonem nie zdradzającym napięcia, — Czy ci dwaj już się pojawili?

Z głośnika popłynął śmiech.

— Jasne. Są właśnie w „Różowej Panterze”. Obejrzeliby rutynowy pokaz i Denise przekonała ich, żeby poszli na górę zobaczyć coś bardziej pikantnego. Za parę minut stąd znikną.

— Dokąd ich zabieracie? — zapytał Corelli ostrym tonem.

— Tam gdzie zawsze.

— Nie róbcie niczego, dopóki nie przyjadę — ostrzegł Corelli. — Chcę ich najpierw przesłuchać.

Boutin był nieco zaskoczony.

— Jesteś pewien? Nawet z zawiązanymi oczami mogą rozpoznać twój głos.

— To bez znaczenia — odparł Corelli. — Kiedy skończę, rzucimy ich na pożarcie rybom.

W tym momencie Creasy nacisnął guzik z napisem KONIEC.

— O jakim miejscu on mówił?

— Chodzi o duży stary dom nad morzem, około pięciu kilometrów za miastem. Jest tam niewielka przystań, w której Boutin trzyma kilka szybkich motorówek.

— Mów dalej.

— Dom stoi na prywatnym terenie, otoczony wysokim kamiennym murem.

— Pilnują go strażnicy?

— Przez cały czas.

— Ilu?

— Co najmniej czterech, czasem więcej.

— Są uzbrojeni?

— Tak... W ręczną broń.

— Co się dzieje w tym domu?

Inspektor westchnął i powiedział z grobową miną:

— Boutin magazynuje i przerabia tam narkotyki.

— I co jeszcze robi?

Corelli znowu westchnął i odparł:

— Czasem przetrzymuje u siebie dziewczyny.

— Jakże?

Inspektor spoglądał bez słowa w blat stołu, ale gdy Creasy wstał z krzesła, podniósł nagle głowę i powiedział pośpiesznie:

— Te, które zaginęły.

— Mów jaśniej.

Corelli powiedział mu, w jaki sposób dziewczyny, pochodzące głównie z północnej Europy, były uprowadzane, uzależniane od heroiny i sprzedawane do domów publicznych w rejonie Morza Śródziemnego, na Bliskim Wschodzie i w północnej Afryce.

— „Przerabia” te dziewczyny tak samo, jak narkotyki? — zapytał Creasy. Mówił bardzo cicho, ale Corelli czuł, jak jego głos świdruje mu mózg.

Po chwili inspektor skinął głową, wpatrując się znowu w blat stołu.

— Jesteś wspaniałym człowiekiem — powiedział Creasy. — Szef wydziału osób zaginionych, który przysięgał chronić niewinne istoty! Bierzesz udział w spisku, robiąc coś dokładnie odwrotnego! Nie wiem, czy istnieje niebo lub piekło, ale jestem przekonany, że dla ciebie znajdzie się odpowiednie miejsce.

## 17

Jens nie miał racji. Seans na piętrze był podniecający. Denise poprowadziła ich długim korytarzem do luksusowo umeblowanego pomieszczenia. Jego środek zajmowała wyłożona białym dywanem okrągła scena, na którą wchodziło się po dwóch schodkach. Stało tam białe wiklinowe krzesło, a na nim para czarnych butów na wysokich obcasach. Na oparciu wisiała jaskrawoczerwona jedwabna suknia, cienkie czarne pończochy, pas do ich podtrzymywania i jedwabne majtki koloru kości słoniowej. Obok krzesła stał biały wiklinowy stolik, na nim zaś również biała skórzana szkatułka i lusterko wielkości talerza.

Scenę otaczało kilkanaście czarnych sof z wytłaczanej skóry, jakie spotyka się zazwyczaj w ekskluzywnych męskich klubach w Londynie. Połowę z nich zajmowali biznesmeni w średnim wieku. Michael zauważył, że dwaj są Arabami, a jeden Japończykiem. Pozostali byli zapewne Europejczykami. Wszyscy mieli do towarzystwa hostessy. Przed każdą sofą znajdował się niski stolik, a na nim wiaderko lodu z butelką dobrego szampana. Jeden z Arabów obmacywał już pod sukienką piersi swej partnerki, a ona całowała go namiętnie w ucho.

Denise posadziła gości na sofie i szepnęła z uśmiechem:

— Stąd jest najlepszy widok.

Jensa zaskoczyła muzyka płynąca z kwadrofonicznych głośników. Były to „Cztery pory roku” Vivaldiego, jedno z jego ulubionych nagrań. Uświadomił sobie nagle z poczuciem winy, że często je włączał, kochając się z Birgitte. Szczególnie „Lato”.

Denise usiadła między nimi. Czuli obaj ciepło jej ud i zapach perfum. Kiedy pochylona nad stolikiem nalewała szampana do trzech kieliszków, z drzwi po lewej stronie wyłoniła się jakaś kobieta.

Miała trzydzieści parę lat. Była bardzo wysoka i szczupła, niemal chuda. Czarne, lekko kręcone włosy opadały jej na ramiona. Nie miała makijażu. Jej nogi i szyja wydawały się wręcz nieproporcjonalnie długie. Mimo swoich stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu weszła na scenę jak baletnica. Była całkiem naga.

Gdy stanęła na estradzie, ucichł zupełnie szmer rozmów. Powoli rozejrzała się wokół, przesywając uwodzicielskim spojrzeniem wszystkich mężczyzn. Każdy z nich był przekonany, że na niego patrzy najdłużej. Arab przestał obmacywać



piersi swojej partnerki. Kobieta wyrecytowała niskim głosem tylko jedno zdanie:

— Zrobię się piękna dla mężczyzny.

Stanąwszy przy stoliku, zjrzała do białej skórzanej szkatułki. W sali słychać było jedynie dźwięki muzyki — pierwsze takty „Lata” Vivaldiego. Denise siedziała bardzo blisko Jensa, wprawiając go w zakłopotanie. Czuł, że ma erekcję. Zauważył kątem oka, że Michael wpatruje się jak urzeczony w nagą kobietę, a Denise trzyma rękę na jego lewym udzie. Spojrzawszy znów na scenę zobaczył, że kobieta wyjmuje ze szkatułki kilka przedmiotów. Były to kosmetyki. Przez następny kwadrans robiła sobie delikatny makijaż. Stała w rozkroku, nisko pochylona, przeglądając się w lusterku.

Jens i Michael siedzieli rzeczywiście w najlepszym miejscu. Jens nigdy nie zdradził Birgitte, ale musiał przyznać, że pośladki, które oglądał teraz z odległości trzech metrów, miały perfekcyjne kształty. Skończywszy się malować, kobieta zdjęła z krzesła elastyczny pas i założyła go na szczupłą talię. Potem usiadła i zaczęła wciągać powoli na nogi cienkie czarne pończochy, najpierw jedną, potem drugą, przypinając je na koniec klamerkami. Robiła to w sposób naturalny, jakby wcale nie grała w erotycznym spektaklu. Następnie ubrała majtki i czarne buty, a na koniec długą zwiewną suknię, która lśniła na tle alabastrowej bieli jej ramion, ledwo przesłaniając małe piersi.

Podniósłszy znowu głowę, spojrzała na siedzących wokół mężczyzn i powiedziała cichym, smutnym głosem:

— Straciłam tylko czas. — Po chwili jednak uśmiechnęła się lekko i wyciągając ręce, stwierdziła: — Nie, to nieprawda. . . Zrobiłam się piękna dla siebie. — Jej twarz promieniała. — Jeśli nie chce mnie posiadać żaden mężczyzna, poradzę sobie sama. — Znowu rozejrzała się wokół i przyglądając się uważnie każdemu z widzów zapytała: — Widzieliście kiedyś, jak robi to kobieta? Są różne sposoby. Ja używam kciuków.

Opuściła powoli rękę i podniosła przód sukni, odsłaniając majtki. Potem uklękła na puszystym dywanie i położyła się na brzuchu. Widzowie obserwowali w milczeniu, jak wsuwa dłonie między uda. Widzieli tylko jej drżące łokcie. Scena zaczęła się wolno obracać, a kobieta wykonywała równie powoli koliste ruchy pośladkami. Opierała się podbródkiem o dywan, a szyję i plecy miała wygięte w łuk. Obserwowała wszystkich mężczyzn i patrzyła im prosto w oczy, uśmiechając się dyskretnie. Każdy z widzów wyobrażał sobie, jak jej długie, szczupłe kciuki z pomalowanymi na czerwono paznokciami drażnią łechtaczkę. Pochłonięci widowiskiem zapomnieli całkowicie o swoich partnerkach.

Po chwili kobieta znów się odezwała, lecz jej niski głos brzmiał tym razem szorstko.

— To miłe. . . Bardzo miłe. . . Ale najprzyjemniej jest mieć w sobie mężczyznę. — Cedząc słowa w trakcie kolejnego obrotu sceny, zapytała jeszcze bardziej chrapliwie: — Czy nie ma tu mężczyzny, który chciałby mnie posiadać? — Po-

wtarzała to zdanie, akcentując słowo „posiąść” i patrząc prosto w oczy każdemu z widzów. Jej pośladki zaczęły wykonywać coraz szybsze ruchy i było oczywiste, że jest naprawdę podniecona. Arab, który obmacywał towarzyszącą mu hostessę, wstał nagle, rozpiął spodnie, wskoczył na scenę, wyciągnął nabrzmiałego penisa, podkasał suknię leżącej kobiety i uklęknął między jej nogami. Rozsunąwszy je jeszcze bardziej, zdjął jej majtki i mrucząc lubieżnie wszedł w nią od tyłu. Nie cofnęła ręki, nadal trąc łechtaczkę, odwróciła jednak głowę i powiedziała:

— Teraz jest wspaniale.

Denise siedziała pochylona między Jensem i Michaeliem, którzy w napięciu oglądali spektakl. Chwilami zwilżała językiem wargi. Prawą rękę wsunęła między nogi Michaela, wyczuwając pod palcami twardą wypukłość, a lewą dała znak opuszczonej przez Araba hostessie, która natychmiast wstała z miejsca i weszła na scenę. Wyglądała bardzo ponętnie. Poruszała się z niezwykłą gracją. Leżało to w jej naturze, podobnie jak wyuzdanie, które uwielbiała. Uklękawszy podniosła spódniczkę, odsłaniając szczupłe uda w białych pończochach. Nie miała niczego pod spodem. Prawą dłonią zaczęła pocierać łechtaczkę, która znajdowała się kilkanaście centymetrów od półprzytomnych oczu brunetki. W tym momencie Denise wysunęła rękę spomiędzy nóg Michaela, położyła ją za głowami obu mężczyzn i przyciągnawszy ich do siebie powiedziała gardłowym głosem:

— To trochę zbyt banalne. W pokoju nad nami zacznie się zaraz coś bardziej interesującego. Chodźmy tam.

Poszli za nią jak owieczki. Opuszczając salę słyszeli jeszcze jęki brunetki, która właśnie osiągała orgazm.

\* \* \*

Denise otworzyła wyściełane drzwi w połowie korytarza na drugim piętrze i wprowadziła ich do środka. W słabo oświetlonym pokoju zobaczyli przed sobą trzech mężczyzn, z których każdy trzymał pistolet z tłumikiem. Drzwi zamknęły się nagle i usłyszeli głos Denise:

— Teraz będzie następne przedstawienie... Wystąpicie w głównych rolach.

## 18

— Zawrzyjmy umowę — jęknął Corelli.

Creasy podniósł wzrok znad brezentowej torby. Był w kącie garażu. Corelli siedział nadal przy stole, pochylając się wyczekująco. Ręce miał skute z tyłu kajdankami.

— Zawrzyjmy umowę — powtórzył.

Creasy wziął do ręki brezentową torbę, zaniósł ją na stół i otworzył.

— Jaką umowę? — zapytał.

— Zareczę, że pańscy przyjaciele zostaną zwolnieni. Dam panu osobiste gwarancje.

Creasy wyjął z torby kilka przedmiotów, kładąc je na stole.

— Twoje osobiste gwarancje nie są warte funta kłaków — stwierdził jakby od niechcienia.

Francuz nie dawał za wygraną.

— Mam władzę. Jeśli powiem Boutinowi, żeby ich wypuścił, zrobi to... Potrzebuje mnie.

Creasy zaśmiał się drwiąco.

— Jesteś mi potrzebny jak dziura w moście. O ile wiem, opłaca co drugiego policjanta w Marsylii. Jeżeli do niego zadzwonisz i każesz mu zwolnić moich przyjaciół, znikną na zawsze, a Boutin nie przyzna się, że kiedykolwiek o nich słyszał. Przypuszczalnie ty też w ciągu paru dni będziesz martwy. Jesteś tylko parszywym gliną, Corelli. Boutin tobą gardzi. Stałeś się marionetką.

Rozmawiając z inspektorem, Creasy nie tracił czasu. Zdjąwszy kurtkę włożył czarną kamizelkę i dwie kabury. Corelli patrzył oniemiały, jak wtyka w kieszenie kamizelki osiem granatów. Potem rozebrał pistolet maszynowy, zmontował go ponownie i założył magazynek. Broń mieściła mu się idealnie w futerale pod lewą pachą. Trzykrotnie sprawdzał, jak szybko potrafi ją wyciągnąć i wycelować. Robił to błyskawicznie. Poćwiczył też wyjmowanie *Colta* z kabury po prawej stronie. Na koniec wetknął pistolet maszynowy i zapasowe magazynki w kieszenie u dołu kamizelki, cofnął się o krok i na oczach przerażonego inspektora w ciągu trzech sekund wyjął broń, zmienił magazynek i znów ją schował.

W Marsylii, podobnie jak we wszystkich większych miastach, istniała dobo-

rowa jednostka policji, przeznaczona do walki z terroryzmem. Corelli widział, jak szkolono tych ludzi. Byli bardzo sprawni, ale bez wątpienia żaden z nich nie dorównywał człowiekowi, którego miał przed sobą.

Na koniec Creasy założył wyjętą z torby czarną drelichową kurtkę. Była luźna i zasłaniała mu uda. Nawet, gdy jej nie zapiął, nikt nie mógł zauważyć ukrytej pod spodem broni. Kiedy sięgnął po czarne pudełko z urządzeniem do zdalnego sterowania, Corelli znieruchomiał. Creasy wsunął pudełko do prawej kieszeni i powiedział krótko:

— Wstawaj.

Zdenerwowany Francuz podniósł się z krzesła. Creasy podszedł do niego od tyłu, zdjął mu kajdanki i włożył je do lewej kieszeni, w której miał ich już dwie pary.

— W drogę — rozkazał. — Pójdziemy na spotkanie z tym twoim sympatycznym kumplem.

## 19

Jens Jensen po raz pierwszy w życiu został dotkliwie pobity. Cierpiał fizycznie i psychicznie. Co najgorsze, zadawano mu ból w bezmyślny, mechaniczny sposób. Leżał skulony na podłodze, a dwaj mężczyźni kopali go, gdzie popadło. Trwało to już kilka minut. Działali z wyrachowaniem, znęcając się nad nim na zmianę. Słyszał jęki Michaela, skopywanego w drugim końcu pokoju przez dwóch innych ludzi.

Przywieziono ich furgonetką z przystawionymi do głów pistoletami i wprowadzono przez tylne drzwi dużego domu najpierw do kuchni, a potem schodami do piwnicy. Kazano im położyć się na podłodze z rękami do przodu i nie podnosić głów. Po kilku minutach usłyszeli odgłos kroków. Leżąc twarzą do ziemi Jens zobaczył nogi zbliżających się do niego dwóch osób. Buty jednej z nich były brązowe, zrobione ze lśniącej skóry aligatora; drugie — czarne, na wysokich obcasach — należały do Denise Defors. Jens przypuszczał, że towarzyszący jej mężczyzna to Yves Boutin. Odezwał się po angielsku, mówiąc z silnym francuskim akcentem:

— Dokładnie za dziesięć minut zadam wam kilka pytań. Tymczasem doświadczyć na własnej skórze, czego możecie się spodziewać, jeśli nie usłyszę odpowiedzi, i to zgodnych z prawdą.

Gdy Boutin i kobieta odeszli, Jens poczuł bolesne kopniaki i usłyszał krzyk Michaela:

— Skul się i nie stawiaj oporu!

W tym momencie przyszło mu do głowy dziwne skojarzenie. Przypomniał sobie, jak przed laty w szkole nauczyciel fizyki próbował wyjaśnić im teorię względności Einsteina:

— Gdy posiedzisz dwie sekundy na gorącym piecu, wydaje ci się, że spędziłeś tam dwie minuty, ale gdy całujesz przez dwie minuty piękną dziewczynę, masz wrażenie, że minęły dwie sekundy.

Jens był bity przez dziesięć minut, a czuł się tak, jakby trwało to dziesięć godzin. Gdy pozostawiono go wreszcie w spokoju, leżał skulony na podłodze, jęcząc z bólu. Dwaj stojący nad nim mężczyźni dyskutowali, czy następnego dnia Marsylia wygra w piłkę nożną z Monako. Potem jeden z nich rozkazał:

— Połóż się na brzuchu i wyciągnij ręce!

Jens zaczął rozprostowywać obolałe ciało. Robił to jednak zbyt wolno. Mężczyzna postąpił krok do przodu i kopnął go w nerki. Jens jęknął z bólu i położył się twarzą do ziemi. Kilkanaście centymetrów od wyciągniętych rąk zobaczył znów buty ze skóry aligatora. Widział też nogi stojącej dwa metry dalej kobiety.

— Jak się nazywasz? — zapytał mężczyzna.

W jednej chwili strach Jensa zmienił się w gniew.

— Jestem, kurwa, policjantem — warknął. — Zapłacisz mi za wszystko!

Jeden z butów ze skóry aligatora zniknął Jensowi z oczu i po chwili przygniótł mu prawą dłoń. Duńczyk ponownie wrzasnął z bólu, a zaraz potem usłyszał krzyk Michaela:

— Odpowiadaj na jego pytania! I nie kłam!

Jens usłyszał głucho uderzenie i jęk swego towarzysza.

— Jeżeli jeszcze raz odezwiesz się bez pozwolenia, przestrelę ci nogę — ostrzegł Michaela mężczyzna.

Przez chwilę milczał, po czym zapytał znów Jensa:

— Jak się nazywasz?

— Jens Jensen — odparł Duńczyk, zwijając się z bólu.

— Co tu robisz?

— Sprowadzono mnie do tego domu siłą.

— Nie bądź za sprytny, bo pożałujesz — ostrzegł mężczyzna. — Co robisz w Marsylii?

— Przyjechałem porozmawiać z kolegą.

— O czym?

— O zaginionych dziewczynach.

Kobieta wybuchnęła śmiechem. Boutin skarcił ją ostro, i zwrócił się znów do Jensa.

— Więc dlaczego wypytywałeś o mnie? I po co przyszedłeś do mojego klubu?

— Ponieważ wiadomo, że interesują pana narkotyki i kobiety. Te dwie rzeczy idą w parze.

\* \* \*

Creasy obserwował tymczasem dom ze wzgórza z odległości trzystu metrów, siedząc obok inspektora, który zajmował miejsce za kierownicą swojego Renault.

— Przy głównej bramie jest jeden albo dwóch strażników — oznajmił Corelli.

— Trzeci będzie gdzieś w okolicy. Wpuszczą nas bez problemów. Wiedzą, że mam przyjechać.

- A co ze mną? — zapytał Creasy.
- Przedstawię pana jako swojego znajomego — odparł Francuz. — Przy bramie nikt nas nie zatrzyma. Przyjeżdżałem tu już z kolegami.
- Po co?
- Żeby się zabawić — odparł cicho Corelli po chwili milczenia.
- Ależ z was świnie... — mruknął Creasy. — Co się stanie, kiedy wejdziemy do tego domu?
- Zaraz za frontowymi drzwiami spotkamy jednego albo dwóch strażników. Na pewno zechcą sprawdzić, czy nie ma pan broni.
- Przekonają się, że mam... — stwierdził ponuro Creasy. — W najbardziej namacalny sposób. Trzymają pistolety w rękach czy pod marynarkami?
- Pod marynarkami.
- W porządku. Ruszajmy.

\* \* \*

Było tak, jak przewidywał Corelli. Otworzyła się ogromna brama i do samochodu podszedł z latarką strażnik, oświetlając najpierw twarz inspektora, a potem Creasy'ego.

— To mój kolega — wyjaśnił Corelli,

Strażnik skinął głową i przepuścił ich. Zaparkowali Renault na zwirowanym podjeździe obok czerwonego sportowego Mercedesa.

— To wóz Boutina? — zapytał Creasy.

— Nie, jego kochanki.

Wysiedli z samochodu, weszli po schodkach i Corelli nacisnął guzik przy drzwiach. Usłyszeli dźwięk dzwonka i po kilku sekundach wpuszczono ich do środka.

Zobaczyli przed sobą dwóch mężczyzn o surowych twarzach, jeden był niski i krępy, a drugi wysoki i tak chudy, że wyglądał jak żywy kościotrup. Obaj mieli luźne marynarki. Widząc inspektora, skinęli z szacunkiem głowami, na Creasy'ego spojrzeli jednak podejrziwie.

— To mój kolega — wyjaśnił Corelli. — Wasz szef mnie oczekuje.

— Jest w piwnicy — oznajmił niski mężczyzna, a wskazując na Creasy'ego dodał: — On idzie z panem?

— Tak.

— Więc muszę go zrewidować.

— Proszę bardzo — powiedział uprzejmie Creasy, rozpinając kurtkę.

Strażnik podszedł bliżej, podnosząc ręce, aby go obmacać. Był od Creasy'ego o kilkanaście centymetrów niższy. Nagle Amerykanin zadał mu potężny cios w szczękę. Stało się to błyskawicznie. Uderzenie zważyło strażnika z nóg. Wysoki mężczyzna nie zareagował dostatecznie szybko. Zdążył wsunąć rękę pod marynarkę, zanim jego kolega upadł nieprzytomny na ziemię, ale wyciągając broń wiedział, że jest już za późno. Zobaczył wycelowanego w siebie *Colta* z grubym tłumikiem. W ciągu ułamka sekundy pocisk przeszył mu serce. Energia kinetyczna nadana kilkunastu gramom ołowiu w stalowym płaszczu rzuciła nim o ścianę. Drugi pocisk trafił go w czoło tuż nad nosem, przebijając mózg. Strażnik zdążył jeszcze odbezpieczyć pistolet, który upadł na kamienną posadzkę i wypalił, omal nie trafiając w nogę inspektora. Broń nie miała tłumika i w holu rozbrzmiało echo wystrzału.

Creasy błyskawicznie się odwrócił i oddał dwa strzały w serce i jeden w głowę nieprzytomnego strażnika. Potem w ciągu kilku sekund odkręcił tłumik i zmienił magazynek. Corelli przyglądał się oniemiały, jak Creasy wkłada *Colta* do kabury i wyjmuje pistolet maszynowy.

— Idziemy! — rozkazał. — Zaprowadź mnie do piwnicy. I żadnych sztuczek. Trzymam palec na przycisku detonatora.

\* \* \*

W piwnicy usłyszano pojedynczy strzał. Boutin uniósł ze zdziwieniem głowę, odwracając się w kierunku otwartych drzwi i prowadzących do kuchni kamiennych schodów.

— Biegnij tam! — warknął do jednego ze strażników. — A ty pilnuj wejścia — rozkazał drugiemu.

Pierwszy strażnik pobiegł z bronią w ręku na górę, pokonując po trzy stopnie naraz. Drugi zajął pozycję przy otwartych drzwiach.

Michael uniósł podbródek i rozejrzał się wokół. Boutin chwycił Denise za rękę, odciągając ją na bok z linii ognia. Miał broń. Denise była przerażona. Jensa pilnował strażnik, celując z pistoletu w jego głowę. Michael przypuszczał, że nad nim też ktoś stoi. Postanowił nie działać pochopnie. Usłyszawszy u góry dwusekundową serię z pistoletu maszynowego i krzyk, domyślił się, że Creasy przybył im z pomocą. Umysł Michaela pracował intensywnie. Skoro Creasy miał pistolet maszynowy, miał też inną broń. Na pewno nie zejdzie po tych schodach, gdy nikt go nie osłania, ani nie będzie strzelał, żeby nie trafić przypadkowo Michaela albo Jensa. Nie, najpierw zlikwiduje wszystkich w piwnicy. Michael czekał w napięciu na dalszy bieg wydarzeń.



\* \* \*

Creasy przeszedł nad ciałem leżącego w kuchni strażnika, którego właśnie zastrzelił. Corelli stał przykuty kajdankami do stalowej rury dużego pieca. Był szary na twarzy. Creasy podszedł w kierunku prowadzących do piwnicy schodów, wyciągnął gogle i założył je na oczy. Schowawszy pistolet maszynowy wyjął fosforowy granat. Podkraść się do otwartych drzwi, na ułamek sekundy wysunął głowę, aby przez nie wyjrzeć, a potem odbezpieczył granat, odczekał parę chwil i cisnął go z całej siły w dół. Granat spadł na podłogę między Jensem i Michaelem, odbił się od tylnej ściany i eksplodował, wypełniając piwnicę oślepiająco białym światłem. Wszyscy instynktownie zasłonili oczy.

— Jens, nie ruszaj się! — zawołał Michael, a potem krzyknął jeszcze w kierunku schodów: — Cztery osoby. Trzech ludzi z bronią!

Boutin wykrzykiwał jakieś niezrozumiałe słowa. Po chwili Michael usłyszał głuchy łoskot, dwie krótkie serie z pistoletu maszynowego, a na koniec pojedynczy strzał i przeraźliwy wrzask kobiety. Domyślał się, że Creasy wtargnął do piwnicy, załatwił dwóch strażników, a potem przestawił automat na strzelanie pojedynczymi nabojami i unieszkodliwił Boutina.

Stopniowo oślepiające światło traciło na intensywności i Michael mógł otworzyć oczy. Wszystko odbyło się tak, jak przypuszczał. Creasy czał się przy schodach. Michael zauważył, że pod rozpiętą kurtką ma w kieszeniach kamizelki granaty i zapasowe magazynki. Zobaczył, jak Creasy błyskawicznie zmienia magazynek pistoletu. Jeden ze strażników leżał twarzą do ziemi przy drzwiach, a drugi — ten, który pilnował Michaela — w kącie piwnicy. Boutin klęczał na posadzce, prawą ręką zasłaniając oczy, a lewą trzymając się kurczowo za ramię. Jego pistolet leżał półtora metra dalej. Kobieta stała oparta o ścianę, zakrywając oczy dłońmi.

Creasy rzucił pośpiesznie:

— Panie Jensen, niech pan się nie rusza! Michael, weź pistolet Boutina!

Michael zerwał się na nogi, przebiegł kilka kroków i podniósł z podłogi broń. W piwnicy nie było już jaskrawego światła. Creasy wyprostował się, zdjął gogle i wrzucił je do kieszeni.

— Michael, strażnicy są załatwieni — oznajmił, a po chwili dodał, wskazując na Boutina i jego kochankę: — Stań za drzwiami i osłaniaj tych dwoje. Wokół domu są jeszcze ochroniarze. Pewnie już tu biegną — rzucił, znikając na schodach.

Boutin zdążył już otworzyć oczy. Spojrzał na Michaela, a potem na dwóch martwych strażników. Jego kochanka przykucnęła pod ścianą, dygocąc ze strachu. Boutin przestał trzymać się za ramię i spojrzał na zakrwawioną dłoń. Chciał coś powiedzieć, ale Michael przerwał mu w pół słowa.

— Zamknij się, albo strzele ci w usta.

Usłyszeli jeszcze na górze dwie serie z pistoletu maszynowego, a potem zaległa cisza.

Leżący na podłodze Jens zapytał zdumionym głosem:

— Kto to jest, do cholery?

— Mój stary — odparł z uśmiechem Michael, patrząc na niego z góry.

— Chryste... — mruknął Duńczyk. — Mogę już wstać?

— Nie. Kazał ci leżeć. To nie potrwa długo. Minutę później usłyszeli z góry głos Creasy'ego.

— Michael?

— Jestem. Wszystko w porządku.

— To dobrze. Czy Jensen potrafi posługiwać się bronią?

— Owszem. I ma już dość bezczynnego leżenia na podłodze — odpowiedział mu Jens zbolalym głosem.

Creasy zaśmiał się krótko i krzyknął:

— Niech pan weźmie broń któregoś ze strażników i przyjdzie na górę.

Duńczyk podniósł się z ziemi, podszedł do leżącego przy drzwiach strażnika i przewróciwszy go na plecy, zobaczył pistolet z zakrwawioną lufą. Podniósł go szybko, wytarł o marynarkę strażnika, sprawdził, czy jest odbezpieczony i czy ma pełny magazynek, po czym pobiegł schodami na górę.

Creasy był w kuchni z inspektorem Corellim.

— Co on tu robi? — zapytał zdumiony Jens.

— Później porozmawiamy! — odparł Creasy. — Teraz nie ma czasu na wyjaśnienia. Strażnicy, którzy byli na zewnątrz, nie żyją. Wątpię, czy zostali jeszcze jacyś na górze. Już by tu przybiegli. Może ukrywają się w holu. Musimy to sprawdzić. Pójdę przodem, a pan niech mnie osłania. Z odległości pięciu metrów.

Na górze nie było strażników, tylko starsza kobieta, skulona ze strachu w kącie na końcu korytarza. Znaleźli też dwie odurzone narkotykami dziewczyny, zamknięte w pomieszczeniach przypominających cele. Jens rozpoznał od razu jedną z nich.

— To Hanne Andersen — powiedział. — Zaledwie kilka dni temu przeglądałem jej akta.

Dziewczyna siedziała na łóżku, patrząc na Jensa błędnym wzrokiem. Odezwał się do niej po duńsku. Usłyszawszy swoje nazwisko, dziewczyna skinęła głową, jakby na chwilę przytomniejąc.

— Zaraz się nią zajmujemy — powiedział Creasy. — Sprawdźmy pozostałe pokoje.

Obok znaleźli drugą dziewczynę. Siedziała w kącie z podkurczonymi nogami. Na rękach i na twarzy miała siniaki. Była bardzo młodą i piękną brunetką. Zobaczyli w jej oczach paniczny strach. Wcisnęła się głębiej w kąt, mamrocąc po angielsku:

— Nie... nie... proszę... zostawcie mnie...

Jens zaczął ją uspokajać, ale dziewczyna skuliła się jeszcze bardziej. Była przerażona i zrozpaczona.

— Wynośmy się stąd — powiedział Creasy. — Zabierzemy je do samochodu. Zostanie pan z nimi, a ja pójdę po Michaela. Zajmę się też tą starą.

— Zabije pan ją? — zapytał z niepokojem Jens.

Creasy pokręcił głową.

— Nie, chociaż na to zasługuje, skoro pomagała tym łajdakom. Wyszedł na korytarz. Gdy starsza kobieta zobaczyła, że się do niej zbliża, zaczęła mówić coś szybko po francusku. Creasy bez słowa chwycił ją za włosy i uderzył pięścią w podbródek. Kobieta osunęła się na podłogę. Creasy zostawił ją i odszedł.

\* \* \*

Denise Defors odzyskała częściowo zimną krew. Próbowwała przekonać Michaela, że nie ma nic wspólnego z ciemnymi interesami Boutina. Michael kazał jej się zamknąć. Wtedy, jak osaczone zwierzę, zaczęła uciekać. Mężczyźni spełniali zawsze wszystkie jej życzenia, nie wyobrażała więc sobie, by którykolwiek z nich mógł do niej strzelać. Rzuciła się w kierunku drzwi.

Michael strzelił jej w plecy. Gdy osuwała się na ziemię, uchwycona framugi drzwi, drugi pocisk trafił ją w tył głowy. W ułamku sekundy Michael wycelował pistolet w Boutina, który podniósł lewą rękę, jakby chcąc się zasłonić.

— Proszę, nie... — wyjąkał. Po twarzy spływały mu krople potu.

— Zamknij się, to może nie zginiesz — powiedział szorstko Michael.

Minutę później Creasy wszedł do piwnicy i zobaczywszy martwą kobietę spojrział na niego pytająco.

— Próbowła uciec — wyjaśnił Michael.

Creasy skinął głową, wyjął z kieszeni kawałek papieru, podał go Michaelowi i rzekł:

— Jens siedzi w samochodzie przed domem. Razem z dwiema ofiarami tego łajdaka. — Wskazał na Boutina. — Odjedźcie stąd i zatrzymajcie się za główną bramą. Za pięć minut powinienem do was dołączyć. Gdybyście usłyszeli policyjne syreny albo gdyby zbliżał się tu jakiś samochód, strzelcie w kuchenne okno, które widać z drogi. Potem znikajcie stąd i zadzwońcie pod numer zapisany na kartce. Na siedzeniu kierowcy leży telefon komórkowy. Człowiek, który się zgłosi, poda wam adres kryjówki. Tam macie na mnie czekać.

Michael skinął tylko głową i wyszedł.

Creasy spojrział na Boutina obojętnym wzrokiem i powiedział:

— Pójdziemy teraz do kuchni i odbędziemy krótką, ale treściwą rozmowę.

Ruszaj — dodał, wskazując lufą pistoletu na schody.

Francuz jęknął z bólu i skierował się do drzwi.

Jens z dwiema dziewczynami na tylnym siedzeniu Renault czekał na Michaela. Jedna z nich miała głowę opartą bezwładnie o szybę, jakby straciła przytomność. Druga trzymała za rękę Jensa, który mówił coś do niej po duńsku uspokajającym tonem. Michael usiadł bez słowa za kierownicą, uruchomił silnik i wyprowadził samochód za główną bramę. Skręciwszy w prawo, zaparkował go na drodze pięćdziesiąt metrów dalej, wyciągnął pistolet i spojrzał w kuchenne okno, które znajdowało się w odległości stu pięćdziesięciu metrów.

— Co teraz? — zapytał Jens.

— Czekamy — odparł Michael, przekazując mu instrukcje Creasy'ego. — W jakim stanie są dziewczyny?

— Bardzo kiepskim — stwierdził wzburzony Duńczyk. — Miały cholerne szczęście. Jedną z nich zamierzali dziś wieczorem stąd wywieźć. Druga nie była jeszcze gotowa. Łajdaki!

— Nam też się udało — rzekł cicho Michael. — Głupio wpadliśmy, ale mieliśmy dużo szczęścia.

— Ciekawe, skąd się tam wziął Corelli. W dodatku skuty kajdankami?...

— Wkrótce się dowiemy — stwierdził Michael.

Sześć minut później Creasy zajął miejsce na siedzeniu obok kierowcy.

— Nic się nie dzieje — poinformował go Michael. — Darowałeś im życie?

— Boutin i Corelli siedzą skuci plecami do siebie — wyjaśnił Creasy. — Ktoś ich tam znajdzie.

— Jestem gliną — odezwał się z tyłu rozgniewany Jensen — ale tacy ludzie nie zasługują na litość. Dzięki swoim znajomościom prawdopodobnie unikną kary.

— Nie tym razem... — powiedział cicho Creasy, odwracając się do niego i pokazując niewielkie czarne pudełko, które trzymał w dłoni.

Duńczyk zobaczył, jak przyciska kciukiem guzik i usłyszał dochodzący z budynku głuchy odgłos eksplozji.

— No cóż, znajdują tylko ich szczątki — stwierdził Creasy. — Trafili właśnie do specjalnego piekła dla rozerwanych łajdaków.

## 20

Jens i Michael popijali kawę, siedząc przy stole w wygodnym mieszkaniu z trzema sypialniami. Creasy wyszedł z jednej z nich i ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Był na pozór opanowany, ale dwaj młodzi mężczyźni wyczuwali, że przepętnia go gniew i obrzydzenie.

Spojrzał na nich i powiedział cicho:

— Zabiłem w życiu wielu ludzi i czasem tego żałowałem. Ale nie mam żadnych wyrzutów sumienia, że załatwiłem tych łajdaków. Nawet najprymitywniejsze zwierzę nie potraktowałoby przedstawiciela własnego gatunku tak nikczemnie jak oni.

Jens i Michael przyglądali się w milczeniu, jak Creasy podchodzi do stojącego na kredensie telefonu, podnosi słuchawkę i wystukuje numer. Chociaż była dopiero piąta rano, natychmiast ktoś się odezwał. Creasy powiedział szybko kilka zdań po francusku. Michael niczego nie zrozumiał, ale Jens zorientował się z grubsza w ich treści. Creasy poinformował swego rozmówcę, że wszystko dobrze poszło, a potem zamówił jakieś leki. Jens znał tylko jeden z nich: metadon.

— Przyjacielu, będę potrzebował przez kilka dni jednego z twoich ludzi — mówił dalej Creasy. — Powinien być twardy, ale i wrażliwy... Tak, nie przesłyszaleś się. Zadzwoń za parę godzin. Postaraj się, żeby twój człowiek jak najszybciej dostarczył te lekarstwa. Niech użyje hasła „Czerwona Trójka”. Odzew: „Zielona Czwórka”... Jeszcze raz dziękuję. — Odłożył słuchawkę i wrócił do stołu. Michael nalał mu czarnej kawy.

— To był Leclerc — wyjaśnił Creasy. — Pamiętasz, jak ci o nim opowiadałem?

Michael skinął głową.

— Tak. Handluje bronią. Pewnie to on zaopatrzył cię w cały ten arsenał.

— Musimy jak najszybciej zawieźć te dziewczyny do szpitala — przerwał im Jens.

Creasy pokręcił głową.

— Panie Jensen... .

Jens znów mu przerwał.

— Może po tym wszystkim, co dziś przeżyliśmy, będziemy sobie mówić po

imieniu?

Creasy skinął poważnie głową i kontynuował:

— Jens, jesteś policjantem, więc musisz oczywiście myśleć określonymi kategoriami i w miarę możliwości przestrzegać pewnych zasad. Mamy tu wyjątkową sytuację. W normalnych warunkach podniósłbyś słuchawkę telefonu i zadzwonił do centrali policji w Marsylii albo nawet w Paryżu. Ale teraz co byś im powiedział? Że brałeś właśnie udział w regularnej bitwie z użyciem pistoletów, granatów, broni maszynowej i bomby, która zabiła słynnego miejscowego gangstera oraz skorumpowanego szefa wydziału osób zaginionych z Marsylii? Jak byś to wyjaśnił? Jak usprawiedliwiłbyś mnie i Michaela? Pamiętaj, że zabiłem tutaj siedmiu ludzi, a Michael zastrzelił kobietę. Zatrzymano by nas w tym mieście na kilka miesięcy. Ciebie także. Michael i ja trafilibyśmy do aresztu, w którym z pewnością pełnią służbę skorumpowani policjanci. Stanowczo się na to nie zgadzam.

— Mógłbym zadzwonić do głównego komendanta policji w Kopenhadze, a on powiadomiłby Paryż — zaproponował po namyśle Jens.

— I tak zadawaliby nam pytania, a my nie możemy jeszcze na nie odpowiedzieć — stwierdził Michael.

Jens pokiwał powoli głową, pogrążony w myślach.

— Więc co robimy? — zapytał po chwili, — Co z tymi dwiema dziewczynami? Potrzebują natychmiastowej pomocy.

— Otrzymają ją — odparł Creasy. — Mam doświadczenie w tych sprawach. Ustalmy najpierw, jak można im pomóc, Zdążyłem już z nimi porozmawiać. Mówią dobrze po angielsku. Hanne jest w o wiele lepszej sytuacji niż ta druga dziewczyna. . . Ma na imię Juliet, ale nie podała mi swojego nazwiska. Hanne wie, że za drzwiami jej sypialni siedzi duński policjant. Uspokoiła się, gdy tylko pokazałeś jej swoją legitymację. Ma bogatych i kochających rodziców. Musimy odstawić ją do Kopenhagi. — Creasy spojrział na Jensa. — Nie może w takim stanie lecieć tam sama. Przypuszczam, że jej paszport i ubranie ma policja w Marsylii?

Jens skinął głową.

— W takim razie — kontynuował Creasy — trzeba jej załatwić fałszywy paszport.

— Jak mam to zrobić?

— Ja się tym zajmę.

— A w jaki sposób ma wrócić do Kopenhagi?

— Zawieziesz ją tam — odparł Creasy. — Pojedzie z tobą jeszcze jeden człowiek. Samochód stoi w garażu pod budynkiem. Ma pełny bak i zapas paliwa w kanistrach. Nie będziecie robić żadnych postojów, z paszportu dziewczyny wynika, że jest twoją siostrą. Będąc na wakacjach uciekła z podejrzanym facetem, który paskudnie się z nią obszedł i teraz ty zabierasz ją do domu. To dość typowa historia. Później omówimy szczegóły.

Michael pochylił się naprzód i zapytał:

— A co z tą drugą dziewczyną. . . Juliet?

Creasy pokręcił głową.

— To zupełnie inna sprawa. Jest Amerykanką. Jej ojciec służył w bazie lotniczej w Wiesbaden. Zginął trzy lata temu podczas ćwiczeń. Juliet była wtedy dziesięcioletnią dziewczynką. Jej matka pracowała w bazie jako sekretarka i już tam została. Rok później ponownie wyszła za mąż. Ojczym Juliet okazał się strasznym łajdakiem. Po kilku tygodniach zaczął ją molestować. Matka dziewczynki najwyraźniej nie starała się temu przeciwdziałać. — Creasy westchnął, po czym ciągnął dalej. — Miesiąc temu Juliet ukradła z domu pieniądze i uciekła. Miała romantyczne wyobrażenia na temat Paryża i udało jej się tam dotrzeć. Szybko została zauważona przez jednego z oprychów Boutina, który bez wątpienia okazał jej współczucie. Skończyła w tym koszmarnym domu, naszpikowana heroiną. . . Przypuszczam, że za parę dni wysłano by ją na Bliski Wschód.

— Bydlaki. . . — mruknął Michael. — Dzikie zwierzęta!

Jens pokręcił głową.

— Nie. Creasy słusznie zauważył, że zwierzęta nie traktują się tak nawzajem. Więc co z nią zrobimy? — zapytał.

Creasy, na którego w tym momencie spojrzął, powiedział jakby do siebie:

— Nie możemy odesłać jej do domu, ani przekazać w ręce władz, tutaj czy gdziekolwiek indziej. Umieściliby ją w ośrodku odwykowym, a potem odesłali do domu opieki społecznej albo do matki. Każde z tych rozwiązań byłoby fatalne.

— Więc co zrobimy? — nalegał Jens.

Creasy spojrzął na Michaela, który przez dłuższą chwilę wpatrywał się w stojącą na stole pustą filizankę, po czym powoli wstał, poszedł do kuchni, nalał sobie kawy i rzucił przez ramię:

— Nie mamy wyboru.

— Zgadza się — przyznał Creasy.

— Co to znaczy? — zapytał zdumiony Duńczyk, patrząc najpierw na Michaela, a potem na Creasy'ego.

Michael wrócił do stołu i usiadłszy wyjaśnił:

— Musimy ją zatrzymać.

— Jak to? — zdziwił się Jens.

— Właśnie tak — potwierdził Creasy. — Zabierzemy ją na Gozo. Sporo wycierpi, kiedy przestanie brać heroinę, a potem będzie potrzebowała pomocy, żeby wrócić do równowagi. Gozo to najlepsze dla niej miejsce.

Jens patrzył na nich z niedowierzaniem.

— Jesteście stuknięci! — stwierdził. — Traktujecie ją tak, jakby była zbłąkanym szczeniakiem albo kotkiem, którego znaleźliście na ulicy.

Creasy skinął głową.

— To się mniej więcej zgadza. Tyle, że nie ma pcheł, a jest uzależniona od narkotyków. Zamiast do kąpieli musi iść na odwyk.

Duńczyk z irytacją pokręcił głową, potem wstał od stołu, poszedł do kuchni nalać sobie kawy i wróciwszy zaczął ich pouczać, jak przystało na policjanta. Stwierdził stanowczym tonem, że zamierzają właściwie porwać trzynastoletnie dziecko. Zauważył, że nie wolno im tego robić. Powiedział, że w każdym cywilizowanym kraju istnieją ściśle określone zasady postępowania w takich sytuacjach. Mówił coraz głośniej, uderzając lekko prawą ręką w blat stołu, aby zaakcentować swoje słowa. Przekonywał ich, że nikt nie ma prawa decydować o losie drugiego człowieka. W cywilizowanym świecie takimi sprawami zajmują się sądy i organizacje społeczne. Dziewczyna nie potrafi poradzić sobie sama. Należy natychmiast zapewnić jej opiekę i fachową pomoc. Podkreślił słowo „fachową”, uderzając mocno pięścią w stół, po czym obrzucił ich surowym spojrzeniem.

— Cóż, siedzę tutaj z dwoma nieokrzesanymi, bardzo źle wychowanymi ludźmi — stwierdził Creasy, wpatrując się w pustą filiżankę po kawie.

— Dlaczego tak mówisz? — zdziwił się Jens.

Creasy wskazał na filiżankę.

— W ciągu ostatnich pięciu minut obaj dolewaliście sobie kawy, a o mnie zapomniałście.

Michael uśmiechnął się pod nosem, wstał od stołu, wziął pustą filiżankę i poszedł ją napełnić. Creasy popatrzył na Duńczyka.

— Wspomniałeś o cywilizacji. Tak, Francuzi twierdzą z dumą, że są cywilizowanym narodem. Więc dlaczego dzieją się tutaj takie rzeczy? — zapytał, wskazując zamknięte drzwi sypialni. — To ma być społeczny porządek? Widziałem bardziej cywilizowanych ludzi w afrykańskich wioskach, w slumsach Rio de Janeiro i w Kalkucie. — Pochylił się do przodu, mówiąc z coraz większym naciskiem. — Uważasz, że powinniśmy zabrać tego zbłąkanego kociaka do weterynarza. Wiesz, co oni z nimi robią? Próbują bez specjalnego przekonania znaleźć im nowy dom... z pomocą tej twojej opieki społecznej. Jeśli się nie udaje, po prostu je usypiają. — Wskazał znowu drzwi sypialni, wyraźnie rozgniewany. — Michael i ja zabiliśmy paru ludzi, żeby ocalić to zbłąkane stworzenie. Ty też narażałeś życie. — Pochylił się jeszcze bardziej w kierunku policjanta, dodając: — Nie trafi do weterynarza. Nie ma mowy.

Jens spojrział w ciemnoszare oczy Creasy'ego, wzruszył ramionami i stwierdził:

— Bierzesz na siebie dużą odpowiedzialność.

Michael wrócił tymczasem do stołu, postawił przed Creasym kawę i usiadł. Uznawszy, że dyskusja została zakończona, zapytał:

— Co teraz robimy?

Creasy nadal patrzył wyczekująco na Duńczyka. Jens westchnął, jeszcze raz uderzył ręką w stół i zdecydowawszy się w końcu, powiedział niechętnie:

— No dobrze. Jakie macie plany?

Creasy wypił łyk kawy i raz jeszcze wskazał na drzwi sypialni.



— Jens, posiedź chwilę z tą Dunką. Porozmawiam z Michaeliem, a potem poślę go do Juliet. Spróbujcie podtrzymać je na duchu. Pewnie zaczynają odczuwać już narkotyczny głód. — Zerknął na zegarek. — Za dwie godziny dostaniemy metadon.

— Twój przyjaciel będzie potrzebował receptę — stwierdził Jens.

Creasy pokiwał głową.

— W tym cywilizowanym kraju zdobędzie wszystko, czego chce.

Duńczyk zamyślił się na chwilę, po czym wstał i wszedł cicho do jednej z sypialni, zamykając za sobą drzwi. Creasy obrzucił syna drwiącym spojrzeniem.

— Teraz powiedz mi, jak to się stało, że leżałeś na podłodze w piwnicy i pozwalając się kopać po żebrach?

Michael wstał od stołu i zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju. Creasy milczał, zdając sobie sprawę, że chłopak musi zebrać myśli i zaraz mu wszystko powie.

— No więc wygłupiłem się — oświadczył w końcu z poczuciem winy, ale buńczucznym tonem. — Mam za mało doświadczenia. Musiałeś przyjść nam z pomocą. — Przestał chodzić po pokoju i odwróciwszy się spojrzał na Creasy'ego. — Któregoś dnia ja też cię uratuję. W podobnej sytuacji!

Creasy miał ochotę go uściskać, wzruszył jednak tylko ramionami i rzekł:

— Powiedz mi dokładnie, co się stało.

Michael wyjaśnił, że planował porwać kochankę Boutina, aby zdobyć informacje. Opowiedział Creasy'emu, jak poszli na rekonesans do nocnego klubu i wpadli w pułapkę.

Na zakończenie spojrzał mu w oczy i stwierdził:

— Po pierwsze, należało przewidzieć, że Corelli może być skorumpowany. Po drugie, powinienem iść do klubu sam.

Creasy pokiwał głową i zapytał:

— Czego miałeś nadzieję się dowiedzieć?

Michael wzruszył ramionami.

— Wierzę, że Błękitny Kartel naprawdę istnieje... Jens i Blondie też są tego zdania. Przypuszczam, że Boutin jest tylko płotką. Chciałem się zorientować w strukturze tej organizacji i ustalić, kto kieruje nią na wyższym szczeblu... Popełniłem parę błędów.

— Przyjąłeś dobrą strategię — powiedział z namysłem Creasy — tylko za bardzo się śpieszyłeś. Niepotrzebnie poszedłeś z Jensem na policję, a on nie powinien był iść z tobą do klubu. W ten sposób zdobyłbyś informacje, nie wzbudzając podejrzeń. Potem trzeba było wziąć do łóżka którąś z dziewczyn i z czystej ciekawości popytać ją o szefową. Takie kobiety zawsze lubią plotkować. I wtedy mógłbyś zaplanować porwanie. — Na twarzy Creasy'ego pojawił się znów przelotny uśmiech. — Nauczyłeś się więc dwóch rzeczy: nie należy ufać policjantowi ani ulegać żądrom.

— Tobie nigdy się to nie zdarzyło?

— Tylko raz. Byłem wtedy młodszy od ciebie. Straciłem portfel i ucierpiała trochę moja duma. Gdybym nie przyjechał do tego domu, za jakieś pół godziny leżałbyś już głęboko na dnie morza.

Michael przetrawił jego słowa, po czym zapytał:

— Jak nas znalazłeś?

Creasy wyjaśnił, w jaki sposób trafił na ich ślad, najpierw dzięki Blondie, a potem Birgitte i jak dowiedział się o Corellim od Leclerca. Potem wszystko było już proste.

— Przepraszam cię — powiedział cicho Michael.

Creasy wypił następny łyk kawy. Gdy się odezwał, jego głos miał zupełnie inne brzmienie.

— Nie rób sobie wyrzutów. To moja wina. Nie rozumiałem, że mimo młodego wieku jesteś już mężczyzną. Potrzebowałeś wsparcia. Powinienem być przy tobie, a nie za twoimi plecami. Bądź pewien, że teraz cię nie opuszczę.

Michael uśmiechnął się szeroko.

— Przecież byłeś w szpitalu! Co mogłeś zrobić?

Creasy wzruszył ramionami.

— Mogłem udzielić ci od razu swojego poparcia, żebyś nie musiał udowadniać, że sam dasz sobie radę... Więcej nie popełnię już tego błędu. — Wstał od stołu, podszedł do okna i z wysokości piątego piętra wyjrzał na ulicę. Mżył deszcz. Widać było światła przejeżdżającego samochodu. Odwróciwszy się, Creasy popatrzył na Michaela i ku jego zaskoczeniu zaczął mówić o swoich odczuciach. Zdarzało się to równie rzadko, jak opad śniegu na pustyni. — Wiesz, Michael, spotkało mnie tutaj coś dziwnego — powiedział, wskazując na drzwi sypialni. — Ludzie, których zabiłem w willi, zginęli tylko dlatego, że musiałem was ratować, ale po rozmowie z tymi dziewczynami, zwłaszcza z tą młodszą, miałem ochotę tam wrócić i sprawdzić, czy aby na pewno nie tli się w nich jeszcze jakaś iskierka życia. Chciałem też uśmiercić tę starą babę. Na ogół nie jestem żądny krwi. Nigdy nie byłem. Służyłem jako najemnik, bo tylko to potrafiłem robić, ale nigdy nie pracowałem dla ludzi, którym nie ufałem. I nie zabijałem bez potrzeby. — Wyjrzał znowu przez okno. Ulicą pędził policyjny samochód. Miał włączone światła i syrenę. Creasy rzucił przez ramię ponurym głosem: — Patrzyłem na te dziewczyny, zwłaszcza Juliet, i widziałem w ich oczach strach, a nawet coś gorszego. Widziałem rozpacz. — Odwróciwszy się znowu rzekł: — Powiedz mi dokładnie, co mówiła wtedy w szpitalu twoja matka.

Michael wstał i podszedł do okna. Obaj patrzyli na moknącą w deszczu ulicę.

— Była sierotą, tak jak ja — powiedział. — W wieku szesnastu lat uciekła z sierocińca. Nie był to taki dom jak na wyspie Gozo. Często ją tam bito. Wkrótce poznała młodego Araba. Był bogaty, dostarczał jej rozrywek i ukrywał przed policją. Za jego namową zaczęła brać narkotyki i stała się narkomanką. Wtedy zaczął

handlować jej ciałem. Kiedy nie chciała się na to godzić, nie dostawała od niego narkotyków. Myślała, że ją kocha i że gdy zajdzie w ciążę, nie będzie oddawał jej innym mężczyznom. Do ostatniej chwili ukrywała przed nim, że spodziewa się dziecka. Dowiedziawszy się o tym pobił ją i kazał zrobić zabieg. Było już jednak na to za późno. Gdy się urodziłem, zmusił ją, aby oddała mnie następnego dnia do sierocińca.

— Jak mógł ją do tego zmusić? — zapytał Creasy.

— W bardzo prosty sposób — odparł z przejęciem Michael, żywo gestykulując. — Zagroził, że mnie udusi. Przy porodzie nie było lekarza, tylko jakaś prostytutka. Nikt nie wiedział, że przyszedłem na świat. Moja matka nie miała wyboru. Zostawiła mnie na schodach klasztoru sióstr augustianek.

— Szkoda, że wcześniej mi o tym nie powiedziałaś — stwierdził Creasy.

— Nie bardzo chciałaś słuchać — odparł Michael.

— Fakt — mruknął Creasy. — Ale teraz chcę się wszystkiego dowiedzieć. To w takim samym stopniu moja sprawa, jak twoją była katastrofa nad Lockerbie.

Michael odwrócił się do niego i zapytał z uśmiechem:

— Więc działamy razem?

Creasy skinął poważnie głową.

— Tak jest.

— Co wiadomo o ludziach, z którymi będziemy mieli do czynienia? — zapytał Michael. — Oprócz tego, że są źli?

Creasy zastanawiał się niemal przez minutę, powoli popijając kawę, a potem zaczął mówić takim tonem, jakby wypowiadał głośno swoje myśli.

— Jestem niewierzący. Podobnie jak ty. Większość religii rozróżnia wyraźnie dobro i zło. Ale jak wynika z mojego doświadczenia, istnieje wiele rodzajów zła. Najgorszy jest chyba sadyzm. Prawie wszyscy ludzie w jakimś tam stopniu mają do niego skłonności, podobnie jak do masochizmu. Trudno zrozumieć, skąd to się bierze, ale obserwowałem z bliska wiele przypadków takich dewiacji i jedno jest pewne, im większą władzę ma sadysta, tym staje się okrutniejszy. Sadyzm można właściwie utożsamiać z władzą. To nieuleczalna choroba umysłu. Nie ma na nią lekarstwa. Sadystów zawsze przyciągają dyktatorskie rządy. — Creasy odsta-  
wił pustą filiżankę i spojrzawszy na Michaela kontynuował: — W czasie ostatniej wojny wstępowali do SS, tak jak przed wiekami do armii Dżyngischana. Zawsze można ich było znaleźć tam, gdzie toczyła się walka: wśród najemników w Afryce, wśród ochroniarzy narkotykowych baronów w Południowej Ameryce czy wśród amerykańskich żołnierzy w Wietnamie. Sadyzm występuje bez względu na różnice rasy, kultury, religii i płci. Osiąga apogeum, gdy sadysta trafi na osobę o skłonnościach masochistycznych. Matka Juliet nie protestowała, gdy ojczym bił jej córkę. Możesz sobie wyobrazić, jaki ślad pozostawiło to w psychice dziecka.

— Czy Boutin był sadystą? — zapytał Michael.

Creasy przytaknął z ponurą miną.

— Sadyzm leżał w jego naturze. Przed śmiercią zdążył dużo powiedzieć. Błagał, żeby darować mu życie, a w takiej sytuacji człowiek mówi zwykle prawdę. Przyznał się, że w ciągu lata „przerabiał” sześć do ośmiu dziewczyn na miesiąc i sprzedawał je Błękitnemu Kartelowi po sto tysięcy franków. To mniej więcej osiemnaście tysięcy dolarów. Niby dużo, ale w rzeczywistości niewiele w porównaniu z innymi jego dochodami. Robił to dla zaspokojenia swych sadystycznych skłonności. . . Można by powiedzieć, że zabawiał się na boku. Miał absolutną władzę nad bezbronnymi istotami. W Błękitnym Kartelu spotkamy na pewno wielu takich ludzi, może nawet gorszych. — Popatrzył na zegarek. — Idź teraz do tej małej, Michael. Muszę zatelefonować do Leclerca, żeby załatwił obu dziewczynom dokumenty. Zadzwoń też na Gozo.

Michael spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Joe Tal Bahar kupił niedawno nowy jacht, „Poszukiwacz słońca” — wyjaśnił Creasy. — Ma piętnaście metrów długości, osiąga prędkość trzydziestu węzłów i może tu dotrzeć w ciągu dwóch dni. Przemyci cię razem z małą na wyspę. Ostatni odcinek drogi pokonacie zapewne nocą na łodzi rybackiej. Musisz zamknąć dziewczynę w składzie win za domem i poczekać, aż jej organizm zwalczy narkotyczny głód. Potrwa to około dziesięciu dni. Dziewczyna będzie przeżywała piekło. . . i ty też. Znajdziesz się może nawet w gorszej sytuacji niż ona. Będziesz zdany na własne siły. Nikt nie powinien o niej wiedzieć. Wynieś wszystko z piwnicy. Połóż tam tylko materac, doprowadź gumowy wąż, wstaw jedną z tych dużych okrągłych beczek, których używa się do produkcji wina i napełnij ją wodą. Zostaw też małej kilkanaście kocy. Potem daj jej ostatni zastrzyk metadonu. Piekło zacznie się mniej więcej po dwunastu godzinach. Opiszę ci później dokładnie, jak dziewczyna będzie reagować. Po zrobieniu jej zastrzyku pójdiesz do wioski i powiesz Teresie, że przez jakiś czas nie musi przychodzić. . . Powiedz, że sam posprzątasz dom. Zgromadź też zapasy żywności na dwa tygodnie.

— Co zrobić, jeżeli będzie z nią naprawdę kiepsko? — zapytał Michael. — Wezwać lekarza?

Creasy pokręcił głową.

— A jeśli umrze?

Creasy spojrzał na syna i powiedział:

— Pochowasz ją w ogrodzie, między drzewami granatu. Bardzo głęboko. Co najmniej dwa i pół metra pod ziemią. Tymczasem wywieś na furtce tabliczkę: „Proszę nie przeszkadzać”. — Po chwili namysłu dodał: — Zainstaluj w piwnicy telefon, ale kiedy cię tam nie będzie, zabieraj go ze sobą. . . Pilnuj, żeby dziewczyna była zawsze zamknięta na klucz. — Wskazał głową drzwi sypialni. — A teraz idź już do niej. Powiedz jej, że lekarstwo jest w drodze.

Gdy za Michaeliem zamknęły się drzwi, Creasy sięgnął po słuchawkę telefonu.

## 21

Dziesięć minut po szóstej rano odezwał się brzęczyk domofonu. Creasy drzemał w fotelu. Podniósłszy głowę spojrzął na zegarek i szybko wcisnął guzik, mówiąc:

— Kto tam?

— Czerwona trójka — odpowiedział mu po francusku jakiś mężczyzna.

— Zielona czwórka — rzucił do mikrofonu Creasy, otwierając przyciskiem bramę na dole. Potem podszedł do stołu, wziął do ręki *Colta* z tłumikiem, sprawdził magazynek i stanął przy drzwiach prowadzących do mieszkania.

Dwie minuty później ktoś delikatnie w nie zapukał. Creasy otworzył, ukrył się za drzwiami i trzymając pistolet na wysokości pasa powiedział:

— Proszę wejść!

Do mieszkania wszedł mężczyzna z czarnym neseserem i skórzaną torbą podróżną. Postawił bagaż na podłodze, przyglądał się przez chwilę Creasy'emu, a potem skinął głową, wyciągnął rękę i powiedział:

— Jestem Marc.

Creasy przełożył *Colta* do lewej ręki, kierując go lufą w dół. Przywitali się, po czym Creasy wskazał na stół i zapytał:

— Może kawy?

Francuz skinął głową. Był niski, pulchny i nosił druciane okulary z grubymi szklami. Przypominał nauczyciela albo urzędnika banku. Miał na sobie skromny szary garnitur i niebieski krawat. Zauważywszy, że Creasy przygląda mu się krytycznie, stwierdził z lekkim uśmiechem:

— Wiem, że nie wyglądam na twardziela, ale to daje mi przewagę. Nikt nie traktuje mnie poważnie, więc zawsze zadaję pierwszy cios...

Creasy również się uśmiechnął i poszedł do kuchni nalać mu kawy. Francuz położył neseser na stole i otworzył go. Creasy przyniósł dwa kubki z kawą i usiadłszy obok niego zapytał:

— Masz broń?

Francuz skinął głową, poklepując się po lewym boku.

— Musisz ją tu zostawić — stwierdził Creasy. — Kaburę też.

Przez kilka sekund Francuz patrzył mu w oczy, po czym wstał i ściągnął ma-

rynarkę. Miał pistolet *Beretta* kalibru 9 mm, schowany pod pachą w zamykanej na zatrzask kaburze. Zdjął ją z ramienia i położył na stole. Creasy sięgnął po broń. Sprawdził zamek i bezpiecznik, a potem wyjął magazynek i wsunął go do kieszeni. Francuz przyglądał się temu w milczeniu. W końcu powiedział:

— Pracuję dla Rene Leclerca od piętnastu lat. Ma do mnie pełne zaufanie. Wiem wszystko o człowieku nazwiskiem Creasy. Wysyłając mnie tutaj Leclerc dał mi tylko jedno polecenie: żebym traktował pana tak jak jego.

Creasy przypatrywał mu się przez chwilę, po czym wziął do ręki *Berettę*, wełknął z powrotem do kolby wyjęty z kieszeni magazynek i położył broń przed Francuzem.

— W porządku, Marc — powiedział. — Zatrzymaj pistolet, póki tu jesteś. Ale nie zabieraj go ze sobą w podróż.

— Jakie mam zadanie? — zapytał Francuz,

— Nic trudnego. Chcę, żebyś razem z moim znajomym Duńczykiem odwiózł do Kopenhagi pewną dziewczynę. Będziecie jechać mniej więcej dwie doby. Musicie prowadzić na zmianę. Dziewczyna jest narkomanką i przez całą drogę trzeba robić jej zastrzyki. Mój znajomy to duński policjant.

Widząc, że Francuz otwiera szeroko oczy, Creasy powiedział:

— Nie martw się. To przyzwoity facet. Zostawisz ich w Kopenhadze, a potem sprowadzisz tu samochód. Dobrze ci zapłacę.

Francuz pokręcił głową.

— Nie wezmę od pana pieniędzy. Pracuję dla Leclerca. On mi płaci.

Creasy skinął głową, wstał i zajrzał do otwartego neseseru. Poszperawszy w lekarstwach znalazł jednorazowe strzykawki z metadonem. Położył dwie z nich na stole i zapytał:

— Potrafisz robić zastrzyki?

Marc skinął głową, po czym rzekł:

— Czy mogę o coś zapytać?

— Słucham.

— Jadąc tu słyszałem przez radio, że w willi Boutina była jakaś strzelanina... Podobno zginęło wielu ludzi. Miał pan z tym coś wspólnego?

Creasy wzruszył tylko ramionami, ale było to dostatecznie wymowne.

— Boutin nie żyje? — zapytał Francuz.

Creasy niemal niedostrzegalnie skinął głową. Francuz wstał i wyciągnął do niego rękę. Creasy mocno ją uścisnął.

— Tę dziewczynę znaleźliście w willi? — zapytał Francuz.

— Tak. A w sypialni obok była jeszcze jedna. Ma trzynaście lat.

Creasy dostrzegł w oczach Francuza gniew i nienawiść.

— Jest pan pewien, że Boutin nie żyje?

Creasy znów skinął lekko głową, mówiąc:

— Rozerwało go na strzępy.

— Teraz jesteśmy przyjaciółmi — stwierdził bezpretensjonalnie Francuz.

Creasy zawinał w białą serwetkę dwie strzykawki, trochę waty i buteleczkę spirytusu. Potem poszli do pierwszej sypialni. Creasy zapukał do drzwi, a gdy Jens je otworzył, przedstawił mu Marca. Hanne siedziała na łóżku. Drżała jak liść, a jej twarz była niemal trupio blada. Jens powiedział coś do niej cicho po duńsku, wskazując na Marca. Francuz uśmiechnął się. Jego twarz uległa dziwnej przemianie. Wyglądał w tym momencie jak dobry wujaszek.

— Mówisz po francusku? — zapytał.

Dziewczyna spojrzała na niego i odparła drżącym głosem:

— Tylko trochę.

— A po angielsku?

— Tak, bardzo dobrze.

— W porządku. Więc będziemy rozmawiali po angielsku. Średnio z tym sobie radzę, ale w ciągu najbliższych dwóch, trzech dni na pewno pomożesz mi zrobić postępy. Zostaniemy przyjaciółmi.

Dziewczyna uśmiechnęła się ledwo dostrzegalnie. W spontanicznym odruchu Creasy wręczył Francuzowi białą serwetkę i powiedział:

— Zrób jej zastrzyk. Powinna je dostawać co osiem godzin, dopóki nie dotrze bezpiecznie do Kopenhagi. — Skinął na Jensa.

Obaj wyszli z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

— Kto to jest? — zapytał Jens.

— Przyjaciół człowieka, którego bardzo dobrze znam. Nie wygląda na twardego, ale bez wątplenia to tylko pozory. Możesz mu całkowicie zaufać. Pojedzie z tobą do Kopenhagi. Dokumenty dziewczyny będą gotowe dziś wieczorem. Wyruszyście w drogę, jak tylko je dostanę. — Wskazał ręką na telefon. — Lepiej zadzwoń teraz do Birgitte, zanim wyjdzie do szkoły. Rozmawiaj jak najkrócej. Powiedz jej tylko, że wszystko w porządku i że wrócisz do domu w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin. Niech nikomu o tym nie mówi. Nie dzwoń nigdzie więcej, dopóki nie przekroczycie duńskiej granicy. Dopiero wtedy skontaktuj się z szefem, zarezerwuj dziewczynie natychmiast miejsce w szpitalu i na koniec zawiadom jej rodziców.

Jens pokiwał z namysłem głową i zapytał:

— A co będzie z tą małą?

Creasy spojrzał na zegarek.

— Za godzinę zadzwonię na Gozo. W ciągu dwóch dni przybędzie tu szybka łodzią mój znajomy, który zabierze Michaela i dziewczynę do domu.

— Do domu?

— Tak. Na Gozo.

— A ty jakie masz plany?

Creasy wzruszył ramionami.

— Wybieram się do Mediolanu, żeby porozmawiać z człowiekiem, który kupuje dziewczyny. — Wskazał znów ręką na telefon. Jens podszedł do aparatu i wykręcił numer. Powiedziawszy po duńsku kilka krótkich zdań, odłożył słuchawkę. Nie przedstawił się, ani nie mówił do Birgitte po imieniu. Creasy odnotował to z satysfakcją.

— O nic nie pytała? — upewnił się. Jens pokręcił głową.

— Jest w końcu żoną policjanta — stwierdził z uśmiechem.

Marc wyszedł z sypialni Hanne i zamknąwszy ostrożnie drzwi, powiedział:

— Uspokoila się. Za pięć minut na pewno zaśnie. Do tego czasu powinieś przy niej być — dodał, zwracając się do Jensa. — Ma do ciebie zaufanie... Choć nie rozumiem, jak ktokolwiek może ufać policjantowi — stwierdził z ironicznym uśmiechem.

Jens burknął pod nosem, że nie jest Francuzem i poszedł do sypialni. Marc trzymał nadal w ręce białą serwetkę. Creasy zapukał do drugiej sypialni i Michael otworzył drzwi. Creasy przedstawił mu Marca, po czym podeszli razem do leżącej na łóżku dziewczynki. Jej ogromne ciemne oczy przepełnione były rozpaczą. Francuz spojrział na nią i pozostali dwaj mężczyźni usłyszeli, jak klnie cicho pod nosem.

— Michael, przedstaw jej Marca — powiedział półgłosem Creasy. — On cię nauczy robić zastrzyki z metadonu.

\* \* \*

Trzydzieści minut później, o wpół do ósmej rano, wszyscy czterej mężczyźni siedzieli przy kuchennym stole. Powstała między nimi dziwna więź. Tworzyli jakby sportową ekipę, która przygotowuje się do zawodów. Marc dysponował dokładnymi mapami dróg na obszarze między Marsylią a Kopenhagą. Wytoczył wspólnie z Jensem trasę podróży. Obliczyli, że, jadąc bez postojów przy małym natężeniu ruchu, mają szansę dotrzeć do Kopenhagi w niecałe czterdzieści godzin. Creasy zadzwonił na Gozo i rozmawiał znów bardzo krótko. Joe Tal Bahar opuścił wyspę w wieku osiemnastu lat, szukając szczęścia w Nowym Jorku. Po dziesięciu latach wrócił z majątkiem, o jakim kiedyś nawet nie marzył. Wydawszy zaledwie część fortuny na zakup wszelkich zabawek, jakich może pragnąć mężczyzna, był teraz śmiertelnie znudzony. Tajemniczy rejs, o którym wspomniiał eufemistycznie Creasy, rozpalil natychmiast jego wyobraźnię. Owszem, mógł w ciągu dwóch dni dotrzeć jachtem z Marsylii we wskazane miejsce i dyskretnie dostarczyć swoich „pasażerów” na Gozo. Creasy obiecał, że da mu jeszcze znać, dokąd ma płynąć. Marc zadzwonił szybko do dwóch osób, a potem wyjął z neseseru Polaroid.



— Muszę mieć zdjęcia dziewczyn do paszportów — wyjaśnił.  
Jens i Michael podnieśli się z miejsc, ale Francuz powstrzymał ich ruchem dłoni.  
— Zostańcie tutaj. One są już spokojne.  
Wszedł do pierwszej sypialni, zostawiając otwarte drzwi. Usłyszeli jego łagodnie brzmiący głos i cichą odpowiedź Juliet. Jens zapytał tymczasem Creasy'ego:  
— Kim jest ten człowiek w Mediolanie, z którym chcesz rozmawiać?  
— Znam tylko jego nazwisko — odparł Creasy. — Wymienił je Boutin, kiedy błagał, żebym darował mu życie. To jakiś Włoch. Nazywa się Donati.  
— I to wszystko? — zdziwił się Michael. — Nie wiesz nic więcej?  
— Boutin wspomniał jeszcze o kimś, ale niezbyt wyraźnie — odparł Creasy.  
— Musisz zrozumieć, że był w szoku. Śpiewał jak z nut, bojąc się śmierci. Donati i Boutin kontaktowali się przez pośrednika, który jest podobno pół Francuzem, pół Włochem i mówi płynnie dwoma językami. Boutin nie znał jego nazwiska. Przedstawiał mu się zawsze jako Łącznik.  
— Wiesz, jak wygląda? — zapytał Michael.  
— Tak, ale tylko z grubsza. Ma około czterdziestu lat, jest całkiem łysy, bardzo wysportowany i małomówny. Boutin wspominał, że przyjeżdżając do Marsylii lubi korzystać z usług dziewcząt. Ma jeszcze jeden zwyczaj. Pije tylko Campari z lodem, i to w dużych ilościach.  
— Nie za wiele tych informacji — zauważył Michael. — Chyba musimy skoncentrować się na Donatim. Znamy przynajmniej jego nazwisko. Należy do mafii?  
— Nie — odparł spokojnie Creasy. — Podobno pracuje dla Błękitnego Kartelu. Boutin kontaktował się z tą organizacją tylko za jego pośrednictwem. Kiedy miał do sprzedania dziewczynę, dzwonił pod podany numer telefonu i dowiadywał się, dokąd ma ją wysłać.  
— Mój wydział współpracuje z włoską policją i żandarmerią — powiedział z namysłem Jens. — Może będą mogli nam pomóc?  
— Tak jak Corelli? — zapytał po chwili Michael, przerywając grobową ciszę. Jens przełknął tę uwagę, po czym odezwał się niepewnie:  
— No cóż, mogę sprawdzić nasze kartoteki w Kopenhadze. — Nagle coś sobie przypomniał. — Po powrocie do domu będę miał jeszcze siedem tygodni urlopu. Chcecie, żebym siedział beczynnym? — zapytał, obrzucając obu mężczyzn wojowniczym spojrzeniem. Creasy uśmiechnął się, ale zaraz potem powiedział: — Chyba mógłbyś nam pomóc. Wykorzystam cię jako człowieka-przynętę.  
— Co takiego? — zdziwił się Duńczyk.  
— Człowiek-przynęta odwraca uwagę przeciwnika — wyjaśnił Creasy, zerkając na Michaela. — W tym przypadku nie będzie to niebezpieczne. Będziesz płątał im się pod nogami, nie stwarzając realnego zagrożenia. Potraktują cię jak policyjnego safandulę i nie będą wpadać w panikę.

Michael wybuchnął śmiechem, a Duńczyk zapytał gniewnym tonem:

— Kto to jest „safandula”?

— Ktoś w rodzaju inspektora Clouseau — wyjaśnił z uśmiechem Creasy, starając się go nie urazić. — Kiedy będą z ciebie kpić, znajdę ich od tyłu.

Jens przełknął zniewagę i oznajmił:

— Nigdy nie byłem safandula, ale jeśli trzeba, mogę się tego nauczyć. — Mówił zupełnie serio. Najwyraźniej zależało mu na pozostaniu w zespole.

— Powiem ci za parę dni, czy nam się przydasz — stwierdził Creasy. — Mam nadzieję, że za trzy tygodnie Michael będzie mógł znów wyruszyć w drogę. Ta operacja wymaga przygotowań. Muszę odnowić kontakty z dawnymi przyjaciółmi we Włoszech.

— Kogo masz na myśli? — zainteresował się Michael.

— Przede wszystkim twojego przybranego wuja Guida z Neapolu. Wycofał się z czynnej służby, ale nadal ma niewiarygodne znajomości i zawsze udziela dobrych rad.

Jens był najwyraźniej ciekawy szczegółów. Creasy wyjaśnił, że Guido Arellio to jego najlepszy przyjaciel. Służyli razem w Legii Cudzoziemskiej, a potem walczyli przez wiele lat jako najemnicy we wszystkich zakątkach świata. Los ich rozdzielił, gdy Guido zakochał się na Malcie w Julii, najstarszej córce Laury Schembri. Wzięli ślub i wyjechali do Neapolu, by prowadzić tam niewielki pensjonat. Kilka lat później Julia straciła życie w wypadku samochodowym. Potem Creasy ożenił się z jej siostrą Nadią, która z kolei zginęła wraz z córką w katastrofie samolotu PanAm nad Lockerbie.

— Moim przyjacielem jest też pułkownik Mario Satta.

Tym razem nawet Michael wydawał się zaskoczony.

— Znam go od dawna — wyjaśnił Creasy. — To niezwykły człowiek. Przez długi czas był szefem wywiadu żandarmerii i walczył z włoską mafią. Kilka lat temu wypowiedziałem wojnę mafijnej rodzinie, której wpływy sięgały od Mediolanu po Sycylię. Nie znałem wtedy jeszcze Satty. Ale on wiedział o mnie i o tym, co robię. Dał mi wolną rękę, chociaż zabijałem wielu Włochów. Byli co prawda członkami mafii, ale zgodnie z prawem powinien mnie aresztować. Tymczasem Satta trzymał swoich ludzi z daleka, dopóki nie zabiłem w Palermo przywódcy rodziny i większości jego współpracowników. Sam też o mało nie zginałem od kuli. Byłem ciężko ranny. Uratował mi życie starszy brat Satty, chirurg ze szpitala Cardarelli w Neapolu. Podpisał też świadectwo zgonu, żeby członkowie mafijnej rodziny nie tracili czasu, próbując mnie dopaść. Podobno miałem piękny pogrzeb — dodał z ironicznym uśmiechem.

— A więc to dlatego cię tak ochrzčili — powiedział Michael, wyjaśniając zaraz Jensowi: — Na wyspie Gozo każdy ma jakiś przydomek.

— Jak go nazywają? — zapytał Jens.

— *Il Mejjet* — odparł Michael. — Czyli nieboszczyk. Albo *Uomo*, co po włosku znaczy człowiek.

— A ciebie? — zapytał zaintrygowany Jens.

Michael wyraźnie się zmieszał.

Creasy wybuchnął śmiechem i wyjaśnił:

— Ma przezwisko *Spicca*, czyli wykończony. Ktoś to wymyślił, kiedy po pierwszym wieczorze w dyskotecie Michael nie był w stanie wrócić sam do domu. I tak już zostało. Jens, tobie też musimy znaleźć jakiś przydomek — powiedział poważnie. — Przyda się równocześnie jako hasło. Jeśli ktoś go użyje, będziesz wiedział, że przychodzi ode mnie albo od Michaela. — Spojrzał na syna i rzekł: — Jak go nazwiemy?

Pomyślawszy chwilę Michael uśmiechnął się szeroko.

— Jens uwielbia bezowy deser — powiedział. — Widać to po jego tuszy. Niech ma przydomek Beza.

— Doskonale — skinął głową Creasy. — Od dzisiaj będziemy tak na ciebie mówić.

Marc wyszedł z sypialni, niosąc aparat i kilka zdjęć. Położywszy je na stole wskazał na fotografię Juliet.

— Ta dziewczyna ma charakter — stwierdził. — Nie pozwoliła zrobić sobie zdjęcia, dopóki nie pożyczyłem jej grzebienia.

Pozbierawszy wszystkie odbitki wrzucił je razem z aparatem do nesesera. Potem założył na ramię kaburę i wsunął pod pachę *Berettę*. Wziął do ręki neseser i oświadczył:

— Wróć za dwie godziny z kompletem dokumentów.

Odwrócił się, zamierzając wyjść, ale zatrzymał go głos Jensa.

— Zaczekaj, Marc. Masz jakiś pseudonim?

— Właściwie nie — mruknął Francuz.

— Jak cię nazywają? — zapytał ostrym tonem Creasy, odzywając się po francusku.

Francuz milczał przez chwilę, po czym dotknął swoich grubych okrągłych szkielek i powiedział:

— Skoro musicie wiedzieć, mówią na mnie Sowa.

Pozostali trzej mężczyźni uśmiechnęli się.

— To będzie twoje hasło — oznajmił Creasy. — Jeśli kiedykolwiek otrzymamy wiadomość od Sowy, będziemy wiedzieli, o kogo chodzi. Nigdy nie używaj prawdziwego imienia ani nazwiska.

Francuz uśmiechnął się kwaśno i wyszedł, mrużąc coś niezrozumiale pod nosem. Usłyszeli tylko słowo „wariaci”.

## 22

Greta i Flemming Andersenowie mieszkali w bogatej części dzielnicy Hellerup na przedmieściach Kopenhagi. Stary dom z otoczonym drzewami przestronnym ogrodem był za duży dla małżeństwa z jednym tylko dzieckiem, ale kupując go planowali mieć ich więcej. Kiedy dziesięć minut przed północą zadzwonił telefon, oboje już spali. Wyrwany ze snu Flemming sięgnął po słuchawkę i pół minuty później usiadł nagle na łóżku.

— Co się stało? — zapytała z niepokojem jego żona.

Uciszył ją gestem ręki i powiedział do telefonu:

— Tak... Tak, oczywiście. — Spojrzał na zegarek. — Będziemy tam za pół godziny. — Odłożywszy słuchawkę wygramolił się z łóżka, mówiąc: — Wstawaj, Greto! Szybko! Znaleźli Hanne!

\* \* \*

Jens stał przy wejściu do kliniki. Przyjechał dwie godziny wcześniej. Sowa czekał na niego w BMW. Podróż minęła szybko i bez niespodzianek. Zobaczywszy światła wjeżdżającego szybko na parking srebrnego Mercedesa powtórzył sobie jeszcze raz w myślach, co ma powiedzieć Andersenom. Z informacji w aktach i ze spotkania, które odbył z nimi przed kilku tygodniami w biurze, wnioskował, że to twardzi ludzie. Flemming Andersen dorobił się majątku w budownictwie przemysłowym, głównie na niegościnnych obszarach Grenlandii. Powodzenie zawdzięczał własnej pracy i nie zrażał się przeciwnościami losu. Gretę znał od dzieciństwa. Znajdował w niej oparcie w trudnych pierwszych latach kariery. Jens był przekonany, że jest dość silna, by stawić czoło prawdzie, choć swego czasu w biurze widział ją wstrząśniętą i zapłakaną.

Weszli pośpiesznie po schodach, mając w oczach niepokój, ale i nadzieję. Jens otworzył drzwi i wprowadził ich do niedużej poczekalni. Gdy tylko usiedli, Greta zaczęła zadawać pytania. Jedno z nich brzmiało:

— Dlaczego Hanne jest właśnie w tej klinice?

Mąż położył jej rękę na ramieniu i powiedział:

— Cierpliwości, kochanie. Pan Jensen wszystko nam wyjaśni.

Jens rzeczywiście udzielił im szczegółowych informacji. Mówił współczującym, ale rzeczowym tonem. Opowiedział o dramatycznych przeżyciach ich córki. Wspomnił o problemach, z którymi będą się borykać w ciągu najbliższych tygodni, albo i miesięcy. Na koniec stwierdził, że dziewczyna jest w klinice pod bardzo dobrą opieką, a gdy wróci do domu, z pewnością też będzie miał kto o nią zadbać. Podkreślił, że stała się bezwolną ofiarą przestępców i nie należy jej potępiać.

W tym momencie ojciec dziewczyny oderwał wzrok od dywanu i powiedział cicho:

— Winni są mężczyźni, którzy ją wykorzystywali. Czy zostali aresztowani?

Jens pokręcił głową.

— Nie... i nie zostaną. Pewnie to niewielka pociecha, ale powiem panu, że zginęli gwałtowną śmiercią, wiedząc, za co ponoszą karę. Pańska córka nie była ich jedyną ofiarą. Może mówić o dużym szczęściu. Przeżyła... i ma wspaniałych rodziców.

Greta cały czas płakała. Teraz podniosła głowę i otarła łzy.

— Czy to pan ich zabił? — zapytała.

Jens znów zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie. Ale byłem przy tym. Nie mogę powiedzieć, jak to się stało, bo naraziłbym na niebezpieczeństwo ludzi, którzy uratowali państwa córkę i odesłali ją do domu. Nie chcemy nadawać tej sprawie rozgłosu. W gazetach nie będzie żadnych informacji.

Państwo Andersenowie milczeli. Po chwili Flemming zapytał:

— Czy mogę wynagrodzić jakoś ludzi, którzy ocalili moją córkę i zabili tych bydlaków?... Jak pan wie, nie jestem biedny.

Jens spojrzał na niego i skinął poważnie głową.

— Tak, z pewnością może ich pan wynagrodzić. Kiedy córka wróci do zdrowia... kiedy zacznie się uśmiechać, proszę zrobić jej kilka zdjęć i przysłać je do mojego biura. Przekażę je tym ludziom. Na pewno się ucieszą.

Powiedziawszy to wstał, otworzył drzwi i skinął na kogoś ręką. Do pokoju wszedł mężczyzna w średnim wieku. Miał na sobie nieefektywną marynarkę i spodnie. Jens przedstawił go państwu Andersen. Był to doktor Lars Berg, dyrektor kliniki i czołowy duński ekspert w dziedzinie leczenia narkomanii.

— Doktor Berg udzieli państwu informacji i wyjaśni, jak należy postępować — powiedział Jens. — Będę w kontakcie z kliniką.

Zamierzał już wyjść, ale pani Andersen zatrzymała go w drzwiach. Rzuciła się mu na szyję, płacząc i dziękując równocześnie. Ucałował jej mokry policzek i uścisnął ją na pożegnanie. Był to jeden z tych rzadkich momentów, gdy czuł satysfakcję z wykonywanej pracy.

\* \* \*

Sowa spał na kanapie, a Jens na małżeńskim łóżku w sypialni. Birgitte leżała obok niego z otwartymi oczami. Przesunęła ręką po nagim ciele męża, dotykając czarnych i niebieskich siniaków. Zaledwie dziesięć minut temu wpuściła obu mężczyzn do mieszkania. Nie chcieli nic jeść ani pić, tylko spać. Były sprawy, których nie rozumiała. Wchodząc do sypialni, Jens zawołał do leżącego na kanapie mężczyzny „dobranoc, Sowa”, a tamten otworzył jedno oko i odparł: „dobranoc, Beza”.

Westchnąwszy, pocałowała purpurowy siniak na lewym pośladku męża. Na pewno rano o wszystkim jej powie.

## 23

Była bezksiężycowa noc i morze przybrało czarną barwę, ale jacht pruł fale ze stałą prędkością dwudziestu ośmiu węzłów. Joe Tal Bahar usiadł obok Michaela na mostku, wskazując na ekran radaru.

— Jesteśmy trzydzieści mil na południe od zachodnich wybrzeży Sycylii i wpływamy właśnie na jeden z najbardziej uczęszczanych szlaków wodnych na świecie. Statki handlowe i tankowce kursują tędy do wschodnich Włoch, Grecji, na Bliski Wschód i na Daleki Wschód, przez Kanał Sueski.

Michael nachylił się i spojrział w ekran. Były na nim widoczne dziesiątki migających punktów.

— Jak masz zamiar zlokalizować tę rybacką łódź? — zapytał.

Joe roześmiał się. Był wyraźnie rozbawiony. Spojrzął na zegarek i stwierdził:

— Mniej więcej za kwadrans Frenchu wywiesi na maszcie transponder, czyli specjalne urządzenie radiolokacyjne. Nasz radar odbierze jego sygnały.

Michael spojrział na Joego.

— Przypuszczam, że nie pierwszy raz to robicie.

— Zgadza się — mruknął Joe. — Ale dotychczas przerzucaliśmy towary, a nie ludzi. O co tu właściwie chodzi?

Michael odparł bez wahania:

— Będziesz musiał zapytać Creasy'ego, kiedy znów się zobaczycie. Wiesz, jak to jest. . .

— Jasne — przytaknął wesoło Joe. — Miły dzieciak z tej małej, ale zdaje się, że ktoś paskudnie ją potraktował.

Płynęli dalej w milczeniu. Michael zobaczył daleko od portu jasne iluminatory supertankowca, który wyglądał jak unoszące się na wodzie miasto. Spojrzawszy w prawo dostrzegł kilka pojedynczych świateł.

— To rybacy — wyjaśnił Joe, patrząc na niego. — Mieszkają w Porto Palo, na południowo-wschodnim wybrzeżu Sycylii. Łowią królewskie krewetki. Zwykle dostają od nich skrzyneczkę w zamian za butelkę szkockiej whisky. . . Ale dzisiaj nie będę tam podpływał. . . Posłuchaj, Michael, gdybyś potrzebował pomocy w związku z tą małą, daj mi znać. Nie wiem, w co się wplątała, ale widzę, że jest na prochach. W Nowym Jorku miałem do czynienia z podobnymi sprawami.

Cholernie trudno z tego wyjść.

— Dobrze, dam ci znać — obiecał Michael. — Creasy chce, żebym w miarę możliwości sam się nią zajął. Przede wszystkim nikt nie powinien wiedzieć, że mała jest na wyspie. Przynajmniej dopóki Creasy nie załatwi jej porządných dokumentów.

— Nie martw się — uspokoił go Joe, wskazując na pokład w dole. — Wenzu potrafi trzymać język za zębami. Frenchu i jego synowie także.

Przez kolejnych dziesięć minut płynęli znów w milczeniu. Jacht pruł szybko powierzchnię morza. Joe nie rozglądał się wokół, patrzył jedynie w ekran radaru, umieszczony na tablicy wskaźników. Nagle chrząknął, pochylił się naprzód i wskazał punkt świecący jaśniej niż kilkadziesiąt innych.

— To Frenchu — powiedział, śmiejąc się cicho. — Ze wskazań radaru można by sądzić, że dowodzi supertankowcem, a nie osiemnastometrową łodzią. — Obserwował przez kilka minut poruszający się na ekranie punkt, po czym skinął głową. — Tak, to on. Płynie w kierunku południowo-zachodnim z prędkością około dziesięciu węzłów. — Wystukał coś na klawiaturze komputera stojącego obok radaru i oznajmił: — Spotkamy się za szesnaście minut.

Michael spojrział na zegarek i zapytał:

— Możesz obliczyć, kiedy łódź Frenchu dotrze z powrotem na Gozo?

Joe postukał znów w klawisze i odparł:

— Zakładając, że popłynie z prędkością dwunastu węzłów, będziecie na miejscu około piątej rano. Godzinę przed świtem.

— Pójdę pod pokład i sprawdzę, co z małą — powiedział Michael.

Wenzu był przed kabiną na rufie statku. Michael skinął do niego głową, otworzył drzwi i wszedł do środka. Dziewczyna siedziała skulona na dużym łóżku. Miała na sobie dzinsy i czarny podkoszulek z długimi rękawami. Spojrzała na niego zaleknionym wzrokiem.

— Dobrze się czujesz? — zapytał.

— Fatalnie — odparła, kręcąc głową. — Znów potrzebuję zastrzyku.

— Trochę za wcześnie — zauważył. — Ale lepiej zrobić go teraz niż na tamtej łodzi. — Gdy otwierał szufladę i wyjmował niewielkie pudełko, dziewczyna podciągnęła prawy rękaw podkoszulka.



Był piątkowy wieczór. W piątki pułkownik Mario Satta zawsze jadał kolację sam. Siadywał zwykle przy dyskretnym stoliku w swojej ulubionej restauracji w Mediolanie. Nie miał zbyt wielu nawyków, ale z tego nie rezygnował. Podczas posiłku rozmyślał o wydarzeniach mijającego tygodnia i snuł plany na następny. Nie wyglądał na pułkownika żandarmerii. Przypominał raczej kierowcę wyścigowego, awangardowego dramaturga albo właściciela stacji telewizyjnej. Ubierał się nadzwyczaj szykownie. Jego ciemnoszary dwurzędowy garnitur w dyskretne czarne prążki uszył Huntsman z Savile Row. Kremowa jedwabna koszula — podobnie jak wszystkie, które nosił — pochodziła od drobnego wytwórcy z Como, a brązowy jedwabny krawat od Armaniego. Buty z kozłej skóry zrobił mu na miarę szewc w Rzymie. Twarz Satty wzbudzała zainteresowanie, zwłaszcza u kobiet. Nie był uderzająco przystojny, ale jego głęboko osadzone ciemne oczy i nieco zakrzywiony nos — dodawały mu powagi i tajemniczości. Wychował się w zamóżnej, na poły arystokratycznej rodzinie, zdominowanej przez matkę. Nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego jej młodszy syn, dysponując takimi możliwościami, postanowił zostać zwykłym policjantem. Nie pomagały jego ciągłe tłumaczenia, że służy w żandarmerii i został najmłodszym pułkownikiem w formacji. Matka prychała wówczas pogardliwie i powtarzała, że chociaż ma piękny mundur, jest tylko policjantem. Jego starszy brat skończył medycynę i był jednym z najwybitniejszych włoskich chirurgów. Ale nawet to jej nie satysfakcjonowało. Nazywała go dyplomowanym rzeźnikiem. Wolałaby, żeby jej synowie zostali kupcami, przemysłowcami albo politykami. Wolałaby też, by ożenili się z kobietami pochodzącymi z dobrych rodzin i należącymi do towarzyskiej elity. Tymczasem jej starszy syn wziął ślub z pielęgniarzką z Bolonii, a Mario wdawał się w nieustanne romanse z młodymi aktorkami. Załamywała ręce z rozpaczy, ale kochała swoich synów, a oni odwzajemniali matczyną miłość.

Pułkownik Mario Satta zyskał rozgłos, prowadząc wnikliwe śledztwo w sprawie działalności włoskiej mafii. Z pomocą swego oddanego asystenta Bellu w ciągu kilku lat zgromadził materiały na temat wszystkich znaczących rodzin. Praca ta przyniosła mu początkowo satysfakcje, a potem frustrację i cierpienie. Jego materiały wykorzystali prokuratorzy w Palermo i w innych miastach. Pró-

bując posłać za kratki przestępców, których im wskazał, ginęli kolejno wraz ze swymi ochroniarzami od kul i bomb zamachowców. Nie mógł tym dzielnym ludziom w żaden sposób pomóc. Skorumpowani politycy chronili zawsze zabójców. Wreszcie, w poczuciu bezsilności, poprosił o przeniesienie i przed kilku miesiącami trafił do wydziału, badającego przypadki korupcji w zagłębiu przemysłowym na północy Włoch. Zabrał ze sobą Bellu i choć dopiero niedawno rozpoczęli pracę, wielu polityków już nerwowo oglądało się za siebie.

Pułkownik Mario Satta miał w życiu trzy pasje: dobre jedzenie, piękne kobiety i grę w trik-traka. Wymieniał je właśnie w tej kolejności. Wymarzonym sposobem spędzenia wieczoru była dla niego kolacja w dobrej, przytulnej restauracji albo w jego mieszkaniu w towarzystwie atrakcyjnej kobiety, potem kilka partyjek trik-traka — które, oczywiście, musiał wygrać — i na koniec satysfakcjonujące rendez-vous w łóżku. Tego wieczoru jadł jednak samotnie, oczekując spotkania z piękną kobietą dopiero w niedzielę. Nie była aktorką, lecz prezenterką telewizyjną o tycjanowskich włosach.

Zamówił jeden ze swych ulubionych zestawów: specjalne *antipasto*, *cappon magro*, a na deser *gelato di tutti frutti*. Starał się dbać o linię, ale w piątkowe wieczory trochę sobie folgował. Kończył właśnie główne danie i dopijał wino. Było trochę ciężkie, ale dobrze kontrastowało w smaku z deserem, na który czekał. Nagle rzucił okiem w kierunku wejściowych drzwi i powoli odstawił kieliszek na stół. Zobaczył człowieka, który, rozejrzawszy się po sali, zaczął iść w jego kierunku. Dziwnie stawiał nogi, dotykając ziemi najpierw zewnętrznymi krawędziami stóp. Pułkownik wstał powoli i wyszedł zza swego stolika. Niektórzy goście przestali jeść i zaczęli mu się przyglądać. Zobaczyli ze zdziwieniem, jak obejmuje serdecznie przybysza i całuje go w oba policzki. Nikt z obecnych, nawet *maitre* ani kelnerzy nie widzieli, by pułkownik Mario Satta kiedykolwiek to robił. Obaj mężczyźni usiedli przy stoliku i popatrzyli na siebie. *Maitre* czekał już w pobliżu.

— Jesteś po kolacji? — zapytał Satta.

Creasy pokręcił głową.

— Dwie godziny temu zjadłem w samolocie kanapkę.

Satta przywołał *maitre'a*, który zaraz do nich podszedł. Nie pytając Creasy'ego o zgodę, zamówił dla niego *spaghetti alle vongole* i *osso buco*. Powiedział *maitre'owi*, żeby nie dawał na razie deseru, a później przyniósł porcje dla nich obu. Zamówił też następną butelkę Barolo.

Gdy *maitre* pośpiesznie się oddalił, Creasy stwierdził z uśmiechem:

— Niczego nie zapominasz, Mario.

Włoch również szeroko się uśmiechnął.

— To był ostatni posiłek, który zamówiłeś w szpitalu Cardarelli w przeddzień swojego pogrzebu.

Creasy skinął głową i zapytał:

— Jak się miewa twój brat?

— Dobrze, ale jak zwykle za dużo pracuje.

— To jego powołanie.

— Owszem — przyznał Satta. — Ja też mam swoje, ale nie haruję czternaście godzin dziennie. Co cię sprowadza do Mediolanu? Oczywiście, oprócz perspektywy mojego wspaniałego towarzystwa i możliwości przegrania dużych sum pieniędzy w trik-traka.

W tym momencie kelner przyniósł butelkę, zwyczajowo ją odkorkował i wlał Creasy'emu do kieliszka odrobinę wina, aby je spróbował. Creasy skinął głową z aprobatą. Gdy kelner odszedł, powiedział:

— Szukam pewnego człowieka. Być może ma powiązania z kartelem, handlującym żywym towarem.

— Jak się nazywa?

— Donati.

— Jak ma na imię?

— Nie wiem.

— Mieszka w Mediolanie?

— Działa w tym rejonie.

Kelner przyniósł *spaghetti*. Creasy jadł w milczeniu, od czasu do czasu spoglądając na pułkownika. Wiedział, że Satta słynie ze znakomitej pamięci. Teraz porządkował na pewno w głowie posiadane informacje.

— Znam w Mediolanie trzech Donatich — powiedział w końcu. — Jeden jest księdzem, drugi młodym dyrygentem w La Scali, a trzeci piecze najlepszy chleb w mieście. Wątpię, by któryś z nich miał powiązania z Kartelem, o którym wspominałeś. — Wzruszył ramionami i uśmiechnął się. — Ale kto wie? W zeszłym miesiącu ksiądz kupił nowy samochód... BMW... Trzysetka, ale nowa.

Creasy przełknął kolejną porcję *spaghetti* i zapytał:

— Słyszałeś kiedyś o „Błękitnym Kartelu?”

Umysł Satty znów zaczął pracować jak komputer. Creasy skończył jeść i wypił pół kieliszka wina, nim otrzymał odpowiedź.

— Obiło mi się coś o uszy, ale nie mogę sobie przypomnieć, przy jakiej okazji — stwierdził Satta. — Przypuszczam, że ten Donati ma powiązania z Błękitnym Kartelem, który handluje żywym towarem?

— Tak. Organizacja istnieje od bardzo dawna. Działa prawdopodobnie w większości krajów śródziemnomorskich na południu Europy i sięga mackami do Północnej Afryki i na Bliski Wschód. Dysponuję tylko tym jednym nazwiskiem. Donati i człowiek, który mi o nim powiedział, kontaktowali się zawsze za pośrednictwem łącznika. To profesjonaliści. Podejrzewam, że Donati jest tylko ogniwiem w strukturze organizacji i że kierujący nią ludzie także nie mają ze sobą bezpośrednich kontaktów.

— Dlaczego się nimi interesujesz?

Creasy westchnął.

— To długa historia. Musiałbym cofnąć się o jakieś sześć lat... Do czasu naszego ostatniego spotkania.

Creasy mówił przez ponad godzinę, a Satta słuchał, przerywając mu tylko chwilami, żeby wyjaśnić jakiś szczegół. Opowieść osiągnęła finał akurat w momencie, gdy obaj kończyli jeść *gelato di tutti frutti*.

Satta starannie wytarł usta serwetką, dopił wino i rzekł z uśmiechem:

— Czy to ten sam Creasy, którego znałem? Masz teraz dorosłego syna, a może i córkę... Nawiasem mówiąc, nie napisałem do ciebie w końcu listu z kondolencjami po śmierci Nadii i Julii.

— Guido przekazał mi twoje słowa — powiedział cicho Creasy i zamilkł na chwilę, przypominając je sobie. — „Słońce zachodzi, ale z czasem wschodzi na nowo”. — Następnie spojrzał na przyjaciela i rzekł: — To mądre słowa dobrego człowieka.

Satta wzruszył ramionami, zmieniając temat.

— Mogę cię w każdym razie zapewnić, że ten Błękitny Kartel nie ma nic wspólnego z mafią. Na pewno bym o tym wiedział. Muszą więc działać w ścisłej tajemnicy, bo jeśli osiągają duże zyski, mafia chciałaby je przejąć albo przynajmniej mieć w nich udział. Musi to być potężna organizacja, stosująca bezwzględne metody. Mam kolegę, który zajmuje się takimi sprawami. To człowiek godny zaufania. Rano z nim porozmawiam. Jak długo zostaniesz w Mediolanie... i gdzie się zatrzymałeś?

Kelner przyszedł sprzątnąć ze stołu. Satta zamówił dwie kawy z ekspresu i dwie podwójne porcje Armagnacu.

— Zostanę tak długo, aż trafię na ślad Donatego — powiedział Creasy. — Mieszkam w małym hotelu koło stacji. — Uśmiechnął się z przekąsem. — Nazywa się „Excelsior”. Jest trochę mniej komfortowy niż sugeruje ta nazwa, ale za to dyskretny...

— Zaproponowałbym ci gościć u siebie — stwierdził Satta — ale za dobrze cię znam. Wolisz zjawiać się i znikać jak duch.

Przy kawie i koniaku zaczęli wspominać dawne czasy. Mówili zwłaszcza o Guidzie Arellio. Odkąd walczyli wspólnie z mafią, Satta bardzo się z nim zaprzyjaźnił. Często odwiedzał jego pensjonat w Neapolu: po pierwsze ze względów towarzyskich, po drugie z uwagi na dobre jedzenie, a po trzecie dlatego, że od lat starał się na próżno odrobić straty, które poniósł grając z Guidem w trik-traka.

Wyszli z restauracji jako ostatni. Na ulicy uścisnęli się jeszcze na pożegnanie i ruszyli każdy w swoją stronę.

## 25

Michael towarzyszył dziewczynie już drugi dzień. Był przerażony.

Stosował się dokładnie do poleceń Creasy'ego. Dotarli na brzeg w Mgarr l'Xinni godzinę przed świtem. Czekał tam Land Rover, którym jeden z synów Frenchu zawiózł ich do domu na wzgórzu. Dziewczyna dostała środki nasenne i spała. Michael owinął ją kocem i zaniósł do sypialni.

Położywszy Juliet na swoim łóżku, pracował z zapalem przez dwie godziny. Wyniósł z piwnicy zapasy wina i znajdujące się tam rupiecie. Zmagazynował wszystko w nie używanym pokoju, a potem przyniósł materac i stertę kocy. Wtoczył do piwnicy pustą beczkę i podłączywszy do kranu w ogrodzie gumowy wąż, napełnił ją wodą. Na koniec sprawdził umieszczoną wysoko nad drzwiami żarówkę. Gdy wrócił do sypialni, Juliet już nie spała. Usiadł na łóżku, wziął ją za rękę i zaczął spokojnie z nią rozmawiać. W ciągu ostatniej godziny postanowił powiedzieć jej całą prawdę.

Wysłuchiwała go z obojętnym wyrazem twarzy, po czym zapytała:

— Będziesz tu ze mną?

— Tak.

— Bez przerwy?

— Tak. Czasem wyjdę tylko na parę minut, żeby przynieść z domu coś do jedzenia.

Skinęła głową i uściśnęła jego dłoń. Dał jej ostatni zastrzyk metadonu i zabrał ją do piwnicy. Miała na sobie tylko dżinsy i podkoszulek. Była bez butów i skarpetek. Rozejrzała się nieco zalekniona po piwnicy. Michael wyjaśnił, że to miejsce służy do produkcji i magazynowania wina i będzie dla niej najbezpieczniejszą kryjówką. Juliet położyła się na materacu. Michael obiecał, że wróci za godzinę.

W rzeczywistości wyprawa do miasteczka zajęła mu tylko pół godziny. Słońce było już wysoko. Teresa powitała go z radością, choć nie ukrywała zaskoczenia. Zdziwiła się jeszcze bardziej, kiedy kazał jej trzymać się przez jakiś czas z daleka od ich domu i nikomu nie mówić, że dostała takie polecenie. Kupił w sklepiku kilka skrzynek prowiantu, głównie konserwy, owoce, makaron i napoje. Postanowił nie pić w najbliższym czasie alkoholu. Po powrocie do domu wyładował

wszystkie zakupy i przeciągnął do piwnicy kabel telefoniczny. Kiedy otworzył ciężkie drzwi, zobaczył, że Juliet śpi na materacu. Wyszedł, żeby przynieść sobie składane brezentowe krzesło.

Gehenna zaczęła się dwanaście godzin później. Creasy opisał Michaelowi szczegółowo, co nastąpi. Dziewczyna odczuwała wyraźny niepokój. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami na materacu, oparta plecami o kamienną ścianę. Zaczęła ziewać, a potem drżeć na całym ciele. Z oczu i z nosa spływała jej wodnista wydzielina. Michael powiedział, że zaraz wróci i wyszedł z piwnicy, zamykając za sobą drzwi na klucz. Przyniósł z kuchni kilka pudełek chusteczek higienicznych i dał je Juliet, ale nic nie mogło zatamować potoków śluzu. Podkoszulek i dżinsy dziewczyny były mokre od potu. Przez kilka godzin siedział obok niej na materacu, trzymając jej drżącą dłoń. Zaczęła wydawać żalosne jęki jak cierpiące zwierzątko. Potem zapadła nagle w głęboki sen. Wiedział, że narkomani nazywają ten stan „snem głodowym”. Potrwa kilka godzin, a potem będzie jeszcze gorzej. Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Czuł w głowie dziwną pustkę.

Znów była noc. Podszedł do basenu, wpatrując się w światła osiedli na wyspach Gozo i Comino, a także na widocznej w oddali Malcie. Przepęłniała go niechęć do ludzi, którzy doprowadzili Juliet do takiego stanu. Myślał o Creasym, który był już pewnie w Mediolanie, tropiąc winowajców. Modlił się w duchu, żeby ich dopadł. Zajrzał do piwnicy po dwóch godzinach. Dziewczyna jeszcze spała, wrócił więc do basenu, rozebrał się i przepłynął go szybko pięćdziesiąt długości.

Juliet obudziła się dwie godziny później. Minęła doba od ostatniego zastrzyku metadonu. Przeżywała teraz największe katusze. Michael siedział na brezentowym krześle i widział, jak się męczy. Zaczęła ziewać tak gwałtownie, że bał się, by nie zwichnęła sobie szczęki. Z nosa spływał jej wodnisty śluz, a z oczu strumienie łez. Źrenice miała mocno rozszerzone. Delikatne włoski na jej ciele zjeżyły się. Była zimna jak lód i miała gęsią skórę. Michael wiedział od Creasy'ego, że to symptomy głodu narkotycznego.

Cierpiała coraz bardziej. Nie mogła powstrzymać gwałtownej reakcji jelit. Piwnicę wypełnił nagle odrażający smród, a na dżinsach Juliet pojawiła się wielka plama. Ściągnęła je gorączkowo, a potem zdjęła także zabrudzone majtki i przesiąknięty potem podkoszulek. Była teraz zupełnie naga. Michael miał wrażenie, że nie zauważa w ogóle jego obecności, po chwili dostrzegł jednak jej badawcze spojrzenie i usłyszał, jak zduszonym głosem błaga go o zastrzyk. Podniósł się z krzesła, podszedł do beczki i zanurzywszy w niej drewnianą chochlę oblał Juliet wodą. Robił to kilkakrotnie, ale ciągle na nowo się brudziła. Dostała torsji. Leżała na ziemi, wymiotując i wydalając kał. Zauważył w wymiocinach krew i jego niepokój zmienił się niemal w rozpacz. Spostrzegł też, że brzuch Juliet drga, jakby miała pod skórą kłębówisko węży. Creasy wspominał mu, że to skutek silnych skurczów jelit. Świadomość tego faktu nie przyniosła jednak Michaelowi ulgi. Wiedział, że od tej chwili dziewczyna nie zazna już spokoju, aż przeży-

cięży chorobę albo umrze. Przemknęło mu przez myśl, że grób, który musiałby wykopać, nie byłby szczególnie długi ani szeroki.

W ciągu następnej godziny oplukiwał ją jeszcze kilka razy wodą z beczki. Juliet była cała mokra, podobnie jak materac i posadzka piwnicy. Michael rozglądał się nieprzytomnie, trzymając w ręce drewnianą chochlę. Stracił poczucie czasu i gdyby nie miał zegarka, nie potrafiłby ocenić, czy spędził w piwnicy kilka godzin, dni czy tygodni. Wszystko go bolało i czuł dziwne otępienie. Wiedział, że Juliet nie dostawała narkotyku mniej więcej od trzydziestu sześciu godzin i że minie jeszcze cztery lub pięć dni, zanim wróci do równowagi albo umrze.

W pewnej chwili odezwała się do niego gardłowym, chrapliwym szeptem, błagając o zastrzyk. Podszedł do brezentowego krzesła i usiadł, próbując uniknąć jej spojrzenia. Nie potrafił. Drobna, blada i drżąca postać na brudnym materacu wciąż przykuwała jego wzrok. Chciała mu oddać wszystko, co miała, to znaczy swoje nagie ciało. Pokazywała Michaelowi piersi, obejmując je dłońmi. Rozkładała nogi i masowała krocze, aby go skusić. Starał się w tym momencie patrzeć w punkt na ścianie nad jej głową. Nagle zaczęła przeklinać i krzyczeć. Z ust trzynastoletniej dziewczyny padały wulgarne słowa. W końcu zaczęła energicznie wierzgać i kopać nogami w materac. Trwało to bardzo długo. Michael zastanawiał się, jak ktokolwiek jest w stanie zachowywać się tak agresywnie przez dłuższy czas. Wątpił, czy nawet silny mężczyzna potrafiłby to znieść, a co dopiero słaby i wycieńczony organizm dziecka.

Był przerażony. Nagle usłyszał, że dzwoni telefon. Dziewczyna nie zwracała na to uwagi. Nadal miotła się we wszystkie strony, wierzgając nogami. Michael podniósł słuchawkę i usłyszał dobiegający z daleka głos Creasy'ego:

— Czy to ty?

— Tak.

— Jak wygląda sytuacja?

Michael wciągnął głęboko powietrze i odparł najspokojniej jak potrafił:

— Jestem w piwnicy. . . Myślę, że ona umiera.

— Opisz, co się z nią dzieje. Michael musiał znów zaczerpnąć tchu.

— Ma drgawki. Wierzga jak cholera. I błaga o zastrzyk.

Creasy zapytał opanowanym głosem:

— Wymiotowała i wydalala kał?

— Tak.

— Miała skurcze brzucha?

— Tak.

— Czy długo spała?

— Owszem. Zbudziła się kilka godzin temu. . . Creasy, to jeszcze dziecko. . .

Jej organizm dłużej tego nie wytrzyma.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym Creasy zapytał:

— Ile czasu minęło od ostatniego zastrzyku?

— Trzydzieści osiem godzin i trzydzieści minut — odparł Michael, spojrzawszy na zegarek.

Creasy zastanawiał się przez moment, po czym rzekł:

— Jeżeli wytrzyma jeszcze jedną dobę, może przeżyje. Spałeś choć trochę?

— Nie.

— Posłuchaj mnie uważnie. Narkomani nazywają to, co się z nią teraz dzieje, „wypędzaniem diabła”. Pamiętaj, Michael: pod żadnym pozorem, choćbyś czuł się nie wiem jak parszywie, nie dawaj jej następnego zastrzyku. Bez względu na to, co będzie robiła albo mówiła. — Jego głos zabrzmiał ostro. — I nie myśl nawet o wzywaniu lekarza czy kogokolwiek innego. Lekarz da jej zastrzyk i wyśle ją do ośrodka odwykowego. W przypadku niektórych narkomanów może to być najlepsze rozwiązanie, ale mam przecucie, że dla Juliet jedyną szansą ratunku jest pozostanie jeszcze przez kilka dni pod twoją opieką w tej piwnicy. Teraz zamknij ją tam i prześpij się chociaż ze cztery godziny. Nastaw sobie budzik. Jeżeli zaśniesz w piwnicy, może się to źle skończyć.

— Nie mogę zostawić jej samej! — zaprotestował Michael.

— Musisz! Wyjdź z piwnicy na cztery godziny i zabierz stamtąd wszystko, czym mogłaby się skaleczyć.

Michael spojrzął na rozhisteryzowaną dziewczynę, a potem na drzwi. Był skrajnie wyczerpany. Wydawało mu się, że ma w oczach ziarenka piasku. Wszystko go bolało. Juliet zaczęła właśnie rozkładać koce i przykrywać się nimi. Michael powiedział o tym Creasy’emu.

— To następny etap — wyjaśnił Creasy. — Wstrząsają nią dreszcze. Będzie to trwało przez wiele godzin. Nie zaśnie, bo ma silne skurcze żołądka. Mogą ją nawet zabić, ale nic na to nie poradzisz. Jeśli przeżyje, później będzie cię potrzebowała. Idź się przespać.

Michael powziął decyzję.

— W porządku. A co u ciebie?

— Trafiłem chyba na ślad człowieka, którego nazwisko dostałem w Marsylii. Spróbuję go zlokalizować. Zadzwońię znowu za dwa, trzy dni... Trzymaj się, Michael.

W słuchawce zaległa cisza.



## 26

Creasy wyrzucił dwie czwórki. Satta wznosił oczy do nieba, mruczając coś na temat jego piekielnego szczęścia. Creasy zabrał z planszy dwa ostatnie żetony, spojrzął na kostki i dokonawszy szybkiego rachunku, oznajmił:

— To daje w sumie czterysta dwadzieścia tysięcy lirów.

Satta zaklął pod nosem, wstał od stołu, przeciągnął się i podszedł do barku.

Znajdowali się w jego wytwornym mieszkaniu. Było sobotnie popołudnie. Obaj mieli na sobie nie zobowiązujące stroje: luźne spodnie i rozpięte pod szyją koszule. Od dwóch godzin czekali na telefon, wypełniając czas grą w trik-traka. Creasy również podszedł do barku, który przypominał raczej bar w lokalu, i spojrzął na zegarek.

Satta podał mu wódkę z wodą sodową w wysokiej oszronionej szklance i powiedział:

— Na pewno wkrótce zadzwoni. Można na nim polegać. Jeśli on nie znajdzie Donatego, to nikomu się to nie uda.

— Jestem cierpliwy, Mario — odparł z uśmiechem Creasy. — Mogę siedzieć tu nawet cały dzień i grać w trik-traka.

— Nie wiem, kto się bardziej napawa wygraną, ty czy Guido... — stwierdził z przekąsem Włoch. — A propos, który z was zwykle wygrywa, kiedy gracie ze sobą?

— Raz ja, raz on — odparł Creasy. — Ale nigdy nie gramy o pieniądze.

— Dlaczego?

— Robimy to tylko dla wprawy, żeby potem napychać sobie portfele, ogrywając opłacanych zbyt sobicie pułkowników żandarmerii.

Satta zamierzał mu coś odpowiedzieć, ale w tym momencie zadzwonił telefon. Przez dwie minuty pułkownik odbierał od kogoś informacje, po czym rzekł: „dziękuję”, odłożył słuchawkę i zwrócił się do Creasy ego:

— To na razie tylko spekulacje... Jest w tym mieście człowiek o nazwisku Jean Lucca Donati, szacowny biznesmen po sześćdziesiątce. Pochodzi z Neapolu, ale już trzydzieści lat mieszka i pracuje w Mediolanie. Nie karany. De facto cieszy się nieposzlakowaną opinią w biznesie i bankowości. Od piętnastu lat dobrze prosperuje. Ma dużą firmę, która handluje z Bliskim i Dalekim Wschodem.

Importują i eksportują wysokiej jakości odzież i wyroby tekstylne. Donati dużo podróżuje. Jest wdowcem. Jego trzech dorośli synowie też są biznesmenami. Ma mansardę w Mediolanie i małą willę nad jeziorem Como.

Creasy słuchał go uważnie. W końcu zapytał, popijając drinka:

— I co z tego?

Satta wzruszył ramionami.

— Mojemu koledze wydaje się podejrzany.

— Dlaczego?

Satta lekko się uśmiechnął.

— Ponieważ płaci podatki.

— To powód, żeby wątpić w jego uczciwość?

— Jesteśmy we Włoszech — stwierdził poważnie Satta. — Oskarżenie o oszustwa podatkowe to często jedyny sposób, żeby dobrać się do skóry przestępcy. W Ameryce tak właśnie trafił za kratki Al Capone. Od kilku lat zajmuję się aferami korupcyjnymi, w które zamieszani są przemysłowcy i nasi kochani politycy, i nie spotkałem w tym czasie ani jednego biznesmena, płacącego uczciwie podatki. Dlaczego więc Jean Lucca Donati jest takim aniołem? Istnieje przecież tyle sposobów na uniknięcie opodatkowania. Nasuwa to podejrzenia, że stara się być czysty jako właściciel stosunkowo niewielkiej firmy, aby ukryć dużo większe zyski z nielegalnej, być może, działalności.

— Ale to tylko podejrzenia — stwierdził sceptycznie Creasy. Rozmawiali po włosku. Creasy nauczył się tego języka od Guida, gdy służyli razem w Legii Cudzoziemskiej, a potem jako najemnicy. Włoch opanował natomiast angielski. W rezultacie angielszczyzna Guida miała lekki południowoamerykański akcent, Creasy zaś mówił po włosku jak neapolitańczyk. Radził sobie na tyle dobrze, że Włosi rozpoznawali w nim cudzoziemca tylko dlatego, że nie gestykulował. Z kolei Satta tak bardzo potrzebował do rozmowy rąk, że zaniemówiłby chyba, gdyby związane mu je za plecami.

— Nazwałbym to raczej intuicją niż podejrzeniami — stwierdził pułkownik. — Weź pod uwagę, że nie udało nam się zlokalizować żadnego innego Donatiego, który mógłby być zamieszany w handel żywym towarem na międzynarodową skalę...

Podniósł słuchawkę telefonu i po paru sekundach rozmawiał już ze swoim asystentem Bellu, wydając mu szczegółowe instrukcje. Miał uzyskać dokładne informacje na temat finansów Donatiego, jego ostatnich podróży i kontaktów handlowych za granicą.

Odłożywszy słuchawkę powiedział do Creasy'ego:

— Jeżeli nie odkryjemy niczego w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, założę podsłuch we wszystkich jego telefonach i każę śledzić go przez całą dobę.

— Dlaczego?

— Co dlaczego?

— Dlaczego to robisz? Harujesz od świtu do zmierzchu. Masz na głowie milion spraw. Ta nie jest przecież najważniejsza. Skąd to zaangażowanie?

Satta nie odpowiedział od razu. Musiał się zastanowić, ale w końcu stwierdził ze swadą:

— Creasy, ależ z ciebie dureń! Zapominasz, że masz przyjaciół? Nie rozumiesz, że nie jesteś sam? Nie wiesz, że Guido oddałby za ciebie życie? Że wielu innych ludzi, rozrzuconych po całym świecie, postąpiłoby tak samo? Masz ograniczony umysł. Widzisz wszystkich w takim samym świetle, jak siebie. — Włoch był wyraźnie wzburzony, a nawet rozgniewany. Zauważywszy, że szklanki są już puste, ponownie je napełnił. Rzadko okazywał uczucia, ale tego wieczoru sobie pofolgował.

— Znam cię od sześciu czy siedmiu lat i wiem, jak wiele zawdzięczają ci różni ludzie. Ale ty sam jakby nie zdajesz sobie z tego sprawy. Jeśli ten Błękitny Kartel istnieje, na pewno go zniszczysz. Ale jako stary przyjaciel muszę cię ostrzec, że masz już swoje lata. Całe życie działałeś sam i nie potrzebowałeś niczyjej pomocy. Ale teraz przydadzą ci się ludzie, których wyszkoliłeś. . . Oczywiście, jestem w stałym kontakcie z Guidem. Znam go jak brata. Czasem, pod koniec długiego wieczoru, po dobrej kolacji i winie, zaczyna o tobie opowiadać. Nie zdradza żadnych sekretów, wspomina tylko, jak byliście razem w Legii, w Afryce, na Dalekim Wschodzie i w Wietnamie. Pojawiłeś się na mojej drodze, postanawiając zniszczyć rodzinę mafijną, która skrzywdziła twoje ukochane dziecko. Powinienem był cię aresztować, ale pozwoliłem ci uciec. Załatwiłeś tych łajdaków z mafii tak, że cofnęli się o dziesięć lat. Nie słyszałem o Błękitnym Kartelu, ale wszystkiego się dowiem. Możesz wezwać na pomoc wielu ludzi. Nie działaj sam. Wykorzystaj kontakty z przeszłości. Ludzie, których ścigasz, są bardziej niebezpieczni, niż ci się wydaje. Sądząc z tego, co mi mówiłeś, działają już od wielu lat, a nic o nich nie wiemy. Muszą więc być dobrze zorganizowani i bardzo przebiegli. — Satta był wyraźnie podenerwowany. Pociągnął jeszcze jeden łyk ze szklanki, pokiwał zdecydowanie głową i stwierdził: — Przypomina mi to sytuację sprzed sześciu lat. Jesteś zwiastunem burzy. Niewątpliwie w ciągu najbliższych tygodni spotkam się z naciskami, żeby cię odnaleźć i aresztować. Spróbuję im nie ulec.

— Zajmuję się teraz zwalczaniem korupcji. I z jakim rezultatem? Zamykam winnych, a oni korzystają z poparcia polityków i wychodzą na wolność, dostając tylko klapsa po łapach. Nie zawieź mnie, Creasy. . . Ostatnio życie stało się nudne. Myślę, że Donati, którego zidentyfikowaliśmy, to pierwsze znaczące ogniwo. . . Zgoda, brak nam dowodów, ale zajmij się nim. Znasz dobrze mojego asystenta. . . a właściwie partnera, Bellu. . . Ma głowę na karku. Przydałby mu się dłuższy urlop. Poproszę go, żeby ci towarzyszył. Będziesz działał w majestacie prawa. Ale nalegam, żebyś zadzwonił do ludzi, których dobrze znasz i którym ufasz. Niech pomogą ci załatwić tych bydlaków. Nie ma w tym kraju — ani w całej Europie — żadnej instytucji, która mogłaby tego dokonać.

Zapanowało milczenie. Po chwili Creasy zapytał, uśmiechając się pod nosem:

— Czy w nagrodę dostanę od żandarmerii emeryturę?

Satta też się uśmiechnął, wyraźnie podekscytowany.

— Nigdy więcej nie usłyszysz ode mnie tego, co ci dzisiaj mówię. Złoczyńcy, których ścigasz, nie staną przed sądem. Jedyłą dla nich karą będzie śmierć. Masz na to moje przyzwolenie. . . Tymczasem, Creasy, dopóki jesteś we Włoszech, musisz być bardzo ostrożny. Nie zapominaj, że dobrze znają tu twoją twarz, a każda mafijna rodzina z pewnością chciałaby dostać cię w swoje ręce.

Creasy wzruszył ramionami.

— Właśnie dlatego mieszkam w nędznym hoteliku i z nikim się nie kontaktuję.

Włoch z namysłem pokiwał głową, po czym wskazał na telefon.

— Porozmawiaj z kim trzeba.

Creasy spojrzał na niego.

— Nie ma podsłuchu?

— Możesz być o to spokojny.

Creasy zadzwonił do Brukseli. Blondie rozumiała go doskonale, choć mówił półsłówkami.

— Co z bazą? — zapytał.

— Załatwiona — odparła.

Powiedział jej następnie, z kim może szczerze i otwarcie rozmawiać.

— Oczywiście z Michaelem, a wkrótce pewnie również z dziewczyną, która ma na imię Juliet. W sprawę wtajemniczony jest policjant z Kopenhagi, którego już spotkałaś, i Francuz z Marsylii o pseudonimie Sowa. Jego szefa znasz z Algieru. Był legionistą. Teraz mieszka w Marsylii.

Usłyszał jej stłumiony śmiech i słowa:

— Tak, pamiętam go. . . nie jest szczególnie odrażający.

— No jasne. Znałaś przecież wszystkich przystojnych legionistów w północnej Afryce.

Zaśmiała się znowu i powiedziała:

— To porządny facet. I darzy cię szacunkiem. Kto jeszcze jest na liście?

— Oczywiście Maxie. Skontaktuj się też z Australijczykiem i Francuzem, którzy pomagali mi ostatnio podczas operacji w Stanach. Niech będą w pogotowiu. Dostaną normalne honoraria. . . i satysfakcjonującą robotę. Zjawię się za parę dni.

— Odłożył słuchawkę i spojrzał na Sattę, który uśmiechał się od ucha do ucha.

— A więc zaczynamy wojnę — stwierdził z zadowoleniem.

— Jak tylko wskażesz mi konkretny trop — odparł Creasy, wykręcając kolejny numer. Nagle odłożył słuchawkę z powrotem na widełki.

— Co się stało? — zapytał zaskoczony Satta.

— Czy aparat Guida może być na podsłuchu?

Satta z uśmiechem pokręcił głową.

— Często bywam w jego pensjonacie i regularnie wszystko sprawdzam. Niczego się nie obawiaj.

Kilka sekund później odebrał telefon Pietro, adoptowany syn Guida, który najczęściej pomagał mu w pracy. Był na Gozo podczas tych dramatycznych tygodni, gdy Creasy walczył z mafijną rodziną Cantarellich. Odbyli teraz krótką, ale serdeczną rozmowę.

— Co słyhać, nędzna kreaturo?

— Poznają twój parszywy głos. Czego chcesz?

— Masz pod ręką starego?

— Nie, jest ze swoją matką. . . Boli ją głowa.

Creasy zaśmiał się cicho i powiedział:

— Posłuchaj uważnie i przekaż mu ode mnie wiadomość. Mogą dzwonić do was następujące osoby: ja, Michael, Satta, Bellu, Korkociąg Dwa, Blondie, Juliet, Beza, Sowa, Laura, Maxie, Nicole, Miller, Callard. . . Odbierajcie informacje tylko od nich. Od nikogo więcej.

Pietro zanotował wszystko, po czym zapytał:

— Zobaczmy się?

— Za kilka dni — odparł Creasy i odłożył słuchawkę. Spojrzawszy na Sattę powiedział: — Jeszcze tylko dwa albo trzy telefony i będę gotowy.

Satta skinął głową i napełnił ponownie szklanki. Creasy zadzwonił teraz do Marsylii, do Leclerca. Mówili o błahych na pozór sprawach, o kuzynie z Mediolanu i starej ciotce z Neapolu. Creasy użył paru przydomków, które osobie podsłuchującej ich rozmowę do niczego by się nie przydały. Nawet Satta nie miał pojęcia, o kogo chodzi. Wiedział jednak, kim jest Leclerc i domyślał się, że Creasy zamawia broń, która ma być dostarczona do Mediolanu i Neapolu.

W końcu Creasy stwierdził:

— Podobno Sowa dobrze się spisał. Może mógłbym wykorzystać go i tym razem? — Po chwili skinął głową z zadowoleniem, powiedział: — W porządku — i odłożył słuchawkę. Potem zadzwonił na Gozo, wysłuchał zdenerwowanego Michaela i poradził mu, co ma robić. Gdy skończył rozmowę, Satta zauważył ból na jego twarzy.

— Co się stało? — zapytał.

Creasy powiedział, co dzieje się z Juliet. Satta był jednym z niewielu ludzi, którzy go rozumieli i zdawali sobie sprawę, że tylko z pozoru jest gruboskórny i nieczuły.

Położywszy mu rękę na ramieniu rzekł cicho:

— Walczysz z wiatrakami. Chcesz zabić smoka. Zniszczysz zło. . . i dokąd potem uciekniesz? Z powrotem na swoją wyspę?

Creasy opróżnił szklankę, skinął głową i powiedział:

— Tak, wrócę na swoją wyspę. . . i do mojego syna. . . — Zastanawiał się przez chwilę, po czym dodał poważnym tonem: — Możliwe, że za czterdzieści

osiem godzin będę miał też córkę. — Podniósł głowę, rozprostował zmęczone ciało i rzekł półgłosem: — Mario, wyobrażasz sobie, że po tym wszystkim, co się wydarzyło, mógłbym mieć syna i córkę? Kiedy straciłem żonę i dziecko, myślałem, że to już koniec... A teraz... — Creasy zamilkł na kilka sekund, po czym dodał bardzo cicho: — Mario... Wiem, że jesteś wierzący. Proszę, znajdź dziś wieczorem czas, żeby pomodlić się za moją córkę.

Bóg stworzył świat w ciągu sześciu dni. Siódmego dnia odpoczywał. Ale po upływie tysięcy lat znów zabrał się do pracy, żeby ocalić jedno ze swych stworzeń.

O świcie Juliet zaczęła mieć całą serię gwałtownych orgazmów. Trzymała się kurczowo za krocze, a jej drobne ciało wyginało się w łuk, wstrząsane kolejnymi spazmami. Michael siedział w piwnicy na brezentowym krześle, wiedział jednak, że teraz musi stamtąd wyjść. Zaczynał się ostatni etap jej zmagania. Młode serce Juliet było bardzo osłabione wskutek dużych ilości narkotyków, które dostawała. Michael zdawał sobie sprawę, że w ciągu najbliższej godziny mogłaby go zaatakować, powodowana dziką seksualną żądzą lub nienawiścią. Zabrawszy krzesło, chochłę i telefon wyszedł z piwnicy, zamykając za sobą drzwi na klucz. Potem nastawił budzik i zasnął obok basenu. Po godzinie, drżąc na całym ciele, wrócił do piwnicy. Dziewczyna mogła już nie żyć albo spać.

Początkowo myślał, że umarła. Leżała zupełnie nieruchomo na mokrym materacu, skulona jak płód w łonie matki. Była cała spocona. Michael podszedł do niej powoli. Wiedział, jak sprawdzić, czy ktoś jest martwy. Dotknął jej ramienia. Było zimne. Wyprostował jej głowę i położył dłoń pod podbródkiem, dotykając arterii. Puls był słaby, ledwo wyczuwalny... ale Juliet żyła. Wstał i spojrzał na jej brudne, wycieńczone ciało. Wydała mu się najpiękniejszą istotą, jaką w życiu widział.

Wymówił jej imię, wiedząc, że go nie słyszy. Potem wziął ją na ręce i wyniósł z piwnicy. Przystanął na chwilę, wchodząc do domu, po czym skierował się do sypialni Creasy'ego, położył Juliet na szerokim łóżku i poszedł do łazienki. Nalawszy ciepłej wody do wysokiej sosnowej balii wsadził do niej dziewczynę i starannie ją umył. Później owinął Juliet dużym ręcznikiem i zaniósł do łóżka. Mruczała coś chwilami, ale nie ruszała się. Wróciwszy do łazienki, wziął gorący prysznic, jakby chciał zmyć wspomnienia siedmiu dni piekła. Następnie zajrzał znowu do sypialni. Juliet oddychała płytko, ale regularnie.

Wszedł do kuchni, aby zrobić jej coś do jedzenia. Wziąwszy dwa duże kurczaki, poćwiartował je, poddusił trochę na patelni z odrobiną oliwy i włożył do dużego garnka, zalewając wodą. Potem wrzucił tam również pokrojoną cebulę, marchewkę, ziemniaki, fasolę, koper, pietruszkę i bazylię. Zostawił przykryty gar-

nek na małym ogniu i wrócił do sypialni. Położył się obok Juliet i objął ją. Kręciła się niespokojnie, ale ciągle tuliła do niego głowę. Gdyby była przytomna, czułaby na policzkach i na ramionach jego łzy. Spała jednak jak anioł, on zaś jak męczennik.

Rano Michael przyniósł z kuchni filiżankę rosółu i, przytrzymując głowę Juliet, ostrożnie wlewał go jej do ust. Wkrótce dziewczyna znowu zasnęła i, obudzony się po kilku godzinach, wypila następną porcję. Zauważył, że patrzy zawstydzona na swoje nagie ciało, wyjął więc z szuflady kolorowy sarong, w którym Creasy miał zwyczaj spać, owinał ją nim, pocałował w policzek i powiedział, żeby postarała się zasnąć.

\* \* \*

Papiery od Leclerca dotarły po dwóch dniach. Michael odebrał przy furtce dostarczoną przez kuriera przesyłkę z Marsylii, podpisał pokwitowanie, wszedł do kuchni i, zaparzywszy sobie mocną czarną kawę, otworzył dużą kopertę. Były w niej dokumenty adopcyjne trzynastoletniej dziewczynki, Juliet Creasy. Zaadoptowali ją przed dwoma laty niejaki Marcus Creasy i jego żona Leonie. Była sierotą narodowości belgijskiej, wychowywaną w sierocińcu w Brugii. Dokumenty wyglądały na autentyczne, podobnie jak maltański paszport ze zdjęciem dziewczyny.

Michael uśmiechnął się i zaniósł kopertę do sypialni. Juliet była jeszcze rozespana, ale dokumenty i paszport sprawiły jej dużą radość. Objęła Michaela za szyję, przyciągnęła go do siebie i pocałowała w policzek.

— Masz teraz siostrę — powiedziała.

— A ty brata — odparł.



## 28

Massimo Bellu był niemal pod każdym względem przeciwieństwem swego szefa, pułkownika Satta, ale łączyły ich dwie cechy: błyskotliwa inteligencja i zapał, z jakim starali się ją wykorzystywać. Poza tym mieli ze sobą niewiele wspólnego. Satta był przystojnym i eleganckim cynikiem o arystokratycznych manierach, Bellu zaś niskim, pulchnym i łysiejącym jegomościem, który ubierał się jak kancelista z podrzędnej firmy handlowej. Jego kulinarne zamiłowania nie wykraczały poza hamburgera z dodatkową porcją cebuli i *spaghetti carbonara*. Nie znosił też grać w trik-traka. Przed paru laty zbuntował się w końcu i odmówił szefowi swojego udziału w grze podczas tych wielu nocy, które spędzali razem, czekając na telefon albo obserwując kogoś.

Pracował dla Satta od ośmiu lat. Przez pierwszy rok starał się usilnie znaleźć jakiś sposób, żeby przeniesiono go do innego wydziału. Potem zaczął jednak doceniać i rozumieć niepoślednie walory umysłu szefa. W tym akurat czasie bardzo uzdolniona młodsza siostra Bellu chciała studiować medycynę na uniwersytecie Catanzaro. Z powodu małej liczby miejsc trudno się tam było dostać bez znajomości. Początkowo jej podanie odrzucono, ale po tygodniu została powiadomiona o zmianie decyzji. Dopiero dużo później wyszło na jaw, że wstawił się za nią niejaki profesor Satta, wybitny chirurg ze szpitala Cardarelli w Neapolu.

Gdy Bellu poprosił pułkownika o wyjaśnienia, Satta wzruszył tylko ramionami i powiedział:

— Przecież pracujesz ze mną. Jasne, że musiałem jakoś pomóc.

Od tego dnia Bellu przestał myśleć o przenosinach. Ważniejsze od tego, co Satta zrobił, były słowa, które wypowiedział: pracujesz „ze mną”, a nie „dla mnie”. Z biegiem lat ich wzajemne stosunki stawały się coraz bardziej partnerskie.

\* \* \*

Bellu siedział do późna w biurze przy swoim nowym komputerze Apple Mac-

kintosh, który był jego dumą i radością. Pasjonował się tego typu sprzętem. Wydziałowy ekspert od informatyki nie nauczyłby go już niczego nowego. Pracując przez wiele tygodni.

Bellu naniósł na twardy dysk komputera mnóstwo danych. Tego wieczoru patrzył uważnie w ekran, usiłując wysledzić, kim jest naprawdę Jean Lucca Donati.

Omali nie przeoczył pewnej istotnej informacji, ale wrócił do niej po dwóch minutach. Przez chwilę wpatrywał się w ekran, po czym postukał w klawiaturę i wszedł do nowego pliku. Znalazł tam dane niejakiego Anwara Hussajna, Araba, a właściwie Nubijczyka, którego przodkowie pochodzili z Egiptu. Podobnie jak Donati był on handlowcem i miał doskonałe kontakty na Bliskim Wschodzie. Cieszył się równie nieposzlakowaną opinią i od dwudziestu lat mieszkał w luksusowej willi na przedmieściach Neapolu. Płacił także podatki. W niekorzystnym świetle stawał go jedynie fakt, że przed dwoma laty celnicy z Arabii Saudyjskiej znaleźli w kontenerze z odzieżą wysyłanym do Rijadu przez jedną z włoskich firm Hussajna niewielką ilość dziecięcej pornografii i wydawnictw satanistycznych. Człowieka oskarżonego o przemyt Hussajn natychmiast zwolnił z pracy.

Zarówno Jean Lucca Donati, jak i Anwar Hussajn należeli do stowarzyszenia kulturalnego, zwanego Klubem Włosko-Arabskim, i przed czterema laty byli obaj w jego władzach. Tylko to ich łączyło. Bellu miał w komputerze informacje na temat klubu, ponieważ w końcu lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych sądzono, że może on być przykrywką dla arabskich służb wywiadowczych. Podobne podejrzenia dotyczyły działalności British Council, Alliance Francais i Instytutu Goethego. W przypadku tego stowarzyszenia okazały się one bezzasadne.

Przeglądając kolejne pliki Bellu odkrył, że obu mężczyzn łączy coś jeszcze. Jean Lucca Donati był honorowym konsulem Egiptu w Mediolanie, a Anwar Hussajn pełnił taką samą funkcję w Neapolu. Dawało to im obu dostęp do poczty dyplomatycznej. Bellu wyłączył komputer i spojrział na zegarek. Dochodziła północ. Mimo późnej pory zadzwonił jednak do Satty i poinformował go o swoim odkryciu. Pułkownik kazał śledzić obu mężczyzn i ich rodziny, a potem zatelefonował do Creasy'ego, który wychodził akurat z hotelu, aby polecieć do Brukseli. Usłyszawszy, co Satta ma mu do przekazania, Creasy uznał, że to dość nikły ślad. Pułkownik zaśmiał się cicho i stwierdził:

— Myślę, że nie. . . Wpadliśmy na trop aż dwóch ludzi, którzy płacą regularnie wysokie podatki i cieszą się zaufaniem egipskiego rządu.

## 29

Michael zaprosił Juliet na niedzielny obiad do restauracji państwa Schembrich. Stanowiło to swego rodzaju rytuał. Zawsze, gdy Creasy i Michael byli na wyspie, odwiedzali co drugą niedzielę ten lokal. W pozostałe weekendy państwo Schembri przychodzili do nich na grilla.

Przed wyjściem z domu Michael zabrał Juliet do sypialni Creasy'ego i powiedział:

— W tym pokoju jest dobrze ukryty sejf. Ponieważ należysz teraz do rodziny, powinnaś wiedzieć, jak się go otwiera.

Miał ze sobą kopertę z otrzymaną właśnie dokumentacją i paszportem Juliet. Zbliżywszy się do wezłowania szerokiego małżeńskiego łóża wskazał prawy górny narożnik jednej z wielkich wapiennych płyt, które tworzyły grubą ścianę.

— Trzeba odliczyć cztery płyty od podłogi — wyjaśnił — a potem nacisnąć mocno w tym miejscu. — Pchnął wapienną płytę, która bezgłośnie się przesunęła. Za nią były wysokie na metr i szerokie na pół metra metalowe drzwiczki z rączką i tarczą sztyfowego zamka. — Masz dobrą pamięć? — zapytał Michael. Juliet przytaknęła z powagą, przejęta jak każde dziecko, któremu powierza się tajemnicę. — 83...02...91...

Powtórzyła te cyfry dwa razy i skinęła głową. Michael pokręcił tarczą zamka i otworzył ciężkie drzwi. W sejfie było kilka półek. Na najwyższej leżały jakieś przedmioty owinięte irchą.

— To broń — wyjaśnił. — Pistolety, w tym dwa maszynowe, plus tłumiki i amunicja. Później pokażę ci, jak się nimi posługiwać. — Wskazał na środkową półkę, na której leżało kilka grubych teczek. — Tu są akta różnych ludzi, wrogów i przyjaciół. A tutaj osobiste dokumenty — dodał, wskazując na najniższą półkę, na której leżały również teczki, ale cieńsze. Wyjął jedną z nich, otworzył i wrzucił do środka paszport i dokumenty adopcyjne Juliet. Pod dolną półką była płytka szuflada. Wysunął ją i pokazał Juliet mocno zwinięte pliki banknotów.

— Są tu dolary amerykańskie, franki szwajcarskie, funty szterlingi, marki niemieckie i riale z Arabii Saudyjskiej — wyjaśnił. Wyjął niewielką brezentową sakiewkę i potrząsnął nią. Juliet usłyszała brzęk monet. — To złote suwereny i randy. Bardzo przydatne jako waluta na Bliskim Wschodzie. — Wrzucił sakiew-

kę z powrotem do szuflady. Zamknąwszy drzwiczki sejfu i przekręciwszy tarczę zamka, powiedział: — W sumie mamy w tej szufladzie równowartość ponad pięciuset tysięcy dolarów amerykańskich. Gdybyś pod naszą nieobecność znalazła się w potrzebie, skorzystaj z tych pieniędzy. — Spojrzał na nią z udawaną surowością. — Ale nie waż się podjeżdżać pod dom sportowym Mercedesem.

Juliet uśmiechnęła się. Michael pomyślał, że wyrosnie na bardzo piękną kobietę. Teraz jednak była wychudzona i mizerna. Sterczały jej kości policzkowe, a nogi i ręce miała cienkie jak patyki. Michael obliczył, że w trakcie kuracji odwykowej musiała stracić co najmniej dwanaście kilogramów, czyli około jednej czwartej swojej wagi. Ale teraz już dobrze się odżywiała i w ciągu tygodnia powinna nieco przytyć. Zaczęła też dbać o kondycję, przepływając codziennie rano i wieczorem kilka długości basenu.

\* \* \*

Jadąc dżipem przez Rabat do Nadur Michael opowiadał Juliet szczegółowo o Paulu i Laurze Schembrich, o ich synu Joeyu i o Marii, która od dwóch lat była jego żoną. Wszyscy oni mieli być na obiedzie. Wyjaśnił, co łączy od lat Creasy'ego i jego samego z rodziną Schembrich, podsumowując zwięźle:

— Traktujemy ich jak krewnych, i z wzajemnością. — Spojrzawszy na Juliet ciągnął dalej: — A więc, w pewnym sensie, teraz stają się także twoją rodziną. Możesz im całkowicie ufać.

Jechali krętą polną drogą w kierunku farmy. Juliet spoglądała w milczeniu na wyspę Comino i Malte. Wreszcie powiedziała cicho:

— Mam nadzieję, że mnie polubią.

Michael spojrział na nią znowu i zobaczył, że jest zdenerwowana. Zdjąwszy rękę z kierownicy ucisnął jej ramię.

— Nie martw się. Po prostu bądź sobą. Powiedz Laurze i Marii, że pomożesz im przy zmywaniu. Nie zgodzą się, ale mimo wszystko zaproponuj to. . .

\* \* \*

Juliet zdobyła sympatię państwa Schembrich. Michael nie powiedział im, kim jest. Dzwoniąc wspominał tylko, że przyjedzie ze znajomą. Gdy dżip zatrzymał się na podwórku, wszyscy wyszli ich powitać. Przedstawił Juliet jako swoją nową

siostrę. Roześmiał się, widząc zdumione twarze przyjaciół. Uścisnął Laurę i Marię, całując je w policzki i powiedział:

— Wyjaśnię wam wszystko przy obiedzie.

Posiłek był jak zawsze imponujący. Najpierw *tortellini*, potem gulasz z jagnięcia i ogromny wybór warzyw z własnych upraw.

Michael opowiadał historię Juliet, a wszyscy słuchali go w milczeniu.

Kiedy skończył, Laura stwierdziła z pretensją w głosie:

— Powinieneś być się odezwać, jak tylko wróciłeś. Mogliśmy ci pomóc... Czuwalibyśmy przy niej na zmianę. Wiesz przecież, że możesz nam zaufać.

Zanim Michael zdążył powiedzieć coś na swoją obronę, Juliet nachyliła się do Laury, mówiąc bardzo poważnie:

— Lepiej, że Michael sam się mną zajął. Wiedział, czego oczekiwać i był na to przygotowany... Poza tym, zanim zaczął się kryzys, znałam go już, ufałam mu i nie czułam wstydu. Nie macie pojęcia, jak bardzo bym się krępować, gdyby widział mnie wtedy ktoś obcy. — Załamał jej się głos. Utkwiwszy wzrok w talerzu, ciągnęła dalej: — Wiem, że o mało nie umarłam... Gdyby był tam ktoś oprócz Michaela, nie przeżyłabym. — Spojrzała Laurze prosto w oczy, dodając: — Jestem tego pewna.

Laura pokiwała głową ze zrozumieniem.

— Może masz rację. Nie potrafimy sobie wyobrazić, co przeszłaś, ale gdybyś znów była w potrzebie i nie miała do pomocy Michaela ani Creasy'ego, przyjdź do nas.

Juliet z uśmiechem skinęła głową.

— Nie omieszkam. Zwłaszcza, że jest tu takie jedzenie — dodała, wskazując na dymiący gulasz z jagnięcia.

W odpowiedzi Laura napełniła jej ponownie talerz. Protesty Juliet nic nie mogły.

— Co powiesz, gdyby ktoś chciał wiedzieć, skąd ona się wzięła? — zapytał Michaela Paul.

Chłopak wzruszył ramionami.

— Dla większości ludzi będzie to musiało pozostać tajemnicą. Mamy dokumenty adopcyjne, wydane dwa lata temu w Belgii. I maltański paszport.

— Pewnie podrobione — rzekł Joey.

— Tylko ekspert mógłby to stwierdzić — odparł Michael, znów wzruszając ramionami.

Maria, która pracowała jako urzędniczka w komisariacie policji na Malcie, ostrzegła:

— Od kilku miesięcy wszystkie dane urzędu imigracyjnego, numery paszportów i dowodów tożsamości są w pamięci komputera. Gdyby Juliet przekraczała granicę, może mieć kłopoty.

Michael uśmiechnął się.

— Jestem pewien, że przed wyjazdem z Marsylii Creasy wysłał list do George'a Zammita.

Juliet przysłuchiwała się ze zdumieniem ich rozmowie.

— To mój bratanek — wyjaśnił Paul. — Jest wysokim oficerem policji i kieruje również wydziałem do spraw imigracji. Creasy pomógł mu kilka razy. — Spojrzawszy na synową zapytał: — Masz dostęp do danych urzędu imigracyjnego?

— Tak. Sprawdzę rano, czy niejaka Juliet Creasy ma maltański paszport.

Juliet nie ukrywała zaskoczenia.

— Jak możecie to wszystko robić? Działacie jak mafia!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Joey stwierdził:

— Nie mamy tu mafii.

— To prawda — powiedziała poważnie Laura i Juliet zobaczyła błysk w jej oku. — Prawdę mówiąc czasem się tu zjawiają... ale tylko po to, by otrzymać kolejną lekcję.

Kiedy Maria zaczęła zbierać ze stołu talerze, Juliet natychmiast wstała, żeby jej pomóc.

— Usiądź — powiedziała stanowczo Laura. — W tym domu nie oczekujemy pomocy od gości.

Juliet jednak nie usiadła, mówiąc równie zdecydowanym tonem:

— Nie jestem gościem... Należę do rodziny.

Niewątpliwie zjednała sobie ich sympatię.

## 30

— Chcesz z nimi jechać, prawda? — powiedziała Nicole, uśmiechając się ironicznie. Maxie spojrzał na nią i wzruszył ramionami.

— To całkiem naturalne, Nicole. Kiedy ma się przyjaciół, z którymi człowiek tyle lat współpracował. . . To naturalne. — Szturchnął ją lekko w ramię. — Ale nie martw się. Dwa lata temu coś ci obiecałem i dotrzymam słowa. Wiesz, że jestem z tobą szczęśliwy. Pewnie, że czasem trudno mi usiedzieć na miejscu, ale przede wszystkim nie chcę cię utracić.

Było już po północy. Oboje stali za barem w bistrze. Maxie czyścił szklanki, a Nicole opierała się o kontuar. Wziąwszy do ręki kieliszek wypija kolejny łyk Armagnacu, spoglądając z namysłem na siedzących przy stole w rogu trzech ostatnich klientów. Rozmawiali ze sobą półgłosem. Rozpoznała, oczywiście, Creasy'ego: zawdzięczała mu swoje szczęście. Znała też Franka Millera, byłego australijskiego najemnika, który pracował z Creasym w Afryce i w Azji. Miał czterdzieści parę lat i był całkiem łysym, barczystym mężczyzną o małej głowie i twarzy cherubinka. Nie wyglądał zupełnie na najemnika. Nicole spotkała Maxiego i Millera w tym samym czasie. Wykonywali wtedy ostatnie wspólne zadanie i odnieśli spektakularny sukces, broniąc znanego amerykańskiego senatora przed zamachowcami z mafii. Zatrudnił ich do tej akcji Creasy. Wówczas też Nicole poznała trzeciego z mężczyzn. Nazywał się Rene Callard, był dawnym legionistą i również pracował przez wiele lat z Creasym. Przypominał bardziej najemnika niż Miller. Był człowiekiem wysokim i szczupłym, o opalonej, poznaczonej zmarszczkami i bliznami twarzy. Często jednak się uśmiechał, dzięki czemu nie wyglądał groźnie. Nicole spojrzała znów na Maxiego. Patrzył ukradkiem na trzech siedzących w kącie mężczyzn. Poczawszy na sobie jej wzrok, pośpiesznie wziął do ręki kolejny kieliszek i zaczął dokładnie go wycierać.

Uśmiechnęła się i potargawszy go za włosy zapytała:

— Czy byłeś. . . czy jesteś takim twardzielem jak oni?

Maxie wydawał się lekko zakłopotany.

— Chyba tak — odparł. — Na pewno dorównuję Frankowi i Rene. Ale nie Creasy'emu.

— Czy ktokolwiek mógłby z nim konkurować? — spytała zaciekawiona.

— Tak, jego najlepszy przyjaciel, Guido Arellio — odrzekł Maxie po krótkim namyśle. — Słyszałaś, jak o nim rozmawialiśmy. On też obiecał żonie, że od dnia ślubu nie będzie już walczył ani zabijał.

Nicole skinęła powoli głową.

— Wspominałaś mi o tym. . . Ale jest pewna różnica. Ona zmarła siedem lat temu, prawda?

— Tak, mniej więcej.

— W takim razie — stwierdziła Nicole — nie mogła zwolnić męża z przyrzeczenia. A ja mogę to zrobić. — Maxie zaczął coś mówić, ale Nicole dotknęła jego ramienia i powiedziała bardzo spokojnie: — Posłuchaj mnie. Kiedy się poznaliśmy, byłam dziwką. Wiedziałaś o tym, ale nie miało to dla ciebie znaczenia. Okazałeś mi wtedy więcej uczucia, niż zaznałam w całym życiu. Twoja miłość zmyła wszystkie moje grzechy. Kiedy poszłam z tobą do łóżka, czułam się jak dziewczyna. Zaopiekowałeś się też moją siostrą. Kocham cię teraz tak samo, a może i bardziej niż wtedy, na Florydzie. — Uśmiechnęła się na wspomnienie tamtych dni. Potem jej twarz nagle spoważniała. — Myślę, że jestem dość inteligentna. Chcę zachować twoją miłość i jeśli nawet istnieje ryzyko, że cię już więcej nie zobaczę, muszę je podjąć. — Wskazała na stolik w kącie sali i powiedziała stanowczo: — Idź do swoich przyjaciół. Umierasz przecież z ciekawości. I ja też — dodała z uśmiechem. — Za kilka minut przyniosę wam kawę i koniak.

Trzej mężczyźni podnieśli wzrok, gdy Maxie przysunął sobie krzesło i dosiadł się do nich.

— Nicole powiedziała, żebym do was dołączył — oznajmił. — Zwolniła mnie z przyrzeczenia, więc jeśli tylko mogę się na coś przydać, jestem do dyspozycji.

Creasy spojrział na stojącą za barem Nicole. Prawie niedostrzegalnie skinęła do niego głową, po czym weszła do kuchni. Przyniósłszy tacę z kawą i koniakiem postawiła ją na stoliku. Creasy podziękował jej i powiedział:

— Może usiądziesz z nami i posłuchasz, o co chodzi?

Nicole spojrzała na Franka i Rene. Obaj przytaknęli. Poszła do baru po swój Armagnac. Tymczasem Creasy przysunął jej krzesło. Pół godziny później oświadczyła Maxiemu zdławionym głosem:

— Nie tylko zwalniam cię z przyrzeczenia, ale wręcz nie będę mogła spokojnie spać, jeśli nie pomożesz im znaleźć i zabić tych łajdaków. Miałam szczęście, że pracowałam tylko dla Blondie. Sam wiesz, jak dobrze traktowała zawsze mnie i wszystkie dziewczyny. Widziałam jednak skutki postępowania tych bydlaków. Nie zasługują na to, aby żyć.

Maxie wzruszył ramionami i spojrział na Creasy'ego, mówiąc:

— Chyba nie mam teraz wyboru.

— Będzie znów jak za dawnych czasów — stwierdził z szerokim uśmiechem Rene. — Przez ostatnie pół roku niańczyłem szwedzkiego przemysłowca. . . To równie ciekawe zajęcie jak przyglądanie się wysychającej farbie. Jeśli kiedykolwiek



wiek zostanie porwany, kidnaperzy odeślą go do domu w ciągu kilku dni. Może nawet zapłacić rodzinie, żeby go odebrała!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Potem Creasy powiedział poważnym tonem:

— Dzięki, Nicole. Maxie bardzo nam się przyda. Zawsze tworzyliśmy zgrany zespół.

— Kto jeszcze do niego należy?

— Oczywiście, Blondie — odparł Creasy. — Będzie przekazywała informacje. Guido zajmie się tym samym w Neapolu, ale nie chcę go bezpośrednio angażować. — Po chwili namysłu dodał: — Jest jeszcze duński policjant, Jens Jensen. Zajmuje się tą sprawą od samego początku i koniecznie chce z nami współpracować.

— Nadaje się? — zapytał Maxie.

Creasy wzruszył ramionami.

— Jest inteligentny i doświadczony, twardy i zaprawiony w walce. Poziom trochę powyżej średniej... ale nie należy do naszej ligi.

— A ilu ludzi na świecie do niej należy? — zapytała Nicole z drwiącym uśmiechem.

— Po naszej stronie barykady najwyżej pięćdziesięciu — odparł Amerykanin. — Po przeciwnej — kilkuset.

Pozostali mężczyźni zgodnie przytaknęli, po czym Rene zapytał Creasy'ego:

— Czy ten Duńczyk nie sprawi nam kłopotu? Nie trzeba będzie go ochraniać?

— Nie — odparł Creasy, dopijając kawę. — Pilnuje go już pewien Francuz. Był w Marsylii ochroniarzem Leclerca, o którym wszyscy słyszeliście.

— A więc jest dobry — stwierdził Maxie. — Leclerc nie zatrudnia partaczy. Jak wykorzystasz tego Duńczyka?

— Jako wtyczkę — odparł Creasy. — Pracuje w końcu w duńskiej policji, w Wydziale ds. Osób Zaginionych. Ma dostęp do różnych informacji. Chce nam pomóc i jeszcze co najmniej przez miesiąc będzie na bezpłatnym urlopie, który w razie potrzeby da się przedłużyć.

— A co z Michael'em? — zapytał Maxie.

Creasy odpowiedział mu po chwili namysłu:

— Wspominałem wam o Juliet. Przed kilkoma godzinami rozmawiałem z Michael'em przez telefon. Dziewczyna szybko wraca do zdrowia i odzyskuje psychiczną równowagę.

Nicole przyglądała się uważnie Creasy'emu. Tylko ona zauważyła, jak zmiękł mu głos, gdy mówił o Juliet.

— Mniej więcej za tydzień — kontynuował Creasy — będzie mogła zamieszkać u przyjaciół i wtedy Michael do nas dołączy. Do tego czasu okaże się, czy Satta i jego asystent Bellu zdobyli jakieś nowe informacje na temat Donatego. — Spojrzał na zegarek. — O trzeciej rano lecę z powrotem do Mediolanu. O dziesiątej spotkam się z Sattą. — Zwrócił się do Franka i Rene. — Chciałbym, żebyście

obaj zameldowali się pojutrze w pensjonacie Guida. Leclerc przyśle tam trochę sprzętu: pistolety i granaty. Podobna przesyłka dotrze do Mediolanu. — Zwrócił się teraz do Maxiego. — Do ciebie zadzwonię jutro wieczorem. W zależności od tego, co powie Satta, będziesz mi potrzebny w Mediolanie albo w Neapolu.

— A co z Duńczykiem? — zapytał Maxie.

— Leci jutro do Mediolanu, a Sowa przylatuje tam z Marsylii. Spotkają się ze mną w hotelu. — Creasy odsunął krzesło i wstał. Pozostali zrobili to samo. Nicole obserwowała ich rytualne pożegnanie. Zawsze intrygował ją ten widok. Każdy z mężczyzn obejmował drugiego lewą ręką za szyję i całował go mocno w prawy policzek, bardzo blisko ust.

# 31

Przepełnęli dwadzieścia pięć długości basenu. Michael nie przyśpieszał, aby być cały czas obok Juliet. Kiedy skończyli, dziewczyna oznajmiła, z trudem łapiąc oddech:

— Mogę przepłynąć jeszcze dziesięć razy...

Michael wyszedł z basenu, sięgnął po ręcznik i powiedział z szerokim uśmiechem:

— Najwyżej pięć.

Wytarł się do sucha, patrząc na śmigającą w wodzie szczupłą sylwetkę dziewczyny. Juliet miała na sobie jaskrawoczerwony jednoczęściowy kostium, który kupili dzień wcześniej podczas szalonych zakupów w Rabacie. Minęła już godzina od wschodu słońca. Codziennie wstawali o świcie i wczesnie kładli się spać. Po śniadaniu wsiadali w dżipa i Michael obwoził Juliet po wyspie. Potem jedli obiad w restauracji „Oleander” w Xaghra. Dziewczynie smakowała miejscowa kuchnia. Polubiła też Mario, właściciela restauracji, który traktował ją jak dorosłą osobę, a nie jak dziecko. Po obiedzie znowu pływali, ale tym razem w morzu, przy skałach Qala Point. Później opalali się przez godzinę lub dwie. Juliet zawsze brała ze sobą notes i Michael uczył ją maltańskiego. Po kilku lekcjach wiedział już, że w ciągu paru tygodni dziewczyna będzie w stanie porozumiewać się w tym języku.

— Mam napisane w paszporcie, że jestem z Malty — stwierdziła Juliet. — Muszę więc znać wasz język.

— Oficjalnie jesteś Maltanką — przyznał Michael. — Ale nie zapominaj, że pochodzisz z Gozo.

— A co to za różnica?

— Zasadnicza. Maltańczycy uważają mieszkańców Gozo za chłopów z wysp, ale jak mówi nasze przysłowie: jeden wyspiarz z Gozo ma w kieszeni trzech Maltańczyków.

Juliet roześmiała się i stwierdziła:

— A więc na pewno jestem z Gozo!

Skończywszy pływać, opadła z sił i ciężko dysząc uchwyciła się krawędzi basenu.

Michael pomógł jej wyjść z wody i zapytał:

— Co chcesz na śniadanie?

Małe piersi Juliet falowały z wysiłku, ale jej oczy zabłyśły na myśl o jedzeniu.

— Poproszę jajecznicę, boczek, kiełbaski, grzyby i smażone pomidory. . . i dużo grzanek. . . i sok pomarańczowy.

Michael poszedł do kuchni, kręcąc głową.

— Ja zrobię kolację! — zawołała za nim Juliet.

Zjawiła się w kuchni po dziesięciu minutach, znacząco pociągając nosem. Włosy miała związane w ogonek, a na jej twarzy widać było opaleniznę. Założyła dżinsowe szorty i białą koszulkę z napisem „Jaskinia przemytników”. Nazywała się tak jej druga ulubiona restauracja, w której podawano znakomitą pizzę.

Michael odwrócił głowę znad kuchenki i powiedział przez ramię:

— Mniej więcej za tydzień przeprowadzisz się do Laury i Paula.

— Dlaczego?

— Ponieważ muszę wyjechać.

— Dokąd?

— Jeszcze nie wiem. Creasy będzie czekał na mnie gdzieś we Włoszech.

— Kiedy wrócisz? — zapytała, siadając przy stole.

— Nie mam pojęcia. Za kilka dni, tygodni, albo nawet później.

Spojrzał na Juliet, oczekując wyrazu zniecierpliwienia na jej twarzy. Dziewczyna pokiwała jednak tylko głową ze zrozumieniem.

— Czy nie mogłabym mieszkać tutaj? — zapytała, patrząc na niego.

Postawił przed nią talerz z jedzeniem i rzekł:

— Jeżeli zostaniesz tu sama, będziemy się o ciebie niepokoić. A mamy już i tak dość problemów.

Znów skinęła głową i zabierając się do jedzenia oznajmiła:

— Kiedy zamieszkam u Laury i Paula, poproszę ich, żeby mówili do mnie tylko po maltańsku. Jak wrócisz, będę już prawdziwą mieszkanką Gozo. — Podniosła wzrok i dodała poważnie: — I będę miała w każdej kieszeni trzech Maltańczyków.

Michael uśmiechnął się szeroko i poszedł zrobić sobie śniadanie.

Creasy spał w samolocie. Nie lubił latać. Nie dlatego, że się bał, lecz po prostu w takich podróżach nie było nic interesującego. Wsadzali człowieka do grubej rury i transportowali w inne miejsce, do innej kultury, a czasem nawet do innego klimatu. Czuł się tak, jakby wysyłano go w paczce. Zdecydowanie wolał podróżować pociągami lub statkami i zawsze z nich korzystał, gdy tylko miał czas. Z powodu typowej ślamazarności kontrolerów lotu we Włoszech wystartowali z Brukseli z godzinnym opóźnieniem, i to też go rozdrażniło.

Po wylądowaniu w Mediolanie nie był w zbyt dobrym nastroju, ale ponieważ miał tylko podręczny bagaż, nie musiał przynajmniej czekać na odprawę celną.

Złapał szybko taksówkę i wskoczywszy do niej powiedział:

— Hotel „Excelsior”... koło stacji kolejowej.

Taksówkarz zaklął pod nosem. Klienci tej nory przy dworcu nie dawali ani grosza napiwku. Włoscy taksówkarze potrafią być bardzo rozmowni, ten jednak milczał od początku czterdziestominutowej jazdy. Po dwudziestu minutach Creasy oparł się wygodnie, zamknął oczy i znowu zaczął drzemać. Mediolan nie był wystarczająco piękny, by przykuć jego uwagę. Gdyby nie spał, zauważyłby nagle zainteresowanie w oczach taksówkarza, który dostrzegł we wstecznym lusterku twarz swego pasażera. Pięć minut później obudził Creasy'ego, pytając:

— Na długo przyleciał pan do Mediolanu?

Creasy otworzył oczy i potrząsnął głową, żeby się ocknąć.

— Tylko na parę dni.

— W interesach czy na urlop?

— Odwiedzam przyjaciela — odparł Creasy. Szorstki ton jego głosu wyraźnie wskazywał, że nie ma ochoty na rozmowę, ale kierowca nie dawał za wygraną.

— Jest pan z Neapolu?

— Nie. Ale spędziłem tam kilka lat.

Taksówkarz skinął głową.

— Zdradza to pański akcent. Nie przepadam za tym miastem. Ani taksówkarz, ani nikt inny nie może się tam czuć bezpieczny.

Creasy mruknął coś wymijająco w odpowiedzi. Taksówkarz wyczuł wreszcie jego niechęć do rozmowy i zamilkł.

Wbrew obawom dostał jednak napiwek. Tysiąc lirów. Spojrzał na banknot, a potem na mężczyznę, który wchodził właśnie do podrzędnego hotelu. Wrzuciwszy bieg podjechał za róg i sięgnął po radiotelefon. W Mediolanie i wielu innych włoskich miastach prawie każdy taksówkarz był informatorem. Czasem pracował dla policji, czasem dla handlarzy narkotyków, dla jakiegoś alfonsa albo szefa miejscowej mafii. Ten akurat był na usługach Abraty, jednego z dwóch mafijnych przywódców, którzy rządzą Mediolanem.

Choć dochodziła dopiero siódma rano, Gino Abrata zgłosił się w ciągu dwóch minut. Pięć minut później dzwonił już do Paolo Grazziniego, szefa mafii z Rzymu.

— Tak, jest tego pewny... Przysięga, że go widział... Wiem, że on podobno nie żyje. Oczywiście, że o tym wiem! Widziałem w telewizji jego pogrzeb... Nie, ten taksówkarz nigdy przedtem go nie spotkał, ale sześć lat temu zdjęcia tego człowieka były we wszystkich gazetach. Takiej twarzy się nie zapomina. Podobno mówi płynnie po włosku z neapolitańskim akcentem... To też by się zgadzało. Mój informator jest wiarygodny. Za pół godziny będzie tam kilku moich ludzi... W porządku... Dobrze, wyślę najlepszych chłopaków... Jasne, jak mógłbym zapomnieć... Oczywiście, jak tylko sam go zobaczę, natychmiast zadzwonię.

Michael czytał „Sto lat samotności”. Była to trudna książka, ale zdaniem Creasy’ego należała do najwybitniejszych dzieł współczesnej literatury. Michael siedział w cieniu skały przy Qala Point i spoglądał chwilami na Juliet, która opalała się, leżąc na brzuchu. Uczyła się maltańskiego i czasem prosiła go o pomoc.

Po godzinie weszli oboje do morza, żeby się ochłodzić, a potem usiedli w cieniu. Michael wyjął z przenośnej lodówki puszkę piwa dla siebie i colę dla Juliet.

Milczeli przez chwilę. Nagle Juliet powiedziała:

— Chcę porozmawiać.

Wpatrywała się w leżącą na tle gładkiej, granatowej tafli morza wyspę Comino. Michael popatrzył na nią z uwagą.

— Chcę powiedzieć o tym, co było w Marsylii — rzekła bardzo cicho. — Fizycznie czuję się już dużo lepiej. To jedzenie, słońce i morze dobrze mi zrobiły... Zaczynam przybierać na wadze i z dnia na dzień jestem coraz silniejsza. — Odwróciła się do niego i dodała niemal wyzywającym tonem: — Ale w nocy nie mogę spać, a czasem mam koszmary i bardzo się pocę... Myślę, że to psychiczny uraz i chyba muszę o tym z tobą powiedzieć.

Pamiętając o zaleceniach Creasy’ego, Michael odparł:

— Juliet, są ludzie, którzy specjalizują się w takich sprawach. Odpowiednio przeszkoleni lekarze i psycholodzy. Odreagowujesz ciężkie przeżycia. To całkiem naturalne. Czasem ludzie, którzy coś takiego przeszli, potrzebują tygodni, miesięcy, a nawet lat, żeby wrócić do równowagi. To zależy od ich charakteru i doświadczenia. Przeżywałaś koszmar, odkąd ojczym zaczął cię wykorzystywać. Powinnaś powiedzieć ze specjalistą o tamtych czasach. Na Malcie jest dobra lekarka, która studiowała w Anglii.

Dziewczyna zdecydowanie pokręciła głową.

— Nie potrzebuję psychiatry, Michael. Chcę tylko porozmawiać z kimś, komu ufam. Z tobą albo z Creasym. A ponieważ przez długi czas może was tu nie być, musisz mi pomóc. Czy możemy powiedzieć teraz i szybko o tym zapomnieć? — Michael wypił kolejny łyk piwa i powiedział: — Zgoda.

Juliet mówiła przez pół godziny. Dwa razy wybuchała płaczem. Obejmował ją wtedy ramieniem i czekał, aż się uspokoi. Kiedy skończyła, zapytał nieco za-

skoczony:

— A więc ojczym nigdy cię nie zgwałcił?

— Nie... Nigdy we mnie nie wszedł. Ale musiałam brać do ręki jego penisa... To było chyba najgorsze. Oprócz tego mnie bił. Lubił to robić.

— Może na więcej twoja matka by mu nie pozwoliła — mruknął Michael.

Juliet pokręciła głową.

— Pozwoliłaby mu na wszystko. Właśnie dlatego uciekłam z domu. Stale mi powtarzał, że zrobi to na moje czternaste urodziny... — Spojrzała na Michaela oczami pełnymi łez. — Mówił, że to będzie urodzinowy prezent.

Michael milczał. Był myślami w Niemczech. Kiedy to wszystko się skończy, pojedzie tam i ofiaruje pewnemu człowiekowi ostatni urodzinowy prezent: wieczne potępienie. Ocknąwszy się z zamyślenia zapytał:

— Z tymi łajdakami w Marsylii było tak samo?

— Tak — odpowiedziała ledwo słyszalnie. — Kazali mi to robić rękami... i ustami. Sprowadzili kobietę, która wszystkiego mnie uczyła... Była bardzo piękna, miała długie jasne włosy... Przyglądali się, gdy robiła ze mną różne rzeczy... Czasem było ich trzech albo czterech... Potem musiałam im usługiwać.

Juliet znowu zaczęła płakać, Michael objął ją i przytulił jej głowę do swojego ramienia. Było ciepło, ale miał wrażenie, że przenika go mróz. Pomyślawszy o pięknej blondynce powiedział:

— Juliet, nie wiem, czy to cię pocieszy, ale zabiłem kobietę, przez którą doznałaś tylu upokorzeń.

— Ty ją zabiłeś?... Kiedy?... W jaki sposób?... — zapytała, odpychając go od siebie.

Opisał Juliet szczegółowo, co wydarzyło się w piwnicy domu w Marsylii. Opowiedział, jak Denise Defors wpadła w panikę i próbowała uciec, a wtedy on strzelił jej w plecy, a potem w głowę.

— A ten przystojniak, który z nią był? — zapytała z dziką satysfakcją w oczach. — Ten, który nosił zawsze buty ze skóry węża czy jaszczurki?

— Creasy związał go ze skorumpowanym policjantem, któremu przymocował do pleców bombę. Ładunek eksplodował i rozerwał ich obu na kawałki. — Michael znów zobaczył w oczach dziewczyny satysfakcję. — Czy to przynosi ci ulgę? — zapytał cicho.

— Tak — odparła. — Ty zabiłeś tę kobietę, a Creasy tego mężczyznę... Czuję się tak, jakbym wzięła gorący prysznic.

Nagle dostrzegła, że Michael ciągle o czymś rozmyśla.

— O co chodzi? — zapytała.

— No cóż... Rozumiem, że twój ojczym był gotów czekać kilka miesięcy — stwierdził, rozkładając bezradnie ręce — ale dlaczego nie zgwałcili cię ci dranie z Marsylii? Ta biedna Dunka nie miała tyle szczęścia. — Nagle doznał olśnienia. — Juliet... czy ty... jesteś dziewczicą?



— Tak — odparła poważnym tonem. — Kazali nawet to sprawdzić tej starej kobiecie. . . Chyba zna się na tych sprawach. Włożyła mi do środka palec i powiedziała: *Oui. . . c'est là. . . !* Mówię dobrze po francusku, bo chodziłam do międzynarodowej szkoły.

— A więc to tak. Zapewne chcieli, żebyś pozostała dziewicą, bo dzięki temu mogli podbijać cenę. Na Bliskim i Dalekim Wschodzie piękne dziewice w wieku czternastu, piętnastu lat są dużo warte.

Juliet pokręciła głową.

— Myślę, że chodziło o coś innego.

— O co?

— Nie wiem — odparła. — Ale podstuchiłam ich rozmowę. Tej kobiety i człowieka w wężowych butach. Był z nimi jeszcze inny mężczyzna. Mówili, oczywiście, po francusku, ale nie wiedzieli, że ich rozumiem. Mężczyzna w wężowych butach traktował tego drugiego bardzo uprzejmie. . . Musiał to być ktoś ważny. Chciał zaciągnąć mnie do łóżka, ale ten w wężowych butach powiedział, że jestem dziewicą. Tamten bardzo się podniecił i nie dawał za wygraną, ale nic nie wskórał. W końcu powiedział: „Pewnie za taką dziewczynę dostaniesz fortunę”. Wtedy ta kobieta, którą zabiłeś, zaczęła się śmiać i stwierdziła: „Dostaniemy jeszcze większą fortunę za jej dziewictwo, młodość. . . i życie. Za wszystko razem”. Wtedy mężczyzna w wężowych butach kazał jej się zamknąć.

Michael nadal nic z tego nie rozumiał.

— Dziewictwo, młodość i życie. . . — powtórzył, wzruszając ramionami i podnosząc się z miejsca. — Wracajmy już. Dziś wieczorem zrobię kolację z rusztu.

Dłuższy czas jechali w milczeniu. Dopiero, gdy minęli Rabat, Juliet powiedziała:

— Michael, chyba dziś będę już spokojnie spała.

Popatrzył na nią i uśmiechnął się.

— Na pewno. Po obfitej kolacji i dwóch albo trzech kieliszkach dobrego czerwonego wina zaśniesz jak niemowlę.

Gdy wrócił do domu, zaniósł do kuchni przenośną lodówkę. Zadzwoił telefon. Juliet była już w sypialni; miała zamiar wziąć prysznic i przebrać się. Michael wsunął lodówkę pod zlew i podniósł słuchawkę. Telefonował Guido z Neapolu. Powiedział, że Creasy zniknął gdzieś rano. Był umówiony z Sattą o dziesiątej, ale nie przybył na spotkanie, ani nie zadzwonił. Satta sprawdził na lotnisku, że Creasy przyleciał o siódmej z Brukseli samolotem linii Alitalia. Około ósmej zameldował się podobno w hotelu, wyszedł stamtąd pół godziny później i już nie wrócił. Jego bagaż został w pokoju. Tymczasem do hotelu przybył też Duńczyk Jens Jensen i Francuz, którego Guido znał tylko jako Sowę. Michael wyraził przypuszczenie, że Creasy mógł wpaść na trop kogoś związanego z Błękitnym Kartelem i musiał go śledzić, nie miał więc czasu skontaktować się z Sattą. Guido wykluczył jednak

taką możliwość.

— Dobrze znasz Creasy'ego, Michael — stwierdził — ale ja znam go lepiej. Na pewno zostawiłby jakąś wiadomość.

— Myślisz, że został porwany?

— To pewne w dziewięćdziesięciu procentach.

— Przez ludzi z Błękitnego Kartelu?

— Może tak, może nie... Ma we Włoszech wielu wrogów. Satta zajął się już tą sprawą, ale ja wylatuję za godzinę z Mediolanu. Przekazałem wiadomość Mariemu. Przyleci tu z Millerem i Callardem. Próbowałem skontaktować się z tobą wcześniej, ale nie było cię w domu. Masz zarezerwowane miejsce w samolocie Alitalii, który wylatuje o ósmej wieczorem. Bilet jest do odebrania na lotnisku.

Michael spojrział na zegarek i powiedział:

— W porządku.

\* \* \*

Pół godziny później odwiózł Juliet na farmę Schembrich. Sprawiała mu radość swoją reakcją na wiadomość o jego wyjeździe. Początkowo chciała koniecznie z nim lecieć, twierdząc, że na pewno na coś się przyda, ale zobaczywszy wyraz twarzy Michaela, spakowała torbę i poprosiła tylko, żeby na bieżąco ją o wszystkim informował.

Laura powitała Juliet serdecznie i poleciła jej zanieść rzeczy do pokoju na piętrze, który dawniej zajmował Creasy. Dziewczyna uścisnęła Michaela na pożegnanie, posłusznie wzięła do ręki torbę i weszła do domu.

Laura stanęła obok dżipa. Zobaczywszy w jej oczach niepokój, Michael rzekł po prostu:

— Zbieramy w Mediolanie dobry zespół. Bardzo dobry.

Nie musiał nic więcej dodawać. Laura uścisnęła go na pożegnanie i odeszła.

## 34

— Wyświadczyłem ci kiedyś przysługę — powiedział Creasy.

— Coś podobnego! — prychnął szyderczo siedzący za stołem Gino Abrata. Spojrzał na dwóch pilnujących Creasy'ego ochroniarzy. Obaj trzymali w rękach pistolety maszynowe. Były odbezpieczone i wycelowane w plecy Amerykanina, choć ten miał ręce i nogi przywiązane mocno do ciężkiego krzesła. Jeden z ochroniarzy uśmiechał się drwiąco, ale drugi nie spuszczał z oka siedzącego przed nim mężczyzny. Był bardzo ostrożny. Wiele słyszał o tym człowieku. Zerknął tylko na szefa, na jego nalaną twarz i wystającą z eleganckiego garnituru krótką grubą szyję. Gino Abrata słynął z zamiłowania do dobrego jedzenia, gustownych ubrań i złośliwości.

— Jaką to przysługę mi wyświadczyłeś? — zapytał pogardliwie.

Creasy wzruszył obolałymi ramionami. Prawą stronę twarzy miał opuchniętą, a na rozciętym czole widać było zakrzepłą krew.

— Sześć lat temu zostałeś dzięki mnie najważniejszym *capo* w Mediolanie.

— Co takiego?!

— Oczywiście. Przypomnij sobie... jeżeli potrafisz myśleć.

Abrata uniósł palec. Jeden z ochroniarzy podszedł dwa kroki do przodu i wymierzył Creasy'emu precyzyjny cios kolbą w plecy, tuż pod karkiem. Creasy nawet nie jęknął. Wpatrywał się cały czas w twarz Abraty.

— Owszem, potrafię myśleć — powiedział Włoch. — I zastanawiam się właśnie, w jaki sposób cię zabić, żebyś jak najwięcej cierpiał. Co to za pieprzona przysługa, o której mówisz?

Creasy poruszył lekko ramieniem, ale nie okazał bólu.

— Sześć lat temu — oznajmił — byłeś w tym mieście podrzędnym *capo*, zależnym od Fosselli. A ja go zabiłem. Pamiętasz?

Abrata uśmiechnął się. Jego twarz była teraz jeszcze bardziej odrażająca.

— Pewnie, że pamiętam. Wsadziłeś mu w tyłek bombę i jego szczątki trzeba było potem zdrapywać z sufitu.

Creasy skinął głową.

— Załatwiłem też jego zastępców, dzięki czemu mogłeś zostać na tym terenie głównym *capo*.

Abrata pochylił się i oznajmił szyderczym tonem:

— I tak bym nim został.

Creasy pokręcił głową.

— Wątpię. Fossella był sprytniejszy od ciebie i miał lepszych współpracowników.

— Skoro był taki sprytny — odparł Abrata — jak mógł pozwolić, żeby ktoś działający w pojedynkę porwał go i wsadził mu do tyłka bombę? Mnie by się to nigdy nie zdarzyło.

Amerikanin uśmiechnął się pod nosem i powiedział cicho:

— Nie miałem z tobą żadnych porachunków, tylko z Fossellą i jego szefami z Rzymu i Palermo. Gdyby było inaczej, z całą pewnością nie siedziałbyś tu dzisiaj. — Wskazał głową za siebie i pochyliwszy się dodał: — Ale jeśli któryś z twoich goryli znowu mnie uderzy, nie zapomnę ci tego.

W pokoju zaległa cisza i zrobiło się jakby chłodniej. Abrata przyglądał się przez dłuższą chwilę twarzy Amerykanina, a potem spojrzał w oczy ochroniarzom.

— Masz tupet... — powiedział wreszcie pogardliwym tonem. — Wszyscy o tym wiemy. Siedzisz tu związany jak indyk, moi ludzie stoją za tobą z pistoletami maszynowymi, a ty jeszcze się odgrażasz. Pamiętaj, że grozisz człowiekowi, który ma zdecydować nie o tym, kiedy cię zabić, ale w jaki sposób.

Na twarzy Amerykanina pojawił się znów lekki uśmiech.

— Wyjaśnijmy sobie sytuację — powiedział. — Dwie godziny temu ustaliłeś, kim jestem i z pewnością zadzwoniłeś natychmiast do Rzymu, żeby skontaktować się z Paolo Grazzinim. Zawsze tak robisz, gdy masz podjąć jakąś ważną decyzję. Gdybyś próbował działać na własną rękę, oberwałbyś od Grazziniego. Jestem przekonany, że nie pozwolił ci mnie zabić. Mam być w wystarczająco dobrej formie, żeby móc odpowiadać na jego pytania, kiedy zjawi się tutaj dziś albo jutro rano.

Creasy spojrzał Włochowi w oczy i znalazł w nich potwierdzenie swoich słów.

Abrata odezwał się agresywnym tonem:

— Nikt nie wydaje mi rozkazów!... Nikt!

— Jasne.

Abrata wstał od stołu, wziął od jednego z ochroniarzy pistolet maszynowy i przystawiwszy go Creasy'emu do lewego ucha powtórzył:

— Nikt nie wydaje mi rozkazów.

Creasy westchnął i powiedział:

— Więc zastrzel mnie, dupku.

Po upływie kilku sekund Abrata oznajmił swobodnym tonem:

— W Cosa Nostra wszyscy ze sobą współpracujemy. To prawda, że Paolo Grazzini zasiada teraz w radzie. Gdy trzeba, ja pomagam jemu, a on mnie. Poinformowałem go, oczywiście, jaki ptaszek wpadł mi w ręce. Wiem, że szczególnie

się tobą interesuje. . . Conti, którego w tak nieprzyjemny sposób zabiłeś, był jego szwagrem. Pozwolę mu z tobą porozmawiać, a potem z przyjemnością cię załatwię.

Creasy odwrócił głowę, odsuwając od swego ucha lufę pistoletu i spojrzał na Abratę.

— To rozsądna decyzja. Słusznie byś też zrobił, gdybyś kazał jednemu ze swoich goryli przynieść mi szklankę zimnej wody albo lepiej kieliszek dobrego czerwonego wina. Nie mogę się doczekać spotkania z Grazzinim. . . W końcu wyświadczyłem mu taką samą przysługę jak tobie. Sześć lat temu Conti traktował go jak chłopca na posyłki, mimo że był mężem jego siostry.

Znów zapanowało milczenie. Abrata skinął na jednego ze swoich ochroniarzy i ten wyszedł z pokoju. Creasy wyprężył ramiona i powiedział:

— Muszę się wysikać.

— Więc lej w spodnie. Nie wstaniesz z tego krzesła, dopóki nie zjawi się tu Grazzini. . . A wtedy będziesz już myślał o czym innym.

## 35

Gdy Michael przyleciał nocą do Mediolanu, powitała go tam jesienna ulewa. Słyszał, jak krople deszczu uderzają o nowoczesny dach budynku lotniska. Pogoda harmonizowała z jego nastrojem.

Rozchmurzył się nieco, zobaczywszy w zatłoczonym holu Guida. Uścisnęli się na powitanie i wyszedłszy na parking wsiedli do czarnej Lancii. Za kierownicą siedział Maxie MacDonald, a obok niego Frank Miller. Ruszyli z miejsca i włączyli się do ruchu.

— Parszywa pogoda, ale witaj, Michael — rzucił przez ramię Maxie, pozdrawiając go gestem ręki. — Przedstawiam ci Franka Millera. Słyszałeś już o nim. — Frank odwrócił głowę i Michael zobaczył w nikłym świetle jego cherubinkową twarz.

— Miło cię wreszcie poznać — powiedział Miller.

— I wzajemnie — odparł Michael, po czym poprosił Guida: — Zorientuj mnie w sytuacji.

Guido siedział skulony w kącie samochodu. Powiedział krótko i zwięźle:

— Creasy jest niemal na pewno w rękach mafii... Przepuszczamy, że porwał go miejscowy *capo*, Gino Abrata. Ktoś musiał Creasy'ego rozpoznać, a mafia nigdy nie zapomina o wendecie.

— Co wiemy? — zapytał lakonicznie Michael.

— Creasy ma w mieście dobre kontakty — wyjaśnił Guido. — Jego przyjacielem jest pułkownik Satta z żandarmerii... Musiałeś o nim słyszeć. Satta dowiedział się, że Creasy wyszedł z hotelu mniej więcej pół godziny po przylocie z Brukseli. Jakieś dwie przecznice dalej czekało na niego sześciu ludzi: dwóch w dużej czarnej limuzynie i czterech na chodniku. Padł strzał, a potem Creasy został wciągnięty do limuzyny. Świadkowie są powściągliwi w zeznaniach, ale jesteśmy przekonani, że to był on. Z każdą godziną otrzymujemy nowe informacje. Lepiej zaczekać, aż dotrzemy do bazy i Satta wszystko nam powie.

— Kto tu z nami współpracuje? — zapytał Michael. Guido wskazał siedzących z przodu mężczyzn.

— Maxie i Frank, a poza tym Rene Callard, Duńczyk Jens Jensen, Francuz o pseudonimie Sowa, oczywiście Satta, jego asystent Bellu i jeden z tajniaków

Satty, którego nazywają Duchem.

— A więc mamy w zespole trzech włoskich policjantów... — mruknął Michael. — Nigdy nie wierzyłem glinom.

Guido pokręcił głową.

— Tym trzem możesz zaufać. I wszystkim pozostałym członkom ekipy. Nikomu więcej.

\* \* \*

Dotarli do małego domu w podejrzanej okolicy na przedmieściach Mediolanu. Drzwi otworzyła starsza kobieta. Przyjrzawszy im się uważnie wpuściła ich do środka. W salonie panował tłok. Michael dostrzegł Jensa i Sowę. Guido przedstawił mu Callarda, Bellu, Ducha i Sattę, mówiąc na koniec:

— Pozostałych już znasz.

Było wpół do dwunastej w nocy.

Michael przywitał się ze wszystkimi. Zajęli miejsca wokół stołu. Człowiek nazywany Duchem siedział przy niedużej, nowoczesnej konsoli radiowej i mówił coś do mikrofonu. Na Michaela nikt nie zwracał uwagi. Trwała ożywiona dyskusja.

— Z pewnością zrobił to Abrata... — przekonywał Bellu. — Jego ludzie zniknęli z ulic. Wiemy, że ma na przedmieściach dwie kryjówki. Muszą trzymać Creasy'ego w jednej z nich. Przypuszczalnie w tej na północy, która znajduje się w górach i jest łatwa do obrony.

— Kiedy zostanie to potwierdzone? — zapytał Rene Callard.

— W ciągu godziny — odparł Bellu. — Ale musimy być ostrożni. — Spojrzał na Michaela. — Żandarmeria, tak jak wszystkie instytucje we Włoszech, jest infiltrowana przez mafię. Współpracujemy tylko z tymi nielicznymi ludźmi, którym możemy zaufać... a jest ich naprawdę niewiele.

Satta skrzywił się, skinął głową i przyznał:

— Można ich policzyć na palcach jednej ręki.

— Dotarł już sprzęt z Marsylii — oznajmił Maxie. — Jesteśmy dobrze wyposażeni. Gdy się dowiemy, gdzie jest Creasy, możemy go odbić.

Satta pokręcił głową.

— Zanim to zrobicie, Creasy zginie. Musimy dobrze się zastanowić. Nasz przyjaciel — powiedział, wskazując na Guida — należał kiedyś do mafii i wie, jak oni działają. — Potem wskazał na swego asystenta i rzekł: — Przez pięć lat walczyliśmy wspólnie z mafią. Poznaliśmy strukturę tej organizacji i ich sposób myślenia. Powiedz, Bellu, co wiemy.

Niski, pulchny Włoch nakreślił pokrótce sytuację.

— Mniej więcej sześć lat temu Creasy wypowiedział wojnę jednej z najpotężniejszych rodzin mafijnych. Cofnęli się przez niego w czasie o całą dekadę. Obecnie Gino Abrata jest zwierzchnikiem dwóch *capo* w Mediolanie. Podlega oficjalnie Paolo Grazziniemu z Rzymu, który gościł dziś wieczorem u siebie *capo* z Detroit. Zjadł z nim kolację w „Ristorante Adessio”, a tuż po północy jego limuzyna i samochód pełen ochroniarzy ruszyły autostradą w kierunku Mediolanu. Grazzini nie znosi podróżować samolotem ani pociągiem. Będzie tutaj około wpół do szóstej rano. Wiemy, że do tego czasu Creasy nie zginie. Abrata i Grazzini muszą być bardzo zaskoczeni, bo przez ostatnich sześć lat uważali, że Creasy spoczywa w grobie w Neapolu. Podejrzewają zapewne, że znów wypowiedział wojnę mafii. Będą go torturowali, żeby się dowiedzieć, z jakiego powodu. — Rozejrzył się po twarzach zebranych w salonie mężczyzn. — Wiemy, że Creasy nic im nie powie. Wiemy, że wytrzyma wiele godzin... Przepuszczalnie co najmniej dobie... Potem zginie okrutną śmiercią, a jego ciało zostanie wystawione na widok publiczny jako przykład zemsty i ostrzeżenie, żeby nie wchodzić w drogę mafii. — Spojrzył na zegarek. — Mamy więc około trzydziestu godzin.

Maxie wstał i zaczął chodzić wokół stołu. Był bardzo przejęty.

— Trzydzieści godzin to mnóstwo czasu. Skoro już wiemy, gdzie jest Creasy, możemy przystąpić do akcji. Trzeba odwrócić ich uwagę... a Frank, Rene i ja zaatakujemy.

Satta pokręcił głową.

— Byłoby najprościej otoczyć to miejsce kordonem żandarmerii i wysłać do akcji jednostkę antyterrorystyczną. Ale z dwóch względów nie jest to najlepsze rozwiązanie. Po pierwsze, najpóźniej na godzinę przed planowaną operacją Abrata zostałby ostrzeżony przez skorumpowanych funkcjonariuszy. Po drugie, byłaby nam potrzebna zgoda sędziego, a na jej uzyskanie stracilibyśmy wiele godzin. Mielibyśmy problem ze znalezieniem odpowiedniego człowieka, bo większość nieprzekupnych sędziów zamordowano. Tak to wygląda — stwierdził, wzruszając wymownie ramionami.

Rene Callard podniósł się z miejsca. Mówił po angielsku z wyraźnie obcym akcentem.

— Nie potrzebujemy niczyjej pomocy. Mamy doświadczenie w takich akcjach. Creasy to nasz człowiek. Powiedzcie nam tylko, gdzie jest. Sami go wydostaniemy.

Michael wpatrywał się cały czas w blat stołu. Teraz podniósł głowę i spojrzawszy na Sattę powiedział:

— Potrzebne mi są dodatkowe informacje. Czy Abrata ma rodzinę?

Satta spojrzył na Bellu, który odparł:

— Jego rodzice nie żyją. Nie ma dzieci, tylko brata i siostrę w Nowym Jorku. Żona, z którą jest w separacji, mieszka w Bolonii i romansuje z lokalnym *capo*.



— Bellu uśmiechnął się do Michaela z przekąsem. — Nic tu nie wskórasz.

— A Grazzini? — zapytał Michael.

Bellu wzruszył ramionami.

— Ma żonę i mnóstwo kochanek. Ale związany jest uczuciowo tylko z matką.

— Gdzie ona mieszka?

Wiedząc, do czego Michael zmierza, Satta po raz pierwszy lekko się uśmiechnął.

— Matka Grazziniego ma na imię Graziella. Mieszka w miasteczku Bracciano Lago, trzydzieści kilometrów na północ od Rzymu. Jest bardzo religijną staruszką. Codziennie modli się w kościele za duszę swojego syna. . . Chyba na próżno.

Michael spojrzął na Ducha i powiedział:

— To będzie długa noc. Możemy dostać coś do jedzenia i do picia?

Duch wstał, podszedł do drzwi i krzyknął na dół:

— Przynieś nam trochę wina i *spaghetti*, starucho! Nie wiesz, że żołnierzy nie wolno głodzić?

Twardzi, doświadczeni mężczyźni podporządkowali się, o dziwo, najmłodszemu członkowi grupy. Michael powiedział najpierw do Guida: — Wracaj natychmiast do Neapolu. Nie mam dla ciebie specjalnego zadania. Będiesz tylko łącznikiem między nami. — Potem oświadczył Maxiemu: — Nie zamierzam szturmować ich kryjówek. — Zwróciwszy się do Bellu stwierdził: — Jutro o świcie muszę być w Bracciano Lago. Frank, Rene i Sowa pojedą ze mną. Porwiemy matkę Grazziniego i wymienimy ją na Creasy'ego. — Następnie poprosił Sattę: — Na jutro rano będzie mi potrzebny wózek inwalidzki i strój księdza. Pasujący na tego Duńczyka — dodał, wskazując na Jensa Jensena. Na koniec zwrócił się do Ducha: — Ponieważ znasz teren, zaprowadzisz Maxiego do miejsca możliwie najbliższej ich kryjówki i zaczekacie tam na dalsze instrukcje na wypadek, gdybyśmy spieprzyli sprawę w Bracciano Lago. Jeśli tak się zdarzy, Maxie wejdzie do środka. — Michael wstał i zaczął chodzić po pokoju, głęboko zamyślony. Po chwili powiedział znów do Satty: — Potrzebujemy bezpośredniej łączności, nie tylko ze sobą, ale także z Duchem i Maxiem. Czy można to załatwić w ciągu najbliższych kilku godzin?

Satta skinął głową, uśmiechając się pod nosem. Siedział w otoczeniu najbardziej niebezpiecznych ludzi, z jakimi zetknął się w swoim pełnym przygód życiu, i patrzył, jak dyryguje nimi młody chłopak. Zakrawało to na ironię.

— Czego jeszcze chcesz? — zapytał.

Michael przestał chodzić po pokoju.

— Chcę, ze zrozumiałych powodów, żeby żandarmeria trzymała się od tej sprawy z daleka. Oczywiście z wyjątkiem Ducha, który — jak zakładam — jest czysty. Będę potrzebował dwóch nie oznakowanych samochodów dla Ducha i Maxiego tu, w Mediolanie, i jeszcze dwóch w Rzymie, dla mnie i mojej ekipy. W Rzymie muszę też mieć jakąś kryjówkę. Zakładam, że w Mediolanie możemy

korzystać z tego domu. Trzeba też wynająć samolot, żebyśmy mogli w ciągu trzech godzin przetrzymać swoją ekipę do Rzymu. Powinna to być maszyna z prywatnej firmy, nie mającej powiązań z żandarmerią. W porządku?

Satta skinął głową. W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju weszła starsza kobieta, niosąc na tacy butelki z winem, kieliszki, wielką misę *spaghetti* i talerze. Popatrzyła na Ducha. Miała pomarszczoną twarz i zmęczone oczy, ale jej uśmiech był pełen ciepła.

— Jeżeli jeszcze raz nazwiesz mnie staruchą — ostrzegła — zaciągnę cię do łóżka i udowodnię ci, że się mylisz.

Duch — przystojny mężczyzna po trzydziestce — spojrział na nią ze zdumieniem, skinął głową i przeżegnał się.

Gdy wszyscy zasiedli do posiłku, Michael zaczął dopracowywać szczegóły swojego planu.

Creasy'ego oświetlał pojedynczy reflektor, zawieszony w przeciwległym rogu pokoju. W mroku stało dwóch ochroniarzy. Zmieniali się co dwie godziny. Powiedziano im, że choć Creasy jest związany i unieruchomiony, muszą być czujni. Mógł ich zaskoczyć, jak śmierć w zimową noc. Siedział z opuszczoną głową, stosując taktykę, której nauczył się przed wielu laty. Był na wpół uśpiony, ale jego umysł pracował. Przestał już robić sobie wyrzuty z powodu własnej lekkomyślności. Oczywiście, że powinien był zachować większą ostrożność, nie nocować dwa razy w tym samym hotelu, zwrócić uwagę na zaparkowany przy krawężniku samochód i przyczajonych w pobliżu mężczyzn. Ale to należało już do przeszłości. Przypomniawszy sobie z goryczą, jak pouczał Michaela w Marsylii. Sam popełnił równie poważny błąd. Pomyślał o Michaelu. Wiedział, że jest już we Włoszech i poszukuje go. Na pewno zbierze ekipę, o jakiej marzy każdy dowódca. Zastanawiał się, jak nią pokieruje.

Potem pomyślał o Grazzinim. Słyszał o tym człowieku. Pochodził z północy i różnił się od tych bydłaków z Kalabrii i Sycylii, którzy w pogoni za narkodolarami zapomnieli dawno o honorze. Grazzini był stosunkowo młody. Postępował z pewnością bezwzględnie, ale potrafił oddzielić interesy od spraw rodziny. Czy Michael to zrozumie? A jeśli nie, czy Guido albo Satta potrafią mu to wytłumaczyć?

W zbolałym umyśle Creasy'ego zaświtało przekonanie, że Michael pokieruje akcją, że otaczający go twardzi i doświadczeni ludzie podporządkują mu się, widząc w nim odbicie swego dawnego przywódcy.

Na myśl o dziewczynce, którą wysłał na Gozo, ścisnęło mu się serce. Miała teraz brata, ale przede wszystkim potrzebowała ojca. Pomyślał znów o Grazzinim. Wiedział, że prowadząc oficjalnie firmę budowlaną handluje narkotykami, wymusza haracz i przekupuje urzędników, ale nie zajmuje się prostytutką. Wiedział, że Grazzini go nie cierpi i że triumfowałby, mogąc osobiście go uśmiercić. Wiedział już też, jak sobie z nim poradzić.

Michael był bardzo spięty. Wiedział, że dzięki sile swej osobowości i synowskiemu przywiązaniu do Creasy'ego zdołał podporządkować sobie grupę twardych i doświadczonych ludzi. Wiedział też, że słyszeli o jego największym wyczynie: precyzyjnym strzale w ramię terrorysty z odległości pięciuset metrów. Sukces Michaela był tym większy, że gdy pociągał za spust, Creasy leżał tuż obok z takim samym wyborowym karabinem, ustąpił mu jednak pierwszeństwa. Michael wiedział, że w oczach takich ludzi jak Maxie, Miller, Callard, Satta czy nawet Guido zasługuje na szacunek. Nie miał jednak jeszcze dwudziestu lat i czuł duże psychiczne obciążenie. Kompensowała je nienawiść do tych, którzy więzili jego ojca.

*Learjet* wylądował na lotnisku. Siąpił deszcz. Prognozy zapowiadały chłodny, ale słoneczny dzień. Była czwarta rano. Niewielkie lotnisko znajdowało się ponad dwadzieścia kilometrów na wschód od miasta i obsługiwało większość krajowych lotów czarterowych. Michaela zapewniono, że wynajmując samolot musi załatwić tylko drobne formalności. Samochód z migającym na dachu światłem doprowadził *Learjeta* do jasno oświetlonego hangaru. Podjechała tam natychmiast duża limuzyna. Michael i jego ludzie wyszli po schodkach z samolotu. W ciągu minuty wypakowali podręczny bagaż i torby ze sprzętem.

Po godzinie dotarli do kryjówki na północnych przedmieściach Rzymu. Był to jeszcze jeden przeciętny dom w nieciekawej okolicy. Drzwi otworzyła im, tak jak przedtem, starsza kobieta, nie okazując wcale zdziwienia na widok przybywających o tak wczesnej porze pięciu obcych mężczyzn.

Dostali zamówiony przez Michaela ubiór księdza, wózek inwalidzki i dokładny plan miasta Bracciano Lago. Otrzymali też mapy, na których zaznaczono alternatywne drogi dojazdowe z Bracciano do ich kryjówki. Gdy usiedli wokół stołu w kuchni, staruszka przyniosła im dzbanek kawy, a Michael omówił raz jeszcze szczegóły planu.

Kiedy skończył, Miller stwierdził:

— Plan jest dobry i prosty, ale niepokoi mnie jedno. Wysyłasz Jensa na pierwszą linię. Nie ma zbyt dużego doświadczenia. Może posłałbyś mnie, Rene albo Sowę?

Michael pokręcił głową i uśmiechnął się.

— Jens bardziej wygląda na księdza. . . może trochę otyłego. Wiemy, że będzie tam co najmniej jeden ochroniarz. Mamy jego rysopis. Kręci się zwykle w pobliżu kościoła, gdy staruszka jest w środku. Zajmiesz się nim, Frank, kiedy ona wyjdzie. Rene będzie czekał w jednym z wozów, żeby cię zabrać, gdy ja wkroczę do akcji. Zabij tego ochroniarza tylko w razie konieczności.

— Przypuszczam, że nie będzie innego wyjścia — wtrącił Rene. — W końcu pilnuje matki Grazziniego. Jeżeli pozwoli, by ją porwano, tak czy inaczej zginie.

— Możliwe — przyznał Michael — Ale jest jej ochroniarzem od bardzo dawna. . . od kilku lat. Nie spodziewa się, że ktoś ją zaatakuje, więc nie będzie zbyt czujny. Może Frank zdoła go ogłuszyć.

— Zobaczę, co się da zrobić — stwierdził Miller.

Michael powiedział do Sowy:

— Poprowadzisz drugi samochód i zabierzesz mnie, Jensa i tę staruszkę. — Zwracając się do całej grupy dodał: — Bierzymy tylko pistolety. Będzie je łatwiej ukryć, gdybyśmy jadąc do Bracciano trafili na policyjną blokadę.

Sowa po raz pierwszy zabrał głos:

— A jeśli natkniemy się na nią w drodze powrotnej?

— Będziemy strzelać — odparł lakonicznie Michael. — Oczywiście, gdybyśmy mieli więcej czasu i ludzi, moglibyśmy staranniej wszystko zaplanować i zorganizować kryjówkę gdzieś bliżej. — Wzruszył ramionami i spojrzał na zegarek. — Ale nie mamy czasu. Musimy działać przez zaskoczenie i szybko uciekać. Na drogach będzie dość duży ruch. Policja nie zechce zapewne robić blokady. — Sięgnął do stojącej na podłodze torby i rozdał wszystkim radiotelefony. Gdy je sprawdzili, Michael połączył się z Maxiem. Jego głos był trochę zniekształcony, ale dostatecznie wyraźny.

Michael powiedział cicho do mikrofonu:

— Ruszamy mniej więcej za godzinę. Bądźcie na miejscu przed dziewiątą i zameldujcie się.

— W porządku. . . — odparł Maxie. — Powodzenia.

Grazzini mówił swobodnym tonem. Zwracał się do Abraty, ale jego słowa dotyczyły Creasy'ego.

— Osiemnaście godzin. . . — powiedział. — Nie słyszałem, żeby ktoś wytrzymał dłużej. Ten człowiek był Francuzem z Unii Korsykańskiej. Schwytaliśmy go jakieś trzy lata temu, gdy próbował ukraść w Rzymie dzieło sztuki. . . Działał, łajdak, na moim terenie. Postanowiłem przykładowo go ukarać. Zajęło się nim dwóch moich najlepszych ludzi. W pół godziny skłoniliby nawet papieża do zaparcia się wiary. Ten Francuz wytrzymał osiemnaście godzin. . . Nie mogliśmy wyjść z podziwu. — Grazzini spojrzał na związanego Creasy'ego. — Ty nie będziesz chyba taki głupi prawda? Wiesz, czym to się skończy.

Creasy ziewnął, a potem pochylił się lekko do przodu i powiedział:

— Grazzini, nie żywię do ciebie urazy. Nie przyleciałem do Włoch, żeby walczyć z tobą ani z twoimi ludźmi. Załatwiałem swoje sprawy, kiedy ten pajac zgarnął mnie z ulicy. Jeśli natychmiast mnie nie wypuści, gorzko tego pożałuje. . . I ty też, ponieważ jesteś jego szefem.

Grazzini uśmiechnął się.

— W zaistniałej sytuacji nie możesz nam grozić ani mówić o urazach. — Jego głos zabrzmiał gniewnie. — Zabiłeś mojego szwagra i jednego z moich kuzynów.

— Kto był twoim kuzynem?

— Nazywał się Vico Di Marco. Był ochroniarzem szwagra. I naszym żołnierzem. Spłonął razem ze szwagrem i dwoma innymi żołnierzami w Cadillacu w Rzymie.

Creasy skinął głową.

— A więc zginął na posterunku, próbując obronić szefa. Nic do niego nie miałem. Byłem tylko narzędziem.

— Nie lubimy takich „narzędzi” — prychnął gniewnie Grazzini. — Nigdy nie wybaczymy tym, którzy wypowiadają nam wojnę. Zemszczę się na tobie. Ale najpierw będziesz mówił.

Creasy naprężył ramiona i zapytał spokojnie:

— O czym chcesz rozmawiać?

— Chcę wiedzieć, co robisz we Włoszech. Czego tu szukasz, z kim współpra-

cujesz i gdzie masz bazę, w naszym kraju i za granicą.

— Wszystko wam powiem — odparł Creasy. — Z wyjątkiem tego, gdzie mam zagraniczną bazę.

Grazzini i Abrata spojrzeli na siebie zdumieni. Była to szokująca odpowiedź.

— Ale będę rozmawiał tylko z tobą, Grazzini — kontynuował Creasy. — Pozostali muszą wyjść.

— Nie ma mowy — odezwał się natychmiast Abrata.

Creasy patrzył cały czas na Grazzinię, który powiedział po chwili milczenia:

— Gino, bądź tak dobry i zostaw mnie z nim na kilka minut. . .

Mówił takim tonem, jakby prosił o przysługę, ale w istocie był to rozkaz.

Abrata o mało nie wybuchnął gniewem, po chwili jednak rzekł spokojnie:

— On próbuje swoich sztuczek. Jest cholernie sprytny. Nie zapominajmy o tym. Nie zapominajmy, ilu ludzi przez niego straciliśmy.

Grazzini skinął głową.

— Oczywiście masz rację i wierz mi, Gino, że o tym pamiętam. Ale kilka minut przed śmiercią może powiedzieć nam coś ważnego.

Znów zaległo milczenie. Abrata powoli podniósł się z miejsca i skinął na dwóch stojących za Creasym ochroniarzy z pistoletami maszynowymi. Obaj wyszli z pokoju.

— Masz broń? — zapytał Abrata.

— Nie — odparł Grazzini. — Rzadko ją teraz noszę.

Abrata sięgnął pod marynarkę, wyciągnął pistolet, odbezpieczył go i położył na stole przed Grazzinim, mówiąc:

— Creasy jest mocno związany. . . ale bądź ostrożny.

Grazzini uśmiechnął się lekko i odparł:

— Przyjacielu, żyję tak długo, ponieważ jestem bardzo ostrożny. Zamierzam umrzeć w łóżku w podeszłym wieku. . . Wezwę cię, kiedy skończę.

Abrata rzucił jeszcze Creasy'emu mściwe spojrzenie i wyszedł z pokoju.

— Ta dziewczyna bez wątpienia umie radzić sobie z mężczyznami — stwierdziła Laura, wyglądając na pole przez kuchenne okno. Jej synowa, Maria, stała tuż obok. Paul orał ziemię mechanicznym pługiem, a Juliet szła za nim jak mały psiak. Hałas maszyny utrudniał im rozmowę, ale Laura słyszała, jak wyjaśniał dziewczynie podniesionym głosem, co robi i dlaczego. Gdy zaorał całe pole, wyłączył silnik, siadł na niskim murze i wyjął z brezentowej torby butelkę. Juliet usiadła obok niego i napili się razem chłodnego wina.

— Masz rację — przyznała Maria. — Jest tu dopiero od wczoraj, a już potrafiła owinąć sobie Paula i Joeya wokół małego palca. Ciekawe, czy z Creasym będzie tak samo.

— Chyba tak — stwierdziła po namyśle Laura. — Creasy będzie w niej widział utraconą córkę... Ale Michael jej nie ulegnie... Jako surowy starszy brat będzie miał pretensje do Creasy'ego, że dziewczynie pobłąza... Powstanie z tego ciekawy rodzinny trójkąt.

— O ile Creasy w ogóle wróci — powiedziała Maria. — Jeśli to prawda, że jest w rękach mafii, zemszcą się na nim.

— Wiele już przeżył — rzekła Laura. — Bywał w poważnych tarapatach... i zwykle radził sobie sam. Teraz ma Michaela, który właśnie śpieszy mu z pomocą. Na pewno sprowadzi go do domu... To też wyjdzie im obu na dobre.

\* \* \*

— Od kiedy macie tę farmę? — zapytała Juliet, siedząc na murze. Paul spojrział na nią z uśmiechem.

— Moja rodzina uprawia tę ziemię od pokoleń. Oczywiście to szaleństwo — dodał, wskazując na pole prawie dojrzałych pomidorów. — Pracuję po dwanaście, czternaście godzin dziennie, a kiedy w przyszłym tygodniu sprzedam te pomidory na targu, dostanę za nie jakieś piętnaście lirów. Gdybym policzył koszt nawozów i insektycydów plus robociznę, okazałoby się, że ponoszę straty.



— Więc dlaczego to robisz?

— Mam to we krwi — wyjaśnił. — Jak wszyscy mieszkańcy Gozo. Kiedy trzymam w ręce tych piętnaście lirów, czuję, że to moje własne pieniądze... Jest jeszcze inny powód. Wszystkie warzywa i owoce, które jemy, pochodzą z naszych pól. Hodujemy kury, króliki i kaczki. Trudno wytłumaczyć, jaką to daje satysfakcję. Gdyby nagle zamknięto wszystkie sklepy, naszej rodzinie nie groziłby głód. — Podniósł do ust butelkę wina, napił się i podał ją Juliet. — Nie dokuczałoby nam też pragnienie. Mamy źródlaną wodę i winnice.

Juliet wypiła łyk wina i uśmiechnęła się do Paula.

— Bardzo mi smakuje. Chyba rozumiem, co czujesz.

Paul pokiwał głową.

— Możliwe... Jesteś jeszcze dzieckiem, ale wiele już przeszłaś. Podobnie jak my w ciągu tysięcy lat historii. Zawsze nas atakowano, zniewalano i wyzyskiwano. Pamiętam, jak w czasie ostatniej wojny zamknięto wszystkie sklepy... Byłem wtedy małym chłopcem, ale pracowałem z ojcem i wujem na farmie — powiedział, wskazując ręką na pola — i nasza rodzina nie głodowała. Część zbiorów posyłałiśmy na Maltę, bo tam ludzie nie mieli co jeść.

— Więc jesteś szczęśliwy? — zapytała Juliet.

Odebrał od niej butelkę wina i pociągnął następny łyk, zastanawiając się nad odpowiedzią.

— W pewnym sensie tak. Mam wspaniałą, pracowitą żonę, syna, z którego jestem dumny, synową, którą kocham i która urodzi mi wnuki. Mam Creasy'ego, który dla mnie i Laury jest równocześnie synem, bratem i ojcem. Michaela też traktuję jak syna. — Położył Juliet na głowie swą sękatą, ogorzałą dłoń i powiedział: — A teraz mam jeszcze ciebie. To dobrze, ale czeka cię trudne zadanie, bo musisz zastąpić dwie córki, które utraciłem... A były to wspaniałe dziewczyny.

Spojrząwszy w kierunku domu, Juliet zobaczyła na podwórku Laurę i Marię.

— Michael opowiadał mi o Nadii i Julii — powiedziała bardzo cicho. — Nigdy nie potrafię ich zastąpić. Nie ukoję tego bólu... — Popatrzyła Paulowi prosto w oczy. — Ale będę was wszystkich bardzo kochała: ciebie, Laurę, Joeya i Marię. Tylko tyle mogę obiecać.

Paul wstał, otrzepał spodnie z kurzu i podszedł do pługa.

— Zaoramy jeszcze jedno pole, a potem muszę wpaść do przyjaciela, który ma jakiś problem z wyłaczarką do wina.

— Mogę pojechać z tobą?

— Jasne.

## 40

Dwie minuty przed dziewiątą obok kościoła zatrzymał się samochód. Michael obserwował go z odległości stu metrów, siedząc na wózku inwalidzkim po drugiej stronie placu. Kolana miał przykryte kocem, na którym leżała książka. Jens stał za nim, przebrany za księdza. Obaj mieli w uszach aparaty słuchowe.

Czarna Lancia była stara, ale doskonale utrzymana. Kierowca otworzył tylne drzwi i chciał pomóc przy wysiadaniu kobiecie w podeszłym wieku, ale ta odprawiła go zdecydowanym gestem. Podpierając się białą laską pokuśtykała po niskich stopniach do kościoła. Przy drzwiach czekał na nią stary ksiądz. Wziął ją pod ramię i wprowadził do środka. Kierowca wsiadł z powrotem do samochodu, przejechał na drugą stronę placu i zaparkował obok małej kafejki. Minutę później pił już *cappuccino* i jadł kruche ciastko.

Michael rozejrzał się po placu, a potem wziął do ręki książkę i powiedział cicho:

— Tylko jeden. Ten, co zwykle. Widzicie go?

— Tak — zabrzmiał w słuchawce głos Millera.

— Mamy około trzydziestu minut — oznajmił Michael. — Ksiądz zabierze mnie teraz na spacer. — Spojrzał na Jensa i skinął głową. Duńczyk ruszył dostojnym krokiem, pchając wózek przez brukowany plac w kierunku kafejki.

# 41

— Błękitny Kartel.

Creasy wypowiedział tylko te dwa słowa, obserwując uważnie twarz siedzącego za stołem Włocha.

Początkowo nie było żadnej reakcji. Ciemne oczy Grazziniego wyrażały tylko zdziwienie.

— Błękitny Kartel? — powtórzył powoli pytającym tonem.

Creasy milczał, przyglądając mu się. Grazzini powiedział raz jeszcze:

— Błękitny Kartel? Coś o nim słyszałem... — Niemal niedostrzegalnie skinął głową. — Jakieś pogłoski... od wielu lat... Wątpię, czy naprawdę istnieje.

— Istnieje — stwierdził stanowczo Creasy. — Z jego powodu przyleciałem do Włoch.

Ich rozmowa przypominała teraz pokerową rozgrywkę. Każdy z graczy próbował odgadnąć, jakie karty ma przeciwnik. Creasy nadal milczał.

— Jeżeli ten kartel istnieje — odezwał się w końcu Grazzini — nie ma nic wspólnego z Cosa Nostra.

Creasy czuł, że sztywnieją mu nogi i ręce. Próbował poruszyć palcami, ale były odrętwiałe.

— Wiem o tym. Gdybym uważał, że oni mają coś wspólnego z mafią, nie siedziałbym tu teraz przywiązany do krzesła. Rozmawialibyśmy w Rzymie — i to ty byłbyś skrepowany.

Grazzini wzruszył lekceważąco ramionami i zapytał:

— Co wiesz o Błękitnym Kartelu?

— Wszystko ci powiem — odparł Creasy. — Ale najpierw posłuchaj, co wiem o Paolo Grazzinim.

Włoch uśmiechnął się drwiąco, zachęcając go wymownym gestem do zwierzeń.

Creasy pochylił się maksymalnie do przodu i oznajmił rzeczowym tonem:

— Paolo Grazzini był podrzędnym żołnierzem rzymskiej mafii, dopóki nie ożenił się z siostrą Contiego, głównego *capo* Rzymu i północnych Włoch. Dzięki temu małżeństwu zaczął robić karierę i awansować, chociaż Conti nigdy nie traktował go z szacunkiem, na jaki we własnym mniemaniu zasługiwał.

Grazzini wzruszył ramionami, nadal cynicznie się uśmiechając.

— Jakieś sześć lat temu — kontynuował Creasy — Gino Fossella, główny *capo* Mediolanu, podlegający oficjalnie Contiemu, porwał moje ukochane dziecko i niemal śmiertelnie mnie postrzelił. Dziewczynka zmarła. Zabiłem wtedy Fossellę i jego zastępców. Byłem tak rozjuszony, że dopadłem też człowieka, któremu podlegał. Załatwiłem Contiego i wszystkich jego ludzi, oprócz ciebie.

— Wiem o tym — stwierdził zniecierpliwiony Grazzini.

— Owszem, ale są sprawy, których nie rozumiesz. Próbuję ci wszystko wyjaśnić. Na koniec zabiłem w Palermo Cantarellę i wszystkich jego zastępców, a potem upozorowałem swoją śmierć.

— Przy pomocy twego przyjaciela, pułkownika Satty — stwierdził Grazzini.

— To bez znaczenia. Uśmierciwszy Cantarellę dopełniłem zemsty. Nie żywię żadnej urazy do ciebie ani do Cosa Nostra.

Włoch znów lodowato się uśmiechnął.

— Wendeta musi się dokonać. Zakłóciłeś nasz spokój i zapłacisz za to. Tym razem twoja śmierć nie będzie pozorowana. . . możesz mi wierzyć.

— Nie jestem ignorantem w tych sprawach — powiedział Creasy z szerokim uśmiechem. — W ciągu ostatnich sześciu lat wiele się zmieniło. Stoisz na czele Cosa Nostra w Rzymie i na północy, ale nie kontrolujesz Neapolu, Kalabrii ani Sycylii. We Włoszech są teraz dwie mafie: jedna na południe od Rzymu, druga na północy. Staracie się tutaj być bardziej cywilizowani, by was szanowano. Z czasem możecie to osiągnąć. . . ale nie z takimi ludźmi jak Abrata. On należy do poprzedniego pokolenia.

Grazzini słuchał go na pozór obojętnie, ale Creasy dostrzegł w jego oczach zainteresowanie.

— Paolo Grazzini jest człowiekiem innego pokroju — ciągnął dalej. — Owszem, handluje narkotykami, albo robią to jego podwładni, a on bierze swoją dolę. Zajmujesz się wymuszaniem haraczu, ale przede wszystkim przekupujesz polityków i biznesmenów. — Zniżył głos, dodając niemal refleksyjnym tonem: — Ale nie handlujesz żywym towarem. Nie kalasz się prostytutką. W odróżnieniu od tych bydlaków z południa i z Sycylii, zlecasz dokonywanie zabójstw tylko wśród swoich. . . Nie wypowiadasz wojny cywilom. Nie zabijasz kobiet ani ich nie wyzyskujesz.

Zapanowała cisza, a po chwili Grazzini zapytał:

— I co z tego?

Creasy wzruszył ramionami.

— Więc powiedz mi, co wiesz o Błękitnym Kartelu, który jest plamą na honorze Cosa Nostra.

Znów zaległo milczenie. Creasy czekał w napięciu, jak Grazzini zareaguje na jego słowa.

— Dlaczego tak uważasz? — zapytał wreszcie Włoch.

Creasy wiedział, że posunął się o krok do przodu.

— To plama na honorze Cosa Nostra, a także twoim, ponieważ pozwalasz tym łajdakom działać na własnym terenie.

Włoch był wyraźnie wzburzony. Creasy wiedział, że uczynił kolejny krok na przód.

— O czym ty mówisz, do cholery? — warknął Grazzini. — To tylko pogłoski. Zawsze ich pełno. Wątpię, czy ten kartel w ogóle istnieje.

— Istnieje — powiedział z naciskiem Creasy. — Ci ludzie działają nie tylko na twoim terenie. Wytropię ich i zniszczę.

— Dlaczego?

— Ponieważ ich nienawidzę.

— Czym ci się narazili?

— Widziałem, co robią.

— Co takiego?

— Handlują młodymi kobietami. Nawet ty nie potrafiłbyś sobie wyobrazić, jak je wykorzystują. Zniewalają ich ciała i umysły.

Grazzini pokiwał głową.

— Słyszałem o tym. . . Ale dlaczego chcesz ich zniszczyć?

— Mam swoje powody.

— Jakie?

— Ponieważ wykorzystują nawet małe dziewczynki — powiedział Creasy, cedząc powoli każde słowo — i czerpią z tego przyjemność. To dla nich ważniejsze niż zysk.

Grazzini wpatrywał się przez kilka sekund w blat stołu, po czym nagle wstał, przeszedł przez pokój i utkwiał wzrok w wiszący na ścianie obraz, który przedstawiał martwą naturę: misę z owocami. Creasy wiedział, że pokonał kolejną przeszkodę.

Staruszka uderzyła Michaela z całej siły w twarz białą laską, krzyząc: *Vaffanculo!* Odskoczył na bok, omal nie upuszczając pistoletu. Gdy ponownie się na niego zamierzyła, złapał ją za rękę, przyciągnął do siebie i chwycił w pasie. Ugryzła go w ramię tak mocno, że wypadła jej sztuczna szczęka. Michael zbiegł po schodach, trzymając staruszkę w pół. Zobaczył, że Sowa podjeżdża właśnie Mercedesem. Wózek inwalidzki toczył się po bruku. Jens biegł w kierunku samochodu, powiewając połami sutanny. Na środku placu leżał skulony ochroniarz, a nad nim stał Miller. Michael zobaczył, jak Australijczyk ogłusza ochroniarza kolbą pistoletu, a potem ucieka. Jens otworzył tylne drzwi Mercedesa. Michael wepchnął staruszkę do środka i wskoczył za nią. Duńczyk zajął błyskawicznie miejsce z przodu. Sowa nadepnął z całej siły na pedał gazu. Ruszyli z piskiem opon. Po chwili zniknęli z placu. Wszystko trwało najwyżej dwadzieścia sekund.

## 43

— Pamiętaj, że ciąży na tobie *vendetta* — powiedział Grazzini, nadal wpatrując się w obraz na ścianie. — Zabiłeś członków mojej rodziny.

— Zabiłem twojego szwagra, którego, jak sądzę, nienawidziłeś — odparł szorstko Creasy. — Twój kuzyn był żołnierzem i zginął w walce. Nie zabiłem ci siostry... Cztery lata temu wyszła ponownie za mąż i urodziła córkę. Jesteś jej chrzestnym ojcem. Conti traktował twoją siostrę jak szmatę... Dobrze o tym wiesz.

Grazzini wrócił do stołu i ponownie usiadł. Po raz pierwszy jego twarz zdradzała zdenerwowanie.

— Nie mogę zapominać o wendecie — oznajmił beznamiętnym tonem. — Tylko twoja śmierć wyrówna rachunki.

Creasy przyglądał się Włochowi przez kilka sekund, po czym rzekł:

— Opowiem ci o haniebnym wydarzeniu. O tym, w jaki sposób mniej więcej osiem lat temu skończyła się wendeta w pewnym miasteczku w górach Kalabrii. Trwała przez trzydzieści lat. Zginęło w tym czasie ponad dwudziestu mężczyzn z dwóch rodzin. Wendeta trwała tak długo, że nikt już nie pamiętał, od czego się zaczęła. W końcu w jednej z rodzin został ostatni żywy potomek płci męskiej. Wedle wspaniałych zasad wendety chłopiec staje się mężczyzną, gdy ukończy szesnaście lat i wtedy może zabijać albo paść ofiarą zemsty. Chłopak miał piętnaście lat, kiedy matka i siostry powiedziały mu, że w szesnaste urodziny musi wziąć strzelbę i pomścić śmierć ojca, braci, wujów i kuzynów. On jednak odmówił. Jego matka i siostry uznały, że postępuje nikczemnie. Miejscowy ksiądz poinformował o tej sprawie prasę. Opisywano ją we Włoszech i na całym świecie.

Grazzini skinął poważnie głową.

— Wiele włoskich rodzin chciało zaopiekować się chłopcem — kontynuował Creasy. — Oczywiście, policja zaproponowała mu ochronę. Ale on się nie zgodził. W przeddzień jego szesnastych urodzin matka i siostry wyszły z domu, opluwając go na pożegnanie. Zostawiły otwarte drzwi. Minutę po północy zjawili się uzbrojeni mężczyźni z drugiej rodziny i zastrzelili chłopca przy stole. Matka i siostry nie chciały nawet wziąć udziału w jego pogrzebie... Czy tak wygląda wyrównywanie krzywd? Czy na mnie też musisz się mścić w ten sposób?

Grazzini spojrział na leżący przed nim pistolet. Wziął go do ręki, a potem powoli odłożył na miejsce, mówiąc półgłosem:

— Znasz nasze zasady. Muszę zachować autorytet.

Creasy zaśmiał się cicho.

— Stracisz go, jeżeli zademonstrujesz swoją siłę, strzelając w głowę związanemu człowiekowi.

Obaj zamilkli. W tym momencie otworzyły się z impetem drzwi i Abrata wywołał Grazzinię z pokoju. Włoch pośpiesznie wyszedł, a gdy wrócił minutę później, jego twarz pałała gniewem. Chwycił pistolet i przystawił go Creasy'emu do głowy. Ciężko dysząc, warknął:

— Mówisz o wendecie! Porwałś moją matkę! Moją matkę, łajdaku!

— Przecież od dwudziestu czterech godzin siedzę przywiązany do tego krzesła! — krzyknął w odpowiedzi Creasy.

— A więc zrobili to twoi ludzie! — powiedział, wycelowując Creasy'emu lufę pistoletu między oczy.

Creasy zaczerpnął powietrza i rzekł spokojnie:

— Jeżeli to prawda, nie pociągaj za spust, bo twoja matka zginie.

Włoch ciężko oddychał.

— Zabij drania! — namawiał stojący za jego plecami Abrata.

— Tu nie chodzi o twoją matkę — powiedział głośno Creasy, a potem spokojniejszym już tonem zapytał Grazzinię: — Kiedy i gdzie to się stało?

Grazzini cofnął pistolet o kilkanaście centymetrów.

— Piętnaście minut temu, przed kościołem w jej rodzinnym miasteczku.

Creasy przymknął oczy i po namyśle wskazał Włochowi głową krzesło, mówiąc:

— Usiądź tu i zaczekaj. Jeśli zrobili to moi ludzie, zadzwonią najpóźniej za dwadzieścia minut. Postaw telefon na stole.

W pokoju wyczuwało się napięcie.

— Pewnie wypuszczą ją pod warunkiem, że go uwolnimy — odezwał się znowu Abrata.

— Nie ma mowy — warknął Grazzini. — Nie wyjdzie stąd żywy!

— Możliwe — przyznał Creasy. — Ale piętnaście czy dwadzieścia minut nie zrobi różnicy. Nie walczę z bezbronnymi kobietami. Nawet z matką *capo*.

Grazzini milczał przez chwilę, po czym odwrócił się i powiedział:

— Przynies tu telefon. Z podłączonym głośnikiem.

Telefon zadzwonił osiemnaście minut później. Grazzini podniósł słuchawkę. Był już opanowany, ale nadal trzymał w ręce pistolet i celował nim w głowę Creasy'ego. W końcu zasłonił dłonią mikrofon i powiedział:

— Ten człowiek mówi, że jest twoim synem i porwał moją matkę. . . Nie wiedziałem, że masz syna.



— A ja dopiero co się dowiedziałem, że masz matkę... Pozwól mi z nim porozmawiać.

Stojący za Grazzinim Abrata wzniósł oczy do nieba, mówiąc:

— Ten łajdak oszalał.

— Może byś się zamknął — powiedział Creasy. — Tu nie chodzi o twoją matkę.

Grazzini wahał się przez chwilę, po czym przytknął słuchawkę do ucha Creasy'ego i wcisnął guzik na konsoli.

— To ty, Michael? — zapytał Creasy.

— Tak — usłyszał z głośnika odpowiedź syna. — Jak się czujesz?

— Dobrze. Porwałeś matkę Grazziniego?

— Tak.

— Więc natychmiast ją uwolnij.

Michael milczał co najmniej przez dwadzieścia sekund. W końcu usłyszeli jego zaskoczony głos:

— Mówisz tak dlatego, że przytknęli ci do głowy pistolet? Powiedz im, że ja mam na muszce tę kobietę.

— Michael, zrób dokładnie to, co ci mówię. Wypuść tę staruszkę i odeślij do domu Grazziniego w Rzymie. Niech nic się jej nie stanie. Powiedz, żeby zadzwoniła jak najszybciej do syna. Domyślam się, że jest z tobą kilku naszych przyjaciół. Pojedźcie wszyscy do człowieka, którego nazywam bratem i czekajcie tam na wiadomość.

Usłyszeli przez głośnik, że Michael się rozłączył. Grazzini powoli odłożył słuchawkę.

— On coś knuje — przerwał milczenie Abrata. — Po co miałby to robić?

— Ktoś taki jak on nigdy tego nie zrozumie — powiedział cicho Creasy, patrząc na Grazziniego. — Mówiłem ci, że nie walczę z kobietami...

## 44

Pułkownik Satta wszedł do sali, która przypominała bardziej apartament w luksusowym hotelu niż typowy szpitalny pokój. Jedynie ortopedyczne łóżko i stojaki do kroplówki zdradzały przeznaczenie tego miejsca. Była tam również wyjątkowo atrakcyjna pielęgniarka, której strój mógł projektować sam Valentino.

Mierzyła właśnie Creasy'emu ciśnienie. Sprawdziwszy wynik pokiwała głową z zadowoleniem i rzekła:

— Teraz potrzebuje pan tylko snu. Co oznacza, że pański gość musi wyjść stąd za kwadrans — dodała, spoglądając surowo na Sattę.

Creasy wyciągnął obandażowaną dłoń, dotknął jej przegubu i spytał:

— Jak pani ma na imię?

— Gianna — odparła pielęgniarka.

Creasy uśmiechnął się do niej z wysiłkiem.

— Gianni, rozmowa z pułkownikiem Sattą może mi zająć trochę czasu. Zechciałaby pani przynieść nam butelkę dobrego Barolo i dwa kieliszki?

— Najlepiej trzy — stwierdził Satta. — Za dziesięć minut będzie tu Bellu.

— Musi pan porozmawiać z doktorem Sylvestri — zachnęła się pielęgniarka.

— Przewidywał, że u pacjenta może wystąpić spóźniona reakcja szokowa.

Satta i Creasy uśmiechnęli się do siebie.

— On dozna szoku, jeśli w ciągu pięciu minut nie dostanie tego wina — stwierdził pułkownik.

Pielęgniarka pokręciła głową i wyszła pośpiesznie z sali. Satta przysunął sobie krzesło bliżej łóżka.

— Rozmawiałem z Guidem — oznajmił. — Nie wdawałem się w szczegóły. Powiedziałem mu, że czujesz się dobrze i jutro będziesz w Neapolu. Michael przekazał mu tymczasem wiadomość, że stosuje się w zasadzie do twoich poleceń.

— W zasadzie? — zaniepokoił się Creasy.

— Tak. Myślę, że ma rację. Zabrał do Neapolu całą ekipę z wyjątkiem Maxiego.

— A gdzie jest Maxie?

— Na pewno nie tysiące kilometrów stąd. Sam dokładnie nie wiem, ale przy-

puszczam, że kręci się gdzieś w pobliżu szpitala. . . Michael myśli podobnie jak ty.

Creasy z namysłem pokiwał głową.

— To głupie i bezsensowne. . . Ale świadomość, że Maxie jest gdzieś w pobliżu dodaje mi otuchy.

Satta uśmiechnął się szeroko.

— A nie mówiłem? Ty i Michael myślicie tak samo. Creasy spojrzał na swą obandażowaną prawą rękę.

— Doktor Sylvestri miał rację. To nie z tym palcem był największy problem. Skrępowali mnie tak mocno, że omal nie dostałem gangreny. Za parę godzin straciłbym wszystkie palce u rąk i nóg. — Wzruszył ramionami, uśmiechając się pod nosem. — Nie zdawałem sobie z tego sprawy. Człowiek zupełnie traci czucie. Kiedy zanika ból, nie wie się nawet, że ciało zaczyna powoli obumierać.

Usłyszeli pukanie do drzwi i do pokoju wszedł Bellu z walizką w ręce. Przysunąwszy sobie krzesło po drugiej stronie łóżka, postawił neseser na podłodze, pochylił się i ucałował Creasy'ego w oba policzki. Creasy objął go zdrową ręką za szyję, przyciągnął do siebie i mocno uścisnął. Nie widzieli się od sześciu lat. Bellu usiadł, wziął walizkę, położył ją sobie na kolanach i otworzył. Wyjąwszy ze środka ciekawą teczkę, spojrzał na Creasy'ego i zaczął czytać mu policyjny raport.

— O godzinie dziesiątej trzydzięci dwa przed południem *signora* Grazzini wychodziła z kościoła w Bracciano Lago. U podnóża schodów siedział na wózku inwalidzkim młody mężczyzna, a za nim stał ksiądz. Według zeznań świadków był to dość pulchny blondyn średniego wzrostu. Gdy ochroniarz *signory* Grazzini, niejaki Filippo Cossa, ruszył w kierunku jej samochodu, siedzący na wózku młody mężczyzna zrzucił z kolan koc i zerwał się na równe nogi. W rękę trzymał pistolet. Cossa ruszył biegiem przez plac w kierunku *signory* Grazzini, ale zaatakował go drugi, także uzbrojony mężczyzna w ciemnym swetrze, ciemnych spodniach i czarnym berecie. Ochroniarz został obezwładniony, zanim zdążył wyciągnąć broń. *Signora* Grazzini uderzyła młodego mężczyznę laską, ale ten chwycił ją w pól i zaniósł do Mercedesa, który zatrzymał się przy schodach. Wepchnąwszy kobietę do środka, wskoczył za nią na tylne siedzenie. Ksiądz zajął miejsce obok kierowcy i Mercedes szybko odjechał. Dziesięć sekund później na placu pojawił się drugi samochód. Wskoczył do niego mężczyzna, który zaatakował Cossę. W ciągu mniej więcej dwudziestu pięciu minut policja zablokowała wszystkie drogi prowadzące do Bracciano Lago. Zdaniem ekspertów porwanie zorganizowali profesjonaliści.

Bellu zamknął teczkę i spojrzał najpierw na Sattę, a potem na Creasy'ego, który stwierdził:

— Pewnie, że to cholernie profesjonalna robota!

Satta wzruszył tylko ramionami.

— Jaki ojciec, taki syn. . . — powiedział. — Ale trzeba przyznać, że miał do pomocy doborową ekipę. Nawet prezydent nie byłby bezpieczny. — Popatrzył na Creasy'ego. — Michael musiał dzwonić do Grazziniego z telefonu komórkowego. Wiemy, że godzinę później odwiózł *signorę*. Grazzini do domu jej syna w Rzymie. . . Powiedz nam teraz, Creasy, dlaczego to zrobił i co się potem działo?

Creasy spojrział na swą obandażowaną prawą rękę i odparł:

— Oczywiście, Grazzini chciał mnie natychmiast zabić, a podjudzał go jeszcze ten gnojek Abrata. Musicie zrozumieć, że Grazzini był między młotem a kowadłem. Zawiązała się między nami nić porozumienia, ale kiedy Michael porwał jego matkę, musiał zademonstrować swoją bezwzględność i męstwo. Stracił rezon, gdy kazałem Michaelowi uwolnić staruszkę i odesłać ją do domu.

Bellu słuchał tego jak urzeczony.

— Byłeś wtedy jeszcze przywiązany do krzesła? — zapytał.

Creasy skinął głową.

— Tak. . . Podjąłem skalkulowane ryzyko.

— I w zamian za uwolnienie swojej matki Grazzini uciął ci palec? — spytał zaintrygowany Satta.

Creasy wrócił pamięcią do tych chwil, gdy jego życie dosłownie wisiało na włosku. Miał wrażenie, że ogląda nagrany na taśmie film.

\* \* \*

Grazzini był zupełnie zbity z tropu. Nie pojmował, co się dzieje.

— Zaczekaj, aż zadzwoni twoja matka — powiedział Creasy. — Jeżeli jest taką osobą, jak przypuszczam, nie będzie cię okłamywała, gdyby mój syn przystawił jej do głowy pistolet. . . Proponuję, żebyś rozmawiał z nią bez świadków.

Grazzini przeszedł się kilka razy po pokoju, po czym warknął do Abraty:

— Zostaw nas samych!

Abrata niechętnie wykonał jego polecenie, rzucając przez ramię:

— Nie ufaj mu. Będę za drzwiami.

Czekali w milczeniu. Grazzini chodził tam i z powrotem po pokoju. Co jakiś czas przystawał i wpatrywał się w zawieszony na ścianie obraz, jakby odczytując z niego sens życia. Creasy obserwował uważnie Włocha, coraz częściej spoglądając na swoją skrępowaną prawą rękę. Telefon zadzwonił po dwudziestu minutach.

Głośnik był nadal włączony i Creasy mógł przysłuchiwać się rozmowie. Matka Grazziniego była wściekła.

— Co się dzieje, do cholery? — zapytała gniewnie.

— Gdzie jesteś?

— W twoim mieszkaniu.  
— Sama?  
— Z Marią.  
— Dobrze się czujesz?  
— A jak myślisz?... — odparła pełnym pretensji, wojowniczym tonem. — Idę na mszę, modłę się za grzechy moich dzieci, daję pięć tysięcy lirów na ofiarę dla biednych... a tu jakiś szczeniak napada mnie pod kościołem, wpycha do samochodu, przykrywa kocem i gdzieś wywozi!

— Co było potem?  
— Rozmawiał przez telefon, ale nie wiem o czym. Później odwiózł mnie do domu, pocałował w oba policzki i zostawił z Marią... Paolo, co ty robisz, do cholery? Kiedy zacząłeś się zadawać z tym bydlakiem Contim, powiedziałam ci, że źle skończysz... Jak mój syn mógł tak nisko upaść? Wciąż się za ciebie modłę... Zapalam w kościołach tyle świec... Ten chłopak był w towarzystwie księdza... Nie do wiary!... Co ty masz wspólnego z duchownymi, którzy porywają starszaki?

Creasy nie potrafił opanować uśmiechu.  
Grazzini skrzywił się i wcisnął guzik, aby wyłączyć głośnik.  
— Mamo, daj mi Marię... — powiedział do słuchawki. Zamieniwszy kilka zdań ze służącą, skończył rozmowę, przez dłuższą chwilę przyglądał się Creasy'emu, po czym zapytał: — Dlaczego to zrobiłeś?  
Creasy wzruszył ramionami.  
— Już ci tłumaczyłem... Nie walczę z kobietami.  
Grazzini z niedowierzaniem pokręcił głową.  
— Nie rozumiem. Jesteś przecież całkowicie w moich rękach... — Nagle coś sobie uświadomił. — Wiedziałeś, że gdybyś uwięził moją matkę, nigdy bym cię nie wypuścił. Wiedziałeś też, że gdybyś zginał, twój syn by ją zabił. To była patowa sytuacja.  
Creasy przytaknął. Nadal lekko się uśmiechał, spoglądając co jakiś czas na swą prawą rękę.  
— Słusznie — rzekł. — Ale teraz sytuacja uległa zmianie... I masz do rozwiązania pewien problem.  
— Jaki?  
— No cóż... Będąc, na swój sposób, człowiekiem honoru, musisz mnie wypuścić... Ale jeśli to zrobisz, stracisz opinię twardziela w oczach wykonujących twoje rozkazy małych kretynów. — Creasy wskazał głową na drzwi, za którymi stał Abrata. — Oni dają ci władzę... Jeżeli przestaniesz być twardy, stracisz ją, a wtedy jeden z tych idiotów pewnej nocy przestrzeli ci głowę.  
Grazzini przyglądał mu się uważnie, nic nie mówiąc.  
— Podejdz do drzwi — ciągnął dalej Creasy — i powiedz temu kretynowi Abracie, żeby przyniósł z kuchni ostry nóż. Z ząbkowanym ostrzem.

Grazzini zmrużył oczy, wyraźnie zdezorientowany.

— Zrób to — nalegał Creasy.

Po kilku sekundach Włoch wstał i wyszedł z pokoju. Trzy minuty później wrócił z nożem.

— Jest ostry? — zapytał Creasy, gdy Grazzini do niego podszedł, zamknawszy za sobą drzwi.

Włoch przejechał kciukiem po ostrzu i skinął głową.

— Obejrzyj moją prawą rękę — powiedział cicho Creasy.

Grazzini pochylił się nad jego trupioblada dłoń i zobaczył, że Amerykanin ma tylko połowę małego palca.

— Resztę mi odstrzelono — wyjaśnił Creasy. — Dawno temu. To zdumiewające, jaki ten palec jest bezużyteczny... Przydaje się czasem tylko do dębienia w nosie. — Spojrzał na *capo* i dodał: — Odetnij mi połowę małego palca lewej ręki.

Włoch patrzył na niego skonsternowany.

— To dobre rozwiązanie — powiedział Creasy swobodnym tonem. — Odetniesz mi go bez znieczulenia. Będę bardzo głośno i przekonująco krzyczał. Masz czystą chusteczkę?

Grazzini był wyraźnie oszołomiony.

— Masz czystą chusteczkę? — powtórzył Creasy.

*Capo* skinął głową i wyjął z butonierki kremową jedwabną chustkę.

— Bardzo dobrze — stwierdził z aprobatą Creasy. — Kiedy obetniesz mi palec, owiń nią kikut. Wtedy zemdleję. — Ponownie się uśmiechnął. — Będzie to efektownie wyglądało. Dasz palec Abracie i powiesz mu, żeby go zabalsamował, zatopił w szkle i posłał do Rzymu jako prezent dla twojej matki... To do niego przemówi. Potem każesz swoim ludziom odwieźć mnie do hotelu.

Grazzini spojrzał na nóż i na prawą rękę Amerykanina.

\* \* \*

Satta i Bellu patrzyli w milczeniu na obandażowaną dłoń Creasy'ego.

— Prawie nie bolało — stwierdził. — Rękę miałem i tak całkowicie znieczuloną... Ale Grazzini nie jest chirurgiem. — Uśmiechnął się do Satty. — Twój brat mógłby udzielić mu paru lekcji... Krzyknąłem bardzo przekonująco, a potem zemdlałem. — Sięgnął po leżącą na stoliku obok łóżka zakrwawioną jedwabną chusteczkę i oznajmił: — W zamian za połowę bezużytecznego palca dostałem piękną chustkę.

## 45

Nowicjusza wezwano, aby podszedł bliżej. Spod czarnego kaptura widać było jego ciemną, szczupłą twarz ze sterczącym podbródkiem i prostymi wąskimi ustami. Ciemne, głęboko osadzone oczy, wyrażały lęk i wahanie.

Wezwano go ponownie. Przez moment wpatrywał się w czarny ołtarz. Na środku stał odwrócony czarny krzyż o wysokości dwóch metrów, a za nim ogromna czarna świeca na hebanowej podstawie. Z obu stron krzyża znajdowało się po sześć mniejszych świec. W sumie było ich trzynaście. Pod krzyżem leżał długi nóż ze srebrnym ostrzem i rękojeścią z czarnego rogu. Po lewej stronie ołtarza umieszczono stojącego na tylnych nogach wypchanego kozła z wyszczerzonymi szkaradnie białymi zębami, a po prawej śnieżnobiałego koguta, któremu spętano łapy czarnym jedwabnym sznurkiem. Obok niego leżała biała ludzka czaszka.

Kapłanka przeszła z lewej strony ołtarza pod krzyż. Była ubrana w brązowe szaty, a na głowie miała czarny kaptur.

Raz jeszcze wymówiła imię nowicjusza. Jego nogi przestały już być posłuszne nakazom rozumu. Wszedł trzy stopnie do góry, stanął o schodek niżej od kapłanki i spojrzał na jej upudrowaną twarz. Usta miała pociągnięte czarną szminką, rzęsy czarnym tuszem, a na czole wymalowane czarne rogi kozła. Wyciągnąwszy rękę, położyła ją nowicjuszowi na głowie i zapytała uroczyście:

— Czy wyrzekasz się Boga?

— Wyrzekam się go w każdej postaci — odparł bez namysłu.

Kapłanka podniosła wzrok i spojrzała na zebranych. Wszyscy byli w czarnych szatach. Za nimi stał długi stół z jedzeniem i winem. Trzynastu członków wspólnoty oświadczyło zgodnym chórem:

— On wyrzeka się Boga.

Kapłanka cofnęła rękę, odwróciła się do ołtarza i podniosła nóż ze srebrnym ostrzem. Stojąc plecami do nowicjusza i członków zgromadzenia uniosła go wysoko nad głowę. Wszyscy powtórzyli szeptem:

— On wyrzeka się Boga.

Kapłanka podeszła do koguta, chwyciła go za szyję i wprawnym ruchem odcięła mu głowę. Potem przecięła czarny sznurek i odłożywszy nóż trzymała drgające ciało ptaka nad czaszką, ściskając je tak, by wypłynęła z niego krew. Minutę

później odwróciła się i cisnęła martwego koguta między zebranych. Wszyscy rzucili się z krzykiem na podłogę, aby go złapać.

Potem kapłanka podniosła głowę koguta i wrzuciła ją do napełnionej krwią czaszki. Lewą ręką podciągnęła do góry szatę, a do prawej wzięła czaszkę i, rozkraczywszy nogi, oddała do niej mocz.

Nowicjusz stał jak skamieniały, wpatrując się w odwrócony krzyż.

Kapłanka podeszła do nowicjusza, trzymając uroczyście czaszkę w obu dłoniach i podała mu ją. Wyciągnął powoli ręce, wziął od niej czaszkę, przytknął ją do ust i wypił to, co było wewnątrz.

Członkowie zgromadzenia wyszeptali znowu:

— On wyrzeka się Boga.

Nowicjusz ściągnął z głowy kaptur, odsłaniając młodą twarz. Miał najwyżej trzydzieści lat. Jego ciemne długie włosy zaczesane były z przedziałkiem. Kapłanka wzięła od niego czaszkę i wylała mu na głowę resztę jej zawartości. Potem położyła ją z powrotem na ołtarzu i jednym ruchem zrzuciła z siebie szatę. Była teraz naga. Miała blade i pulchne ciało. Nowicjusz i pozostali członkowie wspólnoty też się natychmiast rozebrali. Było wśród nich siedem kobiet i sześciu mężczyzn w wieku od dwudziestu kilku do prawie sześćdziesięciu lat.

Wszyscy podeszli do suto zastawionego stołu i przez następne pół godziny raczyli się obfitym jedzeniem i dobrym winem. Potem rozpoczęła się orgia, która trwała aż do świtu.

\* \* \*

O wschodzie słońca ze stojącego na odludziu domu wyłonili się dwaj mężczyźni i spoglądali teraz w dolinę na oddalone o pięć kilometrów niewielkie miasteczko. Widzieli wieżę kościoła i słyszeli dzwony, wzywające wiernych na mszę.

Obaj mieli po pięćdziesiąt kilka lat. Byli ubrani w dobrze skrojone garnitury. Jeden z nich był niski, szczupły i bladej skóry, drugi wysoki, muskularny, czarny na twarzy jak heban i zupełnie łysy.

— Wszystko dobrze poszło — powiedział ten pierwszy.

Czarnoskóry mężczyzna skinął głową.

— Bardzo dobrze... Trzeba było roku, żeby go przygotować. Nigdy nie zapomni tej nocy.

— Zgadza się — przyznał pierwszy mężczyzna. — Ale w ciągu miesiąca musi wziąć udział w mszy z prawdziwą ofiarą.

Drugi z mężczyzn wzruszył ramionami.

— To nie będzie łatwe. Mieliśmy potencjalną kandydatkę, ale straciliśmy ją



z powodu tej wpadki w Marsylii.

— Tak — stwierdził posepnie pierwszy mężczyzna. — Razem z depozytem w wysokości dwudziestu tysięcy dolarów. Musi ją ktoś zastąpić.

— W tej chwili mamy tylko dziewczyny z Azji i Afryki.

Niski mężczyzna pokręcił głową i oznajmił spokojnie, lecz z naciskiem:

— Nie! Musi mieć jasną skórę i być dziewczą. Zapłacimy, ile będzie trzeba. Może przekonamy Gamela, żeby zrealizował albański plan. W końcu ma już wszystko przygotowane.

Muskularny mężczyzna podniósł czarną głowę i spojrzał na południe.

— Tak. Polecę do Tunisu i porozmawiam z nim. O wiele łatwiej będzie znaleźć odpowiednią dziewczynę w Albanii, dopóki ten kraj pogrążony jest w chaosie. Muszę go też szczegółowo poinformować o niepokojących wydarzeniach z ostatnich dni. Od wielu lat nikt się nami nie interesował.

— Myślisz, że to coś poważnego? — zapytał niski mężczyzna. — Czy to może mieć związek z wydarzeniami w Marsylii?

Wysoki czarnoskóry mężczyzna pokręcił głową.

— Nie przypuszczam. Prawdopodobnie chodziło o porachunki gangów. Ale nie jestem zachwycony, że w dwóch różnych miejscach ktoś o nas wypytuje... Zresztą nieważne... Podjąłem już stosowne kroki. — Wskazał na dom, stojący za ich plecami. — Nasz nowicjusz odziedziczył w zeszłym roku pokaźny majątek. Z czasem z niego zrezygnuje, ale najpierw musi jeszcze bardziej się pogrążyć. Kozioł otrzyma należną ofiarę.

## 46

Laura zabrała Juliet na zakupy do miasteczka Nadur. Najpierw poszły do piekarni i kupiły cztery okrągłe bochenki gorącego, chrupiącego chleba, który wyjęto właśnie z opalanego drewnem pieca. Juliet zapytała Laurę, jak się mówi „chleb” po maltańsku i powtórzyła kilka razy to słowo, dopóki nie wymawiała go właściwie. Potem poszły do rzeźnika i Laura musiała uczyć ją nazw różnych rodzajów mięsa. W sklepie był jak zawsze tłum ubranych na czarno starszych kobiet, które przyszły zrobić zakupy i poplotkować. Laura wyjaśniła im, że Julia właśnie przyjechała i jest adoptowaną córką *Uomo* i siostrą Michaela. Starsze panie z aprobatą pokiwały głowami. Niektóre z nich miały po piętnaścioro własnych dzieci i zdecydowanie pochwalały posiadanie liczego potomstwa, choćby i adoptowanego. Następnie Laura i Juliet poszły do sklepu spożywczego, kontynuując naukę języka.

Po drodze do samochodu przystanęły obok nowo otwartego butiku, aby obejrzeć suknie na wystawie. Nagle Laura wzięła Juliet za rękę i wprowadziła ją do sklepu, mówiąc:

— Joey i Maria mają w sobotę drugą rocznicę ślubu. Będzie wielkie przyjęcie i nie możesz wystąpić w tych dzinsach.

Kupiła jej jaskrawo czerwoną sukienkę, która zdaniem Juliet była nieco krzykliwa, nie sprzeciwiała się jednak, bo Laurze wyraźnie przypadła do gustu. Właściciel butiku uważał, że sukienka jest nieco za duża i chciał ją zwęzić, ale Laura, jak zawsze praktyczna, stwierdziła, że Juliet szybko przybiera na wadze i wkrótce przytyje, ile trzeba. Kupiła jej natomiast szeroki czarny pas ze skóry, aby ściągnąć sukienkę w talii. Naturalnie Juliet musiała mieć do kompletu buty, poszły więc także do sklepu obuwniczego.

Michael dał siostrze przed wyjazdem sto pięćdziesiąt maltańskich funtów, ale Laura nie pozwoliła jej za nic płacić.

— Zawsze zmywasz i sprzątasz — powiedziała stanowczo — więc dostaniesz ode mnie prezent.

Gdy wróciły na farmę, Juliet pomogła jej przygotować obiad, który był zawsze głównym posiłkiem dnia. Najpierw zrobiły gęstą zupę jarzynową, zwaną — jak wyjaśniła Laura — „zupą wdowy”, ponieważ ze względu na obfitość warzyw na

wyspie była ona tania i pożywna. Na drugie danie przyrządziły *kawlatę*, wieprzowy gulasz z mnóstwem jarzyn. Wystarczyłoby go na dziesięć osób. Laura twierdziła, że gulasz się nie zepsuje, a nigdy nie wiadomo, kto jeszcze może przyjść na obiad. *Kawlata* była jednym z ulubionych dań Paula. Wrócił do domu dokładnie o dwunastej, po sześciu bitych godzinach pracy na roli. Juliet przyglądała się, jak zjada wielką misę zupy, a potem jeszcze większą porcję gulaszu. W trakcie posiłku spałaszował cały bochen chleba i wypił butelkę domowego wina.

Kiedy sprząтали ze stołu, zadzwonił Creasy. Zamienił kilka słów z Laurą, a potem poprosił do telefonu podekscytowaną Juliet.

Długo ze sobą rozmawiali. Zapewnił ją na początku, że i on, i Michael dobrze się mają. Gdy zapytała, gdzie są, powiedział tylko, że „gdzieś we Włoszech” i może ich nie być jeszcze przez kilka tygodni, ale postarają się chociaż na krótko wpaść na wyspę. Potem oznajmił, że od przyszłego tygodnia będzie musiała chodzić do szkoły.

— Nie chcę — odparła Juliet.

— To konieczne — powiedział surowym tonem.

— Nie znam jeszcze dobrze języka — oświadczyła z nadąsaną miną. — Potrzebuję co najmniej miesiąca, żeby się go nauczyć, więc w szkole będę tylko tracić czas.

Usłyszała stłumiony śmiech Creasy’ego.

— To żaden problem. W Kercem jest szkoła prowadzona przez zakonnice. Wykładają po angielsku. Rozmawiałem już o tym z Laurą. Wszystko załatwi.

Juliet rzuciła Laurze złowrogie spojrzenie, a ta uśmiechnęła się do niej słodko.

— Spotkasz swoich rówieśników — powiedział Creasy — i zdobędziesz nowych przyjaciół.

— Mam już przyjaciół.

— Kogo na przykład?

— No... Laure, Paula, Joeya, Marię., i starego rybaka Loretto, który przywozi Paulowi ryby i wypija jego wino.

— Pójdiesz do szkoły — powiedział stanowczo Creasy. — Nie chcę mieć głupiej córki, a Michael głupiej siostry... Kiedy wrócę, kupię ci rower.

— Rower? — krzyknęła rozemocjonowana Juliet.

— Nie przekupuj jej! — zawołała z drugiego końca pokoju Laura.

Juliet powiedziała potulnie do słuchawki:

— Dobrze, Creasy. Pójdę do szkoły. Ale rower musi być czerwony, żeby pasował do mojej nowej sukienki. — Opowiedziała mu o przyjęciu i gawędziła z nim jeszcze przez kilka minut.

Później, pomagając Laurze w kuchni przy zmywaniu naczyń, rzekła ze smutkiem:

— Nigdy nie miałam roweru... Nie umiem na nim jeździć.

— Nauczę cię — powiedziała z uśmiechem Laura, a potem dodała poważnym tonem: — Nie sądź, że będę ci ustępowała tak jak Creasy i Paul. Taka dziewczyna jak ty potrzebuje towarzystwa silnej kobiety, żeby nie przewróciło jej się w głowie.

— Pewnie masz rację — odparła Juliet, myśląc o czerwonej sukience, czarnym skórzanym pasie i nowych butach.

Jens Jensen często brał udział w naradach i seminariach, organizowanych przez policję w Kopenhadze. Na ogół niewiele się wtedy odzywał, chyba że ktoś — choćby nawet starszy rangą — wygłaszał bzdurne opinie. Nigdy jednak nie uczestniczył w spotkaniu podobnym do tego, na które go właśnie zaproszono.

Przed wszystkim na żadnej z narad nie było tak wspaniałego jedzenia. Tego wieczoru uczestnicy spotkania siedzieli przy długim owalnym stole na tarasie „Pensione Splendide”. W dole jarzyły się światła Neapolu, a dalej rozpościerała się ogromna zatoka. Dania fachowo serwował mrukliwy staruszek, który wyglądał tak, jakby dawno już osiągnął wiek emerytalny. Spoglądając wokoło Jens czuł się trochę jak schizofrenik. Chwilami miał wrażenie, że zupełnie nie pasuje do tych ludzi, a równocześnie byli mu bardzo bliscy. Siedział pośrodku stołu, naprzeciwko Creasy’ego, który miał obok siebie Michaela i Maxiego. Najdalsze miejsce z prawej strony zajmował Guido, a z lewej — pułkownik Satta. W spotkaniu brali poza tym udział Massimo Bellu, Duch, Frank Miller, Rene Callard, Pietro i Sowa, siedzący na lewo od Duńczyka. Jens przypuszczał, że obecni tam ludzie — z wyjątkiem jego samego, Satty i Bellu — stanowili najbardziej niebezpieczną grupę zabijaków, jaką kiedykolwiek udało się zebrać. Wiedział, że nawet młody Pietro, przybrany syn Guido, który jako trzynastolatek sypiał na ulicy, mając teraz dwadzieścia dwa lata, był równie twardy jak pozostali.

Zjedli wyśmienitą kolację. Zaczęli, oczywiście, od *antipasti*. Potem była *pasta della frutta di mare*. Główne danie stanowiła *cernia al forno* z białym winem i oliwą z oliwek. Jako *contorni* podano *patate lesse* i *piselli al finocchio*. Na deser staruszek zaserwował *charlotte di fragole*.

Jens spojrzął ponownie na rękę Creasy’ego i obandażowany kikut jego małego palca. Raz jeszcze przeszły go ciarki na myśl o tym, w jaki sposób Creasy go stracił. Próbował wczuć się w jego położenie. Bezbronny, przywiązany do krzesła Creasy stawiał czoło przywódcy mafii. Co więcej, zapewnił sobie jego współpracę.

Początkowo przy stole panowała beztroska atmosfera. Jens zrelacjonował sucho porwanie matki Grazziniego, opisując, jak uderzyła Michaela laską w twarz. Michael uśmiechnął się smętnie i pomasażował siny policzek. Powiedział, że staruszka nauczyła go całej litanii nowych przekleństw, a kiedy znalazła się w obję-

ciach służącej Grazziniego, Marii, nie złorzeczyła porywaczom, lecz prosiła Boga, by dał wreszcie jej synowi trochę rozumu.

Rozmowa stała się poważniejsza, gdy Michael stwierdził mimochodem, że Creasy nie może już poruszać się swobodnie po Włoszech. Inne rodziny mafijne również czyhały na jego życie, a następnym razem mógł mieć mniej szczęścia. Jens przypuszczał, że Creasy poczuje się urażony tymi słowami, przyjął je jednak w milczeniu i skinąwszy głową powiedział: — W przyszłości będę bardziej ostrożny.

Jens przypomniał sobie, jak głupio dali się z Michaeliem porwać w Marsylii i w jak spektakularny sposób Creasy ich uwolnił. Czuł, że Creasy i Michael wyrównali rachunki. Po chwili uświadomił sobie coś jeszcze. Creasy wyraźnie dominował nad całą grupą. Był charyzmatycznym przywódcą. Wszyscy siedzący przy stole mężczyźni odznaczali się nieprzeciętną inteligencją. Niektórzy, jak pułkownik Satta, wręcz wyjątkową. Tacy ludzie jak Miller, Callard, Guido, Michael i Sowa byli bez wątpienia sprawni fizycznie i doświadczeni. Żaden nie miał jednak takiej charyzmy jak Creasy. Jens przypuszczał, że gdy Creasy dożyje sędziwego wieku, Michael zajmie jego miejsce. Ale musiało upłynąć jeszcze wiele lat.

Spojrzał w lewo na siedzącego tuż obok Sowę. Obsługujący ich staruszek podał właśnie deser i Sowa pałaszowała *charlotte di fragole*. Jens nie dziwił się, że siedzą razem. Od czasu, gdy odbyli wspólnie długą podróż samochodem do Kopenhagi, Sowa zawsze był gdzieś w pobliżu. Chodził za nim jak cień. Jens stwierdził, że to dziwny człowiek. W trakcie rozmowy przyznał, że zabił kilku ludzi i przez większość życia był kryminalistą, dopóki nie zaczął pracować jako ochroniarz dla handlarza bronią, Leclerca. Nie miał rodziny. Oprócz pistoletu i noża nosił zawsze przy sobie mały, nowoczesny odtwarzacz płyt kompaktowych i słuchawki. Jens był zdumiony dowiedziawszy się, że pasjonuje go muzyka klasyczna, a zwłaszcza muzyka kameralna Schuberta, opery Mozarta i symfonie Beethovena. Podczas długiej podróży do Kopenhagi Sowa prawie nie zdejmował z uszu słuchawek.

Najważniejsze sprawy omawiano przy głównym daniu. Creasy poinformował zebranych, że Grazzini słyszał jakieś pogłoski o Błękitnym Kartelu i teraz próbował się dowiedzieć, ile jest w nich prawdy. Uśmiechając się z przekąsem Creasy dodał:

— Grazzini będzie używał pseudonimu „Papa”. Sam mu to zaproponowałem... Chętnie się zgodził.

Bellu powiedział, że mają dwóch podejrzanych: Włocha z Mediolanu o nazwisku Jean Lucca Donati i Nubijczyka z Egiptu, który nazywa się Anwar Hussajn i mieszka pod Neapolem. Sprawdzano właśnie, co łączy tych mężczyzn. Ich nazwiska przekazano również Papie, który zbierał informacje własnymi kanałami.

Creasy oświadczył następnie, że nie będą współpracowali w tej sprawie z żan-

darmerią. Wcale się nie usprawiedliwiając powiedział po prostu do pułkownika Satta: — Tak będzie lepiej. Nie chcesz być przecież zamieszany w nielegalną operację na swoim terenie. My też musimy unikać oficjalnych kontaktów z władzami. Będziemy jednak wdzięczni za wszelkie informacje, które Massimo może zdobyć i przekazać nam przez Guida.

Satta i Bellu skinęli głowami. Duch był jakby trochę rozzarowany. Najwyraźniej dobrze się bawił.

Jens próbował ocenić swoje położenie. Był policjantem, a brał udział w nielegalnej akcji na obcej ziemi. Uczestniczył w brutalnym porwaniu, a teraz dołączył do grupy, która planowała dokonywanie zabójstw. Zastanawiał się nad tym przez kilka minut i w końcu powziął decyzję. Gdy obsługujący ich starszek przyniósł mocną czarną kawę, Jens spojrzął przez stół na Creasy'ego i oświadczył: — Muszę polecieć do Danii.

Przy stole zaległo milczenie. Creasy skinął głową i rzekł: — Rozumiemy cię, Jens. Teraz, gdy w sprawę zamieszana jest mafia, wolisz się wyłączyć. Doceniamy twoją pomoc i życzymy ci szczęścia. Gdybyśmy mogli ci się kiedyś zrewanżować, wiesz, gdzie nas znaleźć. — Spojrzął na Michaela i dodał: — Rozlicz wydatki Jensa, żeby nie był na minusie.

Zanim Michael zdążył się odezwać, Duńczyk stwierdził: — Chwileczkę. Powiedziałem, że muszę polecieć do Danii, bo moja córka ma pojutrze urodziny. Zaraz potem wrócę. — Spojrzął na Creasy'ego i zgromadzonych przy stole mężczyzn. — Niech nikt nie próbuje odsuwać mnie od tej sprawy. Zajmuję się nią od początku i nie mam zamiaru rezygnować. — Machnął wymownie ręką. — Zgoda, może nie jestem taki twardy jak niektórzy z was... ani tak bezwzględny... ale mogę wam się przydać. Zrezygnowaliście właśnie ze współpracy policji — powiedział, wskazując na Sattę i na Bellu. — Rozumiem, z jakiego powodu. Ale pamiętajcie, że przed akcją trzeba będzie rozpoznać przeciwnika... To potrafię robić. Potrzebujecie centrali, która skoordynuje wasze działania. Lewa ręka musi wiedzieć, co robi prawa. Niezbędne jest planowanie i organizacja. Nie można ruszać na oślep do walki, jak Michael w Marsylii, czy Creasy w Mediolanie. — Jens zwrócił się teraz do wszystkich siedzących przy stole mężczyzn. — Wiem, że Creasy jest znakomitym, doświadczonym przywódcą i kiedy zacznie się walka, nie będzie potrzebował niczyjej pomocy... Ale przedtem trzeba zebrać informacje... Jestem detektywem... Mam powody, żeby śledzić tych ludzi... To moje zadanie — dokończył wojowniczym tonem.

Creasy milczał. Satta i Bellu pokiwali powoli głowami. Sowa uśmiechał się pod nosem. Wreszcie Satta powiedział:

— Jens ma rację. Dzięki treningowi i intuicji dobrzy detektywi są szczególnie bystrzymi obserwatorami. Dostrzegają rzeczy, które potrafią przeoczyć inni, nawet bardziej inteligentni ludzie. Widzą czasem las, a nie tylko drzewa. Będiesz dostawał informacje od Massima i może także od twego nowego przyjaciela, Papy.

Trzeba je korelować, sprawdzać, a potem przekazywać dalej w jak najzwęższej formie. Myślę, że Jens jest dobrym detektywem i pomoże nam. — W tym momencie dzwonek u drzwi zakończył definitywnie dyskusję.

Pietro poszedł otworzyć drzwi. Staruszek dołał tymczasem wszystkim kawy. Pietro wrócił po dwóch minutach. Miał w ręce niebieską kopertę. Podał ją Creasy'emu, mówiąc:

— Przyjechało dwóch mężczyzn w czarnej Lancii. Wyglądali dość charakterystycznie. Jeden z nich powiedział, że ma wiadomość dla *Uomo*.

Creasy otworzył kopertę i wyjął pojedynczą kartkę. Zerknął na nią, podniósł wzrok i rzekł:

— To od Papy. — Spojrzał znowu na papier i przeczytał:

W pogłoskach jest wiele prawdy. Chodzi jednak o coś więcej niż handel żywym towarem. To dużo poważniejsza sprawa. Ci ludzie działają na Bliskim Wschodzie i w północnej Afryce, być może w Tunezji. Dopiero za kilka dni dostanę nowe informacje. Będę w kontakcie. Papa.

Creasy złożył kartkę papieru i wsunawszy ją do kieszeni, spojrzął z namysłem na Duńczyka.

— W porządku, Jens. Jedź na urodziny córki i ucałuj ją od nas wszystkich. Ale potem tu wróć. — Spojrzał na Michaela. — A ty poleć do Brukseli i umów się tam z Korkociągiem Dwa. Musimy zorganizować sobie kryjówki w Mediolanie, w Rzymie i ewentualnie w Tunezji. Powinny być wyposażone tak, jak podczas naszej ostatniej operacji w Syrii. — Zwrócił się do Maxiego. — Mógłbyś właściwie z nim polecieć i odwiedzić rodzinę. — A wy — powiedział do Millera i Callarda — zróbcie sobie trzy albo cztery dni wolnego, a potem spotkajcie się tu z Jensem. — Następnie zapytał Sowę: — Wrócisz na kilka dni do Marsylii? Masz tam krewnych?

Sowa pokręcił głową i spojrzął na Duńczyka.

— Nie. Jeśli Jens nie ma nic przeciwko temu, polecę z nim do Kopenhagi. Lubię to miasto.

Jens wyraził zgodę.

Creasy przywołał kelnera i szepnął mu coś do ucha. Staruszek kiwnął głową i odszedł. Po kilku minutach wrócił w towarzystwie równie wiekowej jak on kobiety. Była tęga, cała ubrana na czarno, a siwe włosy miała związane w kok. Gdy się zbliżyła, Creasy wstał, uścisnął ją na powitanie i powiedział wszystkim, że to Ornella, ich kucharka. Wszyscy oprócz Guida i Pietra natychmiast wstali z miejsc i zaczęli bić jej brawo. Pokraśniała z dumy i szybko się oddaliła.

— Co masz zamiar teraz robić? — zapytał Creasy'ego Michael.

— Spędzę kilka dni na Gozo — usłyszał w odpowiedzi.



## 48

Jens Jensen i Sowa jechali na północ do Kopenhagi tym samym BMW, co poprzednio.

— To już jakby wóz firmowy — wyjaśnił im rano Creasy. — Leclerc nie chce go z powrotem, więc należy do was. Dokumenty dostaniecie później.

Jens z przyjemnością pokonywał długą trasę, słuchając rozrywkowej muzyki z różnych stacji radia. Jechali przez Włochy, nigdzie się nie zatrzymując. Sowa siedział obok niego z odtwarzaczem płyt kompaktowych na kolanach i słuchawkami na uszach. Był drobnej postury, mógł więc wtulić się wygodnie w obszerny fotel. Chwilami zdejmował z ucha jedną słuchawkę, żeby sprawdzić, co leci w radiu. Pomrukując z dezaprobatą wracał zaraz do swojej muzyki. Obaj mężczyźni prawie ze sobą nie rozmawiali. Zmierzali do małego hotelu tuż za granicą szwajcarską. Mieli zatrzymać się tam na noc, zjeść dobrą kolację, a o świcie wyruszyć w dalszą drogę do Kopenhagi. Sowa chciał koniecznie wstąpić w Szwajcarii do jakiegoś sklepu z pamiątkami i kupić Lizie na urodziny zegar z kukułką. Jens pomyślał, że jego towarzysz podróży zostanie zapewne wkrótce przyjacielem rodziny.

\* \* \*

Miller i Callard polecili tego samego ranka hydroplanem na Capri. Zamierzali zatrzymać się w przyzwoitym hotelu i udając parę turystów poderwać sobie jakieś dziewczyny.

— Trzymaj się z boku i pozwól mi działać — przykazał surowo Callard. — Na widok twojej paskudnej gęby puciekają wszystkie dziewczyny. — Miller uśmiechnął się szelmowsko. Mimo swej aparycji nigdy nie miał problemów z kobietami. Obaj mężczyźni byli od dawna przyjaciółmi i towarzyszami walki. Tęsknili za dobrym jedzeniem, jesiennym słońcem i odrobiną fizycznego relaksu. Na pokładzie hydroplanu rozmawiali trochę o planowanej operacji i jej uczestnikach. Uznali, że zespół składa się z odpowiednich ludzi. Jako najemnicy walczyli

często w różnych krajach u boku dobrych i złych żołnierzy. Zdawali sobie sprawę, że jedno słabe ogniwo w zespole może oznaczać katastrofę. W tej ekipie nie dostrzegali słabych punktów. Maxiego znali od lat. Nie spotkali wcześniej Michaela, ale wiedzieli, że wyszkolił go Creasy i że mimo młodego wieku chłopak miał już okazję sprawdzić się w walce. Sowa zrobił na nich dobre wrażenie. Jego pewność siebie wynikała z doświadczenia i profesjonalizmu. Zauważyli, że trzyma się cały czas blisko Jensa. Nie było to dla nich nic nowego. W obliczu zagrożenia ludzie często szukają partnera. Typowy przykład stanowili Creasy i Guido, którzy walczyli razem jeszcze w Legii Cudzoziemskiej, a potem jako najemnicy w Afryce. Szkoda, że Guido się wycofał. Nikt na całym świecie nie potrafił skuteczniej od niego strzelać z broni maszynowej. Rozumieli jednak, że musi dotrzymać obietnicy, złożonej zmarłej żonie. Żaden z nich nie był żonaty, ale obaj żywili nieco staromodny szacunek do kobiet i ślubów. Spodobał im się także Duńczyk i nie mieli zastrzeżeń co do jego obecności w zespole.

\* \* \*

Michael i Maxie lecieli do Brukseli przez Rzym. Michael zadzwonił z rzymskiego lotniska do Korkociąga Dwa i umówił się z nim na spotkanie następnego dnia wieczorem. Podczas lotu z Rzymu wyjaśnił Maxiemu, dlaczego jest osobiście zainteresowany zniszczeniem Błękitnego Kartelu. Maxie nie znał dotąd historii jego dzieciństwa. Wysłuchawszy jej w milczeniu, poczuł sympatię do tego chłopaka, który tak bardzo troszczył się o swą przyrodnią siostrę.

\* \* \*

Creasy popłynął nocnym promem na Malte. Lubił morskie podróże. Na promie brakowało zwykle wygod, ale kapitan był znajomym Guida, Creasy dostał więc wygodną kabinę na górnym pokładzie. I tak zresztą prawie całą noc stał na rufie, obserwując spienione fale i zastanawiając się, co zastanie na Gozo.

\* \* \*

Dotarł do domu na wzgórzu około południa. Juliet właśnie przygotowywała w kuchni obiad. Poczul zapach gulaszu z królika z dodatkiem wina i czosnku. Dziewczyna pocałowała go delikatnie w policzek i odesłała do łazienki, żeby się wykapał.

Kwadrans później siedział obok basenu, popijając chłodne piwo. Chciał pomóc Juliet w kuchni, ale wygoniła go stamtąd, mówiąc, że Laura wcześniej wyszła, a ona od rana gotuje mu obiad i ma jej nie przeszkadzać. W ciągu kilku sekund zdał sobie sprawę, że mała, przerażona dziewczynka, którą znalazł w domu w Marsylii, zmieniła się bardzo szybko i dostosowała do nowego życia. Jedli obiad w milczeniu. Juliet podawała go z dużą wprawą. Creasy delektował się wiele razy gulaszem z królika, który robiła Laura. Ten smakował dokładnie tak samo. Podczas posiłku Juliet zerknęła ukradkiem na ładnie opakowaną paczuszkę, która leżała na stole obok łokcia Creasy'ego. Spoglądała też na jego obandażowaną prawą rękę. Nie zadawała żadnych pytań. Chciała tylko wiedzieć, co robi Michael.

Po gulaszu z królika podała cienko pokrojone kawałki melona i lody, a na koniec naląła do dużych filiżanek parzoną w ekspresie neapolitańską kawę, którą przywiózł Creasy. Gdy dał jej wreszcie prezent, rozpakowała go podekscytowana, jak każde dziecko. W środku były dwa kolorowe jedwabne sarongi.

— Zawsze w nich sypiam — wyjaśnił Creasy. — Michael też. To wschodni zwyczaj.

Przesunęła palcami po jedwabiu i uśmiechając się łobuzersko, oznajmiła:

— Ja też w nich śpię. Masz ich w pokoju całą szufladę.

Creasy uniósł groźnie brwi.

— A więc myszkowałaś tam.

— O, tak — przyznała. — Wszystko przetrząsnęłam. Znalazłam nawet twój sejf i znam kombinację zamka szyfrowego.

— Ty mała kłamczucho! — powiedział Creasy, uśmiechając się szeroko. — Michael ci go pokazał.

— Co sobie zrobiłeś? — zapytała nagle, wskazując na jego rękę. Creasy odwinął powoli bandaż i odchylił opatrunek. Zobaczywszy kikut małego palca, Juliet zapytała ponownie:

— Co ci się stało?

Creasy wszystko jej szczegółowo opowiedział.

Tego wieczoru, rewanżując się Juliet za obiad, przygotował jeden ze swoich specjałów: pieczone na rożnie kawałki mięsa, kurczaka, kielbasy i ryby. Zrobił też sosy, które nauczył się przyrządzać w Afryce: pikantny *piri-piri* z Mozambiku, gęsty sos fasolowy z Rodezji i sos z zielonego chilli z Konga. Creasy miał sarong

owinięty wokół bioder, a Juliet — na piersiach.

Rozmawiali jak dwoje dorosłych ludzi. Creasy opowiadał jej o swoim życiu. Nie czuła się już dzieckiem. Chciała dowiedzieć się wielu rzeczy i w końcu zaczęła otwarcie go o wszystko pytać. Niczego przed nią nie ukrywał, choć niektóre sprawy nadal były dla niego bolesne. Zwłaszcza wspomnienie zmarłej żony i córki oraz dziewczyny, która miała na imię Pinta.

— Czy dlatego mnie tu sprowadziłeś? — zapytała Juliet. — Żeby zastąpiła Pintę i twoją córkę?

Zastanowiwszy się nad tym przez chwilę, pokręcił głową i rzekł:

— Przywiozłem cię tutaj, bo nie miałaś dokąd pójść. Tak mi się przynajmniej wydawało. Gdybyś trafiła do sierocińca albo wróciła do matki, oznaczałoby to dla ciebie wyrok śmierci. — Creasy zniżył głos i zaczął mówić dużo łagodniejszym tonem, zdradzając po raz pierwszy swoje uczucia. — Nie masz pojęcia, jak często widywałem martwe albo umierające dzieci. Wojny zawsze noszą im śmierć. Tak było w Afryce i w Azji, w Wietnamie, Kambodży, Laosie i w innych miejscach. Teraz to samo dzieje się w Somalii, Sudanie, Mozambiku, wszędzie tam, gdzie nazywający siebie patriotami nacjonaliści, politycy i mężowie stanu wzniecają zamieszki rzekomo dla dobra swoich narodów. Dzisiaj każdy może to zobaczyć w domu na ekranie telewizora. Ale tak było zawsze... Dzieci, ginące od bomb, kuł, napalmu... albo z głodu.

Zrobiło się już ciemno. Creasy nagle wstał i poszedł zapalić lampy przy basenie. Kiedy wrócił, Juliet zauważyła, że te wynurzenia sporo go kosztowały. Był wyraźnie wzburzony. Wyczuła intuicyjnie, że nie powinna nic mówić. Siedzieli w milczeniu jeszcze przez jakiś czas, obserwując widoczne w dole światła. W końcu Juliet wstała i zaczęła sprzątać ze stołu.

Creasy był zmęczony po podróży i przeżyciach poprzedniego dnia. Pocałował Juliet w policzek i obiecawszy, że rano zabierze ją na ryby, poszedł spać.

Juliet siedziała jeszcze godzinę nad basenem. W butelce zostało trochę wina. Nalała je sobie do kieliszka i powoli sęczyła. Wiedziała, że Creasy odkrył przed nią swe prawdziwe oblicze. Chciała na to stosownie zareagować, ale nie wiedziała jak. Brakowało jej życiowego doświadczenia. Próbowwała przypomnieć sobie zmarłego ojca. Pamiętała jego rysy i uśmiech, ale brutalność, z którą się zetknęła, stępiła jej uczucia. Instynkt nakazywał jej okazać Creasy'emu trochę czułości. Nie wiedziała jednak, jak to zrobić. W końcu postanowiła się położyć.

Mniej więcej o drugiej w nocy Creasy usłyszał ciche pukanie do drzwi swojej sypialni. Natychmiast oprzytomniał i zapalił nocną lampkę. Do pokoju weszła Juliet. Miała na sobie sarong, który dostała od niego w prezencie. Zobaczywszy łzy na jej policzkach, usiadł na łóżku.

— Co się stało?

— Przepraszam... właściwie wszystko już jest w porządku. Zwykle dobrze śpię... ale czasem mam jeszcze koszmary.

Wskazał jej miejsce na łóżku obok siebie. Kiedy usiadła, objął ją ramieniem, przytulił i pogładził delikatnie po włosach.

— Mogę z tobą zostać? — zapytała. — Tylko chwilę.

— Oczywiście.

Podsunał jej poduszkę, by położyła się obok niego.

\* \* \*

Obudziwszy się o świcie, Creasy poczuł na plecach coś ciepłego. Juliet spała, obejmując ramionami jego wielki tors. Ostrożnie się odsunął i podłożył jej pod głowę jeszcze dwie poduszki. Potem wstał, żeby zrobić śniadanie.

## 49

Strach jest zawsze sprawą względną. Niektórzy ludzie panicznie boją się pajaków, a inni je hodują. Uczucie lęku może stępić ignorancja albo doświadczenie.

Strach to potężna broń. Nikt nie był tego bardziej świadomy niż Paolo Grazzini. W młodości często się bał. Widział też reakcje ludzi ogarniętych trwogą. Nie spodziewał się ujrzeć strachu w oczach starca, który siedział właśnie po drugiej stronie biurka. Torquinio Trento należał do Cosa Nostra od dzieciństwa. Jego ojciec i trzech wujowie, działający w na pół cywilizowanej Kalabrii, zmarli w więzieniu w latach trzydziestych, w czasach bezwzględnych rządów Mussoliniego. Mając siedemnaście lat Trento wyemigrował na północ, do dalekiego kuzyna z Neapolu. Tam, oczywiście, wiódł takie życie, jak jego ojciec i przodkowie. Nigdy nie zrobił kariery. Jego pierwszy *capo* zginął wskutek walk między gangami, które rozgorzały po wojnie. Uciekając przed zabójcami z mafii Trento przeniósł się wówczas jeszcze bardziej na północ, do Mediolanu. Zdołał ocaleć. Nie zaszedł wysoko, ale zawsze trzymał się z daleka od kłopotów. Wiele przeżył i mało co było w stanie nim wstrząsnąć.

W ciągu ostatnich kilku dni Grazzini rozmawiał z wieloma seniorami różnych „rodzin”. Robił z nimi coś w rodzaju wywiadów. Zapraszał tych ludzi do swojego biura i wysłuchiwał opowieści o ich finansowych i osobistych problemach. Sprawiało mu to satysfakcję. Czuł się bardziej jak prezes korporacji niż przywódca mafii.

Spotkał się dotychczas z mniej więcej piętnastoma seniorami rodów i pod koniec rozmowy pytał każdego z nich, czy wie coś na temat organizacji zwanej Błękitnym Kartelem. Wszyscy wzruszali tylko ramionami. Zaczynał już wątpić w istnienie kartelu, ale gdy zapytał o niego Torquinia Trento, staruszek podniósł raptownie głowę i przez moment Grazzini dostrzegł w jego oczach strach.

— Mówi ci coś ta nazwa? — powtórzył.

Starzec rozejrzał się bojaźliwie dokoła, jakby oczekiwał, że zza boazerii wyjdzie zaraz jakaś zjawa. Grazzini cierpliwie czekał. Wreszcie Trento zapytał drżącym głosem:

— Czego pan ode mnie chce, *don* Grazzini? Jestem starym człowiekiem, który przesiaduje tylko w słońcu i oczekuje śmierci.

Grazzini uśmiechnął się do niego.

— Torquinio Trento, pracowałeś kiedyś dla mojego szwagra — niech spoczywa w pokoju — a przedtem dla jego ojca. Czy nie byli dla ciebie dobrzy?

Trento ledwo dostrzegalnie skinął głową.

— Oczywiście. Traktowali mnie jak Syna.

— Nadal należysz do rodziny — stwierdził Grazzini. — Mimo że nie żyją.

— Czego pan ode mnie chce?

— Powiedz mi, co wiesz o Błękitnym Kartelu.

Trento znów zaczął rozglądać się nerwowo po pokoju, jakby nie mogąc usiedzieć na wygodnym fotelu. Grazzini cierpliwie czekał. W końcu starzec wyszeptał ochryłym, głosem:

— Ci ludzie nie mają z nami nic wspólnego.

— Wiem o tym. Kim oni są?

Starzec nadal szeptał, jakby mówił do siebie.

— W porównaniu z nimi jesteśmy święci. Także najgorsi spośród nas. Są bezgranicznie źli. Niebezpiecznie jest nawet o nich myśleć.

Grazzini pochylił się naprzód i zapytał zafascynowany:

— Dlaczego?

Starzec podniósł raptownie głowę, jakby wyrwany z zadumy. Spojrzawszy Grazziniemu w oczy, powiedział mocniejszym już głosem:

— *Don* Grazzini, proszę nawet o nich nie pytać. Ojciec pańskiego szwagra zmarł być może właśnie dlatego, że za dużo chciał wiedzieć.

— Przecież umarł na raka — stwierdził zaskoczony Grazzini.

— Tak mówią. — Trento pokiwał powoli głową i wyjął z kieszeni chusteczkę, by otrzeć pot z czoła i policzków. Schowawszy ją, utkwiał wzrok w blat biurka i dodał szeptem: — Ale wiem, że kontaktował się z tymi ludźmi. I nagle zachorował na raka. Miał zaledwie czterdzieści trzy lata. W ciągu miesiąca ze zdrowego i silnego jak byk mężczyzny zrobił się szkielet.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Starzec wzruszył ramionami.

— Mówię tylko, że miał kontakt z tymi ludźmi.

— Uważasz, że przez nich zachorował? — zapytał szorstko Grazzini.

— Dysponują niezwykłą mocą, o której nic nie wiemy. . . Potrafią posługiwać się nią jak bronią.

Grazzini pamiętał, że rozmawia z człowiekiem, który wychował się w górach południowej Kalabrii, gdzie silna była wiara w przesady i zabobony.

— Czym ci ludzie się zajmują? — zapytał.

— Handlują ciałami.

— Ciałami?

Starzec skinął głową.

— Tak słyszałem. I tylko tyle wiem.

Grazzini wyczuł, że niczego więcej się już nie dowie. Podziękował uprzejmie starcowi i pozwolił mu odejść. Przez kwadrans siedział w milczeniu, a potem zadzwonił do matki swego szwagra. O ile dobrze pamiętał, miała już prawie pięćdziesiąt lat.

\* \* \*

Massimo Bellu wpatrywał się w ekran komputera. Analizując przez ostatnią godzinę rodowód Donatego, dokonał ciekawego odkrycia. Wątpił, czy może ono mieć znaczenie dla śledztwa, ale praca ze skomplikowanym komputerem, mającym niemal nieograniczony dostęp do danych, stanowiła dla niego swego rodzaju ćwiczenie intelektualne. Okazało się, że ojciec Donatego był czołowym działaczem włoskiej partii faszystowskiej. Awansował tak wysoko, że został osobistym adiutantem samego Mussoliniego. Zginął z rąk partyzantów w ostatnich dniach wojny. Bellu postanowił sprawdzić, kim byli przodkowie Anwara Hussajna. I znów odkrył coś ciekawego. Ojciec Nubijczyka był wysokiej rangi urzędnikiem na dworze króla Farouka w Kairze, udał się razem z nim na wygnanie i w 1952 roku zmarł w tajemniczych okolicznościach na południu Francji.

Na rozkaz Satty Bellu kazał śledzić Donatego i Hussajna, ale choć zlecił to zadanie doświadczonym ludziom, obaj mężczyźni zniknęli gdzieś przed dwoma dniami i dopiero tego ranka pojawili się w swoich biurach w Mediolanie i Neapolu.



Staruszka miała pomarszczoną twarz, ale nader przenikliwy umysł.

Grazzini nie widział matki swego zmarłego szwagra od dnia jego pogrzebu. Czuł z tego powodu wyrzuty sumienia, zaczął więc wizytę od przeprosin, wyjaśniając, że jest ciągle zajęty. Staruszka spojrzała na niego drwiąco zza grubych szkielec, ale udobruchał ją wielkim bukietem białych i czerwonych róż. Kobiety, a zwłaszcza Włoszki, nie tracą z wiekiem swej próżności.

Grazzini ostrożnie zagaił rozmowę. Gawędzili o pogodzie, o niezdecydowaniu polityków, o rosnących kosztach utrzymania i upadku moralności. W końcu staruszka zapytała o cel jego wizyty. Grazzini siedział na zbyt niskim i miękkim fotelu, dotykając niemal kolanami brody. Przeładowany meblami pokój reprezentował styl uwielbiany przez osoby odrzucające współczesne kanony. Ponure wrażenie, jakie sprawiały ciemne, ciężkie meble i grube zasłony, łagodziło nieco światło z wiszącego na środku sufitu wielkiego żyrandola.

— *Signora Conti* — powiedział Grazzini oficjalnym tonem. — Przyszedłem prosić panią o radę.

Staruszka ujęła kościstą dłoń jedną z róż, które jej służąca wstawiła do dużego chińskiego wazonu na stole.

— Zaskakuje mnie pan — powiedziała, wachając kwiat. Po chwili spojrzała na Grazzinię. — W jakiej sprawie taki potężny *capo* miałby radzić się starej kobiety? Podejrzewam, że przyszedł pan raczej po informacje.

Grazzini poczuł się trochę niezręcznie, odchrząknawszy ciągnął jednak dalej:

— Dziś rano rozmawiałem z jednym z seniorów.

— Kto to był?

— Torquinio Trento.

Przyjrzała mu się uważnie zza grubych szkielec, po czym skinęła głową.

— Tak, pamiętam go... Bardzo miły młodzieniec.

Grazzini uśmiechnął się.

— Owszem. Dobrze panią pamięta. Prosił przekazać wyrazy szacunku.

— Co panu powiedział?

— Uważa, że pani męża uśmiercili najprawdopodobniej ludzie z organizacji zwanej Błękitnym Kartelem.

Staruszka przyglądała mu się dość długo, po czym rzekła:

— Mój mąż zmarł na raka.

— Wiem o tym, *signora*. Zastanawiam się tylko, dlaczego wzmianka o Błękitnym Kartelu tak bardzo przeraziła tego starca.

Kobieta wzruszyła chudymi ramionami, osłoniętymi zrobionym na szydełku czarnym szalem.

— Torquinio Trento jest z Kalabrii. . . To dzikie zadupie. — Wulgarność staruszki zaskoczyła Grazziniego. Zauważywszy jego konsternację, uśmiechnęła się. — Nazywamy ich tchórzami. . . ale boją się tylko tego, czego nie rozumieją. Czują lęk przed nieznanym.

— To znaczy?

Staruszka zaśmiała się piskliwie.

— Lękają się ciemności, tajemnic, których nie potrafią wyjaśnić księży, przekleństw złych mocy. . . choć wszyscy mieszkańcy południowej Kalabrii, których spotykałam, byli sami uosobieniem zła.

Grazzini westchnął w duchu i, starając się sprowadzić znów rozmowę do bardziej przyziemnych spraw, zapytał:

— Czy pani wie coś o Błękitnym Kartelu?

*Signora* zastukała mocno w blat stojącego obok niej stolika. Natychmiast otworzyły się drzwi i weszła służąca, kobieta niemal w tym samym wieku. *Signora* dała jej znak ręką. Służąca podeszła do starej komody, wzięła do ręki butelkę bez etykiety i napełniła złotym płynem dwa kieliszki. Jeden podała Grazzinie-  
mu, a drugi postawiła obok swej pani, której obecność nieoczekiwanego gościa zaczynała sprawiać przyjemność.

Grazzini powąchał płyn w kieliszku.

— To bardzo stary koniak — wyjaśniła staruszka. — Pewien umierający *capo* zostawił mi kilkanaście skrzynek. Nie wiedział, że zabiła go kula wystrzelona przez mojego męża — dodała z uśmiechem.

Grazzini podniósł kieliszek i powiedział:

— Wznoszę toast za pamięć pani męża. . . Był wielkim człowiekiem. — Wypił łyk koniaku, delektując się jego delikatnym smakiem, po czym zapytał ponownie:

— Czy pani wie coś o Błękitnym Kartelu, *signora*?

— Bardzo niewiele — odparła. — Pierwsze pogłoski na ten temat pojawiły się na początku lat trzydziestych, gdy do władzy dochodzili faszyci.

— Jakie pogłoski?

— O istnieniu organizacji powiązanej z faszystami. Mussolini próbował wtedy zniszczyć Cosa Nostra. Mój ojciec dwa razy trafił do więzienia. . . Bez żadnego powodu.

— Słyszałem o tym. Co mówiono o Błękitnym Kartelu?

— Ojciec twierdził, że ci ludzie dostarczali faszystowskim dygnitarzom narkotyki i kobiety. Nawet samemu Mussoliniemu. . . Ten stary *cap* lubił kobiety.

Musi pan zrozumieć, *signor*, że gdy faszyci wypowiedzieli wojnę Cosa Nostra, stracili jedyne źródło dostaw.

— Skąd pani o tym wie? — zapytał Grazzini, pochylając się do przodu.

— Od ojca. Po wyjściu z więzienia przeżył tylko kilka miesięcy. Został otruty.

— Jest pani pewna? Słyszałem, że zmarł na atak serca.

— Został otruty — powtórzyła zdecydowanie. — Umierał powoli z powodu trucizny, którą podawano mu w więzieniu. . . Podobno dostarczał ją Błękitny Kartel.

Grazzini usiadł głębiej w niewygodnym fotelu, przyglądając się staruszce spo między kolan.

— Czy pani mąż o tym wiedział?

Skinęła głową.

— Popełniłam ten błąd, że mu powiedziałam. Początkowo sądził, że to tylko babska podejrziwość. Zaczął jednak prowadzić na własną rękę dochodzenie.

— I zmarł na raka — stwierdził Grazzini po chwili milczenia.

— Tak. Pół roku później.

— Myśli pani, że ludzie z Błękitnego Kartelu mieli coś wspólnego z jego śmiercią? Trento tak uważa.

Staruszka ponownie wzruszyła ramionami.

— Wierzę, że można kogoś otruć. Ale spowodować raka. . .

Grazzini wyprostował się w fotelu. Zaczynały już boleć go kolana. Spojrzał na zegarek i zapytał:

— Kto mógłby powiedzieć mi coś więcej na temat Błękitnego Kartelu, o ile on nadal istnieje?

— Proszę porozmawiać z księdzem.

— Z księdzem? — wykrzyknął zdumiony Grazzini, o mało nie wylewając z kieliszka resztek koniaku.

Staruszka uśmiechnęła się ironicznie.

— Owszem, ale to musi być specjalna osoba. Zna pan kogoś w Watykanie, prawda? Mój ojciec, mąż i syn mieli tam zawsze dobre kontakty.

Teraz Grazzini chłodno się uśmiechnął.

— Oczywiście. Bardzo blisko współpracujemy. . . Zwłaszcza w sprawach finansowych. To konieczne.

Staruszka skinęła głową z aprobatą.

— Radzę więc skorzystać ze swoich znajomości i dotrzeć do księdza, który zajmuje się satanizmem.

— Co ksiądz może wiedzieć na ten temat?

— Wszystko — odparła ze śmiechem staruszka. — Nie sądzi pan, że w każdej konfliktowej sytuacji najważniejszą sprawą jest poznanie przeciwnika?

## 51

— Wyszkolisz mnie tak, jak Michaela? — zapytała Juliet.

Creasy spojrział na nią. Obawiał się tego pytania, wiedząc, że kiedyś je usłyszy. Szli wzdłuż skalistego wybrzeża w okolicach Ta Cenc. Od północnej Afryki wiał ciepły poranny wiatr.

— Nie możesz tego oczekiwać — powiedział.

— Dlaczego?

— Po pierwsze, jesteś dziewczyną.

— A po drugie?

— Posłuchaj, Juliet — odparł z ciężkim westchnieniem — Zaadoptowałem Michaela w konkretnym celu. Wiesz o tym.

— Owszem — stwierdziła. — Ale nie przewidziałeś, że pokochasz go jak syna, a on ciebie jak ojca.

— To prawda — przyznał. — Tak się jakoś złożyło.

Gdy przeszli jeszcze kilka kroków, powiedziała brutalnie:

— Adoptowałeś mnie, bo miałaś poczucie winy z powodu tych martwych i umierających dzieci, którym nie pomogłeś.

Creasy przystanął nagle na piaszczystej ścieżce i spojrzawszy na Juliet, rzekł gniewnym tonem:

— Nie mogłem nic zrobić.

Dziewczyna zatrzymała się o parę kroków dalej.

— Wiem, ale to nie znaczy, że nie czułeś się winny. Wczoraj wieczorem powiedziałaś, że ty, ja i Michael powinniśmy być ze sobą szczerzy. Przyznam ci się więc do czegoś. Obudziłam się dziś rano z przeświadczeniem, że mam ojca i brata, ale nie wiem, jak być córką i siostrą.

— Nie rozumiem.

Wyciągnęła rękę, wskazując na wyspę.

— Mam dom. . . piękny dom. . . Czuję się bezpieczna. W poniedziałek zacznę chodzić do szkoły i będę pilną, posłuszną uczennicą. Wyrosnę na kobietę, z której ty i Michael będziecie dumni. Ale od rana zastanawiam się nad pewną sprawą. . . Za kilka dni stąd odjedziesz, żeby razem z Michaeliem ścigać złych ludzi. Wiem, że muszę tu zostać z Laurą i Paulem. Lubię ich, ale kiedy sobie pomyślę, co wy

będziecie w tym czasie robili. . .

— Dziewczyno, przecież ty masz dopiero trzynaście lat!

Juliet uśmiechnęła się i zaczęła iść dalej. Creasy pośpieszył za nią.

— Nie utrudniaj nam życia — powiedział.

— Nie mam zamiaru — odparła. — Obiecuj mi tylko, że kiedy wrócicie, wyszkolisz mnie tak, żebym w przyszłości potrafiła się bronić. — Znów przystanęła, odwróciła się i powiedziała poważnie: — Bardzo mi na tym zależy. Już nigdy nie chcę być bezbronna. — Creasy nie zatrzymał się, więc podążyła za nim, mówiąc głośno: — Rozumiesz? To dla mnie bardzo ważne!

Wziął ją za rękę i poszli dalej razem. Zamyślił się głęboko. Juliet była dość rozsądna, żeby milczeć.

— Tak, wszystko rozumiem — powiedział w końcu, patrząc na nią z góry.

— Wyszkolimy cię, żebyś mogła się bronić. Ale nie mam zamiaru robić z ciebie żadnej Modesty Blaise.

— Kto to jest?

— Fikcyjna postać. Bardzo młoda i piękna dziewczyna, która przemierza świat ze swoim wiernym pomocnikiem, karząc sprawiedliwie złoczyńców.

— Czy ty nie robisz tego samego?

Creasy zaśmiał się głośno.

— Nie, ja dokonuję tylko zemsty. Nie cierpię ludzi, którzy krzywdzą mnie albo moich bliskich.

— Więc dlaczego chcesz zniszczyć Błękitny Kartel?

— Ponieważ ty jesteś jedną z nas. Nie ma to nic wspólnego z poczuciem winy.

Tym razem Creasy zachował należyte środki ostrożności. Przechodząc przez kontrolę celną na lotnisku Leonarda Da Vinci w Rzymie miał czarne wąsy, pasujące do świeżo ufarbowanych krótkich czarnych włosów i okulary w grubej oprawie. Zostawiwszy w schowku niewielką torbę, poszedł z czarną skórzaną walizką na postój taksówek. Był ubrany w ciemnoniebieski garnitur, kremową koszulę i brązowy krawat. Wyglądał jak jeden z wielu biznesmenów, załatwiających interesy w dużym mieście. Powiedział taksówkarzowi, żeby go zawiózł do Porta Cavalleggeri w Watykanie.

Nie lubił odwiedzać Rzymu, nawet wczesną jesienią. Zawsze panował tam zbyt duży ruch, a mieszkańcy byli opryskliwi. Poprzedniego wieczoru telefonował do niego Guido. Papa chciał, żeby następnego dnia zjedli razem obiad w rzymskiej restauracji „L'Eau Vive”. Guido miał dać mu odpowiedź za godzinę. Wszystkie miejsca na lot do Rzymu były już zajęte, ale Creasy zadzwonił do George'a Zammita, który wykorzystał swoje znajomości i załatwił mu bilet. Guido powiedział, że ma się przedstawić jako Henry Gould i pytać o pana Galii.

Creasy słyszał o restauracji „L'Eau Vive”. Podobno prowadziły ją zakonnice i bywali tam głównie duchowni oraz ich znajomi z Watykanu. Zastanawiał się, co może mieć wspólnego z tym miejscem taki człowiek jak Paolo Grazzini.

W czasie trwającej trzy kwadransy jazdy rozmyślał o różnych sprawach. Spędził z Juliet trzy przyjemne dni na Gozo. Był zadowolony, że zawiązała się między nimi nić porozumienia. Szybko pojął, że jest bardzo inteligentna i próbuje to wykorzystać, by nim manipulować. Intrygowało go, czy tak samo postępuje z Michaeliem.

Guido powiedział mu też, że Jens i Sowa wyjeżdżają rano z Kopenhagi i w ciągu czterdziestu ośmiu godzin będą w Rzymie. Michael odezwał się z Brukseli. Zaczął już załatwiać interesy z Korkociągiem Dwa i czekał razem z Maxiem na wiadomość od Creasy'ego. Bez wątpienia chciał zostać jak najdłużej blisko swej uroczej Lucette. Guido podał również Creasy'emu numer telefonu hotelu na Capri, w którym zatrzymali się Frank i Rene. Gdyby ich potrzebował, mogli wrócić do Rzymu w ciągu kilku godzin.

Taksówka zatrzymała się przy Porta Cavalleggeri. Creasy dał kierowcy przy-

zwoity napiwek, zaczekał, aż odjedzie, a potem poszedł w lewo. Po piętnastu minutach skręcił w wąską alejkę i znalazł niewielki szyld restauracji. Wygląd jej wnętrza zaskoczył go. Nie tak ją sobie wyobrażał. Był to właściwie zwykły bar. Na stolikach leżały kraciaste obrusy, a większość klientów stanowili turyści. W kącie stało popiersie Matki Boskiej. Obsługujące gości czarnoskóre kelnerki wyglądały nietypowo. Wszystkie były bardzo wysokie i piękne. Miały na sobie długie suknie, szyte chyba z batiku. Creasy rozejrzał się po sali, bezskutecznie wypatrując Grazziniego.

Po chwili podeszła do niego ubrana na biało niska kobieta w średnim wieku.

— Jestem siostra Maria — przedstawiła się. — Czym mogę służyć?

— Nazywam się Henry Gould. Byłem umówiony z panem Galii.

— A, tak. Proszę za mną.

Zaprowadziła go w głąb restauracji i rozsunęła ciężką zieloną kotarę, za którą znajdowały się duże mahoniowe drzwi. Zapukała, otworzyła je i zaprosiła Creasy'ego do środka.

Sala, do której wszedł, wyglądała zupełnie inaczej. Była bogato umeblowana. Okrągły stół z białym damasceńskim obrusem i serwetkami zdobiła antyczna srebrna zastawa i piękny srebrnozłoty świecznik. Z sufitu zwisał bezcenny kryształowy żyrandol. Wokół stołu stały trzy krzesła z wysokimi oparciami. Jedno z nich zajmował Paolo Grazzini, drugie - trzydziesto-paroletni ksiądz w okularach z grubą oprawą. Przyjrzał się Creasy'emu badawczo, jakby oglądał odnalezione właśnie rzadkie malowidło. Drzwi zamknęły się. Obaj mężczyźni wstali z miejsc i Grazzini dokonał prezentacji.

— Henry Gould... Ojciec De Sanctis.

Siadając Creasy postawił swój neser na grubym dywanie obok krzesła i przycisnął wmontowany w uchwyt niewielki guzik. Zainstalowany wewnątrz magnetofon miał nagrać całą rozmowę.

Grazzini wskazał ręką na stojący z boku stół z kilkoma przykrytymi półmiskami.

— Zamówiłem szwedzki bufet, żeby nam nie przeszkadzano — wyjaśnił.

Obok potraw stało kilka karafek, szklanki, kieliszki i butelka czerwonego wina. Grazzini wstał i podszedł do stolika, pytając:

— Czego się panowie napijecie? Polecam szkocką. To czterdziestoletni Macallan.

Ksiądz i Creasy skinęli głowami. Grazzini przygotował drinki, podał im je i usiadł.

— Czekam na wyjaśnienia — powiedział Creasy.

Grazzini był wyraźnie zadowolony z siebie. Wskazał na księdza i oznajmił:

— Wspomniałem ojcu De Sanctisowi o naszym małym problemie, dotyczącym Błękitnego Kartelu. — Uśmiechnął się pod nosem, widząc groźne spojrzenie

Creasy'ego. — Powiem najpierw, kim jest ojciec De Sanctis. Jak może wiesz, Watykan ma doskonałą służbę wywiadowczą. Niektórzy twierdzą, że działa sprawniej niż CIA czy Mossad.

Ksiądz wzruszył ramionami.

— Oczywiście — kontynuował Grazzini — od zakończenia zimnej wojny i przywrócenia swobód religijnych w krajach za żelazną kurtyną nie odgrywa ona już tak ważnej roli. Jest tam jednak specjalny wydział, który zajmuje się satanizmem i czarną magią.

W tym momencie Grazzini niemal niedostrzegalnie skinął głową do Creasy'ego, który rzekł:

— To bardzo ciekawe. Wiem, że tu i ówdzie istnieją różne formy satanizmu, ale nie sądzę, by Watykan miał powody do niepokoju.

Ksiądz po raz pierwszy się uśmiechnął. Jego surowa twarz nabrała niemal chłopięcego wyglądu.

— Zaskoczę pana, panie Gould. Mój wydział jest oczywiście dużo mniejszy niż za czasów średniowiecza, czy nawet w ubiegłym stuleciu, ale nadal mamy sporo pracy, i to nie tylko w południowej Ameryce, na Karaibach czy w Afryce, ale także w cywilizowanej Europie. — Wskazał na szwedzki bufet. — Może opowiem panom o tym w trakcie obiadu?



— Nadal trudno mi uwierzyć — powiedział Creasy — że Grazzini mógł wezwać tak po prostu specjalistę z Watykanu.

Guido zaśmiał się ironicznie.

— Powinieneś wiedzieć, że mafia ma od bardzo dawna kontakty z Watykanem. Zwłaszcza gdy chodzi o sprawy finansowe. Jeszcze parę lat temu bank watykański prał setki milionów dolarów, pochodzących z handlu narkotykami.

— Wiem o tym — odparł Creasy. — Ale sądziłem, że teraz wolą trzymać się od mafii z daleka.

Guido pokręcił głową.

— Bynajmniej. Struktury władzy zawsze są ze sobą powiązane.

Była jedenasta w nocy. Creasy wyleciał z Rzymu późnym popołudniem. Siedzieli teraz na tarasie, skończywszy właśnie lekką kolację. Inni stali klienci już wyszli.

— Ten ksiądz, ojciec De Sanctis, jest jezuitą — powiedział Creasy.

Guido znów się uśmiechnął i skinął głową.

— Oni są najmądrzejsi. . .

— Jest bardzo młody. Ma najwyżej trzydzieści pięć lat. Jak na swój wiek zaskakująco dużo wie.

— Co na przykład? — zapytał Guido, nie potrafiąc ukryć zaciekawienia.

Creasy zebrał myśli, a potem uśmiechnął się filozoficznie.

— Zanim mi cokolwiek powiedział, poprosił o otwarcie walizeczki. Byłem zakłopotany, bo miałem tam magnetofon. Nic więcej, tylko ten cholerny magnetofon.

Guido wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— I co było dalej?

— Najpierw się nim zachwycił — rzekł Creasy, kręcąc głową. — Było to rzeczywiście bardzo nowoczesne urządzenie o wymiarach osiem centymetrów na trzy, umożliwiające nagrywanie rozmowy z odległości dwudziestu metrów. A potem szczywany klecha rozprawiał długo o tym, jak to ich wydziałowi brakuje pieniędzy i jak bardzo przydałby mu się w pracy taki magnetofon. . . Oczywiście, podarowałem mu go.

— Nigdy nie lekceważ Kościoła — stwierdził z uśmiechem Guido.

— To się już nie zdarzy! — zapewnił go Creasy.

Potem zaczął opowiadać, czego dowiedział się od księdza. Najpierw musiał wysłuchać długiego wykładu o satanizmie i jego początkach. Kult szatana istniał już, oczywiście, na długo przed chrześcijaństwem i kwitł we wspólnotach plemiennych na całym świecie. Ksiądz wyjaśnił jego psychologiczne uwarunkowania. W tym miejscu Creasy wspomniał, że obok innych kwalifikacji ojciec De Sanctis ma również doktorat z psychologii. Ksiądz zaprezentował mu też kilka teorii, dotyczących nieustannej walki dobra ze złem, i zapewnił, że działający w Kościele egzorcyści nadal mają wiele pracy. On sam zajmował się przez trzy lata odprawianiem egzorcyzmów. Dopiero przy kawie i koniaku zaczął mówić o współczesnym satanizmie i czarnej magii. Na prośbę Creasy'ego ograniczył się do Europy i sąsiadujących z nią rejonów świata. Na obszarze od Skandynawii po Morze Śródziemne istniało kilka sekt. Niektóre były ze sobą powiązane, inne działały samodzielnie. Czerpały z tradycji średniowiecza, pielęgnując wiele dawnych obrządków i rytuałów. Ojciec De Sanctis dodał skruszonym tonem, że niektórym z tych sekt przewodzą księża-renegaci albo inni duchowni, czasem udający równocześnie wyznawców prawdziwej wiary. Opisał typową „czarną mszę”, której uczestnicy uczują, odmawiają bluźniercze modły, składają ofiary ze zwierząt, piją różne plugastwa, przyjmują do swego grona nowicjuszy, a na koniec odbywają niewiarygodnie perwersyjną orgię seksualną. Zwierzęta zawsze odgrywały w tych praktykach znaczącą rolę, jako przybranie głowy albo obiekt kultu. Nierzadko sekty brały od nich swoje nazwy. Kapłani i kapłanki wywierali ogromny wpływ na członków grupy, którzy awansowali w hierarchii tylko za ich przyzwoleniem. Często liczyły się pieniądze, gdyż wielu sekciarzy pochodziło z bogatych rodzin. Co więcej, aby się wykazać, członkowie sekty musieli dokonywać coraz bardziej bestialskich i obscenicznych czynów, aż tracili na zawsze duszę.

W tym momencie Guido przeżegnał się i mruknął:

— Słyszałem o takich rzeczach. Ale co to ma wspólnego z Błękitnym Kartelem?

— Związek jest prosty i oczywisty — odparł Creasy.

Ksiądz wyjaśnił mu, że pozbawieni skrupułów osobnicy, bardzo często obdarzeni charyzmą księdza, którzy sprzeniewierzyli się prawdziwemu powołaniu, manipulują istniejącymi sektami lub tworzą nowe, by zaspokoić swą próżność albo się wzbogacić. Ksiądz wskazał na podobieństwa między różnymi współczesnymi formami kultu, szczególnie na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Charyzmatyczni przywódcy pseudo-religijnych sekt, takich jak Wyznawcy Księżyca czy Scjentyści, a także rozmaici wschodni guru wykazywali nieraz wręcz hipnotyzerskie uzdolnienia.

— Ludzka naiwność jest bezgraniczna — stwierdził ksiądz z lekkim uśmiechem.

— On wie o istnieniu Błękitnego Kartelu — oznajmił Creasy. — Być może nie wszystko mi powiedział. Organizacja działa podobno od osiemdziesięciu lat. Ma lub miała powiązania z nielegalnym odłamem kościoła koptyjskiego i wywodzi się z Egiptu.

Ksiądz twierdził, że — jak wynika z akt Watykanu — Błękitny Kartel był też kiedyś powiązany z działającą we Francji organizacją o nazwie Córki Kozła, którą francuskie władze zlikwidowały podobno w 1934 roku. Nikogo wówczas nie aresztowano, gdyż wśród jej członków było wiele znanych osobistości ze świata religii i polityki. We Włoszech Błękitny Kartel cieszył się w latach trzydziestych poparciem faszystowskich dostojników.

Zdaniem watykańskiego wywiadu organizacja przestała istnieć podczas wojny. Ale pod koniec lat pięćdziesiątych pojawiły się pogłoski, że nadal działa, choć w inny sposób. Podobno zajmowała się wymuszeniami, szantażem i drastycznymi formami stręczycielstwa. Pogłoski te znalazły potwierdzenie podczas śledztwa w sprawie loży masońskiej P2. W przechwyconych dokumentach i w zeznaniach oskarżonych pojawiły się wzmianki o Błękitnym Kartelu.

— W takim razie — zapytał z przejęciem Guido — dlaczego włoskie władze nic w tej sprawie nie zrobiły?

Creasy uśmiechnął się ponuro.

— Właśnie o to chcę zapytać naszego przyjaciela Sattę.

Creasy nie musiał pułkownika o nic pytać. Satta zadzwonił do mego o świcie. O ósmej rano odlatywał samolotem do Neapolu i chciał, żeby Creasy koniecznie był na lotnisku.

\* \* \*

Siedzieli w kawiarni, pijąc cappuccino i jedząc kruche ciastka. W oczach pułkownika czaił się gniew.

— Myślę o wcześniejszej emeryturze — oznajmił z goryczą.

— Co się stało?

Satta rozejrzał się po niemal pustej sali, pochylił głowę i powiedział:

— Wczoraj tuż przed wyjściem z biura zostałem wezwany do gabinetu generała żandarmerii. Powinien już dawno odejść na zasłużony wypoczynek, ale ma znajomości w rządzie. Chciał wiedzieć, dlaczego mój asystent Bellu kazał śledzić przez całą dobę Jeana Lucę Donatiego i Anwara Hussajna. Byłem zaskoczony, bo nie przypuszczałem, że któryś ze zwierzchników się o tym dowie. Ale taka jest właśnie żandarmeria!

— Jak się zachowałeś?

Włoch rozłożył ręce w wymownym geście.

— Najpierw musiałem się opanować. Potem powiedziałem temu staremu durniowi, że prowadzę dochodzenie w sprawie korupcji wśród polityków. Wypytywał o szczegóły, ale oczywiście nie mogłem udzielić mu żadnych informacji. Zdenerwował się i rozkazał mi, żebym przestał śledzić tych ludzi i wyjaśnił mu na piśmie, dlaczego wszcząłem dochodzenie.

— Zrobisz to? — zapytał Creasy. Satta uśmiechnął się posępnie.

— O, tak. Napiszę bardzo krótki raport, wspominając tylko o podejrzeniach wobec dwóch znajomych generała. Ale nie mogę ich już inwigilować, bo zajmuje się tym specjalny wydział, którego poczynania generał będzie teraz kontrolował.

Creasy wypił łyk kawy i powiedział:

— Chyba wiem, dlaczego on tak zareagował.

Satta wysłuchał z ponurą miną jego relacji ze spotkania z Grazzinim i księdzem w restauracji „L'Eau Vive”, po czym rzekł bardzo cicho:

— Przyjacielu, ta sprawa jest poważniejsza niż przypuszczaliśmy. Muszę ci powiedzieć, że Paolo Grazzini zginął wczoraj wieczorem, gdy wychodził z jednej z rzymskich restauracji. Strzelano do niego z zaparkowanego na ulicy samochodu. Dostał dwie kule w serce.

— Mafijne porachunki? — zapytał Creasy.

Satta pokręcił głową.

— Nie sądzę. Nikomu się nie naraził. Ale poza Grazzinim zginął wczoraj ktoś jeszcze. Starzec, który pracował kiedyś dla jego rodziny. Nazywał się Torquinio Trento. — Włoch jeszcze bardziej zniżył głos. — Wyłowiono go z Tybru. Był torturowany... Wryto mu na czole ostrym nożem odwrócony krzyż i obcięto genitalia.

— Sprawa wygląda teraz zupełnie inaczej — stwierdził Creasy. — Nie mamy do czynienia z bandą łajdaków, którzy handlują kobietami. Ci ludzie są bardzo niebezpieczni. Udało im się wstrzymać śledztwo prowadzone przez żandarmerię i zabić jednego z szefów mafii na jego własnym terenie.

Siedzieli znowu wokół owalnego stołu na tarasie „Pensione Splendide”. Creasy przez dwadzieścia minut relacjonował im wydarzenia ostatnich kilku dni. W świetle zaistniałych okoliczności musiał sprawdzić, czy ktoś nie zechce wycofać się dyskretnie z udziału w operacji.

Zaczął od Guida, przypominając mu o obietnicy, którą złożył żonie. Uważał stanowczo, że powinni przenieść bazę w inne miejsce. Guido uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Nigdy nie obiecywałem Julii, że nie będę bronił siebie czy przyjaciół. Tego by nie chciała. Teraz mam w pensjonacie tylko czterech gości: parę starszusków z Niemiec, którzy wyjeżdżają jutro rano, i dwóch brytyjskich turystów. Nie zdecydowali się jeszcze, jak długo zostaną, ale znajdę im jakieś inne lokum. Możecie mieć tutaj swoją bazę.

Creasy popatrzył na Pietra, który wyczuł natychmiast, co kryje się za tym spojrzeniem i powiedział gniewnym tonem:

— Ja nikomu nic nie obiecywałem. Będę pilnował bazy razem z Guidem.

Creasy zwrócił się z kolei do Duńczyka:

— Posłuchaj, Jens. Robi się wyjątkowo niebezpiecznie. Przypomina to stąpanie rozgrzanymi podeszwami po cienkim lodzie. Ludzie z Błękitnego Kartelu sądzą zapewne, że nikt nie prowadzi już przeciwko nim dochodzenia. Przypuszczam, że o nas nie wiedzą. Ale mogę się mylić.

— Pewnie masz rację — stwierdził Jens. — Chyba że Grazzini powiedział o tobie Trento albo temu księdzu... Ale to mało prawdopodobne.

— Mimo wszystko wiele ryzykujemy — rzekł z naciskiem Creasy. — Musisz myśleć o żonie i dziecku. Pamiętaj też, że jesteś policjantem, a nie najemnikiem.

Duńczyk skinął głową i powiedział:

— Ostatniego wieczoru w Kopenhadze rozmawiałem z Birgitte, celowo wyolbrzymiając niebezpieczeństwo, na które się narażam. Nalegała, żebym nie rezy-

gnował. Rozumie, jakie to dla mnie ważne. No cóż, jestem policjantem. . . ale skoro zrezygnowałeś z pomocy Satty i Belu, mogę okazać się niezastąpiony. A więc zostaje — dodał z uśmiechem.

Creasy spojrział na Sowę, który oświadczył tonem wykluczającym wszelkie dyskusje:

— Ja też zostaje.

Pozostałych nie zdążył nawet zapytać. Maxie spojrział na Millera i Callarda, którzy skinęli lekko głowami i powiedział do Creasy'ego:

— Nie trać czasu. Pomówmy lepiej o naszych planach.

— Interesują nas Donati i Hussajn — odezwał się po raz pierwszy Michael.

— Musimy porozmawiać z jednym z nich. . . albo z obydwoma.

— Jest jeszcze inna sprawa — wtrącił Creasy. — Ludzie Satty zdążyli wysłedzić, że Hussajn poleciał dwa dni temu do Rzymu i przesiadł się tam na samolot do Tunisu. — Spojrzawszy na Jensa dodał z uśmiechem: — Panie detektywie, może opowie nam pan wszystko po kolei?

Duńczyk również się uśmiechnął, sięgnął po teczkę i wyjął z niej notatnik z żółtymi kartkami w linie i złotego Parkera. Odkręciwszy pióro powiedział skruszonym tonem:

— To prezent od wdzięcznych rodziców dziewczyny, którą odnalazłem. . . Nie myślcie, że stać mnie na takie rzeczy. — Znów się uśmiechnął. — Pewnie wiele osób w Kopenhadze będzie się teraz zastanawiać, co robiłem za kierownicą BMW. Dobrze, zacznijmy od początku — powiedział, spoglądając w notatnik, a potem na siedzącego obok chłopaka. — Michael usłyszał po raz pierwszy o Błękitnym Kartelu od swojej umierającej matki. Skontaktował się z Blondie, która przysłała go do mnie. Pojechałem z nim do Marsylii, gdzie spieprzyliśmy robotę, dając się złapać człowiekowi, który zaopatrywał zapewne Błękitny Kartel. Creasy nas uwolnił i dzięki temu zyskał córkę. Potem zwołał grupę operacyjną, lecz wkrótce dał się złapać i stracił palec. — Jens spojrział na prawą rękę Creasy'ego. — Zdaje się, że jego poświęcenie nie poszło na marne. Uzyskaliśmy dostęp do cennych informacji. Zostawmy na razie na boku kwestię satanizmu. To zjawisko, oczywiście, istnieje. . . Słyszałem o podobnych przypadkach w Skandynawii. Ale sądząc z tego, co powiedział nam ksiądz De Sanctis, przywódcy Błękitnego Kartelu nie czczą szatana, lecz wykorzystują jego kult dla własnych celów. To się często zdarza. Zbudowali podstawy swej potęgi w epoce faszyzmu. Nie byli w tym osamotnieni. Hitler i jego świta stosowali podobną taktykę, tworząc mitologię SS, z którą wiązały się tajemnicze przysięgi i rozmaite akcesoria.

Jens zapisał coś w notatniku. Michael pochylił się lekko i zobaczywszy zanotowane na kartce słowo „akcesoria”, chrząknął znacząco. Duńczyk spojrział na niego krytycznie i ciągnął dalej:

— Możemy założyć, że Błękitny Kartel czerpie zyski z dwóch źródeł: z handlu żywym towarem oraz wyłudzenia pieniędzy od zwabionych do sekty bogat-

tych osób. — Jens zapisał na kartce kolejne słowo: „motyw”. Rozejrzawszy się po twarzach zebranych przy stole mężczyzn, oznajmił: — Przywódcy kartelu są żądni pieniędzy i władzy. Te dwie rzeczy idą w parze, ale dla ludzi ich pokroju władza jest zwykle ważniejsza. . . Moim zdaniem powinniśmy przyjąć strategię, która uwzględni w jakiś sposób i jedno, i drugie.

— Co masz na myśli? — zapytał Michael. Jens wzruszył tylko ramionami.

— Jestem detektywem, a nie strategiem. Pozostawiam decyzję ekspertowi — dodał, wskazując na Creasy'ego.

Creasy zmrugał oczy i spojrzawszy na Duńczyka oraz pozostałych mężczyzn rzekł po namyśle:

— Zakładam, że ci ludzie nie wiedzą o naszym istnieniu. Mogą podejrzewać, że ktoś im depcze po piętach, ale myślę, że po tylu latach bezkarności są bardzo pewni siebie. Musimy zaatakować ich od tyłu.

— W jaki sposób? — zapytał Guido.

Creasy uśmiechnął się.

— Trzeba przeniknąć do Błękitnego Kartelu. Jeden z nas musi poznać dokładnie poglądy satanistów, a potem. . . przyłączyć się do nich.

Przy stole zapanowała złowroga cisza.

— Kto, do cholery, wejdzie do tego gniazda żmij? — zapytał w końcu Miller. Creasy spojrział znacząco na Michaela.



Michael znalazł się w zupełnie innym świecie.

Satta zabrał go najpierw do swojego krawca. Starszy, elegancki pan przyjrzał mu się z pewną niechęcią. Obszedł chłopca dwa razy wkoło, oglądając go od stóp do głów. Potem powiedział coś po włosku do Satty, który oznajmił z uśmiechem:

— *Signor Casseli* mówi, że miał już do czynienia z gorszymi przypadkami. Będziesz potrzebował co najmniej sześciu garniturów, kilkunastu koszul, dwudziestu kilku jedwabnych krawatów, dziesięciu par butów i, oczywiście, eleganckiej bielizny na wszelki wypadek!

Michael uśmiechał się, gdy *signor Casseli* brał mu miarę. Przybył do Rzymu poprzedniego wieczoru i spotkał się na lotnisku z pułkownikiem Sattą, który w drodze do swojego mieszkania zapoznał go z sytuacją.

Miał tylko dwa tygodnie, aby wejść w środowisko rzymskich elit, w którym mógł znaleźć ludzi powiązanych z Błękitnym Kartelem. Obracali się oni wśród wyższych sfer. Michael był rzekomo nieślubnym synem bardzo bogatego arabskiego potentata, dlatego nie utrzymywał kontaktów z rodziną. Uczył się w ekskluzywnej szkole w Anglii, a teraz przyjechał na pół roku do Włoch, aby nabrać trochę oglądy, zanim zacznie studia na uniwersytecie w Harvardzie.

Creasy i Satta ustalili to wszystko przez telefon. Potem Creasy zadzwonił do senatora Jima Graingera w Denver, aby uwiarygodnił aktualną tożsamość Michaela. Grainger zaśmiał się po cichu i zapewnił Creasy'ego, że może się nie martwić. Gdyby ktokolwiek chciał sprawdzić, czy Michael mówi prawdę, znajdzie nazwisko Adnana ibn Assada na liście studentów, rozpoczynających wiosenny semestr na wydziale nauk politycznych uniwersytetu w Harvardzie. Jim Grainger miał zdeponować dziesięć milionów dolarów na jego konto w Banco di Roma. Pieniądze zostaną przekazane z banku w Zjednoczonych Emiratach, którego szef zadzwoni do dyrektora Banco di Roma i zarekomenduje mu Adnana ibn Assada jako specjalnego klienta, dodając, że ten młody człowiek może zawsze liczyć na dalsze fundusze.

— To majątek — mruknął Michael, kiedy Satta wymienił sumę przelewu.

— Jak na dzisiejsze czasy nie taki wielki — stwierdził z uśmiechem Satta. — Ale wystarczający, żeby zwabić rekiny. Jeśli chodzi o sprawy finansowe, Rzym

jest jak małe miasteczko. Kiedy zaczniesz obracać się w wyższych sferach, wszyscy szybko się dowiedzą, że jesteś spadkobiercą ogromnej fortuny. Wypożyczę ci Ferrari i wynajmę luksusowe mieszkanie w pobliżu Hiszpańskich Schodów. Będziesz miał też kucharkę i kamerdynera. To ktoś, kogo dobrze znasz.

— Nie znam żadnych kamerdynerów — zauważył Michael.

— A jednak... To Rene Callard.

— Rene?

— Tak. Bardzo ci się przyda. W Rzymie jest wielu kamerdynerów. Ale Rene będzie równocześnie twoim szoferem i ochroniarzem.

— Ochroniarzem?

— Tak — potwierdził z naciskiem Satta. — W mieście, które słynie z porwań, to całkiem oczywiste. Studiujący w Rzymie bogaty młody człowiek powinien mieć opiekuna. Może on pracować oficjalnie jako kamerdyner albo kierowca, ale w rzeczywistości jest przede wszystkim ochroniarzem. Rene doskonale się do tego nadaje. Przede wszystkim naprawdę pracuje w tej branży i jest zarejestrowany w tutejszej agencji ochroniarskiej. Poza tym nieźle mówi po włosku. Jest elegancki, dyskretny, a ze względu na swoje pochodzenie potrafi zachować się w towarzystwie: umie mieszać koktajle, podawać kanapki, no i na pewno nie uszczypnie pani domu w pośladek. — Pułkownik westchnął. — Sam bym chętnie go zatrudnił... Jest jeszcze jedna istotna sprawa: ponieważ Rene figuruje w rejestrach włoskiej agencji ochroniarskiej, ma również kartotekę na policji i wolno mu nosić broń.

— To może się przydać — stwierdził z zadumą Michael.

— Z pewnością — zgodził się Satta. — Posłuchaj mnie teraz uważnie. Zostaniesz wkrótce zaproszony na przyjęcie, a potem na wiele następnych. Będziesz spotykał się z pięknymi kobietami, zabierał je na kolacje do najlepszych restauracji i kupował im kosztowne prezenty. Mów, że chcesz zainwestować część majątku w przemysł rozrywkowy, zwłaszcza w produkcję filmów. — Satta zerknął na Michaela i uśmiechnął się: — Z pewnością będziesz musiał ulegać kobiecym wdziękom, co przyjdzie ci bez trudu... Baw się dobrze, Michael, ale bądź czujny. Zawsze pamiętaj, że masz brytyjski akcent, bo chodziłeś do szkoły w Anglii. Po arabsku mówisz trochę jak Libańczyk, który uczył cię tego języka w dzieciństwie. Musisz udawać, że dużo pijesz, ale oczywiście tego nie rób. Niektórzy ludzie będą prosili cię o pieniądze. Pożyczaj im nieduże sumy i nigdy nie żądaj pokwitowania. Szybko rozniesie się wieść, że jesteś kurczęciem, które można oskubać.

Michael uśmiechnął się. Myślał o kobietach, które wkrótce spotka.

Anwar Hussajn był zdenerwowany. Przybył do Tunisu wczesnym popołudniem, pojechał taksówką do hotelu „Hilton” i odbył kilka krótkich spotkań z kontrahentami. O siódmej wieczorem odwiedziono go czarnym Mercedeseem do położonej piętnaście kilometrów za miastem willi.

Musiał czekać pół godziny na przyjęcie, co nie było dobrym znakiem. W końcu stanął przed obliczem najwyższego animatora i kapłana Błękitnego Kartelu.

Na pierwszy rzut oka Gamel Houdris był uosobieniem dobrze prosperującego biznesmena. Siedział za szerokim mahoniowym biurkiem, inkrustowanym wymyślnie hebanem i masą perłową. Był kościsty i ciemny garnitur wisiał na nim jak na drucianym wieszaku. Jego czarne oczy tkwiły w głębokich oczodołach nad wydatnymi kośćmi policzkowymi. Miał gładką ziemistą skórę i rzadkie kruczoczarne włosy.

Nie wstał ani nawet nie podniósł wzroku, gdy Hussajn wszedł do pokoju. Wskazał mu tylko ręką krzesło i czytał dalej leżący przed nim raport. Hussajn usiadł i czekał. Jego twarz miała taki sam kolor jak hebanowa inkrustacja biurka, ale błyszczała od potu.

W końcu Gamel Houdris wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki złote pióro, zrobił na kartce jakieś notatki, po czym spojrzął na swego gościa.

— Nie podoba mi się to — oznajmił. Jego cienki i piskliwy głos brzmiał groźnie jak świst pocisku. — Od wielu lat nikt się nami nie interesował i nagle w przeciągu kilku dni słyszę o jakichś indagacjach ze strony mafii i wszczęciu śledztwa przez żandarmerię.

— Może to przypadek — stwierdził Hussajn. — Ten starzec Trento nic nie wiedział. Był torturowany, ale nie pisał ani słowa. Wiemy, że dwa dni wcześniej widział się z Grazzinim. Nie chciał powiedzieć, o czym rozmawiali. Na wszelki wypadek załatwiliśmy także Grazziniego. Wyglądało to na mafijne porachunki. Jeśli nawet się nami interesował, już nie żyje... Był szefem mafii w środkowych i północnych Włoszech.

— Popełniłeś błąd — stwierdził beznamiętnie Houdris. — Trzeba go było porwać i zmusić do mówienia.

Hussajn wzruszył nerwowo ramionami.

— Rozważaliśmy taką możliwość. Ale porwanie *capo* nie jest prostą sprawą. Uznaliśmy, że wystarczy go zabić.

Houdris pochylił się do przodu.

— Powinniście byli mnie zawiadomić.

— Oczywiście — zgodził się Hussajn. — Próbowaliśmy to zrobić. Ale wyjechałeś incognito na czterdzieści osiem godzin. Musieliśmy szybko powziąć decyzję.

— Faktycznie, byłem w Albanii — powiedział Houdris nieco łagodniejszym tonem. — Odprawiałem pierwszą w tym kraju mszę dla Błękitnego Kartelu... ale nie ostatnią. — Uśmiechnął się lekko, dodając: — Połączenie nędzy z nagłym upadkiem totalitarnej władzy stwarza potężne możliwości.

— Mogę wiedzieć, co z sierocińcem? — zapytał ostrożnie Hussajn.

Houdris machnął ręką i odparł niedbałym tonem:

— Wkrótce go otworzymy. Musimy jednak zachować ostrożność. Mamy sprawdzony personel, ale trzeba też pilnować dokumentacji. — Uśmiechnął się. — Za kilka dni przyjmujemy pierwsze pensjonariuszki. Ma ich być docelowo czterdzieści albo pięćdziesiąt. W przyszłości będziemy sprzedawali co miesiąc do dwudziestu. Już wkrótce zaczniemy od dwóch miesięcznie... Ale wróćmy do najpilniejszej sprawy. Trzeba się dowiedzieć, kto wszczął dochodzenie w żandarmerii. — Postukał piórem o leżący na biurku raport.

— Prowadził je major Massimo Bellu. Jego zwierzchnikiem jest pułkownik Mario Satta.

Hussajn skinął głową, mówiąc:

— Podobno nikt więcej nie był w to zamieszany. Tak twierdzi nasz informator, który, jak wiesz, jest na tyle wysokiej rangi oficerem, że spowodował natychmiastowe przerwanie śledztwa.

— Nie w tym rzecz — powiedział ostro Houdris. — Wątpię, by ten Satta działał na własną rękę. Może współpracuje z włoskim wywiadem.

Hussajn pokręcił głową.

— To mało prawdopodobne, Gamel. Mamy tam swoje wtyczki.

— Pewnie masz rację — rzekł Houdris. — Ale w tak skorumpowanej organizacji jak włoski wywiad wszystko jest możliwe. Mógł być w to zamieszany ktoś z zewnątrz. Musimy się dowiedzieć kto. — Przejrzał ponownie raport i .po dłuższym namyśle zapytał: — Czy sądzisz, że śmierć tego Boutina w Marsylii ma z całą sprawą coś wspólnego?

Hussajn znów pokręcił głową.

— Bardzo wątpię. Donati nie miał z nim bezpośrednich kontaktów. Jest bardzo doświadczony.

— Szkoda tej dziewczyny — stwierdził z zadumą Houdris. — Idealnie się dla nas nadawała... Nie byłoby żadnych śladów. Wiadomo, co się z nią stało?

— Nie — odparł z żalem Hussajn. — Po prostu zniknęła.

Houdris nachylił się i przycisnął guzik na biurku. Natychmiast otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł ubrany na biało służący, niosąc miedzianą tacę. Podał im kawę i kandyzowane owoce. Nie musieli przerywać rozmowy, gdyż był głuchoniemy, podobnie jak cała służba Houdrisa. Gdy kogoś potrzebował, zapalał przyciskiem odpowiedniego koloru światełko.

— Musimy szybko znaleźć inną dziewczynę — zauważył Hussajn. — Nowicjusz jest gotowy i nie można zbyt długo zwlekać. W tej chwili nie brak mu gorliwości, ale z czasem jego zapal ostygnie.

Houdris skinął potakująco głową.

— Mamy najwyżej trzy tygodnie czasu. Postaram się znaleźć odpowiednią dziewczynę w sierocińcu. Musi być młoda i piękna, a nie widziałem jeszcze, jakimi dysponujemy. . . Jeśli mi się nie uda: zaryzykujemy porwanie jakiejś dziewczyny z ulicy w Neapolu albo gdzieś bardziej na południu. . . Trzeba będzie przefarbować jej włosy na blond. — Zmrużył lubieżnie oczy i patrząc na siedzącego po drugiej stronie biurka ciemnego, barczystego mężczyznę, mruknął: — Ale naturalne blondynki o jasnej karnacji są zawsze najlepsze. — Wypił łyk kawy i zmienił temat. — Teraz musimy się przede wszystkim dowiedzieć, kto wszczął przeciwko nam śledztwo. Wątpię, by pułkownik Mario Satta zrobił to z czystej ciekawości. Może należałoby zamienić z nim parę słów? Albo lepiej z jego asystentem, majorem Bellu.

Obie młode kobiety miały eleganckie suknie i piękne twarze, a ich spojrzenia zdradzały, że są doświadczone, ambitne i wyrachowane. Jedna była niebieskooką blondynką, druga brunetką o zielonych oczach. Jeśli pominąć różnice w kolorystyce, ich twarze i ciała były mniej więcej takie same. Obserwowały Michaela z końca dużej sali, jak czyhające na łup drapieżniki.

— Jest niesamowity! — mruknęła blondynka.

— Prawie doskonały — przyznała brunetka. — I naprawdę bogaty, w odróżnieniu od tych gogusiów, którzy wkradają się na przyjęcia. Widzisz jego zegarek? To prawdziwy Patek Philippe. Ma pierścień z opalem i garnitur od Casseliego. Węszę tu co najmniej sto tysięcy dolarów żywej gotówki. — Kobiety tego pokroju, choć mówiły po włosku, zawsze określały majątek w dolarach.

W pewnej chwili podszedł do nich od tyłu starszy mężczyzna, który słyszał, o czym rozmawiają. Miał na sobie nową jedwabną marynarkę, ale jego zniszczona twarz nie pasowałaby do niej nawet po kilku operacjach plastycznych. Wykrzywił w uśmiechu wąskie usta i rzekł:

— To łakomy kąsek, *signorine*, Giorgio mówi, że dwa dni temu otworzył konto w Banco di Roma. Pierwsza wpłata wyniosła dziesięć milionów dolarów.

Dziewczyny spojrzały na niego. W ich oczach czaiło się pożądanie.

— Jest znajomym Giorgia? — zapytała blondynka.

Pokręcił głową.

— Nie, dopiero się poznali.

— Więc skąd ma takie informacje?

Staruszek uśmiechnął się z wyraźnym rozbawieniem.

— Giorgio wie o wszystkim, co dzieje się w tym mieście.

— Co jeszcze ci powiedział? — zapytała brunetka.

Mężczyzna zaczął mówić, jakby odmawiał litanie.

— Ten młody człowiek nazywa się Adnan ibn Assad. Ma dwadzieścia dwa lata i jest podobno nieślubnym synem bardzo bogatego Araba. Jego matka była Angielką i dlatego chodził do brytyjskiej szkoły. Teraz przyjechał na pół roku do Rzymu, żeby poznać klasyczną kulturę, podszkolić się we włoskim i być może zainwestować w coś pieniędzy. Wynajął luksusowy apartament w pobliżu Hisz-

pańskich Schodów. Ma kamerdynera i kucharkę... I jeździ samochodem Ferrari Dino.

Dwie młode kobiety odwróciły w milczeniu głowy i spojrzały na drugi koniec sali. Michael był pochłonięty rozmową z obwieszoną diamentami starszą panią. Ta znana w Rzymie dama lubiła gościć na swych wytwornych przyjęciach młodych, przystojnych ludzi. Satta z łatwością załatwił Michaelowi zaproszenie, korzystając z kontaktów swej matki. Bez trudu uwiarygodnił też jego nową tożsamość. Wybierając to przyjęcie trafili w dziesiątkę. Wśród pięćdziesięciu gości były osoby luźno związane z filmem, telewizją i innymi mediami, podrzędni arystokraci, projektant sukien, jakiś podejrzanego autoramentu bankier i kilku młodych przystojnych ludzi.

Pani domu powoli oprowadzała Michaela po salonie. Dokonując prezentacji, gładziła go po łokciu. Dwie młode kobiety czekały niecierpliwie, przyglądając się, jak ich idol gawędzi z początkującym producentem telewizyjnym i podstarzałym aktorem. Obaj dali mu swoje wizytówki.

Wstrzymały oddech, gdy gospodyni przyjęcia podeszła z Michaelem do aktorki, mającej lekko licząc czterdzieści pięć lat, choć dzięki zręcznie wykonanej operacji plastycznej, świetnemu makijażowi i ponętym czerwonym ustom wyglądała najwyżej na trzydzieści pięć.

— Nie martwcie się — szepnął stojący z tyłu mężczyzna. — On podobno woli młodsze ciała.

\* \* \*

Tuż po północy Michael wyszedł z przyjęcia w towarzystwie dwóch kobiet, blondynki i brunetki.

Podczas gdy Michael zdobywał względy rzymskiej elity, Creasy zajął się sprawami organizacyjnymi. Jens i Sowa mieli obsługiwać centralę w „Pensione Splendide”. Maxie MacDonald i Frank Miller udali się do Mediolanu, żeby śledzić Jana Lucę Donatiego, Creasy zaś miał obserwować w Neapolu Anwara Hussajna.

Jens założył w jednym z pokoi pensjonatu małe biuro z faksem, teleksem i nowoczesnym przenośnym komputerem marki Compaq. Creasy’emu imponowała jego sprawność i dokładność. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin uporządkował wszelkie informacje, które uzyskali z różnych źródeł, zestawiając je na małym ekranie monitora.

Creasy dzwonił regularnie na Gozo i wiedział, że Juliet dobrze sobie radzi w szkole. Laura była zdumiona, jak szybko uczy się maltańskiego. Zakonnice twierdziły, że jest inteligentna i nad wiek rozwinięta. Ale Laura nie ukrywała, że Juliet bywa często milcząca i smutna i stale o nich pyta. Creasy rozumiał, że dziewczyna bardzo przeżywa rozłąkę z ludźmi, którzy stali się częścią jej życia. Wiedziała, że grozi im niebezpieczeństwo, a nie mogła w żaden sposób im pomóc. Creasy zamierzał codziennie do niej dzwonić, ale zmienił zdanie. Gdyby z jakichś powodów nie mógł się z nią skontaktować, zaraz by się martwiła. Postanowił często do niej pisać i nalegał, by Michael robił to samo. Nawet krótki list bardziej ją pewnie ucieszy niż długa rozmowa telefoniczna.

Siedząc przy telefonie, widział niemal jej twarz i zdawał sobie sprawę, jak bardzo za nią tęskni.



Zakonnica stała przed długim niskim budynkiem, który jeszcze trzy miesiące wcześniej był opuszczonym magazynem wspólnoty agrarnej, i obserwowała jadący krętą polną drogą samochód.

Siostra Assunta należała do maltańskiego zakonu augustianek, który od dawna zajmował się działalnością misyjną i nauczaniem. Prawdę mówiąc nudziło ją już trochę przebywanie w klasztorze. Przez pięć lat pracowała jako misjonarka w Kenii. Było to zajęcie ciekawe i satysfakcjonujące. Ale trzy lata temu wróciła na Maltę i choć nie ma to jak w domu, czuła już od kilku miesięcy, że potrzebuje jakiejś odmiany. Gdy przed dwoma miesiącami matka przełożona wezwała ją do siebie i powiedziała, że ma jechać do Albanii, nie zlekła się, choć kraj ten był pogrążony w chaosie i misja mogła okazać się ryzykowna.

Początkowo praca była niebezpieczna, ale i bardzo emocjonująca. W ciągu pierwszych tygodni słyszała często odgłosy strzelaniny, dochodzące od strony położonej trzydzieści kilometrów na południe Tirany. Kilka razy przechodzili obok sierocinca uzbrojeni ludzie w mundurach albo łachmanach. Nigdy jednak nie zachowywali się agresywnie. Prosilili tylko o jedzenie i szli dalej. Teraz było już spokojnie i siostra Assunta mogła cieszyć się widokiem okolicznych lasów, których zieleni kontrastowała z monotonną szarością nagich wapiennych skał z jej rodzinnych stron.

Sierociniec miało prowadzić pięć zakonnice. Tylko siostra Assunta, będąca przełożoną, pochodziła z Malty. Współpracowały z nią trzy młode zakonnice z Włoch i krzepka Irlandka w trudnym do określenia wieku. Porozumiewanie się z nimi nie stanowiło problemu, gdyż siostra Assunta mówiła płynnie po angielsku i po włosku.

Sierociniec powstał dzięki funduszom kilku instytucji charytatywnych, a głównie dzięki prywatnej międzynarodowej organizacji z siedzibą w Rzymie. Matka przełożona wspominała, że założyło ją, o dziwo, kilku bogatych ludzi, którzy chcieli zachować anonimowość. Siostra Assunta wiedziała, że nadjeżdżający właśnie samochód wiezie jednego z głównych fundatorów, który chce zorientować się, co już zrobiono. Zakonnice zdołały w bardzo krótkim czasie urządzić sierociniec i przyjąć pierwszą grupę dziewcząt w wieku od czterech do czterna-

stu lat. Zgodnie z zaleceniami były to wyłącznie sieroty, a nie dzieci pochodzące z rozbitych rodzin lub pozbawione opieki. Wszystkie przyjęte dziewczynki zostały oddane przez matki zaraz po urodzeniu albo porzucone.

Samochód zatrzymał się obok siostry Assunty. Prowadził go Albańczyk, którego znała. Z tyłu siedział mężczyzna o ciemnej, wychudzonej twarzy. Przez chwilę miała wrażenie, że gdzieś już go widziała, bardzo dawno temu. Odpędziła od siebie tę myśl. Mężczyzna wysiadł z samochodu. Przyjrzała mu się z tym większym zainteresowaniem, że nosił arabskie nazwisko. Miał na sobie ciemny, dobrze skrojony garnitur. Zobaczyła, że jest bardzo chudy, ma zapadnięte policzki i haczykowany nos. Zastanawiała się, dlaczego Arab finansuje katolicką fundację charytatywną.

Będąc osobą szczerą i dociekliwą, zapytała go o to przy obiedzie, gdy zapoznali się już z postępem prac remontowych wewnątrz budynku. Mężczyzna bardzo się wszystkim interesował. W sierocińcu miało pracować pod nadzorem siostry Assunty sześć albańskich kobiet. Arab zapytał ją zaraz na początku, czy potrafi się z nimi porozumieć. Wyjaśniła mu, że po krótkim kursie albańskiego radzi już sobie z tym językiem i w ciągu kilku tygodni powinna biegle nim mówić. Zapytał wówczas, czy ona i pozostałe siostry mają wygodne pokoje. Odparła z uśmiechem, że w zupełności im wystarczają. Arab również się uśmiechnął i stwierdził, że bardzo sobie ceni ich oddanie.

Gdy zasiedli do skromnego obiadu, zadała mu pytanie, które wynikało w dużym stopniu z jego widocznej troski o dzieci. W sierocińcu była dwunastoletnia dziewczynka, której rodzice zginęli od kul podczas pierwszej nocy powstania. Miała na imię Katrin i była jasną blondynką o oczach anioła.

Arab objął dłońmi jej twarz, pocałował ją delikatnie w policzek i zwróciwszy się do siostry Assunty powiedział cicho:

— Musimy znaleźć temu dziecku dom, w którym zakwitnie jak kwiat, napełniając radością nasze serca.

— Jest pan katolikiem? — zapytała zakonnica.

Arab pokręcił głową.

— Nie, siostro.

— Muzułmaninem?

Znów pokręcił głową, lekko się uśmiechając.

— Mam swoją własną wiarę. Nie jestem wyznawcą żadnej z panujących religii.

Siedzieli przy okrągłym stole w nowej jadalni. Dołączyły do nich pozostałe cztery siostry. Osoby świeckie jadły przy oddzielnym stole. Zakonnice słuchały z uwagą wywodów Araba.

— Wierzę, oczywiście, w istnienie Najwyższego. Kto w niego nie wierzy, jest głupcem. Ale nie potrafię zdefiniować go w tradycyjny sposób. Zgadzam się

z niektórymi aspektami poszczególnych religii, ale nie akceptuję żadnej z nich w całości.

Na pierwsze danie jedli *minestrone*. Siostra Assunta odłożyła nagle łyżkę i zapytała:

— Jest pan masonem?

Arab zaśmiał się i pokręcił głową.

— Może siostra być spokojna. Daleko mi do tego. . .

— Skoro nie jest pan katolikiem, dlaczego finansuje pan naszą działalność?

— zapytała siostra Simona.

— Moja organizacja wspiera wiele pożytecznych akcji — stwierdził Arab. — Doświadczenie wykazuje, że najlepiej pracują ludzie z powołaniem. Nie muszą koniecznie robić tego z pobudek religijnych. — Uśmiechnął się i wskazał ręką siedzące przy stole siostry. — Ale przekonaliśmy się, że najłatwiej znaleźć takie osoby w zakonach. Oczywiście finansujemy także arabski Czerwony Półksiężyc i kilka wielo-wyznaniowych organizacji charytatywnych. Tym razem poprosiliśmy o pomoc zakon augustianek ze względu na niewielką odległość waszego maltańskiego klasztoru od Albanii, a także dlatego, że zdobyłyście już doświadczenie, działając od kilku miesięcy w tym zrujnowanym kraju.

Siostra Assunta zapytała o coś jeszcze.

— Zaznaczono wyraźnie, że mamy przyjmować do sierocińca tylko dziewczynki w wieku od czterech do czternastu lat. Dlaczego?

Arab wzruszył rozbijając ramionami.

— To naturalne, że dzielimy bardzo ostrożnie nasze ograniczone fundusze. W działalności charytatywnej należy jak najlepiej spożytkować każdy grosz. Wiemy, że organizacje dobroczynne pośpieszyły już z pomocą najmłodszym albańskim dzieciom. Dziewczyny powyżej czternastu lat są natomiast na tyle dorosłe, że moim zdaniem potrafią radzić sobie same. Dlatego ustaliliśmy takie granice wieku.

Siostra Assunta miała zamiar zadać kolejne pytanie, ale Arab ją uprzedził.

— Czy w ciągu dwóch tygodni będą już wykorzystane w sierocińcu wszystkie miejsca?

— Tak — stwierdziła zdecydowanie. — Czekamy tylko na dostawę łóżek, pościeli i podstawowych środków medycznych. Mamy je otrzymać w piątek.

Arab skinął głową z zadowoleniem.

— W porządku. Jak siostrze wiadomo, będziemy się starali umieścić większość tych sierot u włoskich rodzin. Włochy są niedaleko i łatwo jest wszystko zorganizować. Wie siostra również, że założyliśmy w Bari biuro adopcyjne. Rozpoczęło już działalność i za kilka dni złoży siostrze wizytę jego dyrektor. Postępujemy na podstawie wyników międzynarodowych badań. Uważamy, że dzieci nie powinny pozostawać zbyt długo w sierocińcu, ponieważ bardzo szybko staje się on dla nich prawdziwym domem i wtedy tym boleśniej przeżywają adopcję.

Sierociniec ma być czymś w rodzaju tymczasowego miejsca pobytu. Nasze biuro w Bari powinno funkcjonować w myśl tej zasady. Mamy nadzieję, że za tydzień lub dwa załatwimy już pierwsze adopcje. Jest więc istotną sprawą — dodał surowym tonem — aby siostry ani inne pracujące tu osoby nie przywiązywały się z nadto do tych dziewcząt... Wiem, że chcecie zawsze zastępować im matki, zwłaszcza że wiele z nich ma za sobą ciężkie przeżycia. Wierzę jednak, że jako osoba doświadczona przyzna mi siostra rację.

Siostra Assunta skinęła głową.

— Tak, oczywiście... ma pan słuszność. To może być dla nas bolesne... Ale im szybciej znajdzie się dla nich dobre domy, tym lepiej. Oznacza to również, że będziemy mogły zaopiekować się następnymi dziećmi. A wiele jest tu jeszcze takich, które potrzebują pomocy.

— Tak — mruknął cicho Arab. — Bardzo wiele.

Siostra Assunta była rada, że sponsor sierocińca jest człowiekiem inteligentnym i wrażliwym. Nie mogła jednak pozbyć się przeświadczenia, że zna już skądś jego twarz.

## 61

Michael z trudem powstrzymał się od krzyku. Gdy chwycił dziewczynę za przegub, syknęła na niego i przejechała mu paznokciami po plecach. Uniósł jej ręce nad głowę i przycisnął mocno do poduszki. Leżała pod nim, wijąc się jak piskorz i przywierając biodrami do jego ciała. Gdy otworzyła oczy, zobaczył jej rozszerzone źrenice. Przeżywała orgazm, zaciskając za czerwonymi wargami białe zęby. Uwolniwszy z uścisku wilgotny przegub, znów podrapała Michaelowi plecy. Tym razem jęknął z bólu i uderzył ją w twarz. Dziewczyna wyszczerzyła zęby w uśmiechu i Michael poczuł, że szczytuje.

\* \* \*

Znowu omal nie krzyknął, gdy Rene przemywał mu plecy wodą utlenioną.  
— Co za kobieta. . . — mruknął Belg. — Warto było?

Michael siedział na stołku w przestronnej łazience obok luksusowej sypialni. Rene przycupnął za nim na sedesie, aby go opatrzyć. Dziewczyna wyszła pół godziny wcześniej.

— Nie miałem wyboru — bąknął Michael. — Byłem na kilku przyjęciach i dzisiejszy wieczór stanowił ich uwieńczenie. A Gina jest kluczem do zagadki, którą próbujemy rozwiązać.

Rene uśmiechnął się, dalej przemywając mu rany.

— Czego to człowiek nie robi z poczucia obowiązku. . . Jestem z ciebie dumny, Michael.

Chłopak jęknął z bólu i powiedział:

— Właśnie się przekonałem, że czasem przyjemność idzie w parze z cierpieniem.

Minęło osiem dni, odkąd Michael przybył do Rzymu. Naprawdę czuł, że żyje. Widział kiedyś „stary film „La Dolce Vita” i sądził zawsze, że jest w nim dużo przesady. Teraz zmienił zdanie. Po pierwszym przyjęciu zaczęto zapraszać go na następne. Był odkryciem sezonu. Wszyscy chcieli go u siebie gościć. Mężczyźni

szukali jego rady, a każda niemal kobieta pragnęła jego ciała. Obracał się wśród ludzi, patrząc i słuchając. Czasem napomykał pewnym osobom, że choć dobrze się bawi, wolałby coś bardziej wyrafinowanego i podniecającego. Palił haszysz, zażywał kokainę i łykał pigułki. Wziął nawet udział w wyuzdanej orgii, wykazując się nie lada kunsztem i energią. W końcu zawęził grupę nowych znajomych do pięciu osób. Tę właśnie piątkę zaprosił owego wieczoru na przyjęcie do swego mieszkania, uzupełniając ich grono dwudziestoma kilkoma innymi gośćmi.

Rene okazał się nieocenionym kamerdynerem. Byłby z niego znakomity aktor. Grał perfekcyjnie rolę wiernego Piętaszka. Robił to tak przekonująco, że kilku nowych znajomych Michaela proponowało mu potajemnie, by podjął u nich pracę, gdy jego chlebodawca wyjedzie z Rzymu. Wszyscy oczywiście wiedzieli, że Rene jest także ochroniarzem. To jeszcze bardziej dodawało Michaelowi splendoru.

Przyjęcie okazało się sukcesem. Kucharka przygotowała zimny bufet, którego nie powstydziliby się najlepsza restauracja. Był markowy szampan i narkotyki. Gina Forelli, oczywiście, się spóźniła. Michael nigdy przedtem jej nie spotkał. Pokazał mu ją jeden z jego nowych znajomych, prowadzący hulawcze życie, Giorgio Cosselli. Przed dwoma dniami jedli razem kolację w Sans Souci. Przy kawie i likierze Michael zgodził się pożyczyć Giorgiowi pięćdziesiąt milionów lirów na założenie nocnego klubu. Wiedział, że nie zobaczy już tych pieniędzy, ale zdawał sobie również sprawę, iż Giorgio zna lepiej niż ktokolwiek inny ciemne strony życia rzymskiego establishmentu. Podczas kolacji Michael zapytał mimochodem, czy to prawda, że Rzym jest dobrym miejscem dla ludzi zainteresowanych tajemnymi praktykami. Giorgio miał czterdzieści kilka lat i przez całe życie wyzyskiwał innych jak pijawka. Był najczarniejszą owcą w rodzinie, a największą przyjemność sprawiało mu igranie z niebezpieczeństwem i tym, co nieznanne. Urzeczony niewątpliwym bogactwem i naiwnością Michaela sypał informacjami, dając się wciągnąć w pułapkę jak liść porwany przez rzeczny wir.

Po kolacji poszli do znajdującej się parę przecznic dalej dyskoteki „Jackie O.” Gdy stali przy barze, pijąc *negroni*, Giorgio wskazał mu dziewczynę na parkiecie. Była wysoka i niemal zbyt szczupła. Miała długą czarną suknię z błyszczącego materiału, lśniące krucze włosy, czarne oczy, czerwone usta i bladą twarz.

— To Gina Forelli — szepnął Giorgio. — Ona zaprowadzi cię tam, gdzie chcesz trafić. Ale uważaj, przyjacielu. Nie znajdziesz w Rzymie większej czarownicy.

Opowiedział mu o niej w paru zdaniach. Gina Forelli miała około trzydziestu lat i była wnuczką faszystowskiego generała, który współpracował z Mussolinim. Jej matka, dość znana w latach pięćdziesiątych aktorka, zmarła wskutek przedawkowania narkotyków. Gina nigdy nie pracowała. Jej pierwszy mąż był trzecim synem bogatego przemysłowca, który zginął w wypadku, prowadząc po pijanemu samochód. Mówiono, że popełnił samobójstwo, gdyż zastał żonę w łóżku z trzema mężczyznami. Drugi mąż Giny był bogatym biznesmenem, dwadzieścia lat od

niej starszym. Zmarł w sypialni. Policja znalazła na podłodze kilka stłuczonych fiolek po azotynie amylu. Najwyraźniej jego serce nie wytrzymało kombinacji leku i temperamentu młodej żony. W zasadzie Gina mogła być bogatą kobietą, ale obok innych pasji miała fatalny pociąg do hazardu i po śmierci kolejnych mężów trwoniła ich pieniądze w Monte Carlo.

— Ma przydomek Zero — wyjaśnił z ironicznym uśmiechem Giorgio.

— Dlaczego?

— Bo trafia jej się w życiu zbyt wiele zer. Zwłaszcza w ruletce.

— Czym się teraz zajmuje? — zapytał Michael.

Giorgio znów się uśmiechnął.

— Wprowadza ludzi w to, co cię interesuje.

— Przedstaw mi ją — powiedział Michael.

Giorgio pokręcił głową.

— Nie tutaj.

— Gdzie mógłbym ją spotkać?

— Chodźmy — odparł Giorgio. — Powiem ci na zewnątrz.

Do dyskoteki „Jackie O” prowadziło długie zadaszone przejście. Gdy znaleźli się u jego wylotu, w ciemnej ulicy, Giorgio przystanął i powiedział:

— Posłuchaj, Michael. . . Wracając do sprawy, o której mówiliśmy przy kolacji. . . To musi się udać. Oczywiście, będziesz miał pięćdziesiąt procent udziałów. Jesteś młody, ale musisz wiedzieć, że takie transakcje należy załatwiać szybko. Kiedy możesz przekazać na moje konto tych pięćdziesiąt milionów?

Michael spojrzął na Giorgia. Mimo ciemności dostrzegł w jego oczach wy-czekiwanie i niepokój.

— Mogą być amerykańskie dolary? — zapytał bardzo cicho.

— Oczywiście. . . nawet lepiej!

Michael sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął plik ściągniętych gumką banknotów. Odliczywszy szybko i fachowo czterdzieści osiem sztuk wręczył je Giorgiowi, który patrzył na niego ze zdumieniem.

— To banknoty tysiąc dolarowe — powiedział swobodnie Michael. — Nie sprawdzałem dzisiejszego kursu, ale tyle powinno wystarczyć.

Giorgio odebrał pieniądze bardzo powoli, nawet ich nie przeliczając. Wsunął je do tylnej kieszeni i mruknął:

— Oczywiście, przyślę ci pokwitowanie. . . i umowę. Mojemu prawnikowi można zaufać.

Michael pokręcił głową, szczerząc w uśmiechu białe zęby.

— Niczego mi nie przysyłaj, Giorgio. Lepiej nie spisywać żadnej umowy.

Włoch również się uśmiechnął i powiedział:

— Dopilnuję, żeby Gina przyjęła zaproszenie na twoje przyjęcie.

\* \* \*

Zjawiła się u niego z opóźnieniem. Przyszła sama. Rene został uprzedzony o jej wizycie. Gdy się przedstawiła, zaprowadził ją do Michaela. Była ubrana w czarne obciste body i krótką wełnianą spódnicę w kolorze kości słoniowej. Upięła wysoko czarne włosy. Nie nosiła kolczyków, miała za to złoty naszyjnik i złote obrączki na wszystkich palcach. Michael zauważył, że spódnica pasowała kolorem do jej karnacji. Czuł, jak wali mu serce. Nie ze strachu, tylko z emocji.

Rene przedstawił ją i zapytał:

— Szampana?

Pokręciła głową, mówiąc:

— Wiesz, co to jest „byczy sznaps”?

Rene przytaknął.

— Oczywiście, *signora*. W proporcji pół na pół?

Przyglądała mu się przez chwilę.

— Nie. Jedna trzecia byka i dwie trzecie sznapsa.

— Co to takiego? — zapytał zdezorientowany Michael.

Uśmiechnęła się, przesuwając różowym językiem po małych zębach, które były również koloru kości słoniowej. Michael musiał się pochylić, by usłyszeć wśród zgiełku jej niski głos.

— „Byczy sznaps”, to wołowy bulion pół na pół z wódką. Poprosiłam twojego kamerdynera, żeby dał więcej wódki. — Przechyliła lekko głowę i przyglądając mu się, powiedziała matowym głosem: — A więc to prawda, co mówią.

— Co takiego?

— Że w mieście pojawił się Adonis... Dlaczego zaprosiłeś mnie na swoje przyjęcie?

Po raz pierwszy od chwili przybycia do Rzymu Michael poczuł się nieswojo. Zdał sobie nagle sprawę, że ma dopiero dziewiętnaście lat. W istocie znał się tylko na broni i sztuce walki. Zabijał ludzi, którzy zagrażali jego życiu i rzadko się bał. Teraz ogarnął go nagle strach. Trwało to tylko moment i zaraz potem poczuł radosne podniecenie. Miał nadzieję, że udało mu się ukryć chwilę słabości.

— Podobno masz przydomek Zero — rzekł do dziewczyny.

Znowu się uśmiechnęła.

— Giorgio za dużo mówi. Co jeszcze ci powiedział?

— Że jesteś niebezpieczna.

— I dlatego mnie zaprosiłeś? — zapytała, uśmiechając się jeszcze szerzej.

— Oczywiście,

Podniosła głowę i wybuchnęła śmiechem, który brzmiał równie ochryple, jak jej głos. Rene przecisnął się przez tłum, niosąc na srebrnej tacy zamówionego



przez nią drinka. Kiedy spróbowała, skinęła głową z aprobatą. Rene wskazał na zastawiony stół. Gina pokręciła głową i unosząc szklanę, oznajmiła:

— Parę takich drinków zastąpi mi kolację. — Patrząc nadal na Rene spytała:  
— Kiedy wyjadą goście?

Rene spojrział nieco zaskoczony na Michaela, który uśmiechnął się tylko i zerknąwszy na zegarek, powiedział: .- Wyproś ich za jakąś godzinę.

\* \* \*

Michael wstał ze stołka w łazience i rozprostował kości, krzywiąc się lekko z bólu. Rene także się podniósł.

— Co teraz? — zapytał z uśmiechem. Michael odwrócił się i rzekł:

— Jutro wieczorem zrobię następny krok. Jem z nią kolację, a potem jedziemy za miasto.

— Szykuje się kolejna orgia? — zapytał Rene.

Michael pokręcił głową.

— Podobno to coś więcej... — Michael dostrzegł niepokój na twarzy Rene, próbował więc go uspokoić. — Nic mi się nie stanie. Trzeba czasem ryzykować. Nie ma innego wyjścia.

— Wiesz, gdzie odbędzie się to przyjęcie? — zapytał Rene.

Michael pokręcił głową.

— W jakimś miejscu położonym o pół godziny jazdy stąd, więc pewnie gdzieś na peryferiach miasta. Nie martw się, Rene. Jestem na razie poza wszelkim podejrzeniem. Dopiero później zrobi się niebezpiecznie.

Creasy skrzywił się lekko i poruszył lewą nogą. Czuł wyraźnie pierwsze oznaki artretyzmu. Zaklął pod nosem. Nigdy nie przejmował się swoim wiekiem, ale ostatnio zaczęły doskwierać mu bóle w kościach, zwłaszcza gdy musiał całymi dniami przesiadywać w zupełnym bezruchu na wolnym powietrzu. Od czterech godzin tkwił właśnie na wzgórzu, obserwując w ciemnościach z odległości mniej więcej kilometra widoczną w dole willę.

Guido zdobył wyraźne fotografie lotnicze tego miejsca, Creasy wiedział więc, że willę otacza w promieniu około ośmiuset metrów wysokie ogrodzenie ze stalowej siatki. Wyjął z jednej z przepastnych kieszeni czarnej skórzanej kurtki noktowizor Trilux i przyjrzał się szybko metalowym słupkom. Przypuszczał, że ogrodzenie podłączono do nowoczesnego systemu alarmowego, a także do prądu. Uznał, że Anwar Hussajn poskąpił pieniędzy, gdyż powinien był je poprowadzić dalej, za wzgórze. Creasy miał doskonały widok na wejście do willi. Z miejsca, w którym siedział, każdy w miarę dobry snajper trafiłby bez trudu w osobę znajdującą się przed domem.

Kiedy przybył na wzgórze, obok willi stały zaparkowane dwa samochody. Cztery następne przyjechały w ciągu pół godziny. Przywiozły w sumie sześciu mężczyzn i cztery kobiety. Gdy wchodzili przez oświetlone drzwi, Creasy zauważył, że są w wieczorowych strojach. Musiało to być wytworne przyjęcie. Włosi wyraźnie preferowali późne kolacje.

Willa była białym piętrowym budynkiem, krytym czerwoną dachówką. Światła paliły się tylko na parterze. Creasy słyszał odległe dźwięki klasycznej muzyki. Prawdopodobnie kolację spożywano na otwartym tarasie z drugiej strony domu. Nie miał jak się tam dostać. Noc była chłodna i znów poczuł rwanie w lewej nodze.

Zastanawiał się, co robi Michael. Rano rozmawiał przez telefon z Rene, który wspominał tylko, że Michael czyni postępy i że za kilka dni można oczekiwać konkretnych wyników. Creasy odczuwał narastające zniecierpliwienie. Nie miał ochoty odgrywać roli pomocnika, gdy Michael działał na pierwszej linii. Musiał się jednak z tym pogodzić. Nie było innego wyjścia. Tylko Michael mógł przeniknąć do Błękitnego Kartelu. Creasy próbował sobie wyobrazić, co w tym momen-

cie robi i poczuł piekącą zazdrość. Domyślał się, że o tej porze jest już zapewne w łóżku z jakąś piękną młodą rzymianką. Usiłował sobie przypomnieć, kiedy on sam był po raz ostatni z kobietą i stwierdził ze smutkiem, że zbyt dawno temu.

\* \* \*

Maxie MacDonald i Frank Miller wykonywali przydzielone im zadanie. Siedzieli przy oknie w mieszkaniu na rogu bocznej ulicy, odchodzącej od Corso Buenos Aires w Mediolanie i obserwowali apartament Donatego, który znajdował się na czwartym piętrze budynku stojącego dwieście metrów dalej. Maxie miał umocowaną na statywie silną lornetkę, a Frank aparat Nikon z teleobiektywem.

W niewielkim starym budynku, który obserwowali, było tylko sześć luksusowych apartamentów. W ciągu ostatnich dwóch godzin Frank fotografował każdego, kto pojawił się w bramie. Na razie widzieli tylko cztery osoby. Było to nudne zajęcie, ale zdążyli przywyknąć do wykonywania takich zadań, gdyż obaj pracowali jako ochroniarze i służyli w wojskowym wywiadzie.

Frank czknął i spojrzał przeproszająco na Maxiego, który tylko się uśmiechnął. Tego wieczoru Maxie przyrządził cały garnek *spaghetti al vongole*. Teraz obaj cuchnęli czosnkiem.

Przy wejściu do budynku zatrzymała się duża czarna limuzyna. Umundurowany szofer otworzył tylne drzwiczki. Maxie nastawił lornetkę i zobaczył wchodzącego do bramy wysokiego szpakowatego mężczyznę w ciemnym płaszczu. Słyszał, jak aparat fotograficzny wykonuje kolejne zdjęcie.

Frank znowu czknął i powiedział:

— To na pewno przez to Chianti.

\* \* \*

Creasy obserwował, jak pierwsi goście opuszczają willę. Odległość była zbyt duża, a oświetlenie za słabe, by mógł odróżnić ich twarze, ale widział, że wszyscy żegnają się z wysokim, łysym, czarnoskórym mężczyzną. Musiał to być Husajn, gospodarz przyjęcia. Gdy sprzed domu odjechały już dwa samochody, Creasy postanowił śledzić trzeci z nich. Klucząc między krzakami zszedł ze wzgórza i wsiadł do wynajętego czarnego Fiata, który stał ukryty wśród drzew na bocznej drodze.

Po dziesięciu minutach zobaczył światła przejeżdżającego obok samochodu. Była to jasnoniebieska Lancia. Odczekał kilka sekund i pojechał za nią piętnaście kilometrów do Neapolu. Lancia zatrzymała się przed rezydencją na Via San Marco. Otworzyła się brama i samochód wjechał do środka. Creasy minął powoli dom, notując w pamięci numer rejestracyjny wozu i adres.

Było już po trzeciej w nocy, gdy dotarł z powrotem do „Pensione Splendide”. Wszyscy grali tam jeszcze w pokera. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Każdy siedział wpatrzony w swoje karty. W puli była cała sterta banknotów. Creasy przeszedł powoli wokół stołu, by ocenić sytuację. Jens miał dwie królowe i parę dziesiątek, Pietro miał fula — trzy walety i dwie ósemki, Sowa — sekwens w kierach, a Guido — w pikach.

Jens pierwszy rzucił karty, klnąc coś niezrozumiale po duńsku. Pietro wytrzymał jeszcze dwie kolejki, po czym zrezygnował. Sowa i Guido spojrzeli na siebie. Creasy pomyślał przez moment, że Guido wygląda jak czający się kot. W końcu Sowa postanowił go sprawdzić i Guido z przepaszającym uśmiechem wyłożył karty na stół. Sowa zaklął po francusku, a Guido zgarnął pulę.

Spojrząwszy na Creasy’ego, powiedział z uśmiechem:

— Możecie tu zostać, jak długo zechcecie. Zarabiam na was więcej niż na turystach. . . i mam łatwiejszą pracę.

Creasy położył przed nim świstek papieru.

— Zapisałem tu numer rejestracyjny niebieskiej Lancii i adres dużego domu przy Via San Marco — wyjaśnił. — Możesz rano sprawdzić, do kogo należą?

Guido wziął papier, spojrział na niego i skinął głową. Potem wskazał na stół, pytając:

— Nie masz ochoty zagrać?

Creasy uśmiechnął się cierpko, pokręcił głową i rzekł:

— Wolałbym raczej wskoczyć w ogień.

## 63

Juliet siedziała milcząca przy stole. Laura zauważyła, że nie koncentruje się na jedzeniu tak jak zazwyczaj. Odkąd się u nich zjawiała, traktowała spożywanie posiłków niemal jak święty obowiązek. I faktycznie w zadziwiającym tempie przybierała na wadze.

Był sobotni wieczór. Na kolację przyszli Joey i Maria. Początkowo Juliet była radosna i zrelaksowana, ale posmutniała, gdy zaczęto mówić o tym, jak Guido odwiedzał ich często przed śmiercią Julii, a także później. Co roku przysyłał im pieniądze, tłumacząc, że unika w ten sposób płacenia we Włoszech wysokich podatków. Ale oni wiedzieli swoje. Nie byli biednymi ludźmi, żyli jednak skromnie. Przeznaczili pieniądze na dobudowanie gościnnego pokoju, z którego Guido korzystał podczas corocznych wakacji. Creasy też dwukrotnie go zajmował, gdy przybył na wyspę, aby leczyć rany. Teraz mieszkała tam Juliet. Przy stole mówiono również o „Pensione Splendide” w Neapolu, który Guido prowadził kiedyś z Julią, a obecnie z Pietrem. Juliet wiedziała, że Creasy i Michael mają w tym pensjonacie swoją bazę. Widząc przygnębienie dziewczyny, Laura wkrótce zmieniła temat.

Po kolacji Juliet pomogła jej przy zmywaniu, a potem powiedziała, że boli ją głowa i chce się położyć. Pocałowała wszystkich na dobranoc, poszła na górę do gościnnego pokoju i usiadła na szerokim łóżku. W pięknej sypialni, zbudowanej ze starego kamienia, były stylowe, wysokie łuki. Przypomniawszy sobie, że mieszkał w niej kiedyś Creasy, ujrzała nagle oczami wyobraźni jego twarz: krótko ostrzyżone szpakowate włosy i pocięte bliznami mahoniowe policzki. Zaczęła cicho łkać. Nagle usłyszała delikatne pukanie do drzwi i głos Laury. Otarła ręką twarz i powiedziała: — Proszę!

Laura weszła, spojrzała na Juliet i przysiadłszy na łóżku, objęła ją ramieniem.

— Wiem, że za nimi tęsknisz — powiedziała. — Powinniśmy byli o tym pomyśleć i rozmawiać o czym innym.

Juliet pokręciła głową.

— Nie... nic się nie stało. Oczywiście, że mi ich brak, ale nie o to chodzi... Martwię się, bo wiem, co im grozi. W szkole muszę być skoncentrowana i nie mam czasu się nad tym zastanawiać. Ale później ciągle o nich rozmyślam... Chy-

ba aż za dużo.

— To naturalne, że za nimi tęsknisz — stwierdziła rzeczowym tonem Laura.

— Ale nie możesz się zamartwiać. Wierz mi, że oni potrafią sobie poradzić. Czy możemy jakoś ci pomóc? Może powinnaś bardziej aktywnie spędzać czas. Jutro jest niedziela. Joey jedzie z przyjaciółmi na ryby. Chciałabyś się z nimi zabrać?

Juliet pokręciła głową.

— Nie... Wiem, że by mnie wzięli, ale nie lubią mieć ze sobą dziewczyn. Podobno to przynosi pecha.

Laura pokiwała głową.

— Fakt. Mężczyźni z naszej wyspy są bardzo przesądni. Może jest coś, na co miałabyś ochotę?

— Owszem. Czy mogłabym wrócić na jeden dzień do domu? Popływałabym w basenie i zrobiła sobie piknik.

— Chcesz być tam sama?

— Tak. Zgadzasz się?

— Oczywiście. Doskonale cię rozumiem. Pojedziesz tam z Paulem po mszy, a ja wpadnę po ciebie wieczorem.

Było tuż po dziesiątej rano, gdy Juliet otworzyła wielkim kluczem furtkę w ogrodzie. Paul pomachał jej ręką na pożegnanie i odjechał.

Minąwszy dziedziniec stanęła przy basenie i przez moment spoglądała w wodę. Potem podniosła wzrok i patrząc na okoliczne wzgórza, miasteczka i wyspy na morzu od razu doznała ukojenia.

Poszła do kuchni, aby włożyć do lodówki jedzenie i przebrać się w kostium kąpielowy. Był ciepły jesienny dzień. Po przepłynięciu dwudziestu długości, wytarła się ręcznikiem, wyciągnęła z torby książkę i położyła na leżaku w słońcu. Przez następną godzinę uczyła się maltańskiego. Potem coś sobie nagle przypomniała i poszła do pokoju Michaela. Obok jego łóżka znalazła przenośny magnetofon Sony i taśmy. Przejrzała je szybko i wybrała kilka z nagraniami disco.

Dziesięć minut później wokół basenu rozbrzmiewała głośna muzyka, a Juliet tańczyła na zadaszonym tarasie. Michael obiecywał, że po powrocie zabierze ją do dyskoteki. Nie chciała go zawieść. Tańczyła przez godzinę, zmieniając kilkakrotnie muzykę i ćwicząc nowe kroki. Potem poszła do kuchni, wyjęła z lodówki jedzenie i rozłożyła je na stole. Laura przygotowała jej posiłek, który wystarczyłby dla trzech silnych mężczyzn: plastry wędzonej szynki, pastę rybną, gotowane jajka, domową kielbasę, sałatkę z ziemniaków, pomidory, ogórki i oczywiście bochen chrupiącego chleba.

Coś ją podkusiło, żeby skoczyć do piwnicy, w której Michael zgromadził znowu zapasy wina. Wyjaśnił Juliet różnice między ich różnymi gatunkami, wskazując, które są szczególnie dobre. Odszukała w odpowiednim rzędzie butelkę Margaux. Zanim zamknęła drzwi od piwnicy, naszły ją wspomnienia. Poczuła nagle, jak bardzo kocha Michaela. Znalazła w kuchni korkociąg i kieliszek na długiej

nóżce i zaniósła je na stół, stojący na zadaszonym tarasie. Godzinę później była najedzona do syta i czuła w głowie lekki szum. Zauważywszy, że butelka jest do połowy opróżniona, zaczęła wesoło chichotać.

Przez następną godzinę myszkowała po całym domu. Najpierw poszła na górę do gabinetu Creasy'ego. Patrzyła z podziwem na niezliczone szeregi książek. Zdjęła kilka z półek, aby do nich zajrzeć. Jedne były stare, inne nowe. Creasy miał tam powieści, encyklopedie, wiele biografii i autobiografii. Zastanawiała się, czy je wszystkie przeczytał. W szafkach leżały sterty czasopism, a w szufladach szczegółowe mapy. W pokoiku obok stał komputer IBM, faks i kilka zamkniętych na klucz metalowych szafek z aktami. Potem Juliet przeszła przez salon. Był tam wielki kamienny kominek i wygodne fotele, a w rogu stary mahoniowy bar. Wróciwszy do pokoju Michaela, uśmiechnęła się na widok rozwieszonych na ścianach plakatów, przedstawiających głównie grupy rockowe i roznegliżowane dziewczyny. W końcu dotarła do sypialni Creasy'ego. Były tam dwa duże okna. Z jednego rozciągał się widok na pasmo wzgórz i Zebbug, a drugie wychodziło na niewielki balkon, z którego można było podziwiać pozostałą część wyspy Gozo. Juliet miała dziwnie lekką głowę. Odwróciwszy się, spojrzała na łóżko i znajdującą się za nim grubą ścianę z kamienia. Patrząc na nią coś sobie przypomniała.

Obeszła łóżko i pchnęła dłonią prawy górny narożnik jednej z kamiennych płyt, przesuwając ją bezgłośnie i odsłaniając szare metalowe drzwiczki sejfu. Zamknęła oczy, by odtworzyć w pamięci szyfr i wybrała na tarczy właściwą kombinację liczb: 83... 02... 91. Potem wzięła kilka teczek ze środkowej półki. Pamiętała, że zawierają informacje na temat wielu ludzi, wrogów i przyjaciół. Przez następne dwie godziny siedziała na łóżku, czytając akta. Włożywszy je z powrotem, powzięła po namyśle stanowczą decyzję. Pod dolną półką znajdowała się metalowa szuflada. Wyciągnęła ją i znalazła w środku mocno zwinięte pliki banknotów. Odliczyła pięć milionów włoskich lirów i dwa tysiące amerykańskich dolarów. Potem odszukała kopertę, w której był jej nowy paszport. Wyjęła go, zamknęła sejf, przesunęła na miejsce kamienną płytę i poszła do kuchni, żeby zajrzeć do książki telefonicznej.

Laura przyjechała po nią tuż po szóstej. Otworzyła sobie furtkę i zastała Juliet śpiącą na leżaku przy basenie. Obok niej leżała torba. Dziewczyna była w dżinsach i podkoszulku. Laura przyglądała się jej przez dłuższą chwilę. Twarz Juliet emanowała spokojem. Usłyszawszy głos, otworzyła z przestraszeniem oczy, ale na widok Laury uśmiechnęła się.

— Jak minął dzień? — zapytała Laura.

— Cudownie — odparła radośnie Juliet. — Mogę znów tu kiedyś przyjechać?

— Oczywiście.

## 64

Pułkownik Satta przeglądał zdjęcia formatu osiem na dziesięć centymetrów. Siedział z Maxiem MacDonaldem i Frankiem Millerem w dyskretnej łoży eleganckiej restauracji w Mediolanie. Zobaczywszy ostatnią fotografię zeszywniał i zaklął pod nosem. Potem kłął jeszcze przez pół minuty.

— Kto to jest? — zapytał Maxie.

— Generał Emilio Gandolfo. . . — odparł z goryczą Satta. — Niech go piekło pochłonie! — Maxie i Frank cierpliwie czekali. Włoch spojrzał ponownie z odrazą na fotografię, po czym wyjaśnił: — Gandolfo jest jednym z moich zwierzchników w żandarmerii. Podobnie jak inni oficerowie tej rangi ma faszystowską przeszłość. To on polecił mi przerwać inwigilację Donatiego i Hussajna.

Frank pochylił się naprzód i powiedział:

— Nie mamy pewności, czy był w mieszkaniu Donatiego. W tym budynku jest jeszcze pięć innych apartamentów.

Satta wzruszył ramionami, uśmiechając się z przekąsem.

— Gdyby chodziło o zakład, postawiłbym tysiąc do jednego, że właśnie tam poszedł.

— Czy ma dużą władzę? — zapytał Maxie.

Satta sposepniał.

— Niestety, tak. Zna dobrze wielu polityków, ludzi z wyższych sfer, z wojska i wywiadu.

Frank wyrwał kartkę z notesu, wstał od stołu i powiedział:

— Zadzwoń do Jensa i przekażę mu to wszystko.

— Co mam ci zamówić? — zapytał Maxie.

— Tylko porcję *spaghetti* — odparł Australijczyk — Polaną z wierzchu brązowym sosem.

Satta wzniósł oczy do nieba, a Maxie chrząknął znacząco.



\* \* \*

Guido wrócił do pensjonatu tuż po osiemnastej. Creasy, Jens i Sowa pili *negroni* przy barze. Pietro ich obsługiwał. Guido skinął do niego głową i dostał jak zwykle szklaneczkę Chivas Regal z wodą sodową. Wyjąwszy z kieszeni kartkę papieru, położył ją przed Creasym i rzekł:

— Oto właściciel jasnoniebieskiej Lancii i domu przy Via San Marco.

Creasy spojrział na kartkę. Było tam zapisane nazwisko Franco Delors.

— Co o nim wiesz? — zapytał Creasy.

— Osobiście nic — odparł Guido. — Ale, jak się orientujesz, mam znajomych w tutejszej policji i kontakty z mafią. Franco Delors to ciekawa postać. Jego matka była Włoszka, a ojciec Francuzem. Osiedlił się w Neapolu dwanaście lat temu. Wkrótce potem został aresztowany za pedofilię. Dostał wyrok w zawieszeniu. Potem, według moich informatorów, stał się bardzo pobożny i zaczął organizować akcje dobroczynne. Od tej pory ma przeraźliwie czyste konto i uchodzi za wzór cnoty. Należy do zarządów kilku organizacji charytatywnych i z wielkim zaangażowaniem pomaga uchodźcom, którzy przybywają do Włoch z pograżonej w chaosie wschodniej Europy... a zwłaszcza z Albanii.

— To wszystko? — zapytał Creasy.

— Na razie tak — powiedział Guido. — Może jeszcze czegoś się dokopię.

Jens wziął kartkę i ruszył do wyjścia, mówiąc:

— Wrzucę to do komputera, razem z informacjami na temat generała Gandolfo, które dostaliśmy od Franka.

Gdy był już przy drzwiach, zatrzymał go głos Guida.

— Coś jeszcze sobie przypomniałem. Zdaje się, że jedna z organizacji charytatywnych, którym przewodniczy Delors, otworzyła właśnie w Bari biuro, mające pośredniczyć w poszukiwaniu domów dla albańskich sierot.

— W Bari? — powtórzył Jens.

— Tak — potwierdził Guido. — To włoski port położony najbliżej Albanii... Podobno Delors spędza tam teraz dużo czasu.

## 65

Niektórzy ludzie są bardzo zamknięci w sobie. Czują się bezpieczni tylko w swoim wewnętrznym świecie. Na ogół wynika to z ich fizycznych lub psychicznych ułomności, czasem rzeczywistych, czasem wymaginowanych.

Massimo Bellu należał do takich ludzi. Uważał, że nie jest pociągający dla kobiet. Był niski i, mimo stosowania diety, dość zażywny. Włosy miał proste i za mało czarne, by wyglądały efektownie. Nic nie pomagały kosztowne szampony i balsamy. Pamiętał, jak w wieku dziewięciu lat poszedł z matką do zakładu fryzjerskiego. Fryzjerka — atrakcyjna młoda kobieta — obeszła go trzy razy wkoło i stwierdziła: „Możemy wszystko zgolić, żeby wyglądał jak Kojak, albo spróbujemy coś z tym zrobić”.

Matkę te słowa zdenerwowały, a jego przygnębiły. Zamknął się w sobie. Już w dzieciństwie miał niepośledni umysł. W szkole wszyscy z niego szydzili. Nie był wysportowany, nie potrafił znaleźć się w towarzystwie, nie miał powodzenia u dziewczyn. Jediną bezpieczną przystanią stała się dla niego praca umysłowa.

Po ukończeniu szkoły dostał stypendium na uniwersytecie w Rzymie i zaczął studiować nauki społeczne. Stamtąd trafił do wymagającego największej sprawności intelektualnej wydziału żandarmerii. Specjalizował się w analizowaniu społecznych zachowań, w tym także psychiki przestępców. Po kilku latach zaczął współpracować z pułkownikiem Sattą, dostarczając mu raportów na temat mafii. Z perspektywy czasu mógł powiedzieć, że tylko dwóch ludzi wywarło znaczący wpływ na jego życie: pułkownik Mario Satta i Creasy. Nie znał w skorumpowanych Włoszech nikogo więcej, kto zasługiwałby na szacunek.

Mieszkał w niewielkiej kawalerce w Trastevere. Miał tam wąskie łóżko, małą łazienkę i jeszcze mniejszą kuchnię. Cały pokój wypełniały od ściany do ściany książki. W kącie stał komputer, przy którym ostatnio spędzał niemal każdą chwilę. Dawno już stracił nadzieję, że zostanie kiedyś salonowym lwem. Czasem pławił się tylko w odbitym świetle sławy pułkownika Satty. I to mu właściwie wystarczało. Ten wieczór spędzał znowu z komputerem. Miał czasem wrażenie, że jest do niego podłączony.

Tuż po jedenastej w nocy usłyszał delikatne pukanie do drzwi. W pierwszej chwili pomyślał, że to sąsiad z góry, samotny emerytowany urzędnik, który czę-

sto przychodził pożyczyc cukier, a tak naprawdę chciał po prostu porozmawiać z kimś dla zabicia czasu. Bellu podejrzewał, że staruszek musiał już zgromadzić kilka ton tego cukru i pewnego dnia sufit załamał się pod jego ciężarem, zasypując mu mieszkanie. Wyłączył komputer, zakodował wprowadzone dane, i poszedł otworzyć drzwi. Nie zobaczył na progu staruszka, tylko dwóch ubranych na czarno młodych mężczyzn z pistoletami w rękach.

Zanim go wyprowadzili, pozwolili mu włożyć płaszcz. Był przekonany, że zginie. Po pierwsze, dlatego że nie zawiązali mu oczu. Po drugie, nie byli z mafii, co potrafił instynktownie wyczuć. Po trzecie wreszcie, zachowywali się tak, jakby nie obchodziło ich prawo.

Zatrzymali się w Focene. Nie stawiał oporu, gdy wyciągali go z samochodu i prowadzili po schodach do piwnicy. Nie miał żadnych złych przeczuc, zdawał sobie jedynie sprawę z nieuchronności przeznaczenia. Dwaj mężczyźni przywiązali go do stojącego przy stole krzesła i czekali. O nic ich nie pytał. Po dziesięciu minutach w drzwiach pojawił się Jean Lucca Donati. Bellu, rozpoznał go z fotografii w aktach. Donati usiadł za stołem i wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki pióro oraz mały notes. Położył je przed sobą i spojrzawszy na Bellu zapytał:

— Zbierałeś informacje na mój temat. Interesowałeś się też człowiekiem o nazwisku Anwar Hussajn. Dlaczego?

— Na tym polega moja praca — odparł Bellu.

Donati pokręcił głową.

— Nieprawda. Zlecił ci to zadanie pułkownik Satta, ale on też działał z czyjeś polecenia. Kto mu je wydał?

Bellu wzruszył ramionami i znizywszy głos powiedział:

— Wiem, kim jesteś i co reprezentujesz. Gardzę tobą. Niczego się ode mnie nie dowiesz.

\* \* \*

Torturowali go przez cztery godziny. Siedział na krześle zakrwawiony i zmasakrowany. Wrywano mu powoli paznokcie. Stracił cztery zęby. Miał złamany nos, pokiereszowane policzki i zmiżdżone jądra. Ale Massimo Bellu zapomniał jakby o swej cielesnej powłoce, znajdując schronienie w świecie psychiki. Sfrustrowany Donati widział, jak uśmiecha się do niego boleśnie, dając mu do zrozumienia, że takimi metodami niczego nie osiągnie.

W końcu Donati to zrozumiał. Był cierpliwy. Jeden z młodych mężczyzn wyszedł z piwnicy, odebrałszy od niego jakieś instrukcje, a drugi pomógł mu rozwiązać i położyć na stole Bellu, który nie miał już siły ani ochoty do walki.

Młody mężczyzna wrócił po kilku minutach, niosąc niewielki neseser. Położył go na stole obok głowy Bellu, otworzył i wyjął ze środka strzykawkę. Donati krążył wokół niego jak sęp. Skinąwszy głową powiedział:

— Dwadzieścia miligramów... Nie więcej. Bądź ostrożny. Za mała dawka nic nam nie da, a za duża może mieć fatalne skutki. — Popatrzył na zmasakrowaną twarz Bellu. Jego cichy głos brzmiał okrutnie. — Skoro twoje ciało nie chce się poddać, spróbujemy zniewolić twój umysł. Za kilka chwil nie będziesz już czuł bólu... Ogarnie cię błogość. Wstrzykniemy ci czyste valium. Nie w takiej dawce, jaką dostają znerwicowane damy z towarzystwa, pragnące się pozbyć wyimaginowanych lęków. Wyruszysz w podróż, której nie potrafiłbyś sobie nawet wyobrazić. Szkoda, że zapewne z niej nie wrócisz.

Zbolały Bellu poczuł lekkie ukłucie igły i po upływie kilku sekund bawił się już jako dziecko na polach za domem dziadka w Toskanii. Widział twarz Marielli, swojej młodszej kuzynki, która się z niego naśmiewała. Potem zobaczył twarz matki, karzącej go za to, że uderzył Mariellę. Przez błękitno-zieloną mgłę dotarł do niego daleki głos:

— Kto kazał ci szpiegować Błękitny Kartel?

W ciągu następnych czterdziestu minut Donati dowiedział się wiele o dzieciństwie Bellu, o jego frustracjach, lękach i ambicjach. Uznał, że dwadzieścia miligramów valium nie wystarczy i polecił wstrzyknąć mu jeszcze dziesięć. Wtedy dowiedział się o uczuciu przyjaźni, jakie Bellu żywił do dwóch mężczyzn, nie mógł jednak wydobyć z jego zmaconego umysłu ich nazwisk.

— Skąd oni są? — syknął zniecierpliwiony.

Bellu skrzywił w uśmiechu poranione usta.

— Jeden jest z Rzymu — powiedział.

— A drugi? Skąd jest ten drugi?

Donati usłyszał tylko niezrozumiały szept, pochylił się więc i powtórzył natarczywie:

— Skąd?

— Z kamiennego domu na skalistym wzgórzu — powiedział Bellu głosem przypominającym chichot.

Donati spojrział na dwóch młodych mężczyzn, którzy również uważnie nasłuchiwali, pochyleni do przodu.

— Gdzie to jest? — zapytał. — Gdzie jest ten dom na wzgórzu?

— Na wyspie Gozo, oczywiście... — odparł Bellu, po czym ciężko westchnął, zacharczał i wyzionął ducha.

W pogrzebie wzięła udział tylko siostra Bellu, Satta i ksiądz. Chcieli przyjść także koledzy z biura, ale pułkownik im to odradził.

Trumnę złożono w grobie, ksiądz odmówił modły, a siostra Bellu wrzuciła do dołu grudkę ziemi. Potem oboje odeszli. Grabarze mieli później zasypać dół i postawić nad nim prosty nagrobek.

Na cmentarzu wiał zimny wiatr, strącając ostatnie liście z nagich drzew. Satta, otulony ciemnym płaszczem i jedwabnym szalikiem, przysiadł na jednym z nagrobków i przez ponad godzinę wpatrywał się w trawę. Nie zwykł pogrążyć się w smutku, czy rozmyślać o przeznaczeniu. Czuł po prostu, jak powoli narasta w nim gniew. Nie miał dzieci i nie zaznał w życiu zbyt wiele miłości. W tym momencie uświadomił sobie jednak, że w odkrytym grobie leży zmasakrowane ciało najdroższego mu człowieka. Massimo Bellu był dla niego kimś więcej niż synem, bratem, przyjacielem czy kochanką. Cenił jego dyskrecję i oddanie. Nade wszystko zaś wiedział, że Bellu był do niego przywiązany jak zapewne do nikogo innego.

Dokuczliwy chłód przenikał przez płaszcz w głąb ciała. Podniósłszy wzrok, Satta zobaczył mężczyznę, stojącego po drugiej stronie odkrytego grobu. Był w dżinsach, drelichowej kurtce i czarnym polo. Miał krótkie szpakowate włosy. Patrzył w wykopany dół.

Satta podszedł do niego powoli. Mężczyzna uniósł głowę i mocno go objął. Po raz pierwszy od czasów dzieciństwa Satta rozplakał się. Mężczyzna trzymał go długo w objęciach. W końcu powiedział cicho:

— Jutro rano złożysz dymisję. Przyjadą po ciebie Maxie i Frank. Porwiemy generała Gandolfo i wyślemy go do piekła, razem z całą bandą podobnych mu szubrawców. — Creasy spojrział ponownie na grób i jego głos stał się bardziej lodowaty niż podmuchy wiatru. — Kiedy będziesz zmęczony albo zmarznięty, kiedy zaczniesz upadać na duchu, przypomnij sobie twarz Bellu... Miał zawsze w oczach dobroć, współczucie i miłość. Pamiętaj, co musimy zrobić, żeby uczcić jego pamięć.

Jean Lucca Donati, Anwar Hussajn i Gamel Houdris odbyli telefoniczną naradę. Pierwszy z nich był w Mediolanie, drugi w Neapolu, a trzeci w Tunisie.

Donati powiedział, że Massimo Bellu wspomniał o jakiejś wyspie Gozo... Nie przypuszczał, by jego rozmówcy wiedzieli, o co chodzi. Sam nigdy nie słyszał o tym miejscu. Anwar Hussajn również nie potrafił go zlokalizować, ale Gamel Houdris wyjaśnił natychmiast:

— To wysepka w rejonie Malty.

— Więc co robimy? — zapytał Hussajn.

— Trzeba wysłać tam zaraz kogoś na rekonesans — odparł Houdris.

— Kogo? — spytał Donati.

— Niech zajmie się tym Łącznik... Franco Delors. Najlepiej się do tego nadaje i jest teraz w Neapolu. Dziś mamy wtorek. Jutro odpływa prom z Neapolu na Maltę. Dopilnuj, żeby dostał się na pokład. Potem popłynie na Gozo i trochę tam powęszy.

Naradę przerwano na pół minuty, po czym Donati oznajmił:

— Poinstruję go, żeby zachował szczególną ostrożność. Tymczasem musimy załatwić szybko sprawę ostatecznej indoktrynacji naszego nowicjusza. Trzeba by to zrobić w ciągu mniej więcej tygodnia... Chodzi o co najmniej pięćdziesiąt milionów amerykańskich dolarów. To dojrzały owoc, który nie może spaść z drzewa. Należy go zerwać. Potrzebujemy ofiary do złożenia na ołtarzu.

— Chyba mam kogoś odpowiedniego — stwierdził Houdris. — Jak wiecie, przed kilkoma dniami byłem w naszym nowym sierocińcu w Albanii. Jest tam idealna kandydatka. Franco Delors załatwił już niezbędne dokumenty adopcyjne. Za kilka dni, gdy Delors wróci z Gozo, przewieziemy ją do Bari. Ma na imię Katrin. Ma dwanaście lat i jest piękną blondynką. Zorganizuj mszę w następną niedzielę.

Odpowiedziało mu zgodne milczenie.

Michael postanowił zrezygnować z logiki i zdać się na swój instynkt. Wiedział, że musi ujarzmić leżącą pod nim kobietę. Był to decydujący moment. Wyczuwał, że pragnie zostać zniewolona, że chce mu się poddać. Musiał nad nią zapanować, aby osiągnąć zamierzony cel. Zwykle był w łóżku czuły dla swoich partnerek, co i jemu, i im sprawiało przyjemność. Tym razem jednak postępując delikatnie byłby bezradny jak piórko w porywach wichru.

Chwycił Ginę jedną ręką za przeguby i przewrócił na brzuch. Opierała mu się, więc złapał ją drugą ręką za kark i przydusił jej twarz do poduszki. Przeklinała po włosku, wijąc się jak piskorz. Pozwolił, by odwróciła się na plecy. Gdy próbowała ugryźć go w ramię, uderzył ją mocno w policzek. Wepchnęła mu nogę między uda, był jednak na to przygotowany i jej kolano ześlizgnęło się na bok. Po chwili przewrócił ją znowu na brzuch, wsunął jej rękę pod uda i uniósł je do góry. Jego penis był już wilgotny od śluzu. Gdy wepchnął go Ginie w odbyt, stała się nagle bardzo uległa. Po paru sekundach oboje osiągnęli orgazm.

Kierując się znowu instynktem Michael opuścił ją bez słowa i poszedł do łazienki. Wziąwszy mały ręcznik, zmoczył go gorącą wodą, a potem wykręcił. Giną leżała nieruchomo na brzuchu, przytulona do poduszki. Odwróciwszy ją delikatnie, otarł jej z twarzy pot i resztki makijażu. Stwierdził, że wygląda bez niego o wiele ładniej. Potem wytarł jej ostrożnie krocze, rzucił ręcznik na podłogę i położył się obok niej.

— Wiesz, czego potrzebuje taka kobieta jak ja... — mruknęła. — A jesteś przecież jeszcze bardzo młody.

— Byłem młody, dopóki nie spotkałem ciebie — odparł z uśmiechem. — W ciągu dwóch ostatnich nocy przeżyłem tysiąc dni.

Roześmiała się radośnie, przekonana, że ma go już w garści. Po dwóch szklancek brandy i wielu czułych, długich pocałunkach wykonała swój kolejny ruch. Pozwoliwszy Michaelowi poznać najtajniejsze zakątki swego ciała, sądziła, że zdobyła nad nim kontrolę. Próbowwała teraz grać na jego emocjach.

— Nigdy z nikim tego nie robiłam — oznajmiła. — W pewnym sensie stałam się twoją niewolnicą. Czego jeszcze ode mnie oczekujesz?

Michael uśmiechnął się w duchu.

— Chcę pogrążyć się w najgłębszej otchłani. Wskaż mi drogę... i bądź moim przewodnikiem. Chcę doświadczyć dużo więcej niż tamtej nocy. Przekroczyć wszelkie granice.

Zastanawiała się przez chwilę, rozważając potencjalne zyski i straty.

— To możliwe... — mruknęła w końcu. — Myślę, że masz dość siły. Ale muszę najpierw przekonać pewnych ludzi i będzie to dla mnie bardzo ryzykowne. Śmiertelnie ryzykowne.

— Jaka jest cena ryzyka? — zapytał.

Milczała przez kilka sekund, po czym przesunęła mu ręką po torsie, dotknęła jego krocza i uśmiechnąwszy się w półmroku, powiedziała:

— Pięćdziesiąt tysięcy dolarów stanowiłoby stosowną rekompensatę.



Creasy bardzo chciał z kimś porozmawiać. Rzadko odczuwał taką potrzebę. Na ogół rozmyślał samotnie o swoich problemach. Uważał zaprzętanie nimi głowy innym ludziom za rodzaj słabości. Mimo późnej pory siedział na tarasie „Pensione Splendide”. Było to jedno z jego ulubionych miejsc. Miał przed sobą na pół opróżnioną butelkę Johnnie Walkera, a za plecami światła zatoki i ciemne morze.

Nie opuszczało go dziwne poczucie *deja vu*. Czuł się tak, jakby cofnął się o sześć lat i siedział znowu na tym samym tarasie, z tą samą butelką, patrząc na te same połyskujące w ciemnościach światła. Po tamtej nocy wyruszył w świat i zabił wielu ludzi. Teraz miał wrażenie, że czas zatrzymał się w miejscu.

Powinien, oczywiście, porozmawiać z Guidem. Znali się od wielu lat. Był jego najbliższym przyjacielem, jego *alter ego*. Ale Guido już mocno spał, śniąc zapewne o lirach, które wygrał tego wieczoru w pokera.

Creasy usłyszał, jak otwierają się drzwi i zobaczył zaledwie kilka metrów od siebie sylwetkę mężczyzny, który podszedł na skraj tarasu i podziwiał widoczny w dole krajobraz. Mrok nocy rozjaśniał tylko sierp księżyca, ale Creasy rozpoznał w tym człowieku Jensa. Tamten go nie zauważył.

Po pięciu minutach Creasy zapytał półgłosem: — Czy Duńczycy piją whisky?

Jens odwrócił głowę ze zdziwieniem i odparł równie cicho: — W taką noc Duńczycy piją wszystko... Nawet cykute.

Creasy uśmiechnął się do niego w półmroku.

— Usiądź koło mnie i pomówmy o tym, dlaczego Ziemia się obraca.

Duńczyk wyszedł z ciemności, przysunął sobie krzesło i usiadł. Przez kilka minut popijali w milczeniu whisky, po czym Creasy rzekł:

— Próbowaleś nam wyjaśnić, dlaczego tu jesteś. Mówiłeś o swojej pracy, powołaniu i poparciu żony dla twojej decyzji. Ale nie powiedziałeś całej prawdy.

Duńczyk ponownie napełnił sobie szklankę i odezwał się tak stłumionym głosem, jakby wypowiedane przez niego słowa pochodziły z palców u nóg i docierały do ust poprzez stopy, kolana i klatkę piersiową.

— Żeby zrozumieć, dlaczego tu jestem, musiałbyś znać psychikę ludzi z Północy. Nie kierujemy się logiką. Gdybym miał podjąć teraz rozsądną decyzję, natychmiastowy powrót do Kopenhagi nie byłby jeszcze optymalnym rozwią-

zaniem. Powinienem raczej pognać na Biegun Północny i poszukać tam statku kosmicznego, który zabrałby mnie na Księżyc.

Creasy zaśmiał się pod nosem.

— Więc co cię naprawdę skłoniło, żeby tu zostać?

Duńczyk spojrział z namysłem na szklaneczkę whisky, po czym rzekł swobodnie, ale z naciskiem:

— Jakieś tysiąc lat temu moi przodkowie spychali na wodę kruche łodzie, wskakiwali do nich i wyruszali na podbój nieznanymi lądami. Może nie wyglądam na wikinga, ale czuję się nim. Wiem, że grozi mi poważne niebezpieczeństwo. Jestem osaczony. Ścigają mnie zabójcy. Ale dzięki temu potrafię skoncentrować się jak nigdy dotąd. Serce bije mi szybciej niż kiedykolwiek. . . I to mi się podoba.

Creasy znów cicho się zaśmiał i rzekł: — Nie odpowiedziałeś jednak na moje pytanie.

Znów zaległo milczenie. Po chwili Duńczyk odparł:

— Jestem tutaj z powodu trzech ludzi. Najpierw pojawił się w moim życiu Michael. Biorąc pod uwagę różnicę wieku, mógłbym właściwie być jego ojcem. . . Zaciągnął mnie do Marsylii i gdy tkwiłem po uszy w kłopotach, zjawiłeś się ty. Uratowałeś mnie, siejąc wokół śmierć. Potem zobaczyłem twarz i oczy dziewczynki, która przeżyła piekło, i widziałem, jak razem z Michaeliem przywróciliście ją do życia. . . Dlaczego miałbym stąd uciekać?

W zatoce pojawił się wypływający w morze wielki statek pasażerski. Wyglądał jak obwieszona lampkami choinka. Jego światła majaczyły długo na horyzoncie.

— A dlaczego ty tu jesteś? — zapytał w końcu Jens. — I jak to się dzieje, że przyciągasz tak wielu różnych ludzi, którzy gotowi są oddać za ciebie życie?

Creasy odpowiedział mu bez namysłu:

— Oni wiedzą, że ja też bym za nich zginął. Taka jest rola przywódcy.

— Z pewnością chodzi o coś więcej — stwierdził z namysłem Duńczyk.

— Owszem — przyznał Creasy. — I całe szczęście. Nie przybyli tu tylko ze względu na mnie. Nie byłby to wystarczający powód dla takich ludzi jak ty, Maxie, Rene, Frank, Michael, Guido, Satta, Pietro, czy dla jakiegokolwiek przyzwyczajonego i myślącego człowieka. Zjawili się tutaj, ponieważ są bezgranicznie wściekli. Więc co dalej, wikingu?

Jens wpatrywał się w mrugające jeszcze na horyzoncie światełka.

— Posłałeś kogoś na Gozo? — zapytał. — Myślisz, że Bellu powiedział coś przed śmiercią?

— Zadzwoiłem do paru osób — odparł Creasy. — W ciągu dwudziestu czterech godzin zjawi się na Gozo pięciu takich ludzi jak Maxie, Rene i Frank. Zapewnią ochronę moim bliskim. To tylko środki ostrożności, bo wątpię, żeby Bellu nas zdradził. Patolog twierdzi, że poddano go najpierw okrutnym torturom. Najwyraźniej nic wtedy nie powiedział, bo potem wstrzyknięto mu potężną dawkę

czystego valium, żeby zmącić jego umysł. Pod wpływem narkotyku mógł zacząć mówić, ale byłby to tylko bełkot. Umarł wkrótce po otrzymaniu zastrzyku.

Duńczyk próbował zgłębić wnętrze Creasy'ego. Ten człowiek go fascynował.

— Jak zareagowałaś na śmierć Bellu? — zapytał. — Jak oceniasz ją z moralnego punktu widzenia? Czy twoim zdaniem cel uświęca środki?

Creasy odsunął od siebie pustą szklankę. W jego cichym głosie brzmiał gniew. Nie był zły na Jensa, ani na siebie, lecz na ślepy los, który sprawił, że droga jego życia pełna była zakrętów i kolein.

— Śmierć Bellu wstrząsnęła moim przyjacielem Sattą — rzekł. — To najbardziej mnie dotknęło. — Pochylił się naprzód w półmroku i chwycił Jensa za ramię. — Tak często widywałem już śmierć, że czasem mam wrażenie, jakbym stapał ciągle po cmentarzu. To dla mnie nic nowego. Kiedy ciało niszczeje, kości wyglądają zawsze tak samo. Nie przeraża mnie śmierć. Nie widzę już twarzy Bellu. Twarz to twarz, a kości to kości. Czasem tylko nocą wracają wspomnienia. Twarz przyjaciela na skalnym urwisku, która w ciągu sekundy zmienia się w krwawą miazgę. Radosna twarz dziecka, która nagle robi się czarna od napalumu. Twarze zamknięte w ustawionych rzędem trumnach lub plastikowych workach. Odkryte groby i białe nagrobki... Potrafisz to zrozumieć?

Duńczyk pokręcił głową.

— Oczywiście, że nie... Wiesz, Creasy, myślę, że za bardzo się nad sobą użalasz. Udajesz, że jesteś twardy jak stal. Wcale tego nie dostrzegam... Siedzę tu z człowiekiem, który wie więcej o miłości niż mu się wydaje. Tyle że nie chce się do tego przyznać, nie chce tego zaakceptować. Moim zdaniem postępujesz idiotycznie.

Creasy zaśmiał się cicho.

— Cóż za roztropny wiking!... Więc co teraz robimy?

Jens wyprostował się na krześle i oznajmił innym już tonem:

— Operacja nabiera przyśpieszenia. Satta, Maxie i Frank porywają właśnie tego łajdaka, generała Gandolfo. Powinien udzielić nam wielu informacji. Michael penetruje tymczasem Błękitny Kartel. Wiemy już, kto do niego należy. Znamy mentalność tych ludzi i zakres ich działania. Niewątpliwie lada dzień przystąpicie do akcji. Nie wiadomo tylko, kto kieruje całą organizacją, kim jest pająk w centrum pajęczyny... Na pewno ktoś taki istnieje. Zawsze tak jest. Mam przeczucie, że wkrótce wszystkiego się dowiemy. Kiedy twoi ludzie spalą pajęczynę, pająk zginie.

Powierzchnia morza była teraz zupełnie czarna. Statek-choinka zniknął gdzieś za horyzontem. Obaj mężczyźni wpatrywali się w ciemność. Po chwili Jens powiedział niemal szeptem:

— Jestem pewien, że zabijecie tego pająka. Wtedy wrócę do domu i będę znów mężem, ojcem... i dobrym policjantem.

## 70

Tej nocy dwie dziewczyny wyruszyły w podróż.

\* \* \*

Juliet ziewnęła przeciągle, pomagając Laurze przy zmywaniu.

— To morskie powietrze — stwierdziła Laura, patrząc na nią z uśmiechem.  
— Dobrze robi na sen.

Był sobotni wieczór. Tego dnia o świcie Juliet wypłynęła na ryby z Joeyem i jego kolegami. Wbrew swoim przesądom złowili dziesięć skrzyń lampuki, a Juliet złapała więcej ryb niż inni. Usłyszała od nich największy komplement, gdy wyładowawszy skrzynie na przystani w pobliżu „Gleneagles”, krzyknęli na pożegnanie:

— Popłynź z nami znowu! Kiedy tylko zechcesz!

W barze Tony potraktował Juliet z należnym szacunkiem, podając jej kieliszek wina własnej produkcji.

— Jesteś teraz rybakim — powiedział z dumą.

— Rybaczką — poprawiła go.

Pokręcił poważnie głową.

— Nie, na tej wyspie jesteś rybakim, nawet jeśli chodzisz w sukience i malujesz usta szminką.

Poczuła się nagle bardzo dorosła.

Wytarłszy ostatni talerz, wstawiła go do kredensu i powiedziała do Laury:

— Jutro jest niedziela. . . Czy mogę dłużej pospać?

— Oczywiście — odparła Laura. — Śpij, jak długo chcesz. Pamiętaj tylko, że jutro idziemy na obiad do Joeya. Maria przyrządza pastę z ryb, a robi to nie gorzej niż ja.

Znalazłszy się w swoim pokoju, Juliet przeliczyła dokładnie pieniądze i włożyła je razem z paszportem do portmonetki. Wybrała potrzebne rzeczy, zapakowała je do brezentowej torby i wrzuciła na wierzch portmonetkę. Potem usiadła

na łóżku i czekała cierpliwie, wiedząc, że w ciągu godziny wszyscy domownicy pójną spać.

Musiała wymknąć się bardzo ostrożnie. Psy nie powinny stanowić problemu, ponieważ przez ostatnie dwie noce widziały już parę razy, jak wychodziła po północy na podwórko. Należały do rasy Tal-Fenek, hodowanej niemal wyłącznie na Malcie. Były to psy myśliwskie, słynące z umiejętności łapania królików na stromych zboczach. Za każdym razem podbiegały do niej cicho, rozpoznawały ją po zapachu i łasiły się, gdy je poklepywała. Musiała za to uważać na przekłętego koguta, który sypiał na starym drzewie pięćdziesiąt metrów od domu i darł się wniebogłose, gdy tylko usłyszał jakiś hałas. Postanowiła więc wymknąć się frontowymi drzwiami i pójść wąską ścieżką nad morze, a potem wzdłuż brzegu do portu.

Najpierw jednak napisała kartkę do Laury i Paula, żeby się o nią nie martwili. Wyjaśniła, że nie bacząc na niebezpieczeństwo chce być ze swoim ojcem i bratem. Zanim znajdą jej list, będzie już w Rzymie. Zarezerwowała telefonicznie bilet na samolot. Miała zamiar popłynąć o czwartej rano promem na Malte, potem wsiąść w autobus do Valetty, a stamtąd dostać się na lotnisko. Powinna spokojnie zdążyć na samolot odlatujący do Rzymu o siódmej i o ósmej dwadzieścia być już na miejscu. Potem zamierzała dotrzeć samolotem albo pociągiem do Neapolu. Miała adres „Pensione Splendide”. Wiedziała, że Creasy i Michael będą się złościć, uznała jednak, że nie jest już dzieckiem i da sobie z nimi radę. Może gotować im obiady i pomagać w utrzymaniu porządku w pensjonacie. Wreszcie się na coś przyda.

Wymknęła się z domu tuż po drugiej w nocy, przewiesiwszy torbę przez ramię. Kogut niczego nie usłyszał. Zanim jednak przeszła sto metrów, pojawiły się za nią w ciemnościach dwa psy. Przystanęła, pogłaskała je i poczuła na twarzy ich zimne nosy.

— Wracajcie do domu! — szepnęła rozkazującym tonem.

Mogła równie dobrze mówić do okolicznych skał. Psy pobiegły za nią po ścieżce nad brzeg morza, a potem towarzyszyły jej aż do portu, jakby też brały udział w spisku.

\* \* \*

Nocny prom z Neapolu przybił do przystani w Valetcie o trzeciej nad ranem. Franco Delors przeszedł szybko odprawę paszportowo-celną, zatrzymał taksówkę i zapytał kierowcę:

— Czy zdążę złapać w Cirkewwa prom, który odpływa o piątej rano na Gozo?

— Bez problemu — odparł wesoło taksówkarz. — Niech pan się tylko mocno trzyma.

\* \* \*

Juliet kupiła bilet i weszła na pokład promu razem z grupą farmerów i rybaków, którzy płynęli na Malte, aby sprzedać na targu swoje towary.

Pół godziny później prom przybił do przystani w Cirkewwa. Juliet wysiadła jako jedna z pierwszych. Gdy schodziła po trapie, minął ją jakiś mężczyzna. Spojrzał na nią, nie zatrzymując się, ale po przejściu kilku metrów nagle przystanął, odwrócił się i zaczął śledzić ją wzrokiem. Szła pośpiesznie w kierunku zielonego autobusu. Stał tak kilka sekund, nie bacząc na wchodzących po trapie pasażerów, a potem poszedł jej śladem. Zobaczył, jak wsiada do autobusu. W pobliżu zatrzymała się taksówka, z której wysiadło kilku rozespanych turystów. Autobus ruszył z miejsca. Franco Delors chwycił za rękę taksówkarza i krzyknął:

— Dokąd kursuje ten autobus?

— Do Valetty — usłyszał w odpowiedzi.

— Niech pan jedzie za nim — polecił Delors, wskakując na tylne siedzenie taksówki.

\* \* \*

Dotarłszy na lotnisko, Juliet wykupiła zarezerwowany bilet na samolot linii Alitalia. Delors cały czas ją obserwował. Potem poszła do kafeterii, wypiła herbatę i zjadła grzankę z dżemem. Tymczasem Delors kupił również bilet na lot do Rzymu i zatelefonował do Donatiego.

— Tak, to ona... Nie mam wątpliwości. Schodziła właśnie z promu, gdy ja wsiadałem... Pojechałem za nią na lotnisko... Lecę tym samym samolotem... Poślij swoich ludzi na Fiumicino... Nie, nie poznała mnie... Kiedy widziała mnie w Marsylii, była odurzona heroiną... Na pewno się nie mylę. Ma twarz anioła. Trudno ją zapomnieć... Oczywiście. Samolot przylatuje o ósmej dwadzieścia. Będę tuż za nią. Niech twoi ludzie czekają przy wyjściu.

\* \* \*

Będąc sierotą Katrin nie miała nazwiska. Po śmierci rodziców nadano jej też nowe imię. Widziała, jak ich zastrzelono i wskutek przeżytego szoku nie pamiętała nawet, jak się nazywa. Szybko jednak przystosowała się do nowego życia. Tak szybko, że jako pierwsza z dziewcząt została przeznaczona do adopcji.

Siostra Assunta sama ją przygotowała. Umyła jej długie jasne włosy i ubrała Katrin w nowe dżinsy i podkoszulek. Rzeczy te pochodziły z podarowanej sierocińcowi dużej partii odzieży z Malty. Siostra Assunta powiedziała Katrin, że po raz pierwszy w życiu popłynie statkiem do Włoch — wspaniałego kraju, w którym spotka swoich przybranych rodziców. Będzie miała nowy dom, zazna wiele miłości, pójdzie do dobrej szkoły, a pewnego dnia odwiedzi znowu siostry i przywiezie im mnóstwo pysznej włoskiej czekolady.

Katrin roześmiała się i obiecała, że na pewno wróci.

# 71

W niedzielę Joey i Maria mogli sobie nareszcie dłużej pospać. Wstawali około wpół do dziesiątej, a nie jak zwykle o szóstej, jedli lekkie śniadanie, szli na mszę o jedenastej, a potem udawali się na obiad do rodziców Joeya.

Tej niedzieli jednak Joey zwłóknął się niechętnie z łóżka już o szóstej trzydzięści, gdyż jego znajomi, turyści z Anglii, odpływali promem o siódmej, uznał więc, że wypada ich pożegnać. Nie budząc Marii wsiadł do Land Rovera i pojechał do portu.

Spełniwszy swój obowiązek poszedł nabrzeżem do pobliskiego baru i poprosił Jasona, znajomego barmana, o filiżankę *cappuccino*. Za ledwie wypił łyk kawy, Jason powiedział:

— Ta dziewczyna, która mieszka u twoich rodziców...

— Co z nią? — zapytał zaniepokojony Joey.

— Popłynęła o świcie na Malte.

— Co ty wygadujesz? — powiedział Joey, podnosząc raptownie głowę.

— To na pewno była ona — odparł Jason. — Właśnie otwierałem bar i widziałem, jak idzie na przystań. Odpłynęła promem o czwartej. Niosła na ramieniu torbę. Może bym jej i nie zauważył, ale były z nią te wasze psy. — Zaśmiał się. — Chciały wejść na prom i musiała je odganiać. Widziałem, jak wracały potem na wzgórze.

Joey stał przez chwilę przy barze, wpatrując się w filiżankę kawy, po czym spytał z naciskiem:

— Na pewno się nie mylisz, Jason?

Młody barman pokręcił głową.

— Nie, Joey. Widziałem ją tylko raz, ale to wystarczy... Taką dziewczynę pamięta się całe lata... Będzie kiedyś piękną kobietą.

Joey rzucił się do drzwi i popędził w kierunku samochodu.



\* \* \*

Laura już nie spała i krzątała się po kuchni. Spojrzała zdziwiona, gdy Joey wbiegł do domu.

— Dlaczego wstałeś tak wcześnie? — zapytała.

— Nieważne. Gdzie jest Juliet?

— W swoim pokoju. Chciała sobie dzisiaj dłużej pospać. Czemu pytasz?

— Wracam właśnie z przystani — odparł zaspany. — Jason z baru twierdzi, że Juliet odpłynęła promem o czwartej. Podobno były z nią psy.

— Przecież są w domu — powiedziała zdumiona Laura.

— Tak, oczywiście. Wróciły, kiedy wsiadła na prom... Chodźmy do jej pokoju.

Wbiegli po schodach na Pietro. Laura próbowała otworzyć drzwi. Były zamknięte. Zaczęła walić w nie pięścią, krzycząc „Juliet!” Nie było odpowiedzi. Joey odsunął ją na bok, przykucnął i zajrzał przez dziurkę od klucza.

— Musiała zamknąć drzwi od zewnątrz — oznajmił.

Na schodach pojawił się Paul. Miał rozczochrane włosy i zaspane oczy.

— Co się tu dzieje, do cholery?

Joey wszystko mu wyjaśnił. Laura pobiegła, tymczasem do kuchni po zapasowy klucz.

Łóżko Juliet było starannie zasłane, a na nocnej szafce leżała kartka.

Laura wzięła ją do ręki i przeczytała na głos:

Proszę, żebyście się o mnie nie martwili. Było mi z wami bardzo dobrze, ale niepokoję się o Creasy’ego i Michaela i mam już dość biernego czekania. Może im się do czegoś przydam. Wiem, gdzie ich szukać. Kiedy znajdziecie tę kartkę będę już we Włoszech. Mam trochę pieniędzy i dam sobie radę. Całuję, Juliet.

Spojrzeli na siebie w milczeniu.

— Skąd wzięła pieniądze? — zapytał zaskoczony Joey.

— Z domu na wzgórzu — odparła Laura. — Spędziła tam całą ubiegłą niedzielę. Creasy ma w swoim pokoju sejf z mnóstwem gotówki. Pewnie Michael albo on sam pokazał jej, jak się go otwiera.

Paul spojrział na zegarek. Była siódma piętnaście.

— Miała pewnie zamiar lecieć do Rzymu o siódmej — powiedział. — Lot czasem się opóźnia. Może zdążymy ją zatrzymać.

Pobiegli wszyscy do kuchni. Zawsze praktyczna Laura przejęła inicjatywę. Zadzwoniła do George’a Zammita i dowiedziała się od jego żony, że pojechał właśnie na komisariat. Był wyższym oficerem dysponującej nowoczesnym sprzętem

policji, skontaktowała się więc z nim w ciągu minuty przez telefon komórkowy. Krótko i zwięźle zapoznała go z sytuacją. George polecił jej czekać na wiadomość.

Paul, Joey i Laura siedzieli w kuchni, patrząc na telefon. Zadzwoił po upływie dwóch minut. Rzeczywiście, komputer potwierdził, że niejaka Juliet Creasy poleciała samolotem Alitalii do Rzymu. Miał wystartować o godzinie siódmej, lot zaczął się jednak z czternastominutowym opóźnieniem. O ósmej trzydzieści osiem powinien być w Rzymie. Laura spojrzała na zegarek. Samolot miał lądować dokładnie za godzinę i trzy minuty.

— Mogę zatelefonować do Rzymu i poprosić włoską policję, żeby odesłano ją najbliższym samolotem do domu — zaproponował George.

Laura zastanawiała się tylko przez moment.

— Nie — odparła. — Creasy jest z Guidem w Neapolu. Zaraz do niego zadzwonię i zobaczę, co powie. Skontaktuję się z tobą za parę minut.

Gdy zadzwonił telefon, Creasy jadł właśnie śniadanie. Guido podniósł słuchawkę w kuchni i po chwili krzyknął:

— Creasy, przyjdź tu szybko! To Laura. . . Coś się wydarzyło.

Creasy wysłuchał rzeczowej relacji Laury, po czym rzekł „zaczekaj” i zastłoniwszy ręką słuchawkę, szybko zapoznał Guida z sytuacją. Obaj spojrzeli na zegarki.

— Została mniej więcej godzina — stwierdził Guido. — Można dodać jakieś dwadzieścia, trzydzieści minut na odprawę paszportową i celną. Chcesz, żeby George Zammit zawiadomił policję w Rzymie?

Creasy pokręcił głową.

— Lepiej niech tego nie robi. Nie wiemy jeszcze, czy Juliet rzeczywiście wyjechała z powodów, o których pisze w liście, czy też kryje się za tym coś innego.

— Co na przykład?

Creasy wzruszył ramionami.

— Kto wie. Może pod wpływem valium Bellu zaczął jednak mówić. Może Gozo jest już pod obserwacją i Juliet wpadła w pułapkę. Moi ludzie dotrą na wyspę dopiero dziś po południu.

— Mamy jednak informację, że dziewczyna przyszła sama na przystań — stwierdził sceptycznie Guido. — Nie wygląda to na porwanie.

— Fakt — przyznał Creasy. — Ale mogą na nią czekać na lotnisku w Rzymie. To jeszcze dziecko. Może ktoś nakłonił ją do ucieczki.

Guido zerknął ponownie na zegarek.

— W każdym razie Michael i Rene są w Rzymie, a Maxie i Frank dołączyli do nich wczoraj wieczorem.

Creasy również popatrzył na zegarek.

— Nie chcę angażować Michaela. Jest już blisko celu i nie mogę narażać go na zdemaskowanie. Wyślę Maxiego i Franka. Rene będzie ich ubezpieczał. Jaki jest numer Michaela?

Jens przysłuchiwał się końcowej części ich rozmowy, stojąc w kuchennych drzwiach. Wyrecytował z pamięci właściwy numer.

Obaj mężczyźni odwrócili się i spojrzeli na niego zaskoczeni. Po chwili Creasy rozmawiał już przez telefon.

\* \* \*

Michael spał jak kamień, ale natychmiast oprzytomniał. Wysłuchał uważnie Creasy'ego, nie zadając żadnych pytań, po czym spojrzął na zegarek i rzekł:

— Zajmę się tym. Rene jest tutaj, a Maxie i Frank powinni być w hotelu obok. Mieli się spotkać z Sattą dopiero o jedenastej. Zaplanuję akcję i skontaktuję się z tobą.

Juliet była zbyt podekscytowana, by jeść syntetyczne śniadanie z plastikowej tacki. W samolocie zostało dużo wolnych miejsc, miała więc dla siebie trzy sąsiednie fotele. Kiedy wypila dobrą kawę, stewardesa napełniła jej ponownie filiżankę, usiadła obok i gawędziła z nią przez kilka minut. Pochyliwszy się wskazała za okno. Powietrze było przejrzyste. Juliet zobaczyła zielone pola i wznoszące się ku niebu szczyty Apeninów.

— Byłaś już kiedyś w Rzymie? — zapytała stewardesa.

— Nie, nie znam w ogóle Włoch.

— Czy ktoś ma na ciebie czekać?

— Nie. O dwunastej jadę pociągiem do Neapolu. Czy stacja kolejowa jest koło lotniska?

Stewardesa uśmiechnęła się.

— Nie. Trzeba jechać co najmniej godzinę do miasta. Ale co pół godziny kursują autobusy z lotniska na stację... Chyba że masz dość pieniędzy, żeby wziąć taksówkę.

Juliet z uśmiechem pokręciła głową. — Nie, pojadę autobusem.

Stewardesa wstała i poprawiła spódnice. — Kiedy przejdiesz przez odprawę celną, skreć w lewo. Jakies sto metrów dalej zobaczysz punkt sprzedaży biletów. Autobus staje tuż przy wejściu. Tylko pamiętaj, dziewczyno, żebyś uważała na siebie w Neapolu... To niebezpieczne miasto.

Juliet znów się uśmiechnęła. — Proszę się nie obawiać. Są tam mój ojciec i brat.

\* \* \*

Franco Delors nie tracił Juliet z oczu. Po odprawie paszportowej skierował się do oznakowanego na zielono przejścia, modląc się w duchu, żeby nie zatrzymano go do wrywkowej kontroli celnej. Siedział w tyle samolotu i był przekonany, że dziewczyna nie mogła go zauważyć ani podczas lotu, ani w hali lotniska.

Na cle nikt ich nie zatrzymał. Znalazłszy się przy wyjściu, Delors zwolnił i przebiegł wzrokiem tłum oczekujących w hali ludzi. Dziewczyna przystanąła, nie rozglądała się jednak za nikim, lecz patrzyła w lewo. Delors zauważył, że obok stanowiska wynajmu samochodów firmy Avis stoi jeden z jego ludzi. Wymienili spojrzenia i Delors wskazał mu głową dziewczynę. Juliet ruszyła przed siebie. Delors poczuł ulgę, przekonawszy się, że nikt jej nie oczekuje. Przyśpieszył kroku i zrównał się z nią. Niosła na prawym ramieniu brezentową torbę.

— Cześć! — powiedział swobodnie. — Chyba widziałem cię w samolocie. Przyleciałaś z Malty, prawda?

Spojrzała na niego. — Zgadza się... Ale nie przypominam sobie pana.

Uśmiechnął się ujmująco.

— Siedziałem za tobą. Zostajesz w Rzymie?

Pokręciła głową. — Nie, wsiadam w autobus i jadę na dworzec.

— Więc możesz zaoszczędzić trochę pieniędzy. Ja też tam jadę. Czeka na mnie znajomy... O, to właśnie on. Ma samochód. Znajdzie się dla ciebie miejsce.

Spojrzała na idącego w ich kierunku mężczyznę. Był młody, wysoki i miał śniadą twarz. Zauważyła, że nie spuszcza z niej wzroku. Gdy dotarli do kasy biletowej, poczuła się nagle zagrożona. Przypomniała sobie, czym skończyła się niegdyś jej rozmowa z nieznajomym.

— Nie, dziękuję — powiedziała zdecydowanie. — Pojadę autobusem.

— To strata pieniędzy — stwierdził Delors. — I będziesz jechała dużo dłużej. — Wyciągnął rękę, żeby zdjąć jej z ramienia torbę. Chwyciła kurczowo pasek i stanowczo pokręciła głową.

— Nie! Wsiadę w autobus.

Nagle zjawił się obok nich inny mężczyzna. Był w średnim wieku, miał łysą głowę, okrągłą twarz i barczystą sylwetkę.

— Cześć, Juliet! — powiedział. — Przepraszam za spóźnienie... To przez te cholerne korki. — Mówił płynną angielszczyzną, ale z akcentem, którego nigdy dotąd nie słyszała. Zwróciwszy się do Delorsa, dodał: — Nie ma problemu, kolego. Ona jedzie ze mną.

Delors zobaczył zdziwienie na twarzy dziewczyny i chwyciwszy ją szybko za łokieć, zapytał:

— Znasz tego człowieka? Powinnaś być ostrożna.

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Łysy, barczysty mężczyzna postąpił dwa kroki do przodu i grzmotnął Delorsa prawą pięścią w brzuch. Jęknąwszy z bólu Delors puścił łokieć Juliet i zamierzył się na napastnika, próbując trafić go w szczękę. Łysy mężczyzna schylił głowę. Juliet usłyszała odgłos przypominający uderzenie mokrym ręcznikiem o podłogę i zobaczyła, jak Delors pada na ziemię. Ktoś zaczął krzyczeć. Łysy mężczyzna chwycił ją wpół i uniósł do góry. Chciała wzywać pomocy, ale w tym momencie szepnął jej do ucha:

— Przysłał mnie Creasy. Uspokój się i biegnij za mną.

Postawił ją na posadzce i pociągnął w kierunku wyjścia. Z prawej strony zobaczyła wysokiego, śniadego mężczyznę, który biegł w ich stronę, sięgając ręką pod marynarkę. Nagle on również otrzymał cios z tyłu i rozciągnął się jak długi na ziemi. Mimo całego zamieszania rozpoznała mężczyznę, który go powalił. Widziała jego twarz na fotografii w jednej z teczek wyciągniętych z sejfu Creasy'ego. Pamiętała wydrukowane pod zdjęciem nazwisko: Maxie MacDonald. Był jednym z przyjaciół. Biegąc wciąż przed siebie zauważyła, że Maxie wyciąga pistolet i rozgląda się czujnie po hali. Wkrótce znaleźli się na ulicy. Do krawężnika podjechał szybko czarny samochód z otwartymi tylnymi drzwiami. Juliet została wrzucana do środka i nagle poczuła, że traci oddech, przygnieciona ciężarem czyjegoś ciała. Usłyszała trzask zamykanych drzwi, pisk opon i stanowczy głos:

— Leż spokojnie, Juliet. Jesteśmy przyjaciółmi Creasy'ego.

Nie pozostawało jej nic innego, jak spokojnie leżeć. Przygniatający ją łysy mężczyzna cuchnął czosnkiem. Człowiek zajmujący miejsce obok kierowcy powiedział:

— Wszystko w porządku. Mniej więcej za minutę zmieniamy samochód.

Juliet mogła wreszcie się podnieść. Z przodu siedział Maxie MacDonald, nadal trzymając w ręce broń. Był odwrócony i spoglądał przez tylną szybę. Mruknąwszy okiem do dziewczyny przedstawił się jej, po czym wskazał lufą pistoletu swego kolegę i dodał:

— To Frank Miller... A ten za kierownicą to Rene Callard. Jesteśmy przyjaciółmi Creasy'ego i Michaela.

Ochłonawszy w końcu Juliet mruknęła: — Wiem, kim jesteście... Co się właściwie stało?

— Cierpliwości — powiedział Maxie. — Później ci wszystko wyjaśnię.

Zahamowawszy gwałtownie stanęli obok zaparkowanego w zatoczce czarnego samochodu. Przesiedli się do niego w ciągu kilku sekund i po dwóch minutach zjechali z autostrady na boczną drogę.

Maxie wsunął pistolet z powrotem pod marynarkę i powiedział do Rene:

— Potrzebują dwudziestu minut, żeby ustawić blokady. Będziemy już wtedy daleko.

— Co się stało? — powtórzyła z niepokojem Juliet.

Siedzący obok niej Frank Miller powiedział: — Postąpiłaś bardzo głupio. Twój ojciec i brat będą cholernie wściekli. Przypuszczam — i mam nadzieję — że sprawią ci tęgie lanie.

— Skąd jesteś? — zapytała, zaintrygowana jego akcentem.

— Z Australii — odparł gniewnym tonem.

Skinęła głową, jakby uznając, że to wszystko wyjaśnia.

Mała Katrin była podekscytowana. Nigdy przedtem nie widziała morza. Teraz zobaczyła i morze, i wielki biały statek. Śmiała się radośnie, a siostry Assunta i Simona cieszyły się razem z nią.

Katrin niosła plastikową torbę, w której miała cały swój dobytek: zmianę bielizny, dwie pary skarpet, różową sukienkę, dwie podkoszulki, zapasową parę dżinsów oraz dużą kosmetyczkę z mydłem, szczotką do paznokci, szczoteczką do zębów i tubką pasty.

Podczas kontroli paszportowej sprawdzono dokładnie jej dokumenty. Oczywiście, wszystkie były w idealnym porządku, podpisane i potwierdzone przez notariusza. Siostra Simona miała towarzyszyć Katrin w podróży i przekazać ją w Bari pod opiekę dyrektora organizacji charytatywnej oraz jej nowych rodziców, aby w przyszłości móc utrzymywać z nimi kontakt.

Katrin odpłynęła białym statkiem, trzymając kurczowo w rękach plastikową torbę. Młoda siostra Simona była spięta i podenerwowana. Siostra Assunta odwróciła się, wsiadła do samochodu i wróciła do sierocińca. Powinna odczuwać satysfakcję, a jednak od paru dni dręczył ją jakiś niepokój. Usiłowała bezskutecznie coś sobie przypomnieć. Wszystko zaczęło się od wizyty ich dobroczyńcy. Ceniła szlachetność i rozsądek tego człowieka. Patrząc mu w oczy i słuchając jego cichego, lecz sugestywnego głosu, doszła do wniosku, że podlegająca ścisłym regułom wiara katolicka nie wyklucza dobroci serca wyznawców innych religii.

Sam fakt, że Gamel Houdris nie był katolikiem, wzbudzał jej szacunek. Rozdawał majątek, nie kierując się przesłankami wiary. Wsiadając przed sierocińcem z samochodu miała znów przed oczami jego szczupłą twarz i ciemne oczy. Zamiast jednak przypomnieć sobie cichy, sugestywny głos Houdrisa, odczuwała irracjonalny niepokój.

Choć była ciemna noc, postanowiła przejść jeszcze przez sypialnię. Paliły się tam dwie świece, rzucając nagle, migotliwe cienie na długi sufit.

Wszystkie dziewczynki spały, z wyjątkiem jednej. Z końca pokoju słychać było ciche szlochanie. Poszła między łózkami w tamtym kierunku. Dziewczynka, która płakała, pięcioletnia Hanya, przyjechała rano z Tirany. Podobno była bardzo nierozgarnięta. Ale siostra Assunta wiedziała, że stan jej umysłu wynika z prze-



żytego szoku. Otoczona miłością i opieką powinna szybko wrócić do równowagi.

Usiadła ostrożnie na łóżku, wzięła dziewczynkę na kolana i przygarnęła do piersi. Hanya przylgnęła do niej i chlipała, zagubiona w niepewnym świetle. Siostra pogładziła jej ciemne włosy i zanuciła kołysankę. Szlochanie ucichło. Dziewczynka głęboko westchnęła, zaczęła rytmicznie oddychać i po chwili już spała.

Siostra trzymała ją jeszcze jakiś czas w objęciach, zastanawiając się nie po raz pierwszy, czy dziecko poczęte w jej łonie byłoby równie doskonałe. Położywszy główkę dziewczynki na poduszce i okrywszy kocem jej drobne ciało, uznała, że nie pomieściłaby w swym łonie bezmiaru miłości, którą miała w sercu. Dlatego właśnie została zakonnica.

Przeszła z powrotem między łóżkami. W sypialni panowała cisza. Poczowała wewnętrzny spokój. Pierwsza z jej podopiecznych była już w drodze do prawdziwego domu. Inne pójdą wkrótce w jej ślady. Czowała się bardzo zmęczona, ale znajdowała ukojenie w myśli, że rano popłynie na Maltę i przez dwa tygodnie odpocznie w swoim klasztorze. Popracuje w ogrodzie, będzie przyglądać się rosnącym na drzewach cytrynom i zregeneruje siły, by potem podjąć na nowo codzienne obowiązki.

Wróciła do swego małego pokoju, w którym stało wąskie łóżko. Rozebrawszy się umyła twarz zimną wodą z miednicy, wyczyściła zęby i włożyła jedno z niestosownie wręcz kolorowych *kiku*, które dostała kiedyś jako pożegnalny prezent od kongregacji w północnej Kenii. Miała wrażenie, że minęły już od tamtego czasu całe wieki.

Zwykle sypiała równie dobrze na gołej ziemi, na sienniku czy na wąskim metalowym łóżku. Tej nocy nie mogła jednak zasnąć. Przewracała się z boku na bok. Z zakamarków jej pamięci wyłaniały się jakieś obrazy i natychmiast zniknęły. Widziała szeroko otwarte oczy Katrin, gdy trzymając kurczowo za rękę siostrę Simonę patrzyła na biały statek. Widziała oczy oddawanych pod jej opiekę dzieci, które wysiadały z odkrytej ciężarówki. Widziała miłość i troskę w oczach odbierających je sióstr.

Kiedy o świcie na sufit jej małego pokoju padł pierwszy promień światła, zobaczyła nagle oczy Garnęła Houdrisa, spoglądające z tylnego siedzenia czarnego samochodu.

Obraz ten wywołał nagle odległe wspomnienia i pozbawił ją resztek snu. Usiadła na łóżku, dotykając stopami chłodnej kamiennej posadzki. Poczowała, jak oblewa ją zimny pot. Przypomniała sobie znalezione kiedyś pod drzwiami zawiniątko. Zobaczyła znów odjeżdżający pośpiesznie samochód, bladą, przerażoną twarz młodej kobiety i zimne, hebanowe oczy siedzącego obok niej śniadego mężczyzny. Było to dwadzieścia lat temu, ale dobrze go zapamiętała.

Czekali od dwóch godzin na parkingu obok przydrożnego baru. Maxie poszedł po kawę i ciastka. Juliet spała z głową opartą na kolanach Franka.

Potrafili być cierpliwi. Życie nauczyło ich, że należy patrzeć, słuchać i zważać na niebezpieczeństwo, które zawsze może czaić się w pobliżu. Pijąc kawę i jedząc ciastka zamienili ze sobą tylko parę zdań, ale i tak przypadkowy słuchacz nie zrozumiałby sensu ich rozmowy.

— Szykuje się wielka uczta — stwierdził Frank.

— Kaszka z mlekiem — skomentował Rene.

— Sattę mdli już na samą myśl — zauważył Maxie.

— Obsłużymy faceta jak należy — zapewnił Frank.

— Będzie się miał z pyszna — rzekł Rene.

— Ale nie pójdzie mu to w smak — dodał Maxie, mając pełne usta ciastek.

Frank zaśmiał się pod nosem.

— Co my właściwie wyprawiamy, do cholery? Od lat się tak nie ubawiłem.

— Jak radzi sobie Michael? — zapytał Belga Maxie. Rene uśmiechnął się szeroko.

— Orze głebę przy akompaniamencie westchnień, jęków, a czasem nawet krzyków. Cholernie się naraża. . . Podziwiam tego drania!

Obok ich samochodu przystanęło nagle BMW. Zobaczyli okulary Sowy.

Frank zatkał Juliet palcami nos. Otworzyła najpierw usta, a potem oczy. Australijczyk pochylił się, pocałował ją w czoło i powiedział z uśmiechem:

— Pożegnasz teraz trzech wujków i zabierzesz się z dwoma innymi. Pozdrów tatusia, Guida i Pietra. . . *Ciao*, mała!

Juliet usiadła i, przetrąwszy oczy, spojrzała przez okno na BMW.

— Co to za ludzie? — zapytała.

— Przyjaciele — odparł z przedniego siedzenia Maxie. — Jednego z nich już znasz. Pojedziecie razem do Neapolu.

Frank wyciągnął rękę i otworzył jej drzwi. Poczwała powiew chłodnego powietrza. Pochyliwszy się do przodu pocałowała w policzek Maxiego i Rene. Potem wzięła z podłogi brezentową torbę, dotknęła palcami ust Franka i powiedziała z uśmiechem:

— Nie martw się, kolego... Moim zdaniem masz uroczy akcent.  
Patrzyli, jak wsiada do BMW i odjeżdża. Rene włączył silnik i ruszył w drogę powrotną do Rzymu.

— Ta mała ma charakter — stwierdził Frank.

— Niewątpliwie — przyznał Maxie. — W ciągu dziesięciu sekund zrobiła z ciebie potulnego kotka.

Rene zamiauczał znacząco.

Frank skulił się na tylnym siedzeniu i mruknął:

— Słyszac was, kangur bluznąłby w torbę.

Rene uniósł ze zdziwieniem brwi. Maxie uśmiechnął się i wyjaśnił:

— Chciał powiedzieć, że przyprawiamy go o mdłości.

## 76

Pierwszy przyszedł czarnoskóry, potężnie zbudowany mężczyzna. Laura otworzyła drzwi i powiedziała z westchnieniem:

— Przysłał pana Creasy.

Nieznajomy wyszczerzył w uśmiechu białe zęby.

— Tak, proszę pani. Podobno robi pani najlepszą potrawkę z królika, jaką można zjeść na północnej półkuli. — Mężczyzna miał w ręce dużą czarną walizkę. Laura otworzyła szeroko drzwi i zaprosiła go do środka. Postawiwszy walizkę na podłodze, przyjrzał się wnętrzu obszernego starego pokoju, westchnął z aprobatą i zapytał: — Ile lat ma ten dom, proszę pani?

— Około czterystu, ale ostatnio był oczywiście rozbudowywany. Napije się pan kawy albo herbaty? A może wina?

— Poproszę o kawę — odparł, znowu się uśmiechając. — Muszę z przykrością stwierdzić, że piję jej dość dużo.

— Jest pan Amerykaninem? — zapytała, wszedłszy do kuchni.

— Tak, proszę pani. Pochodzę z Memphis w stanie Tennessee. Ale prawdę mówiąc już od wielu lat nie byłem w Stanach.

Mężczyzna podszedł do kuchennych drzwi. Laura spojrzała na niego i powiedziała:

— Nie zwracaj się do mnie tak oficjalnie. Jestem Laura, a mój mąż ma na imię Paul.

Mężczyzna skinął uprzejmie głową.

— Miło mi cię poznać, Lauro. Nazywam się Tom Sawyer.

Laura uśmiechnęła się.

— Właściwie mam na imię Horacy, ale od dziecka wszyscy mówili na mnie Tom.

Laura napełniła po brzegi kawą duży dzbanek i wskazując mężczyźnie miejsce przy stole zapytała:

— Ilu was będzie?

— Pięciu — odparł, siadając na wiklinowym krześle, które zatrzeszczało zło-wieszczo.

— I wszyscy macie tu zostać? — zapytała przerażona.

Mężczyzna roześmiał się i pokręcił głową.  
— Nie, Lauro. Tylko ja. Jeden z naszych ludzi zamieszka u twojego syna Joeya i jego żony, a trzech pozostali będą kręcili się po okolicy.  
— To znaczy gdzie? — zainteresowała się Laura.  
Machnął niedbale ręką w kierunku okna.  
— Wszędzie. No wiesz, będą się włóczyć i podziwiać krajobraz.  
Laura roześmiała się i usiadła naprzeciwko niego przy kuchennym stole.  
— Tom, to mała wyspa. Kiedy trzech groźnie wyglądających facetów zacznie kręcić się po okolicy, ludzie zaraz to zauważą.  
Mężczyzna pokręcił głową.  
— Nie ma sprawy, proszę pani. . . to znaczy: Lauro. Mamy dobrą wymówkę.  
— Jaką? Uśmiechnął się.  
— Jesteśmy zapalonymi obserwatorami ptaków.  
Laura odchyliła do tyłu głowę i wybuchnęła śmiechem, po chwili jednak rzekła poważnie:  
— Dzięki naszym zagorzałym myśliwym na Gozo nie ma już prawie ptaków. Strzelają do wszystkiego, co się rusza.  
Tom wzruszył ramionami i powiedział całkiem serio:  
— Jak wspomniałem, jesteśmy zapaleńcami. Lubimy przewycięzać trudności.  
— Czy nocami też zamierzacie się włóczyć? — zapytała.  
— Jasne.  
— W poszukiwaniu ptaków?  
Tom znów wyszczerzył w uśmiechu białe zęby.  
— Będziemy tropili sowy, Lauro. . . To szczególnie pasjonujące zajęcie.  
Pokręciła głową z rozbawieniem. Widząc, że kawa już się zaparzyła, wlała ją Tomowi do dużego kubka, a sobie do filiżanki.  
— Z mlekiem i cukrem? — zapytała.  
— Nie, dziękuję. Piję tylko taką. . . czarną jak ja.  
Skosztowawszy aromatycznego napoju, pokiwał głową z aprobatą. W tym momencie zadzwonił telefon. Laura podniosła słuchawkę i rozmawiała krótko z Joeyem. Na koniec powiedziała:  
— Nie, to Amerykanin. . . czarny jak kawa, którą go właśnie poczęstowałam. Roześmiała się, słysząc odpowiedź Joeya. Odłożywszy słuchawkę oznajmiła:  
— Mój syn mówi, że zjawił się u niego Chińczyk.  
— Wietnamczyk — poprawił ją Tom. — Do Huang. . . Nazywamy go Dodo.  
— Wietnamski obserwator ptaków?  
— Właśnie.  
— Skąd są trzej pozostali?

— Dwaj z Wielkiej Brytanii i jeden z Południowej Afryki. Można na nich polegać... Pod ich opieką tobie i twoim bliskim nic nie grozi. Nie zostaniemy tu długo. Tylko kilka dni. Postaram się ci nie przeszkadzać.

Laura pokiwała z namysłem głową i rzekła:

— Zamieszkaż w nowym skrzydle, ale oczywiście będziesz jadał z nami posiłki i proszę, żebyś czuł się jak w domu. Jutro zrobię potrawkę z królika. Dzisiaj na kolację będzie jagnię z rusztu. — Nagle coś sobie przypomniała. — A tak przy okazji, nie wiem, jak mam wyjaśnić twoją obecność sąsiadom. W końcu nieczęsto odwiedzają nas barczyści, czarni Amerykanie.

— Chyba powinnaś im powiedzieć, że jestem przyjacielem Guida... To zresztą prawda.

— Dobrze go znasz?

— Bardzo dobrze. — Nagle jego twarz spoważniała. — Proszę pani... Przepraszam: Lauro... Znałem też twoją córkę. Odwiedzałem ich kilka razy w Neapolu. Julia okazała mi wiele serca... Była wspaniałą kobietą.

W kuchni zapanowała cisza. Po chwili Laura powiedziała:

— Jesteś naszym specjalnym gościem, Tomie Sawyerze.

Jens spojrział na Juliet znad kierownicy. Siedziała skulona obok niego. Dostrzegł w jej oczach niepokój. Sowa zajmował miejsce z tyłu. Jak zwykle miał na uszach słuchawki. Często odwracał głowę i spoglądał przez tylną szybę. Mniej więcej za dwadzieścia minut powinni dotrzeć do Neapolu.

— Czy Creasy jest na mnie wściekły? — zapytała Juliet.

— Delikatnie mówiąc — odparł Jens.

— Nie rozumiem dlaczego. . . — powiedziała, próbując się bronić. — Chciałam tylko pomóc. Mogłabym gotować, sprzątać, zmywać naczynia. . . Potrafię to wszystko robić.

Duńczyk westchnął ciężko i wyjaśnił zwięźle:

— Szykujemy się właśnie do przeprowadzenia ryzykownej operacji. Każdemu z nas grozi niebezpieczeństwo. Czasem bardzo poważne. Musieliśmy przerwać przygotowania, żeby przyjść ci z pomocą. Kiedy ostatni raz widziałem cię w Marsylii, byłaś w bardzo kiepskim stanie. Gdyby nasi ludzie dotarli na lotnisko choćby pięć minut później, przeżywałabyś znowu piekło. Creasy musiał wysłać po ciebie Franka i Maxiego akurat w chwili, gdy planowali wymagającą dużej ostrożności akcję. Rene pozostawił bez opieki Michaela, który właśnie teraz jest szczególnie zagrożony. Sowa i ja musieliśmy rzucić pracę w centrali i popędzić na północ, żeby cię stamtąd zabrać. . . Niewątpliwie ci ludzie z Gozo, którzy się tobą opiekowali, cholernie się teraz martwią i nie będą spokojni, dopóki nie dotrzemy do pensjonatu i nie zawiadomimy ich, że jesteś bezpieczna. Tak, Creasy na pewno będzie wściekły.

\* \* \*

Juliet do późnej nocy płakała w swoim pokoju. Nie dlatego, że Creasy na nią nakrzyczał. Nie okazał nawet złości, ale widziała w jego oczach rozczarowanie. Zaproponowała natychmiast, że wróci na Gozo, Creasy pokręcił jednak głową i powiedział:

— Nie mogę znowu obarczać Laury i Paula taką odpowiedzialnością. Przeżyli już w życiu dość tragicznych chwil.

Poszła na górę, rezygnując z kolacji, zamknęła drzwi na klucz i rzuciła się na łóżko. Miała wrażenie, że pęknie jej serce. Nie mogła zasnąć. Po północy zaczęła chodzić po pokoju. Postanowiła, że wstanie wcześniej rano i zabierze się ostro do pracy.



Generał Emilio Gandolfo był zapalonym myśliwym. Nic nie pasjonowało go bardziej niż zasadzanie się ze strzelbą na ptaki, jelenie czy dziki. Tropił już zwierzynę w Szkocji, Rumunii i Botswanie, ale dwa ostatnie tygodnie września spędzał zawsze w górach, polując na kuropatwy ze swym przyjacielem Juliem Bareste, prawnikiem o prawicowych poglądach i równie jak on czystych rękach.

Co roku piętnastego września pakowali do Range Rovera generała zapasy żywności i wina, broń oraz najmodniejszą w danym sezonie odzież łowiecką. Żegnali się z żonami i wyjeżdżali do samotnego myśliwskiego domku w górach. Nie spotykali tam nikogo oprócz polującego w okolicy staruszka. Gotowali sobie makaron, przyrządzali sosy, delectowali się szynką, serami i dobrym winem. Wychodzili z domu o świcie i wracali o zachodzie słońca. Wiezorami jedli, pili i dyskutowali o tym, jak zbudować lepszy świat, co w ich pojęciu oznaczało odwrócenie go ostro w prawo. Sporadycznie tylko zakłócał im spokój przywieziony przez Bareste komórkowy telefon.

\* \* \*

Pułkownik Satta dobrze wiedział o corocznych wyjazdach generała Gandolfo. Rozmawiał na ten temat długo z Maxiem i Frankiem.

Creasy zaczął czuć się jak generał, którzy siedzi w bunkrze dowodzenia, podczas gdy żołnierze przygotowują się do walki. Otrzymywał codziennie telefoniczne raporty od Rene i Michaela. Rozmawiał często z Laurą i Tomem Sawyerem i był spokojny, że bez względu na to, co knuje Błękitny Kartel, sytuacja na Gozo jest pod kontrolą.

Juliet zaskoczyła wszystkich swą pracowitością. Wstawała zawsze o świcie i sprzątała kuchnię, a potem jadalnię oraz kolejne pokoje. Szorowała podłogi, myła okna i czyściła meble. Mężczyźni przyglądali się temu początkowo z rozbawieniem, ale widząc determinację dziewczyny nabrali do niej szacunku.

Stopniowo wkradała się w ich łaski. Zaczęli rozmawiać swobodnie w jej obecności, konsultować plany i podejmować decyzje. Patrzyła i słuchała, jak Creasy otrzymuje przez telefon informacje i wydaje polecenia. Czuła narastające napięcie, którego nie dostrzegłby przypadkowy obserwator. Zwłaszcza Guido i Pietro byli wyraźnie podenerwowani. Gdy wspomniała o tym Creasy'emu, ten skinął głową i powiedział: — Pietro nigdy nie brał udziału w takiej operacji. To dla niego coś zupełnie nowego. Guido z kolei jest bardzo doświadczony, ale dawno wycofał się z czynnej służby. Jest bardziej podniecony niż zdenerwowany.

\* \* \*

Satta zadzwonił tuż przed kolacją. Creasy odebrał telefon w swoim pokoju.

— Postanowiłem nie składać rezygnacji — oznajmił pułkownik. Zawiesił na chwilę głos, ale nie doczekawszy się reakcji Creasy'ego ciągnął dalej: — Parafrazując Lyndona Johnsona, lepiej sikać z namiotu na zewnątrz niż odwrotnie... Kiedy załatwimy Gandolfa, dobiorę się do skóry innym łajdakom. Mam już w głowie całą listę nazwisk.

— To będzie syzyfowa praca — zauważył Creasy.

— Możliwe, ale da mi więcej satysfakcji niż bezczynne siedzenie na tyłku.

— Jak masz zamiar wyciągnąć z Gandolfa informacje, nie narażając się na

zdemaskowanie? — zapytał Creasy.

Włoch powiedział mu o corocznych wyjazdach generała w góry i o planie, który opracował wspólnie z Maxiem i Frankiem. Creasy zastanawiał się chwilę, po czym spytał: — Uda ci się zdobyć te leki?

— Tak. Mam przez pośrednika kontakt z odpowiednim człowiekiem, którego zresztą znasz.

— Jest pewien, że podziałają?

— Tak, biorąc pod uwagę stan zdrowia Gandolfa i jego wiek.

— Powinno się udać — stwierdził Creasy — Chyba że generał postanowi wrócić do Rzymu razem ze swoim przyjacielem.

— To mało prawdopodobne. Przewidzieliśmy zresztą i taką ewentualność. Zatrzymamy ich obu i zaaranżujemy wypadek... Ta droga jest niebezpieczna, zwłaszcza nocą.

Creasy rozważał w myślach wszystkie możliwości. Podziwiał błyskotliwą inteligencję Satty. Miał też pełne zaufanie do Maxiego i Franka. W końcu zapytał: — Kto rzuci bombę?

— Długo nie mogliśmy podjąć decyzji — przyznał Satta. — Chciałem to komuś zlecić, ale Maxie i Frank sprzeciwili się. Uznali, że nie należy angażować nikogo z zewnątrz.

— I słusznie.

— Tak, chyba rzeczywiście. Zaproponowałem, żeby zrobił to Rene, ale znowu się nie zgodzili. Byli zdania, że na tym etapie operacji nie zechcesz pozostawić Michaela bez obstawy.

— Mieli rację — stwierdził Creasy. — Nie dlatego, że jest moim synem, ale ze względu na czekające go zadanie... Więc kto to zrobi?

— Zaoferowałem swoją pomoc, ale ci dranie mnie wyśmiali... Wybraliśmy w końcu Franka. Użyje małego granatu rozpryskowego. Będzie dużo huk, ale niewiele szkód.

Creasy zaśmiał się w duchu. — W porządku. Frank ma chyba w tej dziedzinie trochę więcej doświadczenia niż ty. Jak poradzicie sobie z harmonogramem?

— Bez problemu. Maxie i ja wyruszmy w góry późnym popołudniem. Dojedziemy tam w ciągu dwóch godzin i będziemy obserwować myśliwski domek. O ósmej Frank rzuci granat, a potem do nas dołączy. Mamy komórkowe telefony, więc będziemy w kontakcie. Jeżeli Gandolfo zdecyduje się wracać do Rzymu z Bareste, pojedziemy za jego Range Roverem, a Maxie zablokuje w umówionym miejscu drogę. Będzie w mundurze kapitana żandarmerii. Nie martw się, Creasy. Maxie i Frank już wszystko rozpracowali... Najwyraźniej dobrze się bawią.

— Nic dziwnego — mruknął sfrustrowany nieco Creasy. — Nie muszą ślepczyć przy telefonie tak jak ja... W porządku, Mario. Będziemy w kontakcie. Powodzenia!

Julio Baresto uważał, że jego przyjaciel wygląda komicznie w myśliwskim kapeluszu, ale nie powiedział tego głośno. Generał Gandolfo był wyjątkowo czuły na punkcie swoich upodobań, zwłaszcza w dziedzinie mody. Obaj mężczyźni mieli na sobie tweedowe ubrania, z nogawkami spodni wetkniętymi w sięgające im do łydek skarpety w szkocką kratę.

Posiadana przez nich broń stanowiła oczywisty dowód, że są o klasę lepsi od setek tysięcy włoskich myśliwych. Gandolfo miał dubeltówkę *Holland and Holland* kalibru 12, którą dostał od ojca na dwudzieste pierwsze urodziny. Przez długi czas chełpił się tym rzadkim i cennym nabytkiem. Ale dziesięć lat temu Baresto trafił w Londynie do sklepiku producenta broni Purdeya i zapłacił ogromną zaliczkę za najnowszy model myśliwskiego sztucera. Musiał czekać na niego pięć lat i opowiadał z dumą każdemu, kto chciał go słuchać, że w tym czasie jeszcze dwa razy jeździł do Anglii robić niezbędne „przymiarki”.

Dzień okazał się niezbyt udany. O zachodzie słońca ruszyli w powrotną drogę. Nieśli w skórzanych torbach tylko cztery kuropatwy. Nie miało to jednak znaczenia. Polowanie dopiero się zaczęło, a prognoza pogody na następny dzień była pomyślna. Rzucili monetę, żeby zdecydować, kto przygotowuje kolację. Wypadło na generała Gandolfo. Był z tego wyraźnie zadowolony, bo lubił gotować.

Dotarli do myśliwskiego domku tuż przed zmrokiem. Był mały, ale wygodny. Znajdowały się w nim dwie sypialnie, dobrze wyposażona kuchnia i niewielka jadalnia z dużym kamiennym kominkiem, a od południa przestronne patio.

Zdjąwszy myśliwskie stroje, wzięli gorącą kąpiel i włożyli ciepłe, eleganckie dresy. Gandolfo rozpałił ogień, a Baresto przygotował drinki. W domku nie było elektryczności. Oświetlenie, ogrzewanie, kuchenkę i lodówkę zasilał gaz z butli. Baresto usiadł przed kominkiem. Gandolfo krzątał się po kuchni.

Postawił właśnie na stole garnek z makaronem, gdy na kominku zadzwonił komórkowy telefon.

Baresto zaklął pod nosem, wziął aparat do ręki, wcisnął guzik i warknął:

— *Pronto!* — Po chwili jego twarz nie wyrażała już irytacji, lecz przerażenia.

— Co się dzieje, Julio? — zapytał Gandolfo, znalazłszy się błyskawicznie przy nim.

Bareste uciszył go gestem ręki, mówiąc do telefonu:

— Nic ci się nie stało? To całe szczęście... Oczywiście, że nie wiem... Uspokój się... Zaczekaj chwilę.

Odwrócił się do Gandolfa i powiedział:

— Jakieś piętnaście minut temu przed moim domem wybuchła bomba.

— Boże! Czy ktoś jest ranny?

— Nie. W domu była tylko Carla. Uszkodzone są frontowe drzwi i okno. Carla pobiegła zaraz do naszego syna, który mieszka w sąsiedztwie. Jest tam teraz z jego żoną i dziećmi. Paolo zawiadomił oczywiście policję.

Generał przejął inicjatywę. Wziął do ręki telefon i polecił Carli, by Paolo zadzwonił do niego, gdy tylko wróci. Potem skontaktował się z żandarmerią i wydał kilka rozkazów. Ujawszy Bareste pod ramię poprowadził go do stołu i powiedział:

— Oczywiście, musimy wracać, ale najpierw coś zjedz. Przydzieliłem do tej sprawy najlepszych ludzi. Dowodzi nimi pułkownik, który jest szefem brygady antyterrorystycznej. Zadzwoń do nas, gdy tylko dotrze na miejsce. Na szczęście nikt nie ucierpiał.

Bareste usiadł przy stole. Gandolfo nałożył na talerze makaron i nalał do kieliszków wina.

— Podejrzewasz, kto to mógł zrobić? — zapytał.

Bareste pokręcił głową.

— Tacy ludzie jak my zawsze mają wrogów. To nieuniknione.

— Ktokolwiek za tym stoi, będzie gorzko żałował — stwierdził stanowczo Gandolfo. — Najwyraźniej nie wiedział, że się przyjaźnimy. Drogo za to zapłaci.

Obaj mężczyźni jedli w milczeniu. Po chwili znów odebrali telefon. Dzwonił syn Bareste. Powiedział ojcu, że przed domem wybuchła niewielka bomba albo granat, nie wyrządzając większych szkód. Wspomniał, że w mieszkaniu roi się od policji i żandarmerii, a obok niego stoi pułkownik, który chce rozmawiać z generałem Gandolfo.

Bareste przekazał mu aparat i wrócił do stołu. Generał najpierw wysłuchał pułkownika, a potem zadał mu kilka pytań i polecił, co ma robić. Bareste zrobiło się żal tego człowieka. Chodziło w końcu tylko o drobny incydent w kraju, gdzie zamachy bombowe i strzelaniny na ulicach były na porządku dziennym.

Powiedział to synowi, gdy znów wziął do ręki telefon. Obiecał, że wróci do Rzymu w ciągu trzech godzin.

— Oczywiście, zajmiemy się tą sprawą w specjalny sposób — oświadczył Gandolfo, machając trzymanym w dłoni widelcem. — W końcu jesteście przyjaćmi. Za pół godziny ruszamy w drogę — dodał, spojrzawszy na zegarek.

— Może lepiej pojedę sam — zaproponował Bareste. — Nie powinieneś marnować urlopu... Masz tak mało wolnego czasu! To błaża sprawa, i tak już dużo mi pomogłeś. Carla byłaby wściekła, gdybym nie przyjechał teraz do domu, ale

za dzień lub dwa postaram się wrócić... — Wskazał na telefon komórkowy. — Zostawię ci go, żebyśmy mogli być w kontakcie. Nie psuj sobie wakacji.

Gandolfo udawał jeszcze przez chwilę, że się waha, ale jego przyjaciel był nieustępliwy.

— Tak czy inaczej, Carla planowała odwiedzić pojutrze we Florencji swoją siostrę — oznajmił. — Będę więc z powrotem najpóźniej w środę... Zostaw mi coś do upolowania.

Umowa została zawarta. Po upływie trzydziestu minut pożegnali się przy samochodzie i Bareste odjechał. Była już ciemna noc. Gandolfo wrócił do kuchni. Umywszy naczynia i garnki poukładał je starannie. Potem postanowił napić się koniaku przy kominku, ale po paru łykach zaczął ziewać. Fizyczny wysiłek i górskie powietrze dały mu się we znaki. Wziął z kominka przenośny telefon, położył go na nocnej szafce, przebrał się w jedwabną piżamę i trzy minuty później chrapał już w najlepsze.

## 81

Michael zadzwonił tuż po dziesiątej.

W „Pensione Splendide” zjedzono właśnie kolację i wszyscy siedzieli przy barze, pijąc kawę *expresso* i koniak. Juliet poszła już spać. Creasy podniósł słuchawkę i odebrał krótką wiadomość. Czarna msza miała odbyć się w niedzielę wieczorem w miejscu odległym o godzinę jazdy od Rzymu. Michael wiedział tylko tyle. Giną obiecała po niego przyjechać. Miał być sam. Powiedziała mu, że zostanie zrewidowany. Nie może mieć broni ani nadajnika. Zgodził się dać jej połowę sumy, której zażądała. Resztę miała dostać następnego dnia.

Creasy powiedział mu, że opracowali alternatywne plany operacji, ale czekają nadal, co Satta wyciągnie z Gandolfa w ciągu najbliższych paru godzin. Zamierzał zadzwonić jeszcze do Michaela rano.

Odłożywszy słuchawkę stwierdził:

— Trzeba koniecznie ustalić, gdzie ma się odbyć ta msza. Inaczej będziemy musieli pojechać za Michaeliem i tą kobietą. Niełatwo będzie ich śledzić.

Jens był obok Creasy’ego. Sowa siedział przy stole ze słuchawkami na uszach. Nie interesowała go ich rozmowa. Guido stał za barem, czyszcząc szkło.

— Nie chciałbym znaleźć się w takim położeniu jak Michael, nie mając broni ani obstawy — stwierdził.

Creasy wzruszył ramionami, mówiąc:

— Ale poradziłyś sobie. . . Byłem już świadkiem różnych twoich wyczynów.

Guido uśmiechnął się, mrugnął do Jensa i powiedział:

— Pewnie, powinniśmy obaj trafić do domu wariatów. . .

— Ty już trafiłeś — stwierdził poważnie Duńczyk. — Nazywa się: „Pensione Splendide”. Martwi mnie tylko, że jestem tu razem z tobą. . . — Uśmiechnął się i zamówił następnego drinka.

Pół godziny później otrzymali kolejną wiadomość. Dzwonił Satta. Wiedząc, że przez telefon komórkowy nie powinien zbyt dużo mówić, powiedział jedynie: — Na razie wszystko w porządku. Jego przyjaciel wyjechał. W domu zgasły światła. Chłopcy wejdą zaraz do środka. Zadzwonię, kiedy będzie już po wszystkim.

— Najważniejsze jest miejsce — powiedział Creasy. — Musimy wiedzieć chociaż w przybliżeniu, gdzie to ma się odbyć. . . Chodzi o niedzielny wieczór.

— Zrozumiałem — potwierdził Satta.

Połączenie zostało przerwane. Creasy odłożył słuchawkę, wypił jeszcze łyk koniaku i spojrzawszy na zegarek, oznajmił:

— Teraz wchodzi do akcji Maxie i Frank. Baresto wrócił do domu zgodnie z planem. Satta zadzwoni, kiedy się czegoś dowie. Potrwa to pewnie z godzinę.

Guido sięgnął po jedną ze stojących za nim butelek.



Generał miał lekki sen, ale niczego nie usłyszał. Gdy otworzył oczy, oślepiło go ostre światło. Odwrócił głowę, nie mogąc zebrać myśli. Jeszcze do końca się nie obudził i nie bardzo wiedział, gdzie jest.

Promień światła przesuwiał się po drewnianych ścianach. Ktoś oświetlał pokój latarką. Generał uświadomił sobie wreszcie, gdzie się znajduje. Był w myśliwskim domku w górach. Oprzytomniawszy całkowicie usiadł na łóżku. Przypomniał sobie, że Baresta wyjechał. Ale może jednak wrócić?

— Czy to ty, Julio? — zawołał niepewnie.

Znów oślepił go promień światła. Musiał zamknąć oczy.

— Nie, to nie Julio — usłyszał w odpowiedzi. — Nie ruszaj się. Mam cię na muszce.

Gandolfo odwrócił głowę. Poczul przejmujący strach.

— Kim jesteś? — zapytał zdławionym głosem.

— Milcz — padła ostra odpowiedź.

Umysł Gandolfa intensywnie pracował. To byli na pewno złodzieje. W okolicy zdarzały się już napady. W ubiegłym roku obrabowano dwa domy położone w górach, bardziej na południu.

— Jestem generałem żandarmerii — oznajmił gniewnym tonem. — Nie ujdzie wam to na sucho.

— Milcz — powtórzył mężczyzna. Mówił po włosku z dziwnym akcentem.

Gandolfo zastanawiał się, skąd może pochodzić. W tym momencie do pokoju wszedł ktoś jeszcze. Światło straciło na intensywności, więc generał mógł otworzyć oczy. Zobaczył przed sobą dwóch ubranych na czarno mężczyzn. Byli w średnim wieku. Jeden z nich — łyśy, o okrągłej twarzy — trzymał w prawej ręce wymierzony w głowę Gandolfa czarny pistolet z tłumikiem, a w lewej podłużną latarkę. Drugi mężczyzna był niski i krępy. Miał kwadratową twarz i krótko przystrzyżone włosy. W jednej ręce trzymał przyniesioną z kuchni lampę gazową, a w drugiej brezentową torbę.

Sądząc z ich wyglądu i zachowania byli zawodowcami. Generał skonstatował to z pewną ulgą.

— Nie mam tu pieniędzy — powiedział. — Ani żadnych wartościowych rze-

czy.

W tym momencie przypomniał sobie o strzelbie, która warta była fortunę. Stała oparta o ścianę metr od łóżka. Instynktownie odwrócił głowę w jej kierunku.

— Nic z tego — powiedział łysy mężczyzna. Zwróciwszy się do swego towarzysza, dodał po angielsku: — Zaczynajmy.

— Kim jesteście, do cholery? — wybełkotał zdumiony Gandolfo. — Czego chcecie?

Krępy mężczyzna postawił lampę na nocnej szafce, a brezentową torbę na podłodze. Jego towarzysz podszedł do łóżka z drugiej strony i wycelował pistolet w głowę generała. Widząc pół metra przed oczami gruby tłumik, Gandolfo skulił się przerażony.

— Mamy do wykonania pewne zadanie — oznajmił lakonicznie łysy mężczyzna. — Jeżeli nam pomożesz, nic ci się nie stanie... W przeciwnym razie zginiesz. Dla nas to bez znaczenia. — Mówił takim tonem, jakby przyszedł naprawić cieknący kran.

Gandolfo chciał coś powiedzieć, ale stojący nad nim mężczyzna natychmiast przyłożył mu do czoła pistolet. Generał spostrzegł, że dłoń w czarnej rękawiczce nawet nie drgnęła.

— Zamknij się i wykonuj polecenia — rozkazał stanowczy głos.

Generał zamilkł i przełknął głośno ślinę. Pistolet znalazł się znów metr od jego głowy.

Krępy mężczyzna rozpiął torbę i wyjął z niej paczkę waty oraz dużą rolkę czarnej taśmy klejącej.

— Złóż ręce — powiedział po angielsku.

Gandolfo zawahał się. Lufa pistoletu znów dotknęła jego czoła. Generał powoli wykonał polecenie. Lekko drżały mu dłonie. Krępy mężczyzna usiadł na skraju łóżka, wyjął z paczki kłęb waty i wetknął ją generałowi między przeguby. Gandolfo przyglądał się temu ze zdumieniem. Potem mężczyzna wziął rolkę taśmy klejącej i kilkakrotnie owinął nią generałowi ręce, dokładnie je unieruchamiając. Jego towarzysz cofnął się o krok i odkręciwszy z lufy pistoletu tłumik wrzucił go do kieszeni czarnej skórzanej kurtki. Broń schował do kabury pod pachą. Krępy mężczyzna ściągnął koc, pod którym leżał ubrany w jedwabną piżamę Gandolfo, i wydobyl z brezentowej torby kilka rolek grubej kauczukowej gąbki. Rozsunawszy nogi generała owinął je szczelnie gąbką, a potem zlepił taśmą klejącą. Robił to bardzo sprawnie. Podobnie postąpił z jego rękami. Gandolfo był równie przerażony, co zaintrygowany. Chciał o coś zapytać, lecz, spojrzawszy w ciemne, zimne oczy krępego mężczyzny, postanowił milczeć.

Wziąwszy mniejszy kawałek gąbki, mężczyzna wsunął go generałowi za szyję i przykleił taśmą do czoła tuż nad oczami. Na koniec związał mu przeguby z kostkami. Generał był teraz całkowicie unieruchomiony.

Mężczyzna cofnął się o krok i oceniwszy swoje dzieło powiedział:

— Wygląda jak facet z reklamy Michelina.

— Raczej jak kurczak z różną — stwierdził jego towarzysz.

Wyszli przez otwarte drzwi. Gandolfo usłyszał, jak łysy mężczyzna mówi:

— Jest twój. Daj znać, gdybyś czegoś potrzebował.

Gandolfo próbował zebrać myśli i ochłonać, ale udało mu się to tylko częściowo, gdyż po dziesięciu sekundach do pokoju wszedł trzeci mężczyzna. Był również ubrany na czarno i miał założone rękawiczki. Z powodu ciemności Gandolfo początkowo go nie poznał, ale gdy mężczyzna przysunął bliżej krzesło, zobaczył wyraźnie jego twarz.

— Satta. . . — powiedział zduszonym głosem. — Boże, Satta! Co się dzieje?

Pułkownik patrzył mu długo w oczy, po czym pochylił się do przodu i powiedział niskim, pełnym nienawiści głosem:

— Widziałeś raport z sekcji zwłok Bellu. Wiesz, jak się nad nim znęcano, zanim umarł. . . Być może ten sam lekarz będzie dokonywał oględzin twoich zwłok. W razie śmierci oficera żandarmerii zawsze robi się autopsję. . . Ale na twoim ciele nie znajdą żadnych śladów tortur. . . Nawet najmniejszego siniaka. — Wskazał na owinięte gąbką ręce, nogi i szyję generała. — Choćbyś nie wiem jak się bronił, żaden lekarz niczego nie stwierdzi.

Satta wyjął z kieszeni niewielkie plastikowe pudełko, otworzył je i pokazał generałowi, co zawiera. Była tam przymocowana gumką mała strzykawka, a obok przezroczysta fiolka z białymi tabletkami.

— To amiodaron — wyjaśnił pułkownik. — Każda tabletką zawiera tysiąc jednostek leku. Zażyta doustnie powoduje rozległy, śmiertelny atak serca. W strzykawce jest digoxin. Daje taki sam efekt, ale musi zostać wstrzyknięty. Oba leki nie pozostawiają żadnych śladów. Nikt zresztą nie będzie niczego podejrzewał. Sześć lat temu miałeś lekki zawał, a trzy lata później poważniejszy. Przez osiem miesięcy byłeś na zwolnieniu. Doradzano ci wcześniejszą emeryturę, ale odmówiłeś. . . Niewątpliwie z powodu nacisków ze strony twoich przyjaciół. Tym razem nie będziesz miał takich dylematów. Wolałbym, oczywiście, żebyś zażył tabletkę, bo doświadczony i dociekliwy lekarz mógłby ewentualnie znaleźć ślad ukłucia, choć będzie on w nietypowym miejscu.

Gandolfo zamknął oczy. Ciężko oddychał. Po chwili usłyszał znowu głos Satty.

— Wiesz, że Bellu był mi bardzo bliski. Jesteś przebiegły, ale głupi. Naprawdę sadziłeś, że ujdzie ci to na sucho?

Gandolfo otworzył oczy i powiedział zbolalym głosem:

— Nie miałem z tym nic wspólnego.

— Łżesz! — powiedział ostro Satta. — Wskazałeś go swoim przyjaciołom z Błękitnego Kartelu — Donatiemu, Hussajnowi i innym, chociaż wiedziałeś, co z nim zrobią. . . Czyniłeś wiele zła, Gandolfo. Dzisiejszej nocy umrzesz. Nie będziesz osamotniony. Twoich przyjaciół spotka wkrótce taki sam los.

Generał patrzył w sufit. Nagle odwrócił głowę i spojrzawszy pułkownikowi w oczy, powiedział:

— Nie miałem wyboru. . . Od samego początku. Byłem w ich mocy. Musiałem myśleć o swojej rodzinie. . . Jeśli mnie uwolnisz, pomogę ci.

Satta pochylił się i splunął mu w twarz.

— To ostatnie chwile twojego życia.

Podniósłszy się, zaczął chodzić tam i z powrotem obok łóżka. Wyjaśnił generałowi zimnym, bezlitosnym głosem, jakiego musi dokonać wyboru. Posłużył się dla porównania kodeksem mafii. Jeśli mafioso okazywał się zdrajcą, pozwalano mu popełnić samobójstwo albo go zabijano. Gdy wybierał samobójstwo, oszczędzono jego bliskich. W przeciwnym razie ginęła cała rodzina. Walcząc z mafią Satta dziwił się początkowo, że tylu członków Cosa Nostra podcinało sobie w więzieniu żyły. Później dowiedział się, że wielu z nich chciało oczyścić się w ten sposób z podejrzeń o zdradę. Był pewien, że Gandolfo zna kodeks mafii, przedstawił mu go jednak z całą wyrazistością. Chodził coraz szybciej obok łóżka, wzburzony i zagniewany. Nagle spojrzął na skrzepowanego generała i powiedział:

— Kiedy dziesięć lat temu zmarła twoja żona, nawet nie nosiłeś po niej żałoby. Za życia traktowałeś ją jak szmatę i właściwie nie zauważyłeś, że odeszła, tak bardzo byłeś zajęty swoimi kochankami. Urodziła ci trzech synów i córkę. Wszyscy założyli już własne rodziny i masz teraz dziewięcioro wnucząt, a dziecięta przyjdzie na świat w przyszłym miesiącu. — Wskazał w kierunku otwartych drzwi. — Ludzie, którzy cię związali, są łagodni jak baranki w porównaniu z wieloma swymi kompanami. Ich przywódca też traktował Bellu jak brata. . . Twoje dzieci i wnuki nie będą znały dnia ani godziny. . . Nawiedzą je jak plaga.

Satta zatrzymał się i stanął w nogach łóżka, patrząc na wyglądającego groteskowo generała. Gandolfo spoglądał w sufit. W końcu zapytał szorstkim tonem:

— Co chcesz wiedzieć?

Satta wyjął z kieszeni marynarki mały notes i długopis. Usiadłszy, powiedział:

— Zaczynij od początku. . . Od tego, jak do ciebie dotarli. Na koniec opowiesz mi o tym, czego już nie zobaczysz. Przede wszystkim chcę wiedzieć, gdzie odbędzie się w niedzielę czarna msza.

Twarz Gandolfa miała barwę kości słoniowej. Satta zobaczył na jego ustach wymuszony uśmiech. Generał odezwał się jakby zza grobu:

— Wszystko ci powiem. . . Pewnie z początku w to nie uwierzysz, ale kiedy wysłuchasz mnie do końca, zmienisz zdanie.

## 83

W „Pensione Splendide” grano znowu w pokera, ale tylko na zapałki. Kiedy Guido wygrał ich tyle, że mógłby zaopatrzyć wszystkich podpalaczy we Włoszech, wstał z niechęcią od stołu i poszedł zrobić sobie kawę. Od pewnego czasu nie pili już koniaku.

Jens spojrzął na Creasy’ego i powiedział z pretensją w głosie:

— Myślałem, że zwycięzcy nie wolno rezygnować z gry.

— To prawda. Guido zachował się niestosownie — przyznał z uśmiechem Creasy.

Był jednak myślami daleko, w myśliwskim domku w górach.

\* \* \*

Tom Sawyer siedział na dachu domu, patrząc na kanał, dzielący wyspy Gozo i Comino. Widział światła rybackich łodzi, które wypływały na nocny połów. Czyszcząc pistolet maszynowy, zastanawiał się, jak długo jeszcze zostanie na wyspie. Miał nadzieję, że wiele dni. Polubił tych ludzi. Miał tu dobre jedzenie i oddychał rześkim powietrzem. Usłyszał w ciemnościach pohukiwania sowy. Uśmiechnął się w duchu. Jego koledzy byli na posterunku i czuwali.

\* \* \*

W Rzymie Michael i Rene grali na pieniądze w remika. Rene zdecydowanie wygrywał. Wyłożywszy pełny sekwens, stwierdził z uśmiechem:

— Zgarniam całą pulę.

— Nie gram dalej — oświadczył zrezygnowany Michael. Spojrzął na zegarek, a potem na telefon. On też był myślami gdzieś daleko.

\* \* \*

Satta wyszedł z pokoju, trzymając w ręce notes. Frank siedział przy stole i czytał magazyn łowiecki. Podniósł wzrok, a potem powoli wstał i zapytał:

— Wszystko w porządku?

Satta był błady i zmęczony. Pokazał mu notes i powiedział szorstko:

— Czuję się tak, jakbym o mało nie utonął w szambie. — Odetchnąwszy głęboko, powoli wypuścił z płuc powietrze. Potem wskazał kciukiem otwarte drzwi sypialni i dodał z ironią w głosie:

— Nasz szlachetny generał postanowił zażyć tabletkę.

— Świetnie! — powiedział Frank z takim entuzjazmem, jakby chodziło o dziecko, które zgodziło się zjeść szpinak. — Bierzmy się do roboty.

Satta usiadł, rzucił notes na stół i powiedział przeproszającym tonem:

— Frank, mógłbyś sam to załatwić? Powinienem odczuwać satysfakcję, że mogę włożyć mu do ust tę tabletkę, ale jakoś... nie mam już ochoty na niego patrzeć...

Australijczyk skinął głową ze zrozumieniem. Wiedział, że czasem słowa ranią człowieka jak pociski.

— W porządku. Maxie mi pomoże. Zrobić ci przedtem kawę?

Satta pokręcił głową.

— Nie, dzięki, Frank... — Spojrzał na stojący obok kominka stolik, podszedł do niego i sięgnął po butelkę koniaku. Frank patrzył, jak wlewa sobie do ust złoisty płyn. Odkaslnąwszy, zamknął butelkę, odstawił ją i powiedział:

— Chcę jak najszybciej się stąd wynieść.

— Nie ma sprawy — odparł z werwą Frank. — Zawołam Maxiego, a ty idź się przejść. Łyknij świeżego powietrza i ubezpieczaj nas.

Podszedł do frontowych drzwi, otworzył je i cicho gwizdnął. Z mroku wyłonił się Maxie. Frank zapoznał go z sytuacją.

Maxie skinął głową, podszedł do Włocha, klepnął go lekko po ramieniu i rzekł:

— Dobra robota, Mario. My zajmiemy się resztą. Spróbuj się trochę odprężyć.

Satta bezwiednie skinął głową i nieoczekiwanie uścisnął Maxiego. Ten uśmiechnął się do Franka i powiedział lekko drwiącym tonem:

— Ci Włosi są bardzo uczuciowi.

— Tak... Wysysają to z mlekiem matki — stwierdził Australijczyk.

— *Vaffanculo!* — zaklął pod nosem Satta, ale zabrzmiało to niemal pieszczotliwie. Zabrawszy notes, zniknął w ciemnościach za drzwiami.

Dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie.

— To twardy facet — stwierdził Maxie. — Musiał usłyszeć coś naprawdę wstrząsającego.

— Tak... — przyznał Frank, spoglądając w kierunku drzwi sypialni.

— Zabiłeś już kiedyś generała? — zapytał z cynicznym uśmiechem.

Rodezyjczyk pokręcił głową.

— Nie, tylko podpułkownika. A ty?

— Też nie — odparł tęsknym tonem Frank. — Chociaż parę razy miałem na to wielką ochotę. Nie traćmy czasu.

Frank przyniósł z kuchni szklankę wody i weszli razem do sypialni.

Generał Gandolfo nie dostrzegł w ich oczach litości. Patrzyli na niego tak, jakby już nie żył.

Posadzili go na łóżku. Pudełko z tabletkami i strzykawką stało na nocnej szafce obok telefonu komórkowego. Było otwarte. Maxie podał Frankowi dwie tabletki i wziął do ręki szklankę wody. Gandolfo wpatrywał się w przestrzeń.

Frank chwycił go mocno za owinięty gąbką kark i powiedział spokojnie:

— Otwórz szeroko usta. Położę ci tabletkę na języku. Połkniesz ją i popijesz wodą.

Gandolfo patrzył przed siebie, zaciskając mocno usta.

— Jak sobie życzysz — powiedział Frank ostrzejszym tonem. — Będę musiał zrobić ci zastrzyk. Potem pojedziemy do Rzymu i poszukamy twoich wnuków. To nam nawet odpowiada... Zarobimy dodatkowo kupę forsy.

Gandolfo odwrócił głowę i spojrzał Frankowi w oczy. Po kilku sekundach zaczął otwierać usta.

— Czy to długo potrwa? — zapytał chrapliwym szeptem.

— Tylko parę chwil — odparł Frank.

— Nic nie poczujesz — skłamał Maxie.

Generał otworzył powoli usta i zamknął oczy.

— Szerzej! — rozkazał Frank, pochylając się do przodu.

Gandolfo wykonał jego polecenie.

Frank włożył mu do ust tabletkę, a Maxie podsunął szklankę wody. Grdyka generała poruszyła się dwukrotnie. Strużka wody spłynęła mu po brodzie. Frank chwycił go mocniej za kark i prawą ręką ścisnął mu policzki, aby ponownie otworzył usta. Zajrzawszy generałowi do gardła, położył mu głowę na poduszce. Gandolfo leżał z zamkniętymi oczami. Maxie spojrzał na zegarek.

Dokładnie po dziewięćdziesięciu sekundach pojawiły się pierwsze skurcze. Gandolfo jęczał z bólu. Wstrząsały nim konwulsje i zaczął wymiotować. Dwaj mężczyźni przyglądali się temu w milczeniu. Przywykli do widoku śmierci. Gdy znieruchomiał, podeszli do niego. Maxie zbadał mu tętno w przegubie, a Frank na szyi. Pół minuty później spojrzeli na siebie i pokręcili głowami.

— *Kufa* — powiedział Maxie. Było to słowo używane przez najemników w Afryce. W języku swahili znaczyło „całkowicie martwy”.

Zwinęli kauczukowe gąbki. Bluza jedwabnej piżamy Gandolfa była zaplamiona wymiocinami. Frank położył jego lewą rękę na nocnej szafce. Wyglądało to tak, jakby generał próbował sięgnąć po komórkowy telefon. Maxie zapakował gąbkę, taśmę klejącą i pudełko do brezentowej torby. Frank umył tymczasem w kuchni szklankę, wytarł ją i wstawił do kredensu. Odłożył też z powrotem na półkę magazyn łowiecki.

\* \* \*

Satta zobaczył z odległości dwustu metrów, że w myśliwskim domku zgasły światła. Trzymał w ręku komórkowy telefon. Wcisnął kilka klawiszy i po kilku sekundach usłyszał głos Creasy'ego:

— *Pronto?*

— Gotowe — oznajmił Satta. — Wszystko zgodnie z planem... Mamy, co trzeba. Zobaczymy się za dwie godziny... *Ciao*.

— *Ciao*.



Statek z Albanii przyłynął do Bari tuż przed północą. Z powodu wysokiej fali Katrin i siostra Simona cierpiały na chorobę morską, widok portowych świateł sprawił im więc tym większą radość.

Przeszły gładko przez odprawę paszportową i celną, co zaskoczyło siostrę Simonę, znającą włoską biurokrację. Chociaż miały wszystkie potrzebne dokumenty, spodziewała się komplikacji, ponieważ Katrin była adoptowaną cudzoziemką. Kiedy jednak stanęły w długiej kolejce, podszedł do nich jakiś młody człowiek, przedstawił się siostrze Simonie, wziął jej wielką walizkę oraz małą torbę Katrin, i po dopełnieniu formalności, zaprowadził je do pomieszczenia, przeznaczonego dla imigrantów o specjalnym statusie. Katrin ścisnęła w ręce bukietik pełnych kwiatów, które zerwała po południu w pobliżu sierocińca. Były już prawie całkiem zwiędnięte.

W pokoju czekały trzy osoby: Franco Delors i elegancko ubrana para w średnim wieku. Rozpromieniony Delors przedstawił siostrze Simonie państwa Maccettich, przybranych rodziców Katrin.

Początkowo atmosfera była napięta. Katrin niewiele rozumiała po włosku, ale spojrzawszy na podenerwowanych i uśmiechających się do niej niepewnie ludzi, zdała sobie sprawę, kim są. Podeszła do nich nieśmiało i wręczyła kobiecie zwiędnięte kwiaty.

*Signora Maccetti* była wysoką, korpulentną kobietą. Uśmiechnęła się do dziewczynki i przycisnęła ją do siebie, niszcząc cały bukietik kwiatów. Jej mąż z uśmiechem kiwał głową.

Promieniejący Delors zwrócił się do siostry Simony, mówiąc:

— Nastąpiła mała zmiana planów. Państwo Maccetti mieli zabrać Katrin z klasztoru augustianek w Bari dopiero jutro. — Wzruszył ramionami. — Ale, oczywiście, nie mogli się już doczekać... Rano chcą z nią odlecieć do Rzymu, żeby jak najszybciej mogła z nimi zamieszkać.

Siostra Simona zawahała się. Patrzyła, jak *signor Maccetti* ścisną Katrin, a jego żona przygląda się temu z matczynym uśmiechem na twarzy.

— Rozmawiałem po południu z przełożoną klasztoru — powiedział Delors uspokajającym tonem. — Stwierdziła, że pozostawia to siostrze do decyzji.

— Zapytam Katrin — odparła siostra Simona. — To rozsądna dziewczyna i sama dokona wyboru.

*Signora Maccetti* wyjęła z dużej torebki ładnie zapakowaną paczkę. Spojrzawszy na siostrę Simonę, oznajmiła:

— Proszę powiedzieć Katrin, że chcemy jej dać na powitanie mały prezent.

Siostra Simona przetłumaczyła to na albański. Katrin popatrzyła na paczkę, uśmiechnęła się i wyciągnęła po nią rękę. Potem zerknęła znowu na siostrę, która skinęła głową. W paczce był piękny różowy sweter z kaszmiru, ozdobiony kolorowym jedwabnym haftem.

Dziewczynka przytuliła go zachwycona do policzka i rzuciła się kobiecie na szyję.

— Myślę, panie Delors, że wszystko będzie dobrze — stwierdziła siostra Simona.

Katrin zdjęła natychmiast swój szary, znoszony sweter i założyła nowy. Siostra Simona powiedziała jej o zmianie planów. Dziewczynka słuchała, trzymając za rękę przybraną matkę. Uśmiechnawszy się, skinęła głową.

Siostra uścisnęła ją na pożegnanie i zwróciła się do państwa Maccettich:

— Przed powrotem do Albanii mam dziesięć dni urlopu. W przyszłym tygodniu odwiedzę rodziców, którzy mieszkają w pobliżu Rzymu. . . Chciałabym zajrzeć do państwa i zobaczyć, jak Katrin się zaadaptowała.

— Byłoby cudownie — powiedziała *signora Maccetti*. — Ale w niedzielę zamierzamy polecieć do mojego brata na Florydę. Ma dzieci w wieku Katrin.

Delors zauważył, że siostra znowu się waha.

— Chyba za wcześnie na taką podróż — zauważyła. — Katrin nie mówi prawie po włosku, że nie wspomnę o angielskim.

*Signora Maccetti* zaśmiała się beztrzesko.

— Pomyśleliśmy o tym. Mój brat zatrudnił służącą albańskiego pochodzenia. Z językiem nie będzie problemu. . . Uznaliśmy, że atrakcyjna podróż i klimat Florydy dobrze małej zrobią. — Pogładziła bladą twarz Katrin. — Potrzebuje słońca, morza i towarzystwa rówieśników.

— Kiedy państwo wróćcie? — zapytała uspokojona siostra.

— Za kilka tygodni — odparł *signor Maccetti*. — Oczywiście będziemy w stałym kontakcie z panem Delors. Kiedy przyjedzie siostra znowu do Włoch, proszę nas koniecznie odwiedzić. . .

— Serdecznie zapraszamy — dodała jego żona.

Zakonnica uścisnęła po raz ostatni swą podopieczną i patrzyła, jak wsiada do Mercedesa i odjeżdża, aby rozpocząć nowe życie.

Delors odwiózł siostrę Simonę do klasztoru. Po drodze oznajmił radośnie:

— Siostra Assunta będzie zadowolona, że wszystko tak sprawnie poszło.

— Zna ją pan?

— Tylko z korespondencji. Wiem, ile robi dobrego... Jak zresztą wszystkie siostry.

— Jest prawdziwym aniołem — mruknęła zakonnica, dodając jakby mimochodem: — Popłynęła dziś na Malte.

— Naprawdę? — zapytał Delors, spojrzawszy na nią spod oka.

— Tak... Za dużo pracuje. Potrzebowała odpoczynku. Wie pan, jak to jest.

— Owszem — przyznał skwapliwie. — Kiedy wróci?

— Powiedziała, że za parę dni.

— Proszę ją ode mnie pozdrowić.

— Nie omieszkam — obiecała, uśmiechając się do niego.

Nazwy zatok wokół wyspy odzwierciedlały wiarę miejscowej ludności tak samo, jak przejrzysty błękit Morza Śródziemnego odbijał promienie słońca. Nosiły imiona świętego Juliana, świętego Tomasza, świętego Jerzego i świętego Pawła Apostoła, który po katastrofie statku został ocalony przez pogańskich Maltańczyków i w zamian za gościnę ofiarował im chrześcijaństwo.

Siostra Assunta siedziała na dziedzińcu klasztoru i patrzyła na wody Zatoki św. Pawła. Morze było niespokojne. Po zatoce kursowały szybkie motorówki, statki wycieczkowe i jachty. Wzburzona woda odzwierciedlała stan jej umysłu. Została poddana przesłuchaniu. Matka przełożona miała twardy charakter. Życie nauczyło ją pragmatyzmu i sceptycyzmu. Uniosła z niedowierzaniem brwi, słysząc opowieść o człowieku, którego twarz siostra Assunta widziała przed dwudziestu laty w oknie samochodu. Zadawała jej wiele pytań. Siostra przekonywała, że ma dobrą pamięć i na pewno się nie myli. W końcu przełożona skinęła głową, pozwalając jej odejść.

Życie zakonnicy wymaga ciągłych poświęceń, ale zdarzają się w nim jasne chwile. Siostra Assunta usłyszała nagle za sobą ciche kasznięcie i odwróciwszy głowę zobaczyła ojca Manuela Zerafę, księdza, który prowadził sierociniec na wyspie Gozo.

Przysunął sobie krzesło i usiadł bez słowa obok niej, patrząc na zatokę. Po chwili odezwał się nieśmiało:

— Proszę mi opowiedzieć o tym człowieku z samochodu.

Siostra Assunta odetchnęła z ulgą. Matka przełożona jednak jej uwierzyła.

— Człowiek, którego szukamy, śpi teraz spokojnie w luksusowej willi w górach Toskanii. Nazywa się Benito Massaro.

Powiedziawszy to, pułkownik Mario Satta skupił natychmiast całą uwagę swoich słuchaczy.

Wszyscy siedzieli w niewielkiej jadalni w „Pensione Splendide”. Na dworze już świtało. Zachodni wiatr rozbijał o szyby krople deszczu.

W drodze do Neapolu Satta postanowił początkowo przekazać zdobyte informacje tylko Creasy’emu. Ale gdy podczas jazdy w deszczu spojrzął na prowadzącego samochód Maxiego, pomyślał o siedzącym z tyłu Franku i wszystkich innych uczestnikach operacji, która dla niego stała się osobistym koszmarem, uznał, że powinien ich we wszystko wtajemniczyć.

Zajmowali miejsca wokół długiego stołu. Juliet podawała kawę i ciastka. Wszyscy byli zmęczeni z powodu długiego wyczekiwania lub ciągłego napięcia. Skupiony wyraz twarzy Satty dowodził, że ma im do przekazania coś ważnego. Nazwisko, które wymienił, potwierdziło te przypuszczenia. Słabiej zorientowanym wyjaśnił:

— Benito Massaro stał na czele łoży masońskiej P2. Inne nazwiska, podawane przez prasę można śmiało pominąć. Massaro był faktycznym przywódcą łoży. Dziesięć lat temu przewodniczył komisji, która kontrolowała i nadzorowała całą służbę bezpieczeństwa w naszym kraju. Zdołał podporządkować sobie zadziwiająco wiele wpływowych osobistości. Działał na wielką skalę. Kiedy wykryto istnienie łoży P2, skazano tylko jego wasali. On sam pozostał w cieniu.

Satta rozejrzał się po twarzach siedzących przy stole ludzi, a potem popatrzył na Creasy’ego.

— Po wczorajszej rozmowie z generałem Gandolfo czułem żal, upokorzenie, zażenowanie i ból — powiedział cicho. — Jako człowiek, który poświęcił wiele lat życia walce z przestępczością, przeżyłem szok dowiedziawszy się, że Benito Massaro nie tylko utrzymał władzę w tym skorumpowanym kraju, lecz jeszcze ją umocnił.

— Spojrzał ponownie na Creasy’ego, a potem powiódł wzrokiem po twarzach pozostałych mężczyzn. Był wyraźnie wzburzony. — Może zabrzmi to patetycz-

nie. . . ale jesteście narzędziami zniszczenia tej władzy. Zakrawa na ironię, że tylko dwaj spośród was, Guido i Pietro, są Włochami.

Wszyscy słuchali go z zapartym tchem.

— Krążyły pogłoski — kontynuował Satta — że podczas śledztwa w sprawie loży P2 zniknęła w tajemniczy sposób lista ponad tysiąca pięciuset nazwisk jej członków. Wśród tych, które ujawniono, były dziewięćset sześćdziesiąt dwie czołowe osobistości Włoch, w tym czterech ministrów, co najmniej trzydziestu ośmiu deputowanych do parlamentu i stu dziewięćdziesięciu wyższych oficerów wojska i wywiadu. Na ławie oskarżonych zasiedli, między innymi, Michele Sindona, powiązany z mafią bankier, którego później otruto w więzieniu, i Roberto Calvi, dyrektor Banco Ambrosiano, znany jako „Bankier Boga”, ponieważ był doradcą banku watykańskiego. W 1982 roku, gdy jego bank zdefraudował w tajemniczych okolicznościach półtora miliarda dolarów, znaleziono go powieszzonego pod mostem Blackfriars Bridge w Londynie. — Pułkownik Mario Satta westchnął ciężko i dodał:

— Dowiedziałem się ubiegłej nocy, że Benito Massaro założył nową lożę, którą możemy nazwać P3. . . Zagroza ona bezpieczeństwu mojego kraju.

Siedzący wokół stołu mężczyźni spojrzeli po sobie. Creasy zadał nurtujące ich wszystkich pytanie:

— Mario, wiemy, kim jest Benito Massaro. Ale dlaczego miałby nas interesować?

Satta wybuchnął nagle mrozącym krew w żyłach śmiechem i powiedział do Creasy'ego:

— To, co wykryłeś wraz ze swoim synem, daje mi cień szansy, żeby rozprawić się wreszcie z Benito Massaro i zlikwidować zagrożenie, jakie stwarza dla mojego nieszczęsnego kraju.

Deszcz ustał i zza chmur wyjrzało słońce. Prawie wszyscy położyli się spać, tylko Guido i Creasy wyszli na taras, może po to, by uporządkować myśli.

— Gdybym nie znał Satta od sześciu lat i nie miał okazji przekonać się o jego inteligencji i uczciwości, pomyślałbym, że jest stuknięty — stwierdził Guido.

— Żyjemy już dostatecznie długo, żeby wiedzieć, że mówi prawdę — powiedział z uśmiechem Creasy. — Nie tylko na temat Gandolfa i jemu podobnych. Niewątpliwie nawet jako wyższy oficer żandarmerii jest bezradny wobec tego, co się dzieje.

— Fakt — mruknął zirytowany Guido. — Komu, do cholery, może zaufać? Dowiedział się, że do loży P3 należy czterech wyższych od niego rangą generałów żandarmerii. Jej członkami są też dwaj ministrowie, którzy nie byli dotychczas masonami... — Uśmiechnął się z przekąsem. — Nie mówiąc o kardynale, dwóch arcybiskupach i pięciu sędziach sądu najwyższego. Do kogo więc ma się zwrócić? Jak wszcząć śledztwo? Bez wątpienia Gandolfo nie kłamał. W obliczu śmierci człowiek zawsze mówi prawdę... Ale Gandolfo nie mógł wiedzieć wszystkiego... Miał zapewne dostęp tylko do części informacji.

— Chyba masz rację — przyznał Creasy. — Przeanalizujmy to wszystko z punktu widzenia naszej operacji. Czego dokładnie Satta się dowiedział? Po pierwsze, Gandolfo był od trzydziestu lat szantażowany przez Błękitny Kartel. Wiedzieli o grzechach jego młodości, o rozwiązłym trybie życia i finansowych machinacjach. Wiele wpływowych osobistości szantażowali w podobny sposób. Gandolfo był łącznikiem między Massarem a Błękitnym Kartelem. Massaro czerpał z tych kontaktów zapewne większe korzyści niż organizacja. Gandolfo był przekonany, że Kartel posiada zaginioną listę członków loży P2, która warta była miliony. — Creasy spojrział na Guida, uśmiechnął się smętnie i kontynuował: — Ale nie komplikujmy sprawy. Dzięki Bogu, Satta ma własne kontakty, które zawdzięcza częściowo koneksjom matki. Nie może podjąć żadnych działań, dopóki nie złapie kogoś na gorącym uczynku. Ale w niedzielę w nocy będzie miał znakomitą okazję. Dobrze to sobie obmyślił. Kiedy zaatakujemy podczas czarnej mszy Błękitny Kartel, Satta będzie w pobliżu z grupą młodszych oficerów żandarmerii. Mają rzekomo dokonać rewizji w domu podejrzanego o korupcję przemysłowca.

Zaalarmowani strzelaniną zjawią się na miejscu przestępstwa. Nas już tam wtedy nie będzie. Satta ma nazwiska co najmniej dwóch uczciwych sędziów, którzy zostaną wstępnie uprzedzeni o całej sprawie i natychmiast przybędą mu z pomocą. Nikt ich już wtedy nie zdoła powstrzymać, nawet premier ani szef wywiadu.

Guido pokręcił głową i wybuchnął śmiechem.

— Co za kraj! — powiedział. — Słyszę, jak Garibaldi przewraca się w grobie. — Creasy też się roześmiał.

— Najbardziej szokująca byłaby dla niego wiadomość, że w tę aferę zamieszana jest rodzina De Muro. Czy ci arystokraci nie pomagali mu finansować krucjaty, która miała na celu zjednoczenie Włoch?

— Owszem — potwierdził Guido. — I przez ostatnich sto lat byli filarem włoskiego społeczeństwa. Teraz dowiadujemy się, że ich potomkowie ulegają wpływom Massara i, co gorsza, Błękitnego Kartelu. Kiedy Satta powiedział nam, że ta niedzielna czarna msza ma się odbyć w prywatnej kaplicy rodziny De Muro i że będzie ją odprawiał prawdziwy katolicki biskup, zacząłem się zastanawiać: czy to nie ja przypadkiem cierpię na zaburzenia psychiczne. Ale potem przypomniałem sobie, że De Muro są potomkami rodu Medyceuszy... Przed kilkoma wiekami mieli własnego papieża i, oczywiście, otruwali w wolnych chwilach swych przeciwników.

— Więc pewnie Gandolfo mówił prawdę — stwierdził ponuro Creasy.

— Bez wątpienia — przytaknął Guido. — Nikt, nawet śmiertelnie przerażony generał, sam by tego nie wymyślił.

— Wiemy, gdzie i kiedy wszystko ma się odbyć — powiedział Creasy. — Wiemy też, kto tam będzie. Nie wiadomo tylko, czy Satta przekona matkę, żeby ukryła w pałacu rodziny De Muro broń dla Michaela.



Tom Sawyer rozprostował zeszywniałe kończyny i spojrzął na wschodzące po lewej stronie słońce, które barwiło na czerwono wodę w kanale Comino. Usłyszał pohukiwanie sowy. Wyjąwszy lornetkę przyjrzał się odległej kępie drzew.

Nie zobaczył sowy, lecz ciemną postać skradającego się mężczyzny. Po kilku sekundach między drzewami pojawił się jego zmiennik. Sawyer spojrzął z zadowoleniem na zegarek. Jego ludzie byli jak zwykle czujni i punktualni. Mógł teraz się przespać. Staął na płaskim dachu domu z zawieszoną na szyi lornetką. Laura na pewno szykowała już śniadanie.

Gdy zszedł na dół po kamiennych schodach, zobaczył na polnej drodze starego, sfatygowanego Forda. Samochód zatrzymał się na podwórku i wysiadł z niego zażywny ksiądz.

Pozdrowiwszy Sawyera zapytał:

— Czy obserwator ptaków coś zauważył?

Sawyer z uśmiechem skinął głową.

— Parę pustulek szukających robaków... a może myszy. Ksiądz uśmiechnął się ze zrozumieniem i zapytał:

— Czy Laura już wstała?

— Z pewnością. W tym domu wszyscy budzą się o wschodzie słońca.

Laura krzątała się po kuchni. Przywitawszy serdecznie ojca Zerafę przedstawiła go Sawyerowi. Twarz księdza sposepniała. Wziął Laurę pod rękę, odprowadził ją na bok i zaczął z przejęciem wyjaśniać jej coś po maltańsku. Sawyer usłyszał jedynie słowo *Uomo*. Sięgnąwszy po kubek nalał sobie kawy.

Kilka minut później Creasy podniósł słuchawkę telefonu. Laura oznajmiła, że ojciec Zerafa chce z nim pilnie mówić.

Creasy wysłuchał go uważnie. Przerwał mu tylko raz, pytając:

— Czy jest tego pewna?

Po pięciu minutach rozmawiał znów z Guidem na tarasie „Pensione Splendide”. Słowa, które wypowiedział, były jak krople żrącego kwasu.

— Wiem już, kto stoi na czele Błękitnego Kartelu. To Arab, który jest prawdopodobnie naturalnym ojcem Michaela.

Pułkownik Mario Satta właściwie nigdy w życiu nie próbował przekonywać do czegokolwiek swojej matki. Była niezwykłą osobą: wpływową, bogatą, inteligentną i dumną.

Poprosił o wsparcie swego starszego brata. Profesor Giovanni Satta przyjechał z Neapolu do ich rodzinnego domu w Rzymie. Pułkownik przez godzinę zaznajamiał go z sytuacją, po czym udali się razem do salonu, aby porozmawiać z matką.

*Signora* Sophia Satta miała siedemdziesiąt cztery lata, ale bystrości umysłu mógłby jej pozazdrościć sam Machiavelli. Krążyły pogłoski, że tuż przed wojną podczas oficjalnego przyjęcia umizgał się do niej Mussolini. Będąc wysoką kobietą, poklepała go po łysinie, a potem dotknęła przez skrojone nienagannie spodnie munduru jego genitaliów i stwierdziła z uśmiechem:

— Jest pan równie zarozumiały powyżej i poniżej pasa.

W efekcie rodzina Sattich musiała spędzić lata wojny w swej wiejskiej posiadłości, z rzadka tylko pokazując się w Rzymie.

*Signora* spojrzała na siedzących przed nią synów, starając się nie okazywać wzruszenia ani dumy. Zawsze miała do nich pretensje, że wybrali sobie nieodpowiednie zawody, ale w rozmowach z przyjaciółmi szczyliła się nimi.

Oczywiście, wiedzieli o tym. Pułkownik Satta obawiał się jednak, że matka mu nie uwierzy albo zareaguje gwałtownie na to, co miał jej do powiedzenia. Potrafił na ogół przewidzieć zachowania innych ludzi, ale w tym wypadku był bezradny.

Matka słuchała go w milczeniu, spoglądając od czasu do czasu na swego starszego syna, Giovanniego. Relacja pułkownika trwała ponad pół godziny. Gdy skończył, *signora* Satta skinęła głową i powiedziała:

— Nie jest dla mnie tajemnicą, że Emilio Gandolfo był marionetką, odkąd opuścił łono swej matki. Wielu ludzi, o których wspominasz, też urodziło się marionetkami. Twój ojciec zmarł młodo, ale wyszłam za niego właśnie dlatego, że nikomu nie pozwolił sobą kierować. Nawet mnie — dodała z błogim uśmiechem.

Jej synowie również się uśmiechnęli.

— Mamo, prawie nie pamiętam ojca — powiedział Giovanni. — Ale zdaje się, że nigdy nie podnosił na ciebie głosu.

— Miał lepsze sposoby — odparła ze swadą. — Powiedzcie mi teraz, jak może wam pomóc stara kobieta.

Mario nachylił się ku niej i rzekł:

— W niedzielę w nocy w prywatnej kaplicy obok domu rodziny De Muro odbędzie się czarna msza, podczas której Pino Calveccio ma zaprzedać duszę diabłu. Mszę odprawi biskup Caprese. Chyba powinienem ci wyjaśnić...

Matka przerwała mu, unosząc dłoń.

— Nie ma potrzeby. Wiem, że Pino Calveccio odziedziczył przed trzema laty ogromną fortunę swego skorumpowanego ojca. W tym czasie próbował już wszelkich rozrywek, od nieletnich dziewcząt po narkotyki. Z pewnością sięgnął dna zainteresował się satanizmem... Biskup Caprese był degeneratem, zanim jeszcze przywdział sutannę. Przypomina zresztą swojego ojca. Nie zaskoczycie mnie tymi informacjami. Co mogę dla was zrobić?

— Zadanie jest proste, ale trochę niebezpieczne — wyjaśnił Mario.

*Signora* podniosła głowę i roześmiała się na cały głos.

— Chłopcze, w moim wieku niebezpieczeństwo podnieca nie mniej niż najlepszy afrodyzjak... Czego ode mnie oczekujecie?

Mario zerknął na brata, który wydawał się nieco zaszokowany. Spojrzawszy ponownie na matkę rzekł:

— Gandolfo powiedział mi, jak przebiega taka ceremonia. Członkowie kongregacji zbiorą się w rezydencji De Muro około jedenastej w nocy. Dostaną drinki i kanapki. Mniej więcej w pół do dwunastej przywdzieją długie szaty i przejdą do odległej o trzysta metrów prywatnej kaplicy na czarną mszę. Terenu posiadłości będą strzegli ochroniarze z Błękitnego Kartelu. — Pułkownik Satta zastanawiał się przez chwilę, po czym zapytał: — Wspominałem ci już o moim przyjacielu, Creasym?

Jego matka skinęła głową.

— Owszem... Chciałabym go poznać. Szkoda, że nie spotkaliśmy się przed trzydziestu laty.

Obaj jej synowie uśmiechnęli się. Ich ojciec zmarł trzydzieści jeden lat temu.

— Wiesz, dlaczego nie mogę wtargnąć do kaplicy w czasie mszy z oddziałem żandarmerii — kontynuował Mario.

— Doskonale to rozumiem — powiedziała. — Mam nadzieję, że twój przyjaciel Creasy sobie poradzi.

Mario skinął głową.

— Ma znakomitych ludzi. Co więcej, jego przybrany syn, Michael, przeniknął do Błękitnego Kartelu i będzie brał udział w tej mszy. Oczywiście, wszystkie osoby wchodzące tego wieczoru do rezydencji De Muro zostaną dokładnie zrewidowane. Idąc do kaplicy Michael musi mieć broń i miniaturowy nadajnik. Posłuchaj...

*Signora* Satta podniosła rękę.

— W porządku, Mario. Już wszystko wiem. Chcesz, żebym ukryła tę broń i nadajnik w domu De Muro. . . Nie ma problemu.

Giovanni roześmiał się.

— Mamo, to niebezpieczne. Posłuchaj, co proponuje Mario.

*Signora* uśmiechnęła się i pokręciła głową.

— Skoro mam to zrobić, poradzę sobie sama. Mogę wejść bez trudu do rezydencji De Muro. Zajrzę tam jutro po południu. Chociaż są szacowną rodziną, będą zaszczyceni moją wizytą. Poczestują mnie kawą i koniakiem. Garść plotek połączta ich kurze móżdżki. Mimo chlubnych rodzinnych tradycji stali się w ostatnim stuleciu strasznymi prowincjuszami. — Uśmiechnęła się znowu i mrugnęła okiem. — Odwiedziny Sophii Satty będą dla nich o wiele ważniejszym wydarzeniem niż jakaś tam czarna msza. — Zamknęła oczy, chcąc się skoncentrować. — Próbuje sobie przypomnieć rozkład pokoi w ich domu. Nie byłam tam już od lat. Pamiętam, że na prawo od głównego wejścia jest garderoba. Członkowie kongregacji będą się tam zapewne przebierać.

Mario Satta zrozumiał natychmiast, do czego zmierza jego matka.

— Chcesz tam ukryć pistolet i nadajnik.

Spojrzała na niego, jakby chciała powiedzieć: „Mam nadzieję, że kiedyś dośniesz”, ale zaraz dodała z uśmiechem, aby nie poczuł się urażony:

— Mario, daj mi dwa pistolety i dwa nadajniki. Schowam je w dwóch różnych miejscach. Syn Creasy’ego będzie miał w ten sposób większe szanse. Zadzwoń do ciebie jutro wieczorem i powiem, gdzie wszystko ukryłam.

— Jestem ci bardzo wdzięczny, mamo — powiedział cicho Mario Satta, zbierając się do wyjścia.

*Signora* pokręciła głową z irytacją.

— Usiądź, Mario, i posłuchaj. Ty też, Giovanni. Nie wyjdziecie stąd tak szybko. To, co powiedział wam ten łajdak Gandolfo, jest jedynie wierzchołkiem góry lodowej. Widzicie we mnie tylko starą kobietę, ale słyszę i wiem więcej niż wam się wydaje. Kiedy wkroczycie do tego gniazda rozpusty, zaczną się dopiero problemy. Różni wpływowi ludzie będą próbowali wszystko zatuszować. Skorzystajcie z mojej wiedzy i kontaktów. Który sędzia ma prowadzić dochodzenie?

Mario wymienił jego nazwisko. Matka pokiwała głową z aprobatą.

— Jest uczciwy i bezkompromisowy. Jego ojciec zginął z rąk mafii, a dziadka zamordowali ludzie Mussoliniego. Wybrałeś odpowiedniego człowieka. — Pochyliła się do przodu i powiedziała z błyskiem w oczach: — Zastosujcie się do moich poleceń.

— Co mamy zrobić? — zapytał Mario, spoglądając znów na swego brata, który tylko wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

— Kiedy to wszystko się skończy — oświadczyła *signora* Satta — chcę spotkać się z twoim przyjacielem Creasym. Gdy będziesz z nim rozmawiał, powiedz

mu, że w kaplicy musi pozostać przy życiu co najmniej jeden z przywódców Błękitnego Kartelu... Mogą go co najwyżej zranić. Ten człowiek będzie dla was kluczem do otwarcia drzwi, za którymi kryją się ohydne tajemnice. — Jej głos zabrzmiał nagle twardo. — Ale najważniejsze, żeby Creasy albo jego syn zabili biskupa.

— Dlaczego? — zapytał Mario.

— Musisz się jeszcze wiele nauczyć, mój synu — stwierdziła z irytacją. — Cokolwiek robisz, staraj się nie stawiać w niezręcznej sytuacji tych, których pomocy będziesz potrzebował: Watykanu...

Po burzliwej dyskusji zapadła jedyna możliwa decyzja: cała ekipa opuszczała „Pensione Splendide” i udawała się do Rzymu. Maxie i Frank mieli jechać jednym samochodem, Jens z Sową drugim, a Creasy trzecim.

Pierwsze dwa wozy wyruszyły w drogę. Czterej mężczyźni uścisnęli Guida, Pietra i Juliet, całując ich w policzki zgodnie z przyjętym rytuałem. Potem Guido zniknął nagle z baru. Creasy pożegnał się z Pietrem i rzekł do Juliet: — Kiedy to wszystko się skończy, Pietro zabierze cię z powrotem na Gozo, do Laury i Paula. Michael i ja dołączymy do was za parę dni.

Przylgnęła do niego mocno i powiedziała: — Nie martwcie się o mnie. Nie zrobię już żadnego głupstwa.

Creasy rozglądał się za Guidem, ale gdy zobaczył swego przyjaciela w drzwiach, jego twarz spochmurniała. Guido miał na sobie stare, wypłowiałe dżinsy oraz drelichową koszulę i marynarkę. W lewej ręce niósł dużą brezentową torbę. Creasy rozpoznał ją. Była bardzo sfatygowana. Towarzyszyła zawsze Guidowi w wojennych wyprawach. Creasy zdecydowanie pokręcił głową.

— Nic z tego, Guido. . . Musisz dotrzymać obietnicy.

Jego przyjaciel również pokręcił głową i rzekł: — Znałeś Julię i wiesz, jak by się teraz czuła. — Spojrzawszy na torbę, dodał: — Zabrałem mój stary pistolet maszynowy. . . Oczywiście, nie jest zbyt nowoczesny, ale nie mam czasu zapoznawać się z nową bronią.

— Nie, Guido — powtórzył Creasy. — Skompletowałem już dobry zespół.

Włoch jeszcze raz pokręcił głową. — Dobry, ale nie doskonały. . . Dopiero teraz będzie jak należy. — Rzuciwszy torbę na podłogę, uścisnął na pożegnanie Pietra i przykazał mu: — Pilnuj Juliet. Wiesz, gdzie są pieniądze. Jutro wieczorem przenieście się do apartamentu na najwyższym piętrze hotelu „Regina”. Jest już zarezerwowany. Weź ze sobą broń i nie ruszaj się stamtąd, dopóki nie zadzwonię. — Objął Juliet, pocałował ją i rzekł z uśmiechem: — Nie martw się, mała. Guido zaopiekuje się twoim ojcem i bratem.

Juliet przylgnęła do niego mocno. Guido spojrzął na Creasy’ego i stwierdził prostolinijnie: — Jestem Włochem.

## 91

Gdy Creasy wszedł do mieszkania w Rzymie, czterej mężczyźni spojrzeli na niego wyczekująco. Na ich twarzach pojawiło się zaskoczenie, kiedy zobaczyli, że idzie za nim Guido ze swoją brezentową torbą.

— Mamy w zespole jeszcze jednego człowieka — oznajmił Creasy.

Zapanowało pełne konsternacji milczenie. Nagle Maxie i Frank wstali z miejsc, uśmiechając się szeroko.

— Kapitalnie! — powiedział Frank. — Właśnie wspominałem, że przydałby się ktoś, kto by nas ubezpieczał z tego wzgórza na wschód od kaplicy.

Popatrzył na Maxiego, który stwierdził:

— Nie znajdziemy nikogo lepszego. Mogę przestać się martwić o swój tyłek.

Satta spoglądał na Guida. Jego spojrzenie wyrażało sympatię, współczucie i zdziwienie. Guido wyjaśnił mu wszystko tak, jak Creasy'emu, mówiąc krótko:

— Jestem Włochem.

Satta podszedł do niego i objął Włosa mocno się uścisnęli.

\* \* \*

Po raz ostatni omawiali szczegóły operacji. Rene wymknął się z luksusowego apartamentu w pobliżu Hiszpańskich Schodów i przekazał im wiadomość, że Michael jest całkowicie gotowy i ma dobrą kondycję.

— Może tylko zmęczyły go trochę ostatnie wyczyny — dodał z uśmiechem.

Siedzieli wszyscy przy okrągłym stole, oglądając plan rezydencji rodziny De Muro. Duńczyk miał przed sobą żółty zeszyt w linie, którego kartki były zapisane odręcznymi notatkami. Zapoznał ich pokrótce z sytuacją.

— Uporządkowałem wszystkie informacje, które zdobyliśmy z różnych źródeł, między innymi od Gandolfa i, oczywiście, od dzielnej matki pułkownika Satty. — Spojrzał w notatki. — Pułkownik dowiedział się, że policyjny lekarz stwierdził u Gandolfa atak serca... Nie ma więc powodu przypuszczać, że Błękitny Kartel cokolwiek podejrze. Matka pułkownika ukryła w rezydencji De Muro

dwa pistolety i dwa nadajniki. — Wskazał głową na Belga. — Rene wie, gdzie są schowane i przekaże tę informację Michaelowi, który prześle nam zakodowany sygnał do ataku: trzy krótkie impulsy i jeden długi. Wiemy od Gandolfa, że na terenie posiadłości będzie co najmniej kilkunastu strażników. Pułkownik Satta i jego ludzie będą trzy kilometry dalej i powinni dotrzeć do kaplicy kilka minut po otrzymaniu sygnału. — Spojrzał na Creasy'ego i wskazawszy ręką leżący przed nim plan, powiedział: — Przekazuję pałeczkę, szefie.

Creasy przeciągnął się i usiadł. Był nareszcie w swoim żywiole. Guido przysunął sobie krzesło i zajął miejsce obok niego. Przez ponad minutę Creasy studiował szczegółowy plan rezydencji. Dom położony był wśród wzgórz, około pięciu kilometrów od jeziora di Bolsena, w mocno zalesionym i pagórkowatym terenie.

— Mamy noktowizory Trilux, których nie będą mieli strażnicy — stwierdził Creasy. — Podzielimy się na dwie grupy. Pierwsza, złożona z Maxiego, Francka i Rene, dostanie się na teren posiadłości. Zrobią rekonesans i przekażą drugiej grupie, czyli mnie, Guidowi i Sowie, gdzie są strażnicy. Musimy zaatakować w trakcie mszy, gdy wszyscy skupią na niej całą uwagę... Najlepiej tuż przed złożeniem ofiary. Michael nada sygnał, a gdy wtargniemy do kaplicy, zastrzeli biskupa. Grupa Maxiego zostanie na zewnątrz, żeby załatwić strażników. — Spojrzał na Jensa. — Ty będziesz czekał w mikrobusie kilometr dalej. Zabierzesz nas z kaplicy mniej więcej minutę przed przybyciem ludzi pułkownika Satty. Potem przesiądziemy się do czterech samochodów, które będą stały kilka kilometrów od rezydencji. Podczas akcji użyjemy granatów obezwładniających i oślepiających. Starajcie się nie strzelać w kaplicy. Donatiego i Hussajna zabiję sam. — Spojrzał na Sattę. — Delorsa tylko zranie. Będzie twoim głównym świadkiem.

Satta skinął głową, po czym zapytał:

— A co z innymi członkami kongregacji?

— Zabiję nowicjusza — odparł po namyśle Creasy. — Pozostałych będziesz mógł przesłuchać.

— To mi odpowiada — stwierdził Satta.



Mała Katrin prawie bez przerwy chichotała. Nie ze szczęścia, lecz z powodu tabletek, które dawali jej w regularnych odstępach czasu przybrani rodzice. Widziała ich uśmiechnięte twarze i piękny dom jak przez mgłę. Myślała, że pewnie tam samo reagują wszystkie dzieci w jej wieku, które przeżyły koszmar.

Gdy w niedzielne popołudnie jej nowa mama powiedziała, że pojedą samochodem na wieś odwiedzić przyjaciół, Katrin zaśmiała się radośnie.

Dzwonek zadzwonił o wpół do dziesiątej wieczorem. Gdy Rene otworzył drzwi, do pokoju wpadła Gina Forelli, podała mu długą brązową pelerynę i powiedziała:

— Zrób mi „byczego sznapsa”, dobrze?

Michael oglądał mecz w telewizji. Wstał i uścisnął Ginę, która oznajmiła:

— Jestem z ciebie zadowolona.

— Dlaczego?

— Bo nie oszukujesz — odparła z uśmiechem.

— O czym ty mówisz?

Giną podeszła do telewizora i wyłączyła go. Była ubrana w długą do kostek, ciemnoniebieską wełnianą spódnicę i czerwony kaszmirowy golf. Michael wątpił, by miała coś pod spodem. Spojrzała na niego, przechylając lekko głowę, i powiedziała ochryplym głosem:

— Musisz zrozumieć, Adnan, że do Rzymu przyjeżdża wielu oszustów. Niektórzy mają pieniądze, a niektórzy tylko sprytnie udają, że są bogaci. Abyś mógł mi dzisiaj towarzyszyć, pewni wpływowi ludzie musieli cię dokładnie sprawdzić. Możesz mi wierzyć, że mają odpowiednie kontakty i władzę, by to zrobić.

— I byli zaskoczeni, że nie kłamię? — powiedział Michael nieco zirytowanym tonem.

— Nie zaskoczeni — odparła. — Raczej zadowoleni. Oczywiście, słyszałam pogłoski, że przelałeś dziesięć milionów dolarów na swoje konto w Banco di Roma. . . Teraz wiem, z którego banku na Bliskim Wschodzie przyszły te pieniądze. Znam nawet nazwisko dyrektora banku, który dokonał przelewu. Wiem też, że po powrocie z Rzymu masz zacząć studia na uniwersytecie w Hawardzie i znam nazwiska twoich przyszłych wykładowców.

Michael udał, że zrobiło to na nim wrażenie.

— Więc może dzisiejszy wieczór nie będzie zmarnowany — stwierdził. — Może nie chodzi tylko o to, żeby pozbawić mnie pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Giną pokręciła poważnie głową.

— To nie zabawa, Adnan. Zobacysz i przeżyjesz tej nocy coś niezwykłego, co na zawsze zachowasz w pamięci. . . Może nawet zmieni się całe twoje życie.

Rene przyniósł drinka i spojrzał pytająco na Michaela, który pokręcił głową.  
— Nic nie pijesz, Adnan? — zapytała Giną, gdy Rene wyszedł z pokoju.  
— Jeszcze nie teraz. . . Zostawię to sobie na później.  
Uśmiechnęła się.  
— Tak. Na wszystko będzie czas. . . Zaspokoisz wszelkie żądze. Bez wyjątku.  
— Kiedy ruszamy? — zapytał, patrząc na zegarek.  
— Mniej więcej za dziesięć minut — odparła. — Ale najpierw musisz zrobić dwie rzeczy.  
— Co takiego?  
Odstawiła szklankę i powiedziała:  
— Daj mi dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. . . i rozbierz się do naga.  
— Co ty kombinujesz?  
Giną roześmiała się, podeszła do niego i pocałowała go niemal niewinnie w usta.  
— Muszę cię dokładnie zrewidować. To konieczne. . . Nie sprawię ci bólu, raczej przyjemność. . .  
— Oczywiście, nie mam nic przeciwko temu. . . — powiedział, uśmiechając się z przekąsem. — Jeśli chodzi o pieniądze, resztę dostaniesz jutro.  
Skinęła poważnie głową, mówiąc:  
— Ufam ci. To dla mnie trochę niebezpieczne, bo może oznaczać, że się w tobie zakochałam.  
Spojrzał na nią z niedowierzaniem, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wręczył jej kopertę.  
— Jest tam dwadzieścia pięć tysiącdolarowych banknotów — wyjaśnił.  
Nie liczyła pieniędzy. Złożywszy kopertę na pół podniosła sweter, wsunęła ją za spódnicę i powiedziała z uśmiechem.  
— Rozbierz się.  
Zrewidowała go bardzo dokładnie. Najwyraźniej poinstruowano ją szczegółowo, jak ma to robić. Obejrzała skrupulatnie całą jego odzież, sprawdzając szwy, pasek od spodni, nawet guziki marynarki. Obmacała każdy centymetr materiału w garniturze, koszuli i slipach. Zaglądała do butów, stukając obcasami o blat stołu, żeby sprawdzić, czy nie są w środku puste.  
Michael i Creasy zastanawiali się, czy nie ukryć gdzieś w ubraniu niewielkiego nadajnika. Dobrze się stało, że zrezygnowali z tego pomysłu.  
Obejrawszy odzież, Giną zaglądnęła Michaelowi do ust, by sprawdzić, czy nie ma nowych plomb. Potem wetknęła mu palce do uszu, a na koniec poprosiła, żeby stanął w rozkroku, pochylił się i dotknął dłońmi palców u nóg. Zrobił to, wiedząc, do czego zmierza. Poczł, jak wsadza mu palec do odbytnicy i bada, czy niczego tam nie ma. Skończywszy pocałowała go w plecy i powiedziała:  
— Adnan, jesteś czysty jak łąza.

\* \* \*

Gina prowadziła Mercedesa, którego Michael dotychczas nie widział. Z tyłu siedział niski, śniady mężczyzna. Nie uznała za stosowne go przedstawiać. Michael zdawał sobie sprawę, że to ochroniarz.

Gdy tylko wyjechali z centrum Rzymu, Gina oznajmiła:

— Rozumiesz, oczywiście, że musimy zawiązać ci oczy.

— Jasne — odparł Michael.

Po chwili siedzący za nim mężczyzna założył mu na oczy czarny jedwabny szalik.

Sierp księżycyca przesłaniały chmury. Zatrzymali się pod kępą drzew kilometr od willi. Wszyscy byli ubrani na czarno, mieli wysokie buty na gumowych podszewkach, na piersiach wojskowe kamizelki, a na głowach kominiarki. Twarze wysmarowali czarną pastą. Wszyscy czuli się w swoim żywiole. Tylko Sowa nie służył nigdy w regularnej armii, ale szybko dostosował się do reszty grupy, a nawet pozwolił sobie na specyficzny dowcip, gdy wyruszali w drogę. Jens wysmarował mu właśnie policzki, czoło i podbródek czarną pastą. Sowa wyglądał od stóp do głów jak komandos: na piersi miał granaty, na biodrach kaburę, na prawym ramieniu pistolet maszynowy, w kieszeniach kamizelki zapasowe magazynki, a na szyi noktowizor. Jens z satysfakcją pokiwał głową, ale Sowa powiedział tonem skargi:

— Creasy na pewno nie pozwoli mi zabrać Discmana i słuchawek.  
Dopiero po kilku sekundach Duńczyk zorientował się, że to był żart.

\* \* \*

Wszyscy przykucnęli pod drzewami. Creasy wskazał ręką willę i Maxie bezszelestnie zniknął w ciemnościach. Najlepiej nadawał się do tego, by zrobić rekoniesans. Przez pięć lat służył w elitarniej jednostce komandosów armii rodezyjskiej i potrafił przemknąć niepostrzeżenie w odległości dziesięciu kroków obok czujnego słonia. Creasy podniósł wieko zegarka i spojrzał na podświetlaną tarczę. Była dziesiąta piętnaście. Postanowili zająć pozycję do ataku dopiero w ostatniej chwili.

Maxie wrócił o dziesiątej czterdzieści pięć. Wślizgnąwszy się między Creasy'ego i Guida szepnął:

— Doliczyłem się siedmiu strażników. Czterej stoją w miejscu, a trzech patroluje teren posiadłości. Są uzbrojeni w pistolety maszynowe. Po drugiej stronie domu może ich być więcej. Rezydencję otacza wysoki na dwa i pół metra kamienny mur. Nie ma na nim drutu kolczastego ani systemu alarmowego. Podszedłem

do domu i kaplicy na odległość dwustu metrów. Nie zauważyłem żadnych psów. Zjeżdżają się już goście. Widziałem siedem osób: trzech mężczyzn i cztery kobiety. Teren między domem a kaplicą nie jest teraz oświetlony, ale zauważyłem, że są tam latarnie i lampy nad wejściowymi drzwiami. W kaplicy pali się światło. Ma czerwony kolor, ale może to z powodu witraży.

Creasy pochylił się i spojrzął na Guida, który szepnął, błyskając w ciemnościach białymi zębami:

— Wolałbym wiedzieć, co jest po drugiej stronie domu.

— Ja też — odparł Creasy, spoglądając znów na zegarek. — Za dwadzieścia minut rozdzielamy się na dwie grupy i wkraczamy do akcji. Powinniśmy zająć stanowiska, zanim wszyscy przejdą do kaplicy. W ten sposób Maxie zdąży jeszcze sprawdzić, co jest za domem. — Poklepał go lekko po ramieniu. — Przyjdiesz mi zaraz powiedzieć, co tam zobaczyłeś. Będziemy wtedy mieli jeszcze około dwudziestu minut, żeby skorygować nasze plany.

\* \* \*

Pułkownik Mario Satta siedział w radiowozie trzy kilometry dalej. Na polanie, znajdującej się dwieście metrów od wąskiej bocznej drogi, stało w szeregu jeszcze sześć innych pojazdów: trzy dżipy, samochód osobowy i dwa czarne wozy opancerzone, mieszczące po dwunastu ludzi. Zastępca Satty, kapitan Brisci, siedział obok niego, niecierpliwie bębniąc palcami w kolano.

— Na co właściwie czekamy, panie pułkowniku? — zapytał. — Wiemy, że Giardini jest już w domu i prawdopodobnie je teraz z żoną kolację.

Satta spojrzął na niego, mając nadzieję, że jest naprawdę uczciwym i inteligentnym człowiekiem, za jakiego uchodził.

— W takich sprawach, kapitanie, postępuję czasem w niekonwencjonalny sposób — powiedział. — Możliwe, że nasz przyjaciel Giardini ma w domu kompromitujące go dokumenty. Gdybyśmy zadzwonili teraz do drzwi, on, jego żona, dzieci czy którykolwiek z domowników miałby czas, żeby je schować lub zniszczyć. Wolę zaczekać, aż wszyscy pójną spać. Wtedy wyważymy drzwi i zanim Giardini się zbudzi, będziemy w jego gabinecie.

— Skąd będziemy wiedzieli, że śpi? — zapytał kapitan.

Satta westchnął. Może ten człowiek nie był jednak zbyt rozgarnięty.

— Nasi ludzie obserwują dom z różnych stron — wyjaśnił. — Donieśli nam, że w tej chwili palą się światła tylko na parterze. Kiedy zapalą się na piętrze, zostaniemy o tym poinformowani. Gdy i tam zgasną, będziemy mogli założyć, że wszyscy poszli spać. Pół godziny później wtargniemy do środka.

Kapitan nie był jednak idiotą.

— A co zrobimy — zapytał — jeżeli światło na piętrze będzie zapalone przez całą noc? Może ktoś w rodzinie cierpi na bezsenność... czyta w nocy książki albo ogląda porno na wideo?

Satta uśmiechnął się.

— W takim przypadku zaczekamy do drugiej w nocy i tak czy inaczej tam wejdziemy. — Spojrzał na zegarek i dotknął spoczywającego w kieszeni marynarki małego czarnego pudełka, które dał mu Creasy. W ciągu najbliższej godziny powinien odebrać od niego sygnał, a wtedy *signor* Giardini, jego żona i rodzina będą mogli spać spokojnie do rana.

Gina prowadziła Michaela za rękę. Przez kilka chwil chrząścił mu pod nogami delikatny żwir.

— Cztery schodki — powiedziała, ściskając mocno jego dłoń.

Gdy trafił na pierwszy stopień, z pozostałymi nie było już problemu. Wchodząc do willi poczuł falę ciepła i usłyszał odgłos zamykanych drzwi.

— Możesz zdjąć opaskę — powiedziała Gina.

Ściągnął z oczu czarny jedwabny szalik i zmrużył oczy od światła. Stali na grubym dywanie w holu dużej rezydencji. Nad ich głowami wisały żyrandole, a na ścianach stare portrety. Michael zobaczył przed sobą otwarte drzwi, zza których dochodził gwar rozmów.

Giną znowu wzięła go za rękę i poprowadziła do salonu, mówiąc:

— Wszyscy są tu incognito. — Zniżyła głos do szeptu. — Będziesz zaskoczony... a nawet zaszokowany obecnością prawdziwego biskupa. To on odprawi mszę.

Michael nie był zaskoczony ani zaszokowany. Tego popołudnia obejrzał kilka fotografii biskupa Caprese i rozpoznałby z pewnością jego czarną kozią bródkę, krzaczaste brwi i kędzierzawe krucze włosy.

Gdy szli korytarzem, zauważył drzwi po lewej stronie. Tam musiała się znajdować męska garderoba. Po prawej były schody. Wiedział, że prowadzą do sypialni i drugiej garderoby. Weszli do salonu. Było tam dwanaście osób z kieliszkami szampana w rękach: siedmiu mężczyzn i pięć kobiet. Wszyscy spojrzeli na wchodzącą parę i zmierzili wzrokiem Michaela. Kilka osób przywitało Ginę skinieniem głowy.

Sędziwy lokaj przyniósł im na srebrnej tacy kieliszki szampana. Wzięli po jednym. Przytknąwszy kieliszek do ust, Michael wyraził głośno swoje uznanie. Zaskoczyło go w istocie, że biskup Caprese jest ubrany w purpurowe szaty. Był wyższy niż Michael oczekiwał. Spojrzawszy na niego, pomyślał mimo woli, że około północy strzeli mu między oczy. Rozpoznał też ciemną, lekko spoconą twarz Anwara Hussajna, stojącego obok Jeana Lucci Donatiego.

Wszyscy panowie mieli na sobie skromne garnitury, a panie długie suknie lub długie spódnice i bluzki. Dwie spośród kobiet, mające po dwadzieścia kilka



lat, były bardzo atrakcyjne. Dwie inne, o jakieś dziesięć lat starsze, wzbudzały również zainteresowanie. Trzy ostatnie weszły już w schyłek średniego wieku. Jedna zachowała dawną urodę, ale dwóm pozostałym nie pomagała nawet gruba warstwa makijażu. Poza biskupem, Hussajnem i Donatim Michael nie rozpoznał nikogo więcej, żadnej z kobiet, ani pozostałych dwóch mężczyzn, którzy byli otępliwymi osobnikami w średnim wieku.

Rozejrzawszy się wokół, powiedział do Giny:

— To piękny salon. Dom pewnie też jest wspaniały. Czy jego właściciele są obecni?

Giną z uśmiechem pokręciła głową.

— Przy takich okazjach wyjeżdżają na weekend.

Wzięła go za rękę i poprowadziła do biskupa, mówiąc po drodze:

— Przywitaj się z nim tylko i zamień parę słów. Nie zadawaj pytań. Za jakieś dwadzieścia minut przeberzemy się i pójdziemy do kaplicy.

Michael uściśnął rękę biskupowi, wyrażając ponownie podziw dla piękna salonu. Biskup skinął głową i wskazał na wiszące na ścianie duży obraz.

— To nie Caravaggio — rzekł z uśmiechem — ale jest wiele wart, i ma o sto lat więcej. — Spojrzawszy na Ginę, zniżył konfidencjonalnie głos i powiedział: — Jak miło znowu cię widzieć, moja droga. Twoja uroda dodaje blasku naszym bankietom. — Wskazał na Michaela. — Twój młody towarzysz także uświetni dzisiejszy wieczór.

Michael poczuł, jak cierpnie mu skóra, przypomniawszy sobie, że po czarnej mszy odbywała się zwykle biseksualna orgia. Przeprosiwszy biskupa, przywitał się z pozostałymi gośćmi. Donati uściśnął mu lekko dłoń, natomiast Hussajn o mało jej nie zmiażdżył. Lokaj zaczął roznosić kanapki. Michael czuł się tak, jakby był na kolejnym nudnym przyjęciu. Wzmógł czujność dopiero wtedy, gdy Hussajn wziął go nagle pod łokieć i powiedział, że pora już się przebrać. Wszyscy wyszli z salonu do holu. Kobiety udały się na górę. Gina rzuciła Michaelowi uspokajające spojrzenie. Mężczyźni weszli z korytarza w drzwi po prawej stronie. Był tam bardzo duży pokój ze ścianami obitymi adamaszkiem i sofami z brokatową tapicerką. Na jednej z sof leżało kilka długich czarnych szat. Miały kaptury i zdobione frędzlami paski. Na podłodze znajdowała się cała kolekcja czarnych sandałów. Michael spojrzał w głąb pokoju i stwierdził z ulgą, że są tam drzwi, które opisał mu Rene. Wiedział, że prowadzą do dwóch łazienek i że ma wejść do tej po prawej stronie.

Donati i Hussajn zaczęli bez skrupowania wszystko z siebie zdejmować. Dwaj pozostali mężczyźni poszli w ich ślady. Michael wiedział, że musi wejść do łazienki, gdy ubierze czarną togę. Donati i Hussajn rozebrali się do naga. Donati miał wydatny brzuch, natomiast hebanowe ciało Hussajna było jak z granitu. Wziąwszy do ręki jedną z szat przyłożył ją Michaelowi do ramion i powiedział z uśmiechem:

— Ta będzie dobra.

Chwycił toę obiema rękami i włożył ją Michaelowi przez głowę. Sięgała prawie do podłogi.

— Pasuje jak ulał — stwierdził z uśmiechem Michael. — Mój krawiec byłby zadowolony.

— Kto jest twoim krawcem? — zapytał Donati.

Michael spojrzał na niego ze spokojem i rzekł:

— Miało nie być żadnych pytań.

Donati i Hussajn skinęli aprobująco głowami. Michael zdał sobie sprawę, że poddali go próbie. Znalazłszy parę sandałów swojego rozmiaru, usiadł i włożył je.

— Muszę pójść do łazienki — powiedział wstając. — Chyba w kaplicy nie będzie już okazji. — Uśmiechnąwszy się do Hussajna, dodał: — Muszę przyznać, że jestem trochę zdenerwowany.

Hussajn odwzajemnił jego uśmiech i wskazał ręką drzwi.

Omali nie doszło jednak do katastrofy. Jeden z pozostałych mężczyzn, który był już zupełnie nagi, zmierzał właśnie do łazienki. Michael podążył za nim, pytając:

— Która jest męska?

Mężczyzna wzruszył ramionami i odparł:

— Skoro nie ma tu kobiet, to bez znaczenia.

Michael przyspieszył kroku i zdążył do drzwi po prawej stronie. Nigdy w życiu nie widział tak dużej łazienki. Pod ścianą stała ogromna emaliowana wanna, a obok znajdowała się imponującej wielkości umywalka. W głębi była muszla klozetowa i bidet. Po prawej stronie Michael zobaczył mebel, który miał nadzieję ujrzeć: bardzo wysoką białą szafę, inkrustowaną złoconymi liśćmi.

Zastanawiał się, jak sędziwa matka Satty sięgnęła tak wysoko. Nagle zauważył pod ścianą wiklinowe krzesło. Szybko je przeniósł i stanął na nim. Usłyszawszy pod nogami złowieszcze skrzypnięcie przesunął nieco stopy. Sięgnął ręką do góry i odetchnął z ulgą, gdy poczuł pod palcami twardy metal. Ściągnął z szafy broń, szerokie na pięć centymetrów gumowe opaski i czarne metalowe pudełko z nadajnikiem. W ciągu dziesięciu sekund założył na brzuch opaski, wtykając za nie *Colta 1911* i nadajnik. Westchnąwszy raz jeszcze, podszedł do muszli klozetowej, by się załatwić.

Creasy patrzył przez noktowizor. Niewyraźne kontury postaci były żółtego koloru, przez co procesja wyglądała jeszcze bardziej złowieszczo. Na czele szły prawdopodobnie kobiety, ubrane na czarno i zakapturzone. Za nimi podążali mężczyźni. Ponieważ wszyscy mieli założone kaptury, nie mógł rozpoznać Michaela. Nagle jednak zobaczył, że jeden z ludzi idących z tyłu przyciska rękę do pasa i po dwóch sekundach usłyszał z nadajnika cichy sygnał.

Guido leżał obok, również patrząc przez noktowizor. Delikatnie trącił Creasy'ego w ramię i szepnął:

— Twój chłopak ma broń i nadajnik.

— Od razu poprawił mi się humor — mruknął w odpowiedzi Creasy. — Gdybyśmy musieli tam nagle wtargnąć, Michael byłby ich pierwszym podejrzanym. Nie wiemy, czy są uzbrojeni, ale jeśli tak, będzie przynajmniej mógł się bronić.

Skierował noktowizor na tył willi, próbując zlokalizować Maxiego, który miał sprawdzić, co jest po drugiej stronie domu. Nie zauważył go jednak. Spojrzał ponownie na Guida i Sowę. Obaj patrzyli w tym samym kierunku. Byli około trzysta metrów od rezydencji.

— Widzisz go? — szepnął Creasy.

Sowa pokręcił głową i powiedział po francusku ze swym wyraźnie marsylskim akcentem:

— Przysięgłbym na grób mojej matki, że w ciągu ostatnich dziesięciu minut nikt się tam nie pojawił.

W głosie Guida brzmiał niepokój.

— Mam nadzieję, że Maxiemu nic się nie przytrafiło. . .

Creasy chciał właśnie powiedzieć coś pocieszającego, gdy usłyszał głuchy łoskot i zobaczył, że Maxie leży na brzuchu obok niego.

— Jest tam tylko jeden strażnik — oznajmił nieco zdyszczonym głosem. — Śpi na stołku przy drzwiach garażu. Mógłbym z łatwością poderżnąć mu gardło.

Sowa podczołgał się na łokciach między Guida i Creasy'ego i zapytał szeptem:

— Którędy wróciłeś, Maxie?

— Szedłem w obie strony tą samą drogą.

— Cholera! — zaklął pod nosem Francuz. — Cały czas obserwowałem dom

przez noktowizor. W ogóle cię nie widziałem.

Creasy usłyszał, jak Maxie śmieje się cicho, a potem mówi do Sowy:

— Posłuchaj, kotku. Mógłbym tu wrócić i ściągnąć ci spodnie tak, że nawet byś tego nie zauważył.

— Przestańcie — szepnął Creasy. — Ten strażnik obudzi się, gdy tylko padnie pierwszy strzał. Jak sobie z nim poradzisz?

Maxie znowu się zaśmiał.

— Zostawiłem mu coś na przebudzenie.

Creasy i Guido wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Sowa nie rozumiał, o co chodzi.

— Maxie położył jakieś pół metra przed strażnikiem granat rozpryskowy — wyjaśnił Guido. — Wyjął zawleczkę, odbezpieczył go, opasał luźnym węzłem i przywiązał facetowi do nóg. Kiedy strażnik się obudzi i wstanie, pociągnie za sznurek i nie będziemy musieli się już o niego martwić.

— *Merde!* — skomentował to jednym słowem Francuz.

— Nie będzie miał na nic czasu — stwierdził Creasy. Obserwował kaplicę przez noktowizor. Wszyscy członkowie kongregacji weszli już do środka. — Wracaj do swojego zespołu — powiedział do Maxiego. — Wiemy, że w kaplicy jest tylne wyjście, prowadzące do przedsionka. Kiedy uderzymy, musicie mieć je pod ostrzałem.

— Rene się tym zajmie — odparł Maxie. — Frank i ja załatwimy ochroniarzy, którzy patrolują teren. Ci, którzy stoją przy drzwiach, będą zdezorientowani i nie ruszą się z miejsca co najmniej przez dziesięć sekund. Zdążymy do nich wrócić.

Oceniwszy ponownie rozstawienie swoich ludzi, Creasy powiedział do Sowy:

— Idź z Maxiem. — Zwracając się do Maxiego, dodał: — Ustaw go tak, żeby mógł unieszkodliwić dwóch strażników przy drzwiach. Ty i Frank załatwicie dwóch pozostałych. Guido i ja zaatakujemy kaplicę.

— To oznacza, że nikt nie będzie ich osłaniał — zauważył Guido. Zanim Creasy zdążył odpowiedzieć, Maxie stwierdził:

— Nie ma potrzeby. Obszedłem cały teren. Nikt nie będzie strzelał do nas z tyłu... Chyba że któryś ze strażników ucieknie, ale to mało prawdopodobne.

Guido skinął głową i przyjrzawszy się ponownie kaplicy przez noktowizor, powiedział szeptem do Creasy'ego:

— Wygląda na to, że wszystko jest w porządku... Czekamy teraz na sygnał od Michaela.

— Zgadza się — odparł Creasy. — Przypuszczam, że potrwa to około dwudziestu minut.

Maxie poklepał Sowę po ramieniu i szepnął:

— Idź tuż za mną... Nie chciałbym cię zgubić.

Gina Forelli spojrzała na oświetloną migotliwym blaskiem świec twarz Michaela, która wyglądała jak wykuta z żelaza. Sądziła, że jest przerażony lub zaszokowany. Myliła się. Jego twarz była rozpalona do białości z gniewu. Patrzył na centralne miejsce kaplicy, ołtarz przykryty czarnym jedwabnym obrusem. Leżała na nim na wznak mała dziewczynka o długich jasnych włosach, pięknie ułożonych i zakreconych nad uszami. Miała zamknięte oczy. Jej przeguby i kostki przywiązane były do ołtarza czarnymi jedwabnymi sznurkami.

Michael myślał początkowo, że dziewczynka nie żyje, ale potem spostrzegł, jak rytmicznie oddycha. Obok jej głowy tkwił wbity w bryłę z czarnego korka złoty nóż. Z tyłu paliły się ustawione półkolem długie czarne świece. Biskup Caprese stał po drugiej stronie ołtarza. Zmienił purpurowe szaty na czarne. Miał mocno zaciśnięte usta. Nad jego głową wisiał jakby na niewidzialnej nitce odwrócony czarny krzyż. Obok ołtarza stali ubrani na czarno mężczyzna i kobieta, których Michael nie widział w willi. Przypuszczał, że byli to rzekomi przybrani rodzice dziewczynki. Przed ołtarzem klęczał nowicjusz.

Michael rozejrzał się wokół i stwierdził, że wszystko zostało bardzo sprawnie zorganizowane. W kaplicy stworzono odpowiedni nastrój. Z ukrytych pod sufitem głośników płynął gregoriański śpiew — głęboki, rytmiczny i hipnotyzujący. W powietrzu unosił się zapach kadzideł, niewątpliwie nawiewany do kaplicy przez niewidoczne wentylatory. Żaden reżyser filmowy nie wymyśliłby lepszej scenerii. Biskup otworzył zaciśnięte usta i silnym barytonem odmówił wspak modlitwę pańską. Członkowie kongregacji modlili się razem z nim.

Michael odwrócił się i spojrzął za siebie. Z tyłu kaplicy stał długi stół, przykryty czarnym obrusem i zastawiony półmiskami z jedzeniem. Były tam przejrzałe już niemal owoce, ogromne ilości umieszczonego w lodzie kawioru, na pół surowa szynka, wołowina, baranina i dziczyzna. Wokół półmisków stały dzbanki z ciężkim czerwonym winem. Nie było noży, widelców ani talerzy. Michael wiedział, że po złożeniu ofiary podekscytowani członkowie kongregacji mieli rozebrać się do naga i przystąpić do uczty. Przy takich okazjach jedli tylko rękami. Potem ich ciała, lepkie od soku i krwi, zespały się w orgii.

Na lewo od ołtarza stało trzech ludzi. Michael rozpoznał wśród nich Donatiego

i Hussajna. Trzeci mężczyzna odpowiadał rysopisowi, który przekazał mu Rene. Satta dowiedział się o nim od Gandolfa. Ukryta pod kapturem twarz była ciemna i nieprzenikniona. Michael wiedział, że to Gamel Houdris, najwyższy przywódca Błękitnego Kartelu. Ich spojrzenia skrzyżowały się.

Nagle Michael zdał sobie sprawę, że ceremonia nie potrwa zapewne zbyt długo. Nie było potrzeby składania najpierw w ofierze zwierząt, aby wprawić zgromadzonych w trans. Rozejrzawszy się wokół, stwierdził, że niektórzy członkowie kongregacji mieli już spocone twarze, rozchylone usta i zamglone oczy. Dni, a może tygodnie oczekiwania na ten dzień zmieniły ich w żądne krwi bestie, których głód musiał zostać zaspokojony.

Biskup ponownie przemówił, wskazując na nowicjusza, a potem na złoty nóż. Michael nie rozumiał wypowiedzianych po łacinie słów, ale uznał, że chyba nie powinien już dłużej zwlekać.

W jednej chwili zrezygnował z kurczowego trzymania się planu. Sięgnąwszy do ukrytego pod szatą nadajnika przycisnął guzik i wysłał umówiony sygnał: trzy krótkie impulsy i jeden długi. Nowicjusz wstał z klęczek, podszedł do ołtarza i stanął nad nagą dziewczynką.

Michael rejestrował beznamiętnie przebieg wydarzeń. Widział oczami wyobraźni, co dzieje się w ciemnościach na zewnątrz willi: Creasy zbliża się niepostrzeżenie do kaplicy, Maxie eliminuje strażników, Jens uruchamia silnik stojącego kilometr od rezydencji mikrobusu, a Satta odbiera sygnał z odległości trzech kilometrów i wkracza do akcji ze swoimi ludźmi.

Nowicjusz chwycił za rękojeść noża, wyciągnął go z korkowej bryły i uniósł wysoko nad sercem dziewczynki. Biskup zaczął odmawiać łacińską modlitwę, niewątpliwie wspak. Oczy miał również utkwione w klatce piersiowej dziewczynki. Michael spojrzał na członków kongregacji. Wszyscy wpatrywali się w ołtarz. Podciągnąwszy lewą ręką skraj szaty, prawą sięgnął po ciężkiego *Colta*. Nowicjusz uniósł wyżej złoty nóż.

W tym momencie Michael strzelił mu w tył głowy. Echo wystrzału rozbrzmiało w całej kaplicy. Nowicjusz osunął się na ołtarz, na którym leżała dziewczynka. Jego krew i mózg spryskały twarz ubranego na czarno biskupa. Michael strzelił do niego dwa razy. Oba pociski trafiły biskupa w otwarte usta. Powstało potworne zamieszanie i zgiełk. Michael wyskoczył z ławki i pobiegł w kierunku drzwi kaplicy. Odwróciwszy się przy suto zastawionym stole, zawołał po włosku, używając wyuczonych słów: — Zostańcie na swoich miejscach. Kto się ruszy, zginie!

\* \* \*

Obie grupy wkroczyły do akcji natychmiast po otrzymaniu sygnału od Michaela. Maxie był zaledwie dziesięć metrów od jednego ze strażników patrolujących teren posiadłości. Powalił go na ziemię krótką serią z pistoletu maszynowego. Drugi strażnik, znajdujący się dwadzieścia metrów dalej, zaczął przeraźliwie krzyżeć. Jego także unieszkodliwił, po czym zmienił błyskawicznie magazynek i pobiegł w kierunku jednego ze strażników pilnujących drzwi. Dwieście metrów dalej Frank otworzył ogień do dwóch innych ochroniarzy. Miał szczęście. Zatrzymali się akurat na pogawędkę, paląc ukradkiem papierosa. Był trzydzieści metrów od nich. Wystarczyła pojedyncza seria z pistoletu maszynowego. Podobnie jak Maxie zmienił w mgnieniu oka magazynek i ruszył w kierunku willi, aby załatwić jeszcze jednego stojącego tam strażnika.

Z tyłu budynku wybuchł granat. Drzemiący obok garażu ochroniarz zasnął na zawsze. Maxie i Frank nie mieli już czasu zająć się pozostałymi strażnikami. Zrobił to Sowa. Usłyszeli trzy krótkie strzały z jego pistoletu maszynowego, potem pojedynczy krzyk i jeszcze jeden strzał.

Maxie przykucnął i spojrzał na kaplicę. Czerwone światło w jej strzelistym oknie zrobiło się nagle oślepiająco białe. Wiedział, że Creasy i Guido są już w środku. Pobiegł w kierunku tylnego wyjścia.

Tylko Gamel Houdris zdołał uciec. Miał instynkt węża, lisa i wygłodniałego rekina. Gdy otworzyły się z hukiem drzwi kaplicy i jej wnętrze oświetliły pierwsze race, naciągnął na głowę kaptur i krzyknął do Donatiego i Hussajna:

— Biegnijcie do tylnego wyjścia!

Poruszali się po omacku. Popychając ich we właściwym kierunku, usłyszał nagle za sobą krzyk Delorsa, którego kula trafiła w prawe kolano. Gdy znaleźli się za ołtarzem, światło rac przestało ich oślepiać. Donati otworzył drzwi i wybiegł na zewnątrz. Hussajn podążył za nim. Houdris przezornie się zatrzymał. Donati i Hussajn nie przebiegli nawet pięciu metrów, gdy Rene powalił ich na ziemię serią z pistoletu maszynowego. Hussajn nie zginął od razu. Podźwignął się z trudem, trzymając rękę na poharatanym brzuchu i jak ranny byk zaatakował z wściekłością swego napastnika. Kolejna seria pocisków zwała go z nóg. Houdris usłyszał trzask zmienianego magazynka. Kuląc się pobiegł w ciemnościach w kierunku odległych drzew.

Usłyszawszy za plecami terkot pistoletu maszynowego, rzucił się na ziemię. Pocisk wyrwał mu z szaty kawałek materiału i drasnął go w bok. Houdris zaczął turlać się po ziemi, aż wpadł w niskie krzaki. Kule świstały mu nad głową. Wpełznął między drzewa, a po kilku minutach wspiął się na kamienny mur. Spojrzał w kierunku willi i kaplicy. Cały teren posiadłości był już oświetlony. Zobaczył czarny mikrobusek, do którego wskoczyli ubrani na czarno uzbrojeni mężczyźni. Po chwili usłyszał pisk opon i samochód odjechał na pełnym gazie.

Zastanawiał się, co robić. Miał na sobie tylko czarną togę. Bez wątplenia napastnicy nie byli policjantami. Dostrzegł kilku wychodzących z kaplicy członków kongregacji, którzy snuli się jak żywe trupy. Rozważał możliwość powrotu do rezydencji, ale szybko z tego zrezygnował, widząc światła zbliżających się pojazdów. Obok willi stanęły dwa samochody osobowe, trzy dżipy i dwa opancerzone transportery. Zobaczywszy mundury wysiadających z nich żandarmów, Houdris odwrócił się i zeskoczył z muru.

Zachodni wiatr rozpedził chmury i cienki sierp księżyca oświetlał słabym blaskiem polanę, na której stał ubrany na czarno mężczyzna. Houdris widział go z odległości pięciu metrów. Miał kwadratową, poznaczoną bliznami twarz. W rę-



kach trzymał pistolet maszynowy.

Houdris oparł się o mur. Mężczyzna, który wtargnął do kaplicy i wrzucił do niej granaty oślepiające, zbliżył się powoli i powiedział niskim głosem, z lekko amerykańskim akcentem:

— Dzisiaj umrzesz. Możesz teraz drwić ze swojej przeszłości. Nie zginąłbyś z powodu zła, które wyrządziłeś tej nocy i przez ostatnie lata. Umierasz za to, że dwadzieścia lat temu skrzywdziłeś na Malcie pewną kobietę. Przesiadywała potem często na kamiennym murze, żeby widzieć swojego syna, którego spłodziłeś i porzuciłeś.

Gdy Gamel Houdris zastanawiał się nad sensem tych słów, mężczyzna rzucał na ziemię pistolet, chwycił przywódcę Błękitnego Kartelu gołymi rękami za gardło i powoli udusił.

# EPILOG

Dziewczyny dawno już wyszły. Blondie siedziała w swym przeładowanym meblami apartamencie, wtykając we włosy ostatnie lokówki, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Zaklęła dosadnie w trzech językach i spojrzała na zegarek. Wyszła z pokoju i usłyszała, że Raoul idzie korytarzem, również klnąc pod nosem. Miał zamiar dać nauczkę niewyżytemu pijaczynie, który zakłócał mu spokój o czwartej nad ranem.

Blondie stanęła u góry nasłuchując. Raoul otworzył frontowe drzwi i zaczął z kimś rozmawiać. Nie mówił bynajmniej podniesionym głosem. Blondie włożyła kwiecistą nocną koszulę i zeszła po schodach. Rozmowa toczyła się teraz w kuchni. Przy stole siedział Creasy. Miał przekrwione oczy i wyglądał tak, jakby cierpiał na nadciśnienie.

— Co z Michaelem? — zapytała Blondie.

— Wszystko w porządku.

— Więc idź się przespać. Opowiesz mi wszystko rano.

Creasy westchnął, wstał ciężko z krzesła i zdobywszy się na uśmiech, zapytał:

— Zjesz ze mną śniadanie?

— Zaraz ci coś przygotuję i usiądę z tobą — odparła, również się uśmiechając.

\* \* \*

Znowu było jak dawniej. Creasy zobaczył na talerzu sześć plasterków boczku, cztery smażone jajka, tłuczone ziemniaki oraz pieczone pomidory i cynaderki.

Zjadłszy z apetytem śniadanie, wypił dwie filiżanki kawy, spojrzał na Blondyneczkę i powiedział:

— Chcesz usłyszeć wszystko od początku?

— Oczywiście.

Jego opowieść trwała prawie godzinę. Blondie orientowała się w niektórych sprawach, ale tylko pobieżnie. Creasy zrelacjonował jej całą historię Błękitnego Kartelu. Nie przerywała mu. Dopiero gdy skończył, oznajmiła:

— Czytałam, oczywiście, w gazetach o tej czarnej mszy. Sprawa odbiła się szerokim echem w całej Europie. Byłam zła, że przez dwa tygodnie nie zjawiłeś się, żeby mi o wszystkim opowiedzieć. — Zaczęła zadawać pytania. — Jak radzi sobie Satta?

Creasy uniósł ciężko głowę i powiedział z uśmiechem:

— Pułkownik Satta awansuje wkrótce na generała. Nie uśmierzy to bólu, jaki odczuwa nadal po stracie Bellu, ale jest przynajmniej cały czas zajęty pracą. Walczy z wszechobecną włoską korupcją. Ma nowego asystenta, kapitana Brisci. Zdaje się, że po stracie starego, wiernego psa najlepiej kupić sobie szczeniaka. Aktualnym celem Satty jest Benito Massara. Kiedy się do niego dobierze, będzie na co popatrzeć.

— Co się stało z tą dziewczynką, która leżała na ołtarzu?

Creasy westchnął z ulgą.

— Zainteresowała się nią czcigodna pani Sophia, matka Satty. Jej starszy syn, Giovanni, jest żonaty od dziesięciu lat, a nie ma jeszcze dzieci. — Creasy wzruszył ramionami. — Myślę, że jego mama coś wykombinuje.

Blondie skinęła aprobowująco głową, jakby uznawała takie rozwiązanie za nader praktyczne i słuszne, po czym dodała:

— Wiem, że Maxie jest od dziesięciu dni w domu, ale się z nim nie widziałam.

— Maxie ma się dobrze — zapewnił ją Creasy. — Wczoraj wieczorem popiliśmy sobie trochę w jego bistrze. Ale nie może mi pomóc w rozwiązaniu pewnego problemu, dlatego przyszedłem do ciebie.

Blondie machnęła lekceważąco ręką.

— A co porabiają Frank i Rene?

— Odpoczywają w moim domu na Gozo, rozpieszczani przez Juliet. Pod jej wpływem zamienili się w parę uległych kociąt.

— A Duńczyk i Sowa?

— Są w Kopenhadze — odparł Creasy z błyskiem w oku. — Jens zrezygnował z pracy w policji i otworzyli razem prywatną agencję detektywistyczną, specjalizującą się w poszukiwaniu osób zaginionych.

Blondie uśmiechnęła się.

— Polubiłam tego policjanta... a właściwie: byłego policjanta. Przekaż mu, że będzie tu zawsze mile widziany. Jego przyjaciel Sowa także.

— Powiem mu to.

— A co z Michaelem?

Creasy wypił łyk kawy i stwierdził:

— Z nim właśnie mam pewien problem.

— Zaslugujesz na to — powiedziała surowo Blondie. — O co chodzi?

Creasy westchnął ciężko i rzekł:

— Udusiłem gołymi rękami Garnęła Houdrisa. Michael nie wie, że ten człowiek był jego naturalnym ojcem. Zastanawiam się, czy powinienem mu o tym

powiedzieć.

Blondie wzruszyła lekceważąco ramionami.

— Dlaczego nie? Z pewnością go nienawdził.

— Też mi się tak wydaje — odparł spokojnie Creasy. — Ale sądziłem, że do swojej matki miał podobny stosunek, a jednak byłem w błędzie... O mało go nie straciłem.

Blondie przygładziła zakręcone włosy. Zawsze to robiła, intensywnie się nad czymś zastanawiając.

— Gdzie jest teraz Michael? — zapytała.

— Niedaleko stąd, w Wiesbaden. Tuż za granicą niemiecką.

— Co tam robi?

Creasy podniósł wzrok znad kubka i odparł beznamiętnie:

— Miał zamiar zabić ojczyzna Juliet.

Blondie wzniosła oczy ku niebu i mruknęła:

— Ależ z was para! — Nagle jej twarz spoważniała. — Creasy, rozumiem ciebie i rozumiem Michaela, którego sam wychowałeś. Żyję już długo i wiele doświadczyłam... Mam obawy, że za bardzo oswoiliście się ze śmiercią... Szafujecie nią tak jakbyście rozdawali karty.

Creasy spojrzął na Blondie i pokręcił głową.

— Nie oceniaj nas zbyt surowo — powiedział. — Wyrównujemy rachunki za krzywdy, wyrządzone nam i naszym bliskim.

Blondie westchnęła.

— Rozumiem was. Wiem, czym się kierujecie... Ale wcale nie śpię przez to spokojniej. Chciałabym, żebyście byli trochę mniej twardzi.

Creasy wzruszył ramionami.

— Może pewnego dnia twoje życzenie się spełni. Michael powinien właściwie już tu być. Miał wykonać swoje zadanie dwa dni temu.

— Nie odezwał się? — zapytała Blondie.

Creasy pokręcił głową.

— Chciałem z nim jechać, ale wolał załatwić to sam.

W tym momencie zadzwonił dzwonek u drzwi. Dwie minuty później do kuchni wszedł Michael. Miał strapioną minę. Uściskał Blondie i pocałował ją w oba policzki, a potem usiadł naprzeciwko Creasy'ego. Blondie podeszła do kuchenki i zaczęła przygotowywać mu śniadanie.

Michael spojrzął na Creasy'ego i powiedział:

— Spieprzyłem robotę.

— Co się stało?

Michael był wyraźnie zakłopotany.

— Korkociąg Dwa dał mi bombę. Przymocowałem ją do podwozia nowego BMW, którym jeździ ten łajdak, i przyczaiłem się z nadajnikiem trzysta metrów dalej. Czekałem z niecierpliwością na chwilę, kiedy będę mógł wcisnąć guzik.

Myślałem o Juliet i o tym, co ten człowiek z nią robił. Myślałem z odrazą o jej matce, która beczynnie się wszystkiemu przyglądała. Wyobrażałem sobie, jak jego BMW rozleci się na kawałki.

— I co?

Michael oparł się o krzesło, spojrział w sufit i powiedział:

— Nie mogłem tego zrobić.

— Dlaczego?

Chłopak pochylił się do przodu, podparł rękami podbródek i patrząc na swego przybranego ojca, rzekł:

— Kiedy tam siedziałem, ogarnęło mnie nagle uczucie, że zabiliśmy ostatnio zbyt wielu ludzi. Zemsta się dopełniła.

Creasy również pochylił się naprzód.

— Już to gdzieś słyszałem. A więc nie wcisnąłeś guzika?

— Owszem — odparł z uśmiechem Michael. — Rozwaliłem to piękne, nowe BMW, ale w środku nikogo nie było. Ciekawe, jak facet załatwi sobie wypłatę ubezpieczenia.

Obaj wybuchnęli śmiechem. Blondie przyglądała się im, stojąc przy kuchence. Nagle Creasy spowaźniał i powiedział cicho:

— Michael... Wiesz, że udusiłem Gamela Houdrisa.

— Jasne.

— Nie wiesz jednak, że to właśnie on zmusił twoją matkę, by cię porzuciła... Był twoim naturalnym ojcem.

— Jesteś tego pewny?

— Tak.

Michael oparł się o krzesło i spojrzawszy znowu w sufit, krzyknął triumfalnie:

— Alleluja!!

*KONIEC*